

Deighton Len

Szpiegowski Splawik

„KB”

1

Anglia, wrzesień 1977.

- Jesteś bezwzględnym draniem, Bret. - Był to głos jego żony. Mówiła cicho, ale z wielkim przekonaniem, jakby to był wniosek, do którego doszła po długich i trudnych rozważaniach.

Bret rozchylił powieki. Znajdował się w stanie hedonistycznego półsnu, z którego budzenie się jest bardzo przykre. Nie był jednak hedonistą, lecz purytaninem; uważał się za bezpośredniego potomka bogobojnych, nieugiętych zdobywców, którzy skolonizowali Nową Anglię. Otworzył oczy. - O co chodzi? - spytał i zerknął na stojący przy łóżku zegar.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Pokój tonął w słonecznym świetle, sączącym się przez żółte zasłony. Jego żona siedziała na łóżku; jedną rękę opierała na kolanie, w drugiej trzymała papierosa. Nie patrzyła w jego stronę. Zdawała się nie wiedzieć, że leży obok niej. Spoglądając w przestrzeń, zaciągała się łapczywie papierosem, nie oddalając go od ust, lecz trzymając w pogotowiu nawet przy wypuszczaniu dymu. Snujące się pasma były żółte jak sufit i jak twarz żony.

- Jesteś całkowicie bezwzględny - powiedziała. - Jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Nie odwróciła głowy, by przekonać się, czy już nie śpi. Było jej wszystko jedno. Mówiła rzeczy, które postanowiła mu powiedzieć, o których dużo myślała, ale nigdy dotąd nie śmiała głośno wyrazić. A to, czy on słyszy czy nie, wydawało się jej nieważne.

Bez słowa odgarnął pościel i wyszedł z łóżka - bez gwałtownych ruchów, delikatnie, żeby jej nie przestraszyć. Odwróciła głowę i patrzyła, jak idzie po dywanie. Nago wydawał się szczupły, żeby nie powiedzieć chudy - dlatego wyglądał tak elegancko w swych doskonale skrojonych garniturach. Poczula żal, że nie jest równie szczupła.

Bret wszedł do łazienki, odsunął zasłony i otworzył okno. Był cudowny jesienny poranek. Oświetlone słońcem drzewa rzucały długie cienie na przyprószoną złotem trawę. Nie widział jeszcze, żeby rabaty były tak pełne kwiatów. Na końcu ogrodu, gdzie drżące pędy płaczących wierzb dotykały wody, wolno płynąca rzeka wydawała się niemal błękitna. Dwie przycumowane do pomostu łódki kołysały się łagodnie w górę i w dół, wśród flotylli opadłych liści. Poczuł, że kocha ten dom.

W osiemnastym wieku liczni zamożni londyńczycy zaczęli kupować domy leżące w górnym biegu Tamizy. Ciągną się one od Chiswick aż do Reading i są ukryte za niepozornymi ceglаныmi murami, a otaczające je tereny dochodzą do brzegów rzeki. Panuje wśród nich wielka różnorodność kształtów, rozmiarów i stylów - od pałaców w stylu weneckim, po skromne rezydencje, takie jak dom Breta.

Bret Rensselaer odetchnął głęboko dziesięć razy, jak zwykle przed rozpoczęciem gimnastyki. Widok ogrodu dodał mu otuchy. Zawsze tak było. Nie zawsze był anglofilem, ale gdy tylko przybył do tego czarodziejskiego kraju, poczuł, że nie ma ucieczki przed obsesyjną miłością, jaką darzył wszystko, co było z nim związane. Rzeka, która płynęła na końcu jego ogrodu, nie była zwykłym, małym strumieniem: to była Tamiza! Tamiza, która kojarzyła mu się ze starym londyńskim mostem, z Pałacem Westminsterskim, z Tower i oczywiście z Szekspirowskim teatrem „Globe”. Choć mieszkał tu od lat, trudno mu było uwierzyć w swoje szczęście. Chciał, żeby jego amerykańska żona dzieliła je z nim, ale ona twierdziła, że Anglia jest „zacofana” i dostrzegała tylko złe strony pobytu w tym kraju.

Czesząc się, spojrzął na swe odbicie w lustrze. Miał wydatną szczękę i jasne włosy, które on i jego brat odziedziczyli po matce. Odziedziczył też po niej zdrowie i był to bardzo cenny spadek. Włożył czerwony jedwabny szlafrok. - Zza drzwi łazienki dotarł do niego jakiś hałas, a potem brzęk szkła; wiedział, że to żona wypija szklankę butelkowanej wody. Nie spała dobrze. Przyzwyczyił się do jej chronicznej bezsenności. Nie był już zaskoczony budząc się w nocy i widząc, że jego żona pije wodę, pali papierosa lub czyta jedną ze swych ulubionych romantycznych powieści.

Kiedy wrócił do sypialni, Nikki siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, jej jedwabna koszula nocna była w nieładzie i odsłaniała uda, a koronkowa naszywka sterczała na karku jak kryza. Miała bladą cerę - unikała słońca - i zmierzwiłone włosy. Nie była szczupłą, ale nie miała nadwagi. Poczuła, że przygląda się jej badawczo i podniosła na niego gniewny wzrok. W przeszłości taka poza - wyraz gniewu na twarzy i papieros w ustach - podniecała go. Być może, chciał odkryć w niej

bezwstydną rozpusznicę. Jeśli tak, to jego nadzieje spełzły na niczym.

Wszedł do alkowy, która służyła za ubieralnię, i otworzył drzwi szafy, aby wybrać garnitur spośród wiszących w niej dwóch tuzinów. Jeden owinięty był bibułą i okryty plastikową torbą, jakby przyniesiono go właśnie z pralni chemicznej.

- Nie masz ludzkich uczuć! - oświadczyła.
- Przestań, Nikki - powiedział. Miała na imię Nicola. Nie lubiła, gdy nazywano ją Nikki, ale było już zbyt późno, by go o tym poinformować.
- Mówię poważnie - ciągnęła. - Wysyłasz ludzi na śmierć, jakbyś wysyłał pocztą prospekty. Nie masz serca. Nigdy cię nie kochałam; nikt nie mógłby cię kochać.

Co za bzdury wygadywała Nikki. Bret pełnił w SIS funkcję zastępcy dyrektora Wydziału Gospodarki Europejskiej. A jednak w jej domysłach była odrobina prawdy; niekiedy właśnie on musiał ostatecznie zatwierdzać niebezpieczne przedsięwzięcia. I kiedy trzeba było podejmować te trudne decyzje, nie cofał się przed tym.

- Cholernie długo czekałaś, żeby mi to powiedzieć - oświadczył trzeźwo, wieszając lekki wełniany garnitur w świetle padającym od okna i przypinając szelki do spodni. Zmiał bibułkowe opakowanie i wrzucił je do kosza na brudne rzeczy. Potem wybrał koszulę i bieliznę. Był zaniepokojony. W tym kłótliwym nastroju Nikki mogła nagadać jakichś melodramatycznych bredni pierwszemu napotkanemu nieznanemu. Nigdy dotąd nie zrobiła tego, ale też nigdy nie widział jej w takim stanie.

- Myślałam o tym ostatnio - odparła. - Dużo o tym myślałam.
- A czy ten proces myślowy rozpoczął się jeszcze przed lunchem, który jadłaś w ostatnią środę, czy też dopiero po nim?

Spojrzała na niego chłodno i wypuściła dym. - Joppi nie ma z tym nic wspólnego - odpowiedziała. - Czy myślisz, że rozmawiałabym o tobie z Joppim?

- Robiłaś to już dawniej. - Był wściekły, że mówiąc o tym bawarskim hochsztaplerze używa tego idiotycznego zdrobnienia, mimo że tak samo nazywali go niemal wszyscy znajomi.

- To było co innego. To było przed wielu laty. Wtedy, kiedy ode mnie uciekłeś.
- Joppi jest zerem - powiedział Bret i rozżłościł się na siebie samego za to,

że ujawnia swe uczucia. Spojrzał na nią i poczuł, nie po raz pierwszy, morderczy gniew. Byłby w stanie udusić ją bez cienia skrupułów. Nie ma znaczenia: i tak on będzie się śmiał ostatni.

- Joppi jest prawdziwym księciem - oświadczyła prowokująco.
- W Bawarii jest zatrząsienie książąt.
- A ty jesteś o niego zazdrosny - zauważyła, nie ukrywając swego

zadowolenia z tego faktu.

- Jak nie mam być zazdrosny, skoro zaleca się do mojej żony?
- Nie bądź śmieszny. Joppi już ma żonę.
- Z tego, co słyszałem, wynika, że ma codziennie inną.
- Potrafisz być czasem bardzo dziecinny, Bret.

Nie odpowiedział; spojrział tylko na nią z niepohamowanym oburzeniem.

Drażniło go uwielbienie, jakim Amerykanie w rodzaju jego żony darzyli tych drobnych europejskich arystokratów. Poznali Joppiego podczas czerwcowych wyścigów w Ascot. Joppi zgłosił konia do udziału w Biegu Koronacyjnym i zjawił się na torze z dużą grupą swych niemieckich przyjaciół. W następstwie tego spotkania zaprosił Rensselaerów na weekend do domu, który wynajmował pod Paryżem. Pojechali, ale Bret nie był zadowolony z wizyty. Widział, że obleśny Joppi stale przygląda się Nikki, a on nie lubił, kiedy mężczyźni patrzyli w taki sposób na jego żonę. A Nikki nawet tego nie zauważyła; tak w każdym razie twierdziła, gdy zwrócił jej na to później uwagę. Teraz Joppi zaprosił Nikki na lunch i nie zechciał nawet, choćby dla zachowania pozorów, spytać go, czy nie wybrałby się z nimi. Bret był wściekły z tego powodu.

- Książę Joppi - powiedział Bret, kładąc na pierwsze słowo nacisk, aby okazać swą pogardę - jest drobnym kombinatorem.

- Czy kazałeś przeprowadzić w jego sprawie dochodzenie?
- Przepuściłem go przez komputer - odparł. - Bierze udział w różnych podejrzanych interesach. Dlatego zamierzamy trzymać się od niego z daleka.

- Aleja nie pracuję w twojej cholernej tajnej instytucji wywiadowczej - wyjaśniła Nikki. - Może o tym zapomniałeś, ale jestem wolnym obywatelem, sama sobie dobieram przyjaciół i rozmawiam z nimi o tym, o czym mam ochotę rozmawiać.

Wiedział, że usiłuje go sprowokować, ale zastanawiał się, czy nie zadzwonić

do oficera dyżurnego z nocnej zmiany, który mógłby mu podać numer Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nie miał jednak ochoty wtajemniczać w niuanse swego małżeńskiego pożycia jakiegoś młodego podwładnego, który spisałby jego relację i dołączył do jakichś akt.

Poszedł do łazienki i puścił wodę do wanny; odkręciwszy do końca oba krany uzyskał pożądaną temperaturę. Wlał odrobinę płynu do kąpieli, który zaczął się wściekle pienić. Czekając, aż wanna się napelni, wrócił do Nikki. W tej sytuacji dogadanie się z nią było lepszym rozwiązaniem. - Czy zrobiłem ci coś złego? - spytał z wystudiowaną łagodnością, siadając na łóżku.

- Och, nie! - z sarkazmem odparła jego żona. - Ty nigdy nie zrobiłbyś mi nic złego! - Woda napelniająca wannę huczała jak odległy grzmot.

Nikki była napięta, oburącz obejmowała kolana, zapomniawszy na chwilę o papierosie. Spojrzał na nią, próbując dostrzec w jej twarzy coś, co tłumaczyłoby przyczyny tego gniewu. Nie zauważył nic, co mogłoby go oświecić.

- A więc co... - I dodał pojednawczym tonem: - Na miłość boską, Nikki, muszę jechać do biura.

- Muszę jechać do biura - usiłowała sparodiować jego angielską wymowę, nabytą po przyjeździe do tego kraju. Nie była dobrą parodystką, a jej nosowy akcent, który tak go intrygował, kiedy się poznali, nadal był wyraźny. Jakże głupio postępował, żywiąc nadzieję, że Nikki pokocha w końcu Anglię i wszystko co angielskie równie mocno jak on. - Tylko to się dla ciebie liczy, prawda? Mniejsza o mnie. Mniejsza o to, czy nie zwariuję w tej zakazanej dziurze. - Potrząsnęła głową, by odrzucić włosy w tył, a kiedy znów opadły do przodu, odgarnęła je palcami z twarzy.

Bret, nadal siedząc na brzegu łóżka, uśmiechnął się do niej. - Ależ, Nikki, kochanie. Powiedz mi tylko, co jest nie tak.

Najbardziej zirytowało ją właśnie to pobłażliwe „tylko”. W jego świadomym chłodzie było coś, czego nikt nie mógł przewyciężyć. Jej siostra nazywała go „nieśmiały *desperado*” i chichotała, kiedy telefonował. Ale Nikki z łatwością zakochała się w nim. Jakże dokładnie to pamiętała. Nigdy nie miała takiego adoratora: szczupły, przystojny, łagodny i wyrozumiały. Dodatkową atrakcją był jego styl życia. Garnitury Breta leżały na nim tak, jak może leżeć tylko ubranie szyte przez drogiego krawca, jego samochody lśniły tak, jak lśnią tylko samochody starannie wypolerowane przez szofera, a o dom jego matki dbała lojalna służba. Oczywiście kochała go, ale jej miłość zawsze zmieszana była z odrobiną respektu, a może lęku.

Teraz było jej wszystko jedno. W tej chwili potrafiła powiedzieć mu wszystko, co czuje.

- Posłuchaj, Bret - zaczęła pewnym siebie tonem. - Kiedy za ciebie wychodziłam, myślałam, że zamierzasz...
- Pozwól, że zakręcę wodę, kochanie - przerwał jej, podnosząc rękę. - Nie chcemy przecież zalać salonu na dole.

Poszedł do łazienki; szum wody ustał. Przeciąg poruszał kłęby pary, które wpadały przez drzwi. Bret wrócił, zawiązując pasek od szlafroka; zacisnął węzeł bardzo mocno i w tym geście było coś neurotycznego. Podniósł na nią oczy, a ona uświadomiła sobie, że stosowna chwila już minęła. Znowu miała związany język; wiedział, co zrobić, żeby poczuła się jak dziecko, i sprawiało mu to satysfakcję.

- Więc co mówiłaś, kochanie?

Zagryzła wargi i spróbowała jeszcze raz, tym razem inaczej.

- Tego wieczora, kiedy po raz pierwszy przyznałeś, że pracujesz w wywiadzie, nie uwierzyłam ci. Myślałam, że to twoja kolejna romantyczna historyjka.
- Kolejna? - Był na tyle rozbawiony, by się uśmiechnąć.
- Zawsze byłeś mistrzem w mydleniu oczu, Bret. Myślałam, że wymyślasz to wszystko po to, żeby w jakiś sposób zrekompensować sobie nudną posadę w banku.

Oczy mu się zwięziły; był to jedyny objaw gniewu. Spojrzał na dywan. Miał zamiar zacząć swą gimnastykę, ale wiedział, że żona będzie do niego bez przerwy gadać, a wcale nie miał ochoty jej słuchać. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie zrobić to w biurze.

- Miałeś zamiar doprowadzić ich na skraj przepaści. Pamiętam, jak to mówiłeś; na skraj przepaści. Powiedziałeś mi, że kiedyś będziesz miał swojego człowieka na Kremlu. - Chciała mu przypomnieć, jak byli sobie kiedyś bliscy. - Pamiętasz? - Miała zaschnięte usta; wypila jeszcze trochę wody. - Powiedziałeś, że mogą to zrobić Brytyjczycy, bo oni nie mają manii wielkości. Twierdziłeś, że mogą to zrobić, choć sami o tym nie wiedzą. Mówiłeś, że właśnie na tym polegać ma twoja rola.

Bret zacisnął pięści ukryte w kieszeniach szlafroka. W gruncie rzeczy wcale jej nie słuchał. Chciał się wykapać, ogolić, ubrać i spędzić resztę czasu siedząc w ogrodzie, z gazetą, przy kawie i grzankach, dopóki nie przyjedzie po niego szofer. Ale wiedział, że jeśli się odwróci lub gwałtownie zakończy rozmowę, jej gniew

znowu się nasili. - Może to zrobią - powiedział, mając nadzieję, że Nikki porzuci ten temat.

Podniósł wzrok i spojrzał na mały obrazek, który wisiał nad łóżkiem. Miał wiele cennych dzieł współczesnych malarzy brytyjskich, ale ten okaz był głównym powodem do

dumy. Stanley Spencer: krzepcy angielscy wieśniacy zabawiający się w sadzie. Bret mógł przyglądać mu się godzinami; czuł zapach świeżej trawy i kwitnących jabłoni. Zapłacił za niego o wiele za dużo, ale koniecznie chciał mieć na własność tę brytyjską scenę rodzajową. Nikki nie rozumiała, dlaczego umieścił to arcydzieło w sypialni, niczym w kaplicy, w której mógł je otaczać miłością i uwielbieniem. Sama wolała fotografie i przyznała się do tego kiedyś, podczas ostrej sprzeczki dotyczącej jej rachunków od krawca.

- Mówiłeś, że wprowadzenie agenta na Kreml jest twoją największą ambicją.
- Tak mówiłem? - Spojrzał na nią i zamrugał oczami, wyprowadzony z równowagi zarówno przez rozmiary jej niedyskrecji, jak i przez jej naiwność. - Żartowałem sobie z ciebie.
- Nie mów tak, Bret! - Była oburzona, że tak nonszalancko pomniejsza znaczenie jedynej naprawdę szczerej rozmowy, jaką za jej pamięci odbyli. - Mówiłeś poważnie. Do cholery, mówiłeś poważnie!
- Może masz słuszość. - Spojrzał na nią, a potem zerknął na nocny stolik, by przekonać się, co pije, ale nie było tam żadnego alkoholu; tylko litrowa butelka wody Malvern. Nikki stosowała rygorystyczną dietę: żadnego chleba, masła, cukru, ziemniaków, potraw mącznych i alkoholu - przez całe trzy tygodnie. Była pod tym względem zdumiewająco zdyscyplinowana, a poza tym i tak nigdy nie piła dużo, gdyż alkohol powiększał jej brzuch. Kiedy pracownicy Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego sprawdzali ją po raz pierwszy, zwrócili uwagę na jej abstynencję, a Bret był wtedy bardzo dumny.

Wstał i obszedł łóżko, by ją pocałować. Podsunęła mu policzek. Zawarli coś w rodzaju zawieszenia broni, ale jej wściekłość nie została ugaszona; jedynie stłumiona.

- Znów mamy piękny słoneczny dzień. Zamierzam wypić kawę w ogrodzie. Czy przynieść ci filizankę na górę?

Odwróciła stojący przy łóżku budzik, by spojrzeć na jego tarczę.

- Jezu Chryste! Służba przychodzi dopiero za godzinę.

- Przecież potrafię sam zrobić sobie kawę i grzanki.
- Dla mnie jest jeszcze za wcześnie. Poproszę o śniadanie, kiedy będę

gotowa.

Spojrzał jej w oczy. Była bliska płaczu. Wiedział, że gdy tylko on wyjdzie z pokoju, zacznie szlochać.

- Pośpij jeszcze trochę, Nikki. Czy chcesz aspirynę?

- Nie. Nie chcę żadnej cholernej aspiryny. Za każdym razem, kiedy rozmawiam z tobą szczerze, proponujesz mi aspirynę, jakby mówienie tego rodzaju rzeczy było symptomem jakiejś kobiecej przypadłości.

Często zarzucał jej brak kontaktu z rzeczywistością, sugerując tym samym, że on jest realistą. W gruncie rzeczy jednak był w jeszcze większym stopniu romantycznym marzycielem niż ona. Jego uwielbienie dla wszystkiego co brytyjskie było wręcz groteskowe. Mówił nawet o możliwości zrzeczenia się obywatelstwa amerykańskiego i liczył na otrzymanie jednego z tych tytułów szlacheckich, które Brytyjczycy rozdawali zamiast gotówki. Taka obsesja mogła jedynie przysporzyć mu kłopotów.

W biurze było dość pracy, by Bret Rensselaer miał się czym zająć w ciągu pierwszej godziny urzędowania. Jego piękny gabinet mieścił się na najwyższym piętrze nowoczesnego budynku. Był duży jak na ówczesne normy dotyczące lokali biurowych i urządzone według jego własnych koncepcji, wcielonych w życie przez jednego z najlepszych londyńskich dekoratorów wnętrz. Siedział za biurkiem, które miało oszklony blat. Wszystko w tym pokoju - ściany, dywan i długa obita skórą sofa - było szare lub czarne; jedynym wyjątkiem był biały aparat telefoniczny. Bret chciał, żeby gama kolorystyczna gabinetu harmonizowała z łupkowymi dachami centralnej części Londynu.

Zadzwoił po sekretarkę i wziął się do pracy. Kiedy w połowie przedpołudnia posłaniec odebrał jego wychodzącą korespondencję, postanowił wyłączyć na dwadzieścia minut telefon i odbyć swoją poranną gimnastykę. Purytańska natura i wychowanie, jakie otrzymał, nie pozwalały mu wykorzystać konfrontacji z żoną jako pretekstu, mającego usprawiedliwić zaniedbanie pracy lub rezygnację z ćwiczeń fizycznych.

Zdjął marynarkę i wykonywał właśnie codzienną serię trzydziestu pompek, kiedy Dicky Cruyer, kandydat na mające się wkrótce zwolnić stanowisko szefa Sekcji Niemieckiej, uchylił drzwi, wetknął głowę do pokoju i powiedział:

- Bret, próbuje się do ciebie dodzwonić twoja żona.

Bret nadal, wolno i metodycznie, wykonywał swoje pompki.

- I co? - spytał, powstrzymując sapanie.

- Wydawała się wzburzona i przygnębiona - ciągnął Dicky. - Kazała ci przekazać wiadomość, która brzmiała mniej więcej tak: Ty chcesz mieć swojego człowieka w Moskwie, a ja jadę poszukać swojego człowieka w Paryżu. Poprosiłem ją, żeby to powtórzyła, ale ona odłożyła słuchawkę. - Spojrzał badawczo na Breta, który zrobił dwie kolejne pompki.

- Porozmawiam z nią później - stęknął Bret.

- Dzwoniła z lotniska, miała zaraz wsiadać do samolotu. Kazała cię pożegnać. Pożegnać na zawsze, powiedziała.

- No więc zrobiłeś to. - Wyciągnięty na podłodze Bret odwrócił w jego kierunku głowę i uśmiechnął się życzliwie. - Informacja przyjęta i zrozumiana.

Dicky mruknął coś, z czego wynikało, że słabo słyszał, co mówiła do niego żona Breta, i wycofał się. Czuł, że postąpił nierozsądnie, przynosząc niepomyślne wieści. Znał pogłoski o problemach małżeńskich Breta Rensselaera, ale wiedział, że mężczyzna bez względu na to, jak bardzo ma ochotę porzucić swą żonę, nie zawsze jest zadowolony, kiedy ona rzuca jego. Podejrzewał, że Bret zapamięta, kto przyniósł mu wieści o ucieczce Nikki i że ta świadomość pozostawi w nim ślad antypatii, która wpłynie na ich wzajemne stosunki. Jego podejrzania były zresztą zupełnie słuszne. Poczul nadzieję, że nominacja na stanowisko szefa Sekcji Niemieckiej nie będzie zależała wyłącznie od Breta.

Drzwi zamknęły się z traskiem zamka. Bret zaczął od początku swoje pompki. Narzucił sobie twardą zasadę: jeśli przerwał jakieś ćwiczenie, wykonywał je na nowo w całości.

Skończywszy gimnastykę otworzył drzwi, za którymi ukryta była mała umywalka. Umył twarz i ręce, wspominając w myślach szczegóły rozmowy, którą odbył tego ranka z żoną. Postanowił nie tracić czasu na zastanawianie się nad istotą dzielącego ich konfliktu: co minęło, to minęło, szczęśliwej drogi. Bret Rensselaer zawsze utrzymywał, że nie marnuje czasu na żale czy wyrzuty sumienia, ale czuł się zraniony i głęboko urażony.

Chcąc skierować swój umysł na inne tory, zaczął wspominać dawne czasy, w których starał się o przyjęcie do Wydziału Operacyjnego. Przygotował pewien plan podważenia wschodnioniemieckiej gospodarki, ale nikt nie traktował go poważnie.

Dyrektor Generalny, zapoznawszy się ze stosem papierów zawierających wyniki jego badań, powierzył mu stanowisko szefa Wydziału Gospodarki Europejskiej. Bret nie miał powodów do narzekania i rychło rozbudował ten wydział do rozmiarów poważnego imperium. Ale praca w tym wydziale polegała na obróbce materiałów wywiadowczych. Zawsze żałował, że nie wzięto pod uwagę jego znacznie poważniejszej koncepcji, polegającej na forsowaniu procesu zmian w Niemczech Wschodnich.

Bret nigdy nie planował wprowadzenia skutecznego agenta do grona kierownictwa moskiewskiego KGB. Znacznie bardziej wolałby mieć naprawdę błyskotliwego agenta, prowadzącego długofalową działalność sabotażową i informacyjną, w Berlinie Wschodnim, stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wymagałoby to czasu; nie można było przeprowadzić takiej operacji z pośpiechem, cechującym tak wiele akcji SIS.

Departament miał zapewne wielu „uśpionych” agentów, którzy, zajmując różne stanowiska, od dawna uchodzili za lojalnych zwolenników rządów państw Europy Wschodniej. Teraz Bret musiał znaleźć taką osobę i dokonać właściwego wyboru. Ale długi i pracochłonny proces selekcji musiał być przeprowadzony tak dyskretnie i finazyjnie, by nikt nie domyślił się, o co chodzi. Wiedział też, że po znalezieniu takiego człowieka będzie musiał nakłonić go do podjęcia ryzyka, jakie rzadko podejmowali „uśpieni” agenci. Liczni spośród nich, starannie zakamuflowani, ograniczali się do brania pieniędzy i mieli nadzieję, że nigdy nie zostaną poproszeni o wykonanie jakiegokolwiek zadania.

Wiedział, że to nie takie proste. Ani przyjemne. Na początku nie może liczyć na współpracę, z tego prostego powodu, że żaden z jego kolegów nie będzie wiedział, czym się zajmuje. Potem wszyscy zaczną starania o uznanie i nagrody. Departament przywiązywał do takich spraw wielką wagę. Naturalne było to, że ludzie pracujący w wielkiej tajemnicy tak energicznie i stanowczo walczyli o szacunek i podziw przełożonych po pomyślnym wykonaniu zadania. Wiedział jednak, że w przypadku niepowodzenia wszyscy będą zajadle zrzucać odpowiedzialność na innych.

W końcu należało też wziąć pod uwagę wpływ tego rodzaju operacji na człowieka, który podejmie się wykonania brudnej roboty. Tacy ludzie z reguły nie wracali. A jeśli wracali, to nigdy nie byli już zdolni do dalszej pracy. Bret widział tych, którzy przeżyli; większość z nich mogła najwyżej siedzieć w fotelu z pledem na kolanach, rozmawiać z wyznaczonym przez Departament psychoanalitykiem i podejmować daremne próby uspokojenia zszarpanych nerwów i naprawienia zerwanych stosunków z otoczeniem.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego nie umieli wrócić do siebie. Człowieka nakłania się do porzucenia wszystkiego, co jest mu najdroższe, do szpiegowania w obcym państwie. Potem, w wiele lat później, zostaje z powrotem sprowadzony do kraju - jeśli Bóg da - by przeżyć resztę swych dni w spokoju i zadowoleniu. Ale spokój i zadowolenie nie są mu dane. Biedak nie jest w stanie przypomnieć sobie ani jednego człowieka, którego nie zdradziłby lub nie opuścił przy takiej czy innej okazji. Tacy ludzie skazani są na zagładę; można by od razu postawić ich przed plutonem egzekucyjnym.

Z drugiej strony należało porównać koszt destrukcji jednego człowieka - i być może kilku członków jego rodziny - z korzyściami, jakie przynieść mogła taka operacja.

Zastanowić się, co będzie bardziej korzystne dla całego społeczeństwa. Walczyli z systemem, który uśmiercał setki tysięcy ludzi w obozach pracy, stosował tortury, uważając je za rutynowy element przesłuchania przez policję, umieszczał dysydentów w zakładach dla chorych psychicznie. Przy tak wysokich stawkach nadmierna wrażliwość wydawała się czymś absurdalnym.

Bret Rensselaer zamknął drzwi od umywalni, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Mimo lekkiej mgiełki wszystko stąd widział: gotycką wieżę Pałacu Westminsterskiego, strzelistą iglicę kościoła Świętego Marcina, Nelsona ostrożnie balansującego na swej kolumnie. Była w tym swoista jedność. Nawet nie pasująca do otoczenia wieża poczty wydawałaby się zapewne na miejscu, gdyby pokrywała ją stuletnia patyna. Bret przysunął twarz do szyby, by zobaczyć zbudowaną przez Wrena kopułę katedry Świętego Pawła. Z gabinetu Dyrektora Generalnego rozciągał się wspaniały widok na północ i Bret bardzo mu tego zazdrościł. Być może pewnego dnia zajmie ten gabinet. Nikki dowcipkowała na ten temat, a on udawał, że śmieje się z jej żartów, ale nie tracił nadziei, że pewnego dnia...

Potem przypomniał sobie o notatkach, które sporządził w związku ze swym projektem. Przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł: teraz, kiedy ma więcej czasu oraz cały sztab złożony z analityków i ekonomistów, każe je uaktualnić. Mapy, wykresy, tabele, wykazy graficzne i łatwo zrozumiałe nawet dla Dyrektora Generalnego kolumny cyfr można przygotować na komputerze. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Dzięki, Nikki.

W ten sposób znów wrócił myślami do swej żony. Raz jeszcze powiedział sobie, że musi być stanowczy. Porzuciła go. Było już po wszystkim. Wmawiał sobie od lat, że przewiduje taki koniec, ale w istocie wcale nie przewidział. Zawsze był pewien, że Nikki zniesie wszystko, na co się uskarżała - tak jak on znosił ją - byle tylko ocalić ich małżeństwo. Będzie mu jej brakowało, musiał pogodzić się z tym faktem, ale przysiągł sobie, że nie wyruszy na jej poszukiwanie.

To było po prostu nieuczciwe; przez cały czas małżeństwa ani razu jej nie zdradził. Westchnął. Teraz będzie musiał zacząć wszystko od początku: spotkania, zaloty, namawianie, pochlebstwa. Będzie zapraszany na przyjęcia jako wolny mężczyzna. Będzie musiał posiadać umiejętność znoszenia odmownych odpowiedzi młodych kobiet, zapraszanych na kolacje. Nigdy nie było mu łatwo godzić się z odmową. Wszystko to było zbyt okropne, by się nad tym zastanawiać. Być może nakłoni swą sekretarkę, by zechciała pójść z nim na kolację w przyszłym tygodniu. Mówiła mu, że zerwała z narzeczonym.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać jakieś papiery, ale słowa migotały mu w oczach, a myśli wracały do Nikki. Od czego zaczął się rozkład jego małżeństwa? Co się stało? Jak Nikki go nazwała - bezwzględny draniem? Była zupełnie opanowana i skupiona; właśnie to tak bardzo nim wstrząsnęło. Zastanawiając się nad tym ponownie, doszedł do wniosku, że Nikki udawała tylko opanowanie i skupienie. Bezwzględny drań? Przekonywał sam siebie, że kobiety pod wpływem niepohamowanego gniewu zdolne są do absurdalnych stwierdzeń. To mu poprawiało samopoczucie.

2

Wschodnie Niemcy, styczeń 1978.

- Podaj mi lustro - poprosił Max Busby. Jego głos, niezamierzenie, brzmiał jak krakanie. Bernard Samson przyniósł lustro i ustawił je na stole w taki sposób, żeby Max mógł obejrzeć swoje ramię bez wykręcania go. - Teraz zdejmij opatrunek. Rękaw brudnej koszuli Maxa był rozerwany aż do ramienia. Bernard rozwinął

bandaż, a potem zdarł opatrunek, z ropą i zaschniętą krwią. Widok był szokujący. Bernard mimowolnie zasyczał, a Max dostrzegł na jego twarzy wyraz przerażenia.

- Nieźle - powiedział Bernard, usiłując ukryć swoje prawdziwe wrażenie.
- Widziałem gorsze - mruknął Busby, patrząc na ramię i starając się nie

okazać wzburzenia. Była to duża rana: głęboka, zaogniona, ropiejąca. Bernard zszył ją igłą krawiecką i żyłką rybacką, którą znalazł w podręcznym zestawie, ale jeden ze szwów rozerwał już miękkie ciało. Skóra wokół rany była zabarwiona na wszystkie kolory tęczy i tak nabrzmiała, że sam jej widok przyprawiał Maxa o jeszcze większy ból. Bernard ściągnął szwy, żeby rana nie otworzyła się ponownie. Ta strona bardzo brudnego opatrunku - starej chustki do nosa - która dotykała rany, była ciemnobrązowa i przesiąknięta krwią. Smugi zakrzepłej krwi pokrywały też całe ramię.

- Mogli mnie zranić w tę rękę, w której trzymam zwykle pistolet.

Max pochylił głowę, chcąc ujrzeć w lustrze swoją oświetloną przez lampę twarz. Znał się na ranach. Wiedział, że utrata krwi powoduje przyspieszone bicie serca, które usiłuje pompować do mózgu tlen i glukozę. Bładość twarzy była skutkiem zwężenia się naczyń krwionośnych, które pomagały sercu wykonywać jego zadanie. Serce pompowało coraz mocniej w miarę utraty plazmy i gęstnienia krwi. Max próbował zmierzyć swoje tętno. Nie udało mu się, ale wiedział, czego może się spodziewać: nieregularnego pulsu i obniżonej temperatury ciała. Wszystkie te objawy były sygnałami; niepomyślnymi sygnałami.

- Dorzuć do ognia, a potem zawiąż ją mocno skrawkiem ręcznika. Przed wyjściem owinę ją papierem. Nie chcę zostawić śladów w postaci plam krwi. - Zdobył się na uśmiech. - Damy im jeszcze godzinę. - Max Busby był wystraszony. Siedzieli w górskim szałasie, ale działo się to w zimie, a on nie był już młody.

Pracował kiedyś w nowojorskiej policji, przybył do Europy w roku 1944 jako porucznik armii amerykańskiej i nigdy już nie wrócił za Atlantyk, jeśli nie liczyć próby pojednania się z byłą żoną, która mieszkała w Chicago, i kilku wizyt u matki, w Atlantic City.

Bernard odstawił lustro i dorzucił do ognia, a kiedy Max wstał, pomógł mu włożyć płaszcz. Potem patrzył, jak Max ostrożnie siada z powrotem na krześle. Max był ciężko ranny. Bernard zastanawiał się, czy będą w stanie dojść do granicy.

Max odczytał jego myśli i uśmiechnął się. W tym brudnym płaszczu, wytartych dzinsach i poplamionej koszuli nie poznałaby go własna żona ani nawet

własna matka. Ale sposób, w jaki trzymał na kolanach swój wyświecony filcowy kapelusz, wyrażał jakąś desperacką chęć zachowania etykiety. Jego dokumenty stwierdzały, że jest robotnikiem kolejowym, ale były, podobnie jak wiele innych potrzebnych mu rzeczy, na stacji, do której dotarł już sowiecki patrol, by go aresztować.

Max Busby był niski i krępy, ale nie gruby. Miał rzadkie, czarne włosy i głęboko pooraną twarz. Oczy zaczerwienione ze zmęczenia, gęste brwi i sumiaste wąsy, które wydawały się przekrzywione, gdyż stale pociągał za jeden ich koniec.

Był starszy, mądrzejszy, ranny i chory, ale mimo to - a także mimo innego otoczenia i przebrania - nadal czuł się jak niedoświadczony policjant, patrolujący ciemne i niebezpieczne zaułki i uliczki Manhattanu. Wtedy, tak jak teraz, był człowiekiem niezależnym. Nie wszyscy przestępcy nosili czarne kapelusze. Niektórzy z nich objadali się kawiozem w towarzystwie komisarza policji. Tak samo było teraz: żadnej bieli, żadnej czerni, tylko różne odcienie szarości. Max Busby nienawidził komunizmu - nazywanego przez jego wyznawców „socjalizmem” - i wszystkiego, co się z nim łączyło. Nienawidził go z zapalczywością rzadko spotykaną nawet u ludzi, którzy go zwalczali, ale bynajmniej nie był prymitywnym zapaleńcem.

- Dwie godziny - zaproponował Bernard Samson. Bernard był duży i silny, miał kędzierzawe włosy i nosił okulary, wytartą skórzaną kurtkę, zapinaną na zamek błyskawiczny, i rozciągnięte sztruksowe spodnie. Jego pasek zdobila kolekcja metalowych komunistycznych odznak, mających upamiętnić różne partyjne uroczystości. Miał też obcisłą, spiczastą czapkę, której kształt kojarzył się od niepamiętnych czasów z nieszczęsnym Afrikakorps. Max, przyjrząwszy mu się, uznał, że słusznie wybrał właśnie to nakrycie głowy. W takiej czapce można spać albo walczyć, bez obawy, że sieją zgubi. Max raz jeszcze spojrzał na swego towarzysza: Bernard nadal trzymał się nieźle i był na tyle młody, by czekać. Nie wysiadały mu nerwy i nie zasychało w ustach. Może lepiej byłoby pozwolić mu iść samotnie. Ale czy poradziłby sobie bez niego? Max nie był tego bynajmniej pewien.

- Oni muszą iść przez Schwerin - przypomniał mu Bernard. - Mogą się spóźnić, jeśli zatrzyma ich jakiś lotny patrol.

Max kiwnął głową i zwilżył wargi. Utrata krwi nadwątlila jego siły; na samą myśl o tym, że ludzie wysłani na ich spotkanie mogą natknąć się na rosyjski patrol wojskowy, poczuł skurecz żołądka. Ich papiery mogły wprowadzić w błąd tylko policjantów dokonujących rutynowej kontroli przy świetle ręcznej latarki. Fałszywe

dokumenty rzadko są bardziej wiarygodne.

Wiedział, że Bernard nie dostrzegł jego kiwnięcia głową, gdyż niewielki pokój rozjaśniało tylko blade światło z cuchnącej lampy naftowej, której knot był maksymalnie przykręcony, i padający od pieca różowy blask, zabarwiający czubki ich butów, ale uznał, że *Qui tacet, consentire videtur*, milczenie oznacza zgodę. Max, jak niejeden nowojorski policjant, mozolnie studiował prawo na wieczorowych kursach. Nadal pamiętał kilka podstawowych zasad. Ale teraz większe znaczenie miał fakt, że wiedział, jak powinien postępować człowiek, który musi pokonać sto pięćdziesiąt kilometrów po oświetlonych przez księżyc obszarach Saksonii podczas ogłoszonego przez Rosjan alarmu, zwalniającego wszystkich żołnierzy od odpowiedzialności za zastrzelenie na miejscu każdego napotkanego nieznajomego.

Bernard stuknął w cylindryczny metalowy piec swoim ciężkim butem i był zaskoczony, kiedy drzwiczki otwały się i na palenisko spadło kilka rozżarzonych do czerwoności kawałków żużlu. Przeciąg podsycił płomień i pokój zalała na chwilę złota poświata. Dostrzegł zwitki pożółkłych gazet, wetknięte w szpary wokół drzwi, poobijaną emaliowaną umywalkę i ich plecaki, które postawili przy wejściu, na wypadek gdyby musieli w pośpiechu opuszczać tę kryjówkę. Zauważył też, że Max jest blady jak płótno i wygląda... po prostu wygląda tak, jak wyglądałby każdy stary człowiek, który stracił dużo krwi i powinien przebywać na oddziale intensywnej terapii, ale zamiast tego musi brnąć pieszo, w zimie, przez północną część Niemiec. Potem ogień przygasł i w pokoju znów zrobiło się ciemno.

- A więc dwie godziny? - spytał Bernard.

- Nie będę się spierał. - Max przeżuwał starannie ostatnią porcję żytniego chleba. Był doskonały, ale musiał gryźć go starannie i połykać kawałek po kawałku. W Meklemburgii uprawiają najlepsze żyto na świecie i robią z niego najlepszy chleb. Ale był to ostatni kawałek, a oni obaj byli głodni.

- To coś nowego - stwierdził pogodnie Bernard. Rzadko dochodziło między nimi do prawdziwych sporów. Max starał się, żeby jego młodszy kolega czuł, że ma wpływ na bieg wydarzeń. Szczególnie teraz.

- Nie chcę się narażać człowiekowi, który ma zostać szefem Sekcji Niemieckiej - mruknął Max i podkręcił koniec wąsa. Starał się nie myśleć o bólu.

- Tak sądzisz?

- Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, Bernard. Kto inny wchodzi w rachubę?

- Dicky Cruyer.
- Ach, więc o to chodzi - powiedział Max. - Ty naprawdę nie znosisz tego Dicky'ego, prawda? - Bernard zawsze dawał się złapać na taki haczyk, a Max lubił go drażnić.

- Mógłby dać sobie radę.
- Ależ on nie ma cienia szansy. Jest za młody i zbyt mało doświadczony. Ty jesteś następny w kolejce, a po tym wyczynie dostaniesz wszystko, o co poprosisz.

Bernard nie odpowiedział. Była to miła myśl. Miał trzydzieści kilka lat i pomimo swego wstrętu do biurowej pracy nie chciał skończyć tak jak biedny stary Max. Max nie był ani urzędnikiem, ani agentem operacyjnym. Był już zbyt stary, żeby brać udział w strzelaninie, wspinać się do cudzych okien i uciekać przed strażą graniczną, ale nic innego nie umiał robić. To znaczy, nie umiał robić nic, z czego mógłby wyżyć. Bernard próbował nakłonić swego ojca do załatwienia Maxowi posady w ośrodku szkoleniowym, ale wysiłki te zostały skwitowane niechętnymi żartami. Max narobił sobie sporo wrogów i to w nieodpowiednich miejscach. Ojciec Bernarda nigdy nie potrafił znaleźć z nim wspólnego języka. Biedny Max. Bernard ogromnie go podziwiał i widział jego wyczyny, do których nikt inny nie byłby zdolny. Ale Bóg

raczył wiedzieć, jak będą wyglądać jego ostatnie lata. Tak, na tym etapie kariery praca za biurkiem w Londynie byłaby cennym darem opatrności. Przez jakiś czas żaden z nich się nie odzywał. Bernard niósł wszystko przez kilka ostatnich kilometrów. Obaj byli wyczerpani i jak żołnierze pierwszej linii frontu nauczyli się nie tracić żadnej okazji do odpoczynku. Zapadli w kontrolowany półsen. To wszystko, na co mogli sobie pozwolić, dopóki nie wrócą na drugą stronę granicy i nie znajdą się poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

W jakieś pół godziny później obudził ich warkot helikoptera. Sądząc po hałasie, nie był to transportowiec, lecz śmigłowiec średnich rozmiarów, a pułap jego lotu nie przekraczał trzystu metrów. Wszystko to razem nie oznaczało nic dobrego.

Niemiecka Republika Demokratyczna nie była zbyt bogata i posługiwała się tymi kosztownymi i paliwochłonnymi maszynami jedynie w szczególnych wypadkach.

- Cholera! - zaklął Max. - Ci dranie szukają nas. - Choć w jego głosie czuło się podniecenie, mówił cicho, jakby załoga śmigłowca mogła go usłyszeć.

Obaj mężczyźni w milczeniu i bez ruchu siedzieli w ciemnym pokoju, uważnie nasłuchując. Trudno było wytrzymać towarzyszące im skupieniu napięcie. Helikopter nie poruszał się po linii prostej, a to był szczególnie zły znak; oznaczało to, że dotarł do strefy poszukiwań. Co chwila zmieniał kurs, jakby pilot chciał obejrzeć z bliska okoliczne wioski. Wypatrywał ruchu; jakiegokolwiek ruchu. Śnieg był głęboki. Za dnia nikt nie mógł się poruszać, nie zostawiając wyraźnego tropu.

W tej części świata każdy człowiek wychodzący z domu automatycznie stawał się podejrzany. Po zapadnięciu zmroku nie było dokąd się wybrać; okoliczni mieszkańcy byli prostymi ludźmi, chłopami. Nie jadali wymyślnych wieczornych posiłków, na które zapraszałyby się goście, i nie mieli pieniędzy na restauracje. Jeśli idzie o hotele, to jaki podróżny, dysponujący środkiem lokomocji, chciałby spędzić tu choćby jedną noc?

Odgłos helikoptera umilkł nagle, bo maszyna przelatowała po drugiej stronie zalesionych wzgórz, i na chwilę zapadła nocna cisza.

- Wynośmy się stąd - powiedział Max. Taki nagły wymarsz był niezgodny z ich wszystkimi dotychczasowymi planami, ale Max, w jeszcze większym stopniu niż Bernard, kierował się impulsem. Miewał swoje „przecucia”. Owinął ramię złożoną gazetą, na wypadek gdyby krew przesiąknęła przez ręcznik. Potem obwiązał rękaw płaszcz sznurkiem, a Bernard mocno zacisnął węzeł.

-Okay. - Bernard dawno już doszedł do wniosku, że Max - choć nie umiał znaleźć szczęścia rodzinnego ani zamienić swych umiejętności zawodowych w sukces - posiada niesamowity instynkt i potrafi wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo. Bez wahania, nie wstając z krzesła, pochylił się i podniósł z podłogi duży czajnik. Otworzył pogrzebaczem drzwi piecyka i zalał płonące palenisko wodą. Robił to bardzo ostrożnie i delikatnie, ale i tak wzbily się kłęby pary.

Max chciał go powstrzymać, ale uznał, że chłopak ma rację. Lepiej zrobić to teraz, kiedy z tego cholernego helikoptera nie widać komina. Kiedy ogień zgasł, Bernard wsypał do pieca trochę wygasłego popiołu. Wiedział, że nie przyda się to na wiele, jeśli ścigający ich ludzie dotrą do tego szałas. Zobaczą krew na podłodze, a poza tym całkowite ochłodzenie pieca wymagałoby wielu galonów wody. Chciał jednak, żeby wszystko wyglądało tak, jakby wyszli stąd już dawno; mogło ich to uratować, gdyby musieli ukryć się niedaleko stąd.

- Chodźmy. - Max wyjął swego sauera, model 38. Ten mały automatyczny pistolet pochodził jeszcze z epoki hitlerowskiej. Broń tego rodzaju przydzielano w tamtych czasach wyższym oficerom armii. Bernard kupił ten piękny okaz od znajomego przedstawiciela londyńskiego półświatka; grono jego podejrzanych przyjaciół było w tym mieście równie liczne jak w Berlinie.

Bernard patrzył, jak Max usiłuje cofnąć ruchomy zamek, by wprowadzić nabój do komory. Musiał przy tym przełożyć broń z jednej ręki do drugiej, a na jego twarzy pojawił się skurecz bólu. Był to niepokojący widok, ale Bernard nie powiedział

ani słowa. Potem Max przesunął rączkę bezpiecznika do pozycji, w której pistolet gotowy był do natychmiastowego użycia, ale można go było nosić bez narażania się na wypadek. Max wepchnął broń do górnej, zewnętrznej kieszeni kurtki.

- Czy masz rewolwer? - spytał.
- Zostawiliśmy go w domu. Twierdziłeś, że Siggi może go potrzebować. -

Bernard zarzucił sobie plecak na ramię. Był ciężki, bo mieścił ekwipunek przeznaczony dla dwóch osób. Oprócz żelaznego haka i nylonowej liny znajdowały się w nim potężne nożyce do przecinania metalowych zasieków.

- Rzeczywiście. Cholera. No dobrze, weź lornetkę. - Bernard zdjął ją z szyi Maxa, uważając, by nie urazić go w ramię. - Poraż ich wzrokiem, Bernard. Potrafisz to zrobić! - Zdobył się na krótki, ponury uśmiech.

Bernard bez słowa przełożył przez głowę i ramię pasek polowej lornetki. Był to oblewany gumą siedmiokrotnie powiększający zeiss - takiego sprzętu używała straż graniczna. Czuł, że pasek ugniata go w klatkę piersiową, ale nie wiedział, czy nie będzie musiał uciekać biegiem, więc nie chciał, by w takim wypadku lornetka, bujając się na pasku, uderzała go po twarzy.

Max zgasił naftową lampę. Wszystko tonęło w kompletnych ciemnościach, dopóki nie otworzył drzwi, wpuszczając odrobinę niebieskawego światła i bardzo zimnego powietrza. - Ruszamy!

Wyraźnie spodziewał się kłopotów, a Bernardowi ta perspektywa nie dodawała otuchy. Nigdy nie nauczył się stawiać czoła dramatycznym przejściom, na jakie narażała go od czasu do czasu jego praca, choć tacy jak Max weterani, nawet kiedy byli ranni, uważali je za chleb codzienny. Zastanawiał się czasem, czy ma to jakiś związek ze służbą w armii, z przeżytą wojną, czy może z jednym i drugim.

Drewniany szałas stał na odludziu. Gdyby znów zaczął sypać śnieg, pokryłby częściowo ich ślady, ale nie zanosilo się na to. Max wyszedł na dwór i wciągnął nosem powietrze, chcąc sprawdzić, czy dym z komina niesie się tak daleko, by zaalarmować pościg. No cóż, w każdym razie okazało się, że mieli rację, wybierając to odległe schronienie. Była to szopa, gdzie latem mieszkali pasterze, wyganiający krowy na położone wyżej pastwiska. Z tego wysokiego punktu widzieli dolinę, z której niedawno przyszli. Tu i ówdzie migotały w ciemności światelka drobnych osiedli. Mogli się tu dość bezpiecznie poruszać pod osłoną nocy, ale wiedzieli, że o świcie pusty teren stanie się ich wrogiem; będą cholernie rzucać się w oczy. Max przeklinał pecha, który od początku prześladował ich misję. O tej porze powinni już

być po drugiej stronie granicy i spać spokojnie po ciepłej kąpieli, dobrym posiłku i sporej ilości alkoholu.

Podniósł wzrok. Na wschodzie migotało kilka gwiazd, większa część nieba była ciemna. Gdyby zachmurzenie utrzymało się, nie dopuszczając słońca, byłiby w trochę lepszej sytuacji, ale pułap chmur nie był na tyle niski, by utrudnić zadanie helikopterom. Wiedział, że ten śmigłowiec wróci.

- Będziemy trzymali się wzniesień - powiedział. - Te ścieżki są zwykle dość wygodne. Znakują je i utrzymują w dobrym stanie z myślą o letnich turystach.

Ruszył szybkim krokiem, by pokazać Bernardowi, że jest silny i sprawny, ale po chwili zwolnił.

Bukowy las zasłaniał widok na dolinę na odcinku kilku kilometrów. Szli pod drzewami, w ciemności, czując się jak w długim

tunelu. Poszycie było wyschnięte, a pod ich stopami chrzęściły zmrożone poźółkłe paprocie. Gdy szlak prowadził w górę, śnieg twardniał. Ścieżkę osłaniały drzewa, więc szli dość szybko, korzystając z twardej nawierzchni. Po półtorej godziny weszli w strefę wiecznie zielonej roślinności i Max zarządził postój. Byli teraz nieco wyżej i w przecince między rzędami drzew widzieli zakręt kolejnej rozpościerającej się przed nimi doliny. Za nią, w prześwicie między wzgórzami, lśniło mgliście w świetle gwiazd jakieś jezioro. Na jego powierzchni unosiła się piana, jak w dobrym niemieckim piwie. Trudno było określić, w jakiej odległości się znajdują. W polu widzenia nie było żadnych domów, dróg ani linii elektrycznych, nanoszących na krajobraz coś w rodzaju podziałki. Drzewa nie ułatwiały im zadania; rosnące tu jodły miały najróżniejsze kształty i rozmiary.

- Pięć minut - powiedział Max. Osunął się na ziemię w sposób ujawniający jego prawdziwy stan i oparł plecami o korzenie drzewa. Obok niego stał karmnik dla jeleni, którym zapewniano tu opiekę w trosce o interes myśliwych. Max przechylił głowę na bok i wsparł ją o obudowę karmnika. Jego twarz błyszczała z wyczerpania, a on sam wydawał się ledwo żywy. Krew przesączyła się już przez gazetę i na rękawie grubej kurtki pojawiła się ciemna plama. Ale lepiej było iść dalej, niż podejmować próbę opatrzenia go na miejscu.

Bernard wyjął lornetkę z pokrowca, zsunął ochronne nasadki z okularów i zaczął dokładniej obserwować jezioro. Unosząca się nad wodą mgiełka stwarzała pozory, że woda wrze i zmiękczała kontury brzegu.

- Jak twoje stopy? - spytał Max.
- W porządku.
- Mam parę zapasowych skarpetek.
- Przestań traktować mnie jak niańka, Max.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy?
- Owszem, jesteśmy w Niemczech - odparł, nadal patrząc przez lornetkę.
- Czy jesteś pewien?
- Przecież to jest nasze jezioro, Max - zapewnił go Bernard. - Mysie Jezioro.
- Albo Liniejące Jezioro - podpowiedział tamten.
- Albo nawet Zdradliwe Jezioro - kontynuował Bernard, podsuwając trzeci

możliwy przekład nazwy.

Max był zły, że podjął próbę wprowadzenia lekkiego tonu.

- Coś w tym rodzaju - mruknął. Postanowił przestać trak-

tować Bernarda jak dziecko. Nie było to łatwe: znał go od bardzo dawna i trudno mu było zapamiętać, że jest już dorosłym mężczyzną, który ma żonę i dzieci. I to jaką żonę! Fiona Samson była jedną z wschodzących gwiazd Departamentu. Co bardziej skłonni do szukania sensacji pracownicy twierdzili, że może jako pierwsza kobieta w dziejach zająć kiedyś gabinet Dyrektora Generalnego. Max uważał tę wizję za mało prawdopodobną. Wyższe stanowiska w Departamencie były zarezerwowane dla pewnego określonego rodzaju Anglików, którzy - jak się okazywało - byli kiedyś kolegami szkolnymi.

Max Busby często się zastanawiał, dlaczego Fiona wyszła za Bernarda. Nie był idealnym kandydatem na męża. Gdyby nawet otrzymał kiedyś funkcję szefa Sekcji Niemieckiej, zawdzięczałby to w znacznym stopniu wpływom swego ojca i nie miałby szans na następny awans. Jako szef Sekcji Niemieckiej podlegałby Bretowi Rensselaerowi, który potrzebował na tym stanowisku posłusznego figuranta. Max nie był pewien, czy Bernard dostosowałby się do roli potakiwacza.

Wziął podaną mu przez Bernarda lornetkę, by dokładniej obejrzeć jezioro. Trzymając ją w jednym ręku, musiał opierać się o drzewo. Samo podniesienie ramienia przyprawiło go o dreszcze. Zastanawiał się, czy ma zakażenie krwi. Widział już rany, przy których proces zakażenia następował bardzo szybko, ale teraz odsunął tę myśl i skoncentrował się na tym, co widzi. Tak, to było Mausee See; dokładnie tak zapamiętał je na podstawie mapy. Mapy zawsze były dla niego fetyszem; potrafił przyglądać im się godzinami, tak jak inni ludzie czytali książki. Nie były to jedynie mapy znanych mu miejsc, miejsc, w których kiedyś był lub które miał szansę odwiedzić, lecz mapy wszelkiego rodzaju. Kiedy dostał od kogoś „Atlas Księżyca”, wziął go ze sobą na wakacje i była to jego jedyna lektura.

- Musimy przejść wzdłuż południowego brzegu - powiedział Bernard - i to niezbyt blisko wody, bo inaczej wylądujemy w dacy któregoś z członków Komitetu Centralnego.

- Może najlepsza byłaby łódka - zastanawiał się Max, oddając mu lornetkę.
- Podejźmy bliżej - zaproponował Bernard, któremu nie podobał się pomysł wykorzystania łódki; z każdego punktu widzenia zbyt ryzykowny. Bernard nie był wprawnym wioślarzem, a Max z pewnością nie mógłby mu pomóc. Poza tym w zimie zauważono by od razu brak zacumowanej łódki i nawet gdyby powierzchnia wody była idealnie gładka - co nie wchodziło w rachubę - nie miał ochoty wystawiać się na widok. Pomysł był typowy dla Maxa, który lubił takie brawurowe metody i potwierdził w przeszłości ich słusność. Ale Bernard miał nadzieję, że zanim pokonają dzielący ich od jeziora dystans, ta koncepcja wywietrzeje Maxowi z głowy. Czekał ich długi marsz. Teren wydawał się trudny i niebawem miało świtać.

Bernard chciał powiedzieć coś na temat dwóch mężczyzn, z którymi mieli spotkać się ubiegłego popołudnia, ale zachował milczenie. Nie było o czym mówić: po prostu wpadli. Max i Bernard szczęśliwie uszli cało. Teraz jedyną ważną sprawą był pomyślny powrót. Jeśli im się nie uda, cała operacja „Reisezug” okaże się stratą czasu; trzy miesiące planowania, ryzyka i ciężkiej pracy pójdą na marne. Wiedział, że jego ojciec, który kieruje tą operacją, będzie załamany. A zatem reputacja jego ojca zależała do pewnego stopnia od niego.

Bernard wstał i strzepnął ziemię ze spodni. Gleba była tu piaszczysta i miała dziwny, stęchły zapach.

- Śmierdzi, co? - spytał Max, czytając najwyraźniej w jego myślach. - Równina północnoniemiecka. Cholernie górzysta jak na równinę.
- Kiedy byłem w szkole, nazywano ją równiną niemiecko-polską - odparł Bernard.
- No tak... Polska leży teraz znacznie bliżej niż za czasów, w których uczyłem się geografii. - Max zaśmiał się ze swojego żartu. - Moja żona Heima urodziła się niedaleko stąd. To znaczy była żona. Gdy tylko dostała amerykański paszport, wyjechała do Chicago, do swojej kuzynki.

Bernard pomógł Maxowi wstać i w tym momencie dostrzegł jakieś zwierzę. Leżało wyciągnięte na całą długość na skrawku odkrytej ziemi, tuż za drzewem, o które opierał się Max. Jego futro było upstrzone plamkami zamrożonego błota.

Bernard przyjrzał mu się dokładniej. Był to dorosły zając, którego łapa tkwiła w prymitywnym, drucianym potrzasku. Biedne zwierzę zdechło w mękach, nadgryzając uwięzioną kończynę aż do kości, ale najwyraźniej brakowało mu energii lub zdecydowania, gdyż nie odgryzło jej całkowicie.

Max podszedł, żeby na nie spojrzeć. Obaj milczeli. Maxowi wydało się to złą wróżbą, a on zawsze wierzył w różne znaki. Nadal milcząc ruszyli naprzód. Byli już zmęczeni i pięciominutowy odpoczynek, który przyniósł wytchnienie płucom, usztywnił mięśnie. Maxowi trudno było utrzymać rękę w górze, ale kiedy ją opuszczał, pulsowała boleśnie i silniej krwawiła.

- Dlaczego on nie wrócił? - spytał Max, kiedy ścieżka poszerzyła się na tyle, że Bernard mógł iść obok niego.

- Kto?

- Ten kłusownik. Dlaczego nie wrócił, by obejrzeć swoje pułapki?

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy już w *Sperrzone*? Nie było płotu ani żadnych znaków.

- Miejscowi wiedzą, gdzie ona się zaczyna - powiedział Max. - A obcy bez sensu brną dalej. - Rozpiął kurtkę i dotknął pistoletu. Zrobił to bez racjonalnego powodu; chciał jedynie dać Bernardowi do poznania, że nie po to doszedł aż tak daleko, by oddać się w ręce pierwszej osoby, która ich zatrzyma. Max już dwukrotnie wykaraskał się z trudnej sytuacji za pomocą pistoletu. Niektórzy twierdzili, że te dwie niezwykle szczęśliwe ucieczki wyrobiły w nim błędne pojęcie na temat tego, co może zrobić człowiek zagrożony aresztowaniem. Max uważał natomiast, że Brytyjczycy, z którymi pracował, zbyt chętnie pozwalali swym ludziom podnosić ręce do góry.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę, by ponownie spojrzeć na jezioro. Mogliby znacznie łatwiej i szybciej przejść dolinę, rezygnując z wspinania się po tej stromej ścieżce. Ale napotkaliby tam wsie, gospodarstwa i szczekające psy. Na ścieżkach górskich tego rodzaju niebezpieczeństwa mniej im zagrażały, ale północny stok był oblodzony; oznaczało to konieczność zwolnienia tempa marszu, na co nie mieli czasu.

Następne wzgórze było wyższe; potem ścieżka schodziła w dół, by przekroczyć dolinę Besen. Być może lepiej byłoby przebyć ją w innym miejscu. Jeśli zaalarmowano miejscową policję, z pewnością ustawiła ona posterunek na kamiennym mostku, na którym ścieżka krzyżowała się z drogą prowadzącą przez dolinę. Spojrzał na szczyt wzgórza, które wznosiło się po drugiej stronie rzeki. Nigdy

do niego nie dotrą. Tubylcy nazywali te wzniesienia „górami”: tak zawsze robią mieszkańcy okolic, w których nie ma prawdziwych gór. Zaczynał ich rozumieć. W trakcie wspinaczki te wzniesienia stawały się górami. Wszystko było względne; on sam czuł, w miarę przybywających mu lat, że świat robi się coraz bardziej górzysty.

- Spróbujemy przejść Besen w szerszym miejscu, obok tych kamieni - powiedział Max;

Bernard mruknął coś bez entuzjazmu. Gdyby mieli więcej czasu, Max poddałby swój projekt czemuś w rodzaju dyskusji. Chciał, aby Bernard czuł, że też ma wpływ na decyzje, ale teraz nie było czasu na takie subtelności.

Schodząc z trudem po zmarzniętym poszyciu i pojedynczych kamieniach, obaj tracili co jakiś czas równowagę. Raz Max pośliznął się tak niespodziewanie, że niemal upadł. Próbując się zatrzymać, nadwreżył ramię i zaskowyczał cicho pod wpływem gwałtownego bólu. Bernard pomógł mu wstać. Max milczał. Nie powiedział nawet: dziękuję. Starał się oszczędzać energię.

Max starannie wybrał miejsce. Całą wschodnią stronę Muru zajmował szeroki pas terenu zamkniętego przez komunistów. Aby zbliżyć się do Muru na odległość pięciu kilometrów, trzeba było mieć przepustkę. Ten *Sperrzone*, zamknięty rejon przygraniczny, strzeżony i nieustannie patrolowany, ogołocony został z drzew i roślin, za którymi mógłby się ukryć człowiek dorosły lub dziecko. Prace rolnicze dozwolone były w *Sperrzone* tylko za dnia i odbywały się pod nieustanną obserwacją strażników ulokowanych na wieżach. Pomysłowi projektanci nadali tym strażnikom różne kształty i wysokości, najniższe były „bunkry obserwacyjne”, najwyższe zaś - modernistyczne betonowe konstrukcje, bliźniaczo podobne do kontrolnych wież lotniczych.

Ale w *Sperrzone* tego odcinka granicy, który w kodzie NATO nosił nazwę „skrawek”, szczęśliwym lub nieszczęśliwym dla NRD zrzędzeniem losu znajdowało się jezioro. Właśnie obecność tego jeziora w pobliżu intensywnie remontowanego odcinka Muru zwróciła uwagę Maxa Busby podczas narady w tak zwanym Pokoju Tajemnic.

Dla władz NRD był to trudny odcinek. Przepływające tędy wody Łaby i małej rzeczki Besen oraz obecność jeziora nadawały płaskiemu terenowi charakter bagnisty. Choćby nie wiadomo jak starannie izolowano jego fundamenty, Mur zawsze był tu podmywany. Obecnie remontowano w kilku miejscach długi, trzykilometrowy odcinek. Niebezpieczeństwo musiało być poważne, inaczej zaczęłoby się z tym do lata.

Przebycie *Sperrzone* było tylko pierwszym krokiem. Samą granicę wyznaczał wysoki płot, zbyt kruchy, by można się na niego wspiąć, ale wyposażony w urządzenia alarmowe, rakiety i samoczynne karabiny maszynowe. Za nim zaczynał się *Schutzstreifen*, szeroki na jakieś pięćset metrów pas bezpieczeństwa, po którym biegały na *Hundelaufleine*, wybiegach rozsianych między polami minowymi, specjalnie szkolone psy. Potem zaczynały się betonowe rowy i ośmiometrowe pasmo gęstego drutu kolczastego oraz różne urządzenia, inne w każdym sektorze, dla zaskoczenia ewentualnych gości.

Nie wiadomo było jeszcze, do jakiego stopnia ten dziwny tor przeszkód został oczyszczony na użytek ekip remontowych. Należało też pamiętać o helikopterze. W całym regionie wojskowym został już niewątpliwie ogłoszony alarm. Nietrudno było zgadnąć, dokąd skierują się uciekinierzy.

Kiedy dotarli do jeziora, czekały tam na nich zupełnie niespodziewane przeszkody. Przemokli do kolan, brnąc przez powolny nurt rzeki Besen. Musieli teraz wejść do jeziora i obejść czerwone boje, które mogły, zdaniem Maxa, sygnalizować podwodne zasadzki, a to wymagało przemoknięcia do pasa. O ile jednak poprzednio szybki marsz rychło przywrócił sprawność zdrętwiałych mięśni nóg, o tyle lodowata woda jeziora, w której do pasa zanurzył się Max, pozbawiła go w pewnym stopniu dotychczasowej determinacji. Bolało go ramię, bolały go wnętrzności, a arktyczna woda zdawała się przenikać do wnętrza żołądka jak zimna stal. Zaczął sypać śnieg; początkowo były to pojedyncze płatki, spadające nie wiadomo skąd, później jednak pojawił się gęsty śnieg.

- Co za piękny widok! - zauważył Bernard, a Max mruknięciem przyznał mu rację.

Wschodnią stronę nieba rozjaśniała już niewyraźna poświata, kiedy zaczęli się przedzierać przez pierwszy płot z drutu kolczastego.

- Jazda! - przynaglił Max, szczękając zębami. - Nie ma teraz czasu na wszystkie sztuczki, których nauczono cię na kursach. Do diabła z alarmami, po prostu tnij!

Bernard szybko i sprawnie posługiwał się wielkimi nożycami. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli przez pewien czas, był odgłos przecinanych drutów. Później do ich uszu dotarło szczekanie psów.

Frank Harrington, berliński Rezydent SIS, nie czekałby w normalnych warunkach tuż za granicą RFN na dwóch agentów przedzierających się przez Mur, ale ta operacja miała szczególne znaczenie. Poza tym przyrzekł ojcu Bernarda, że będzie się opiekował jego synem, i traktował tę obietnicę bardzo poważnie.

Siedział w małym pokoju, ukrytym pod czterometrową warstwą betonu i oświetlonym niebieskawymi jarzeniówkami, ale jego dyżur nie był zbyt uciążliwy. Choć w tego rodzaju wysuniętych punktach dowodzenia panowały na ogół dość spartańskie warunki - zgodnie z doktryną wojenną NATO armie Układu Warszawskiego przetoczą się przez te umocnienia graniczne już w pierwszych godzinach ewentualnej wojny - bunkier był ciepły i suchy, a on siedział wygodnie, trzymając w dłoni szklaneczkę zupełnie niezłej whisky.

Pomieszczenie to było gabinetem głównodowodzącego oficera, a w każdym razie miało pełnić taką funkcję w wypadku rozpoczęcia działań bojowych. Oprócz Franka był tam między innymi młody, korpulentny oficer Bundesgrenzschutz - specjalnych sił zachodnio-niemieckiej policji, strzegących lotnisk, ambasad i granic - oraz starszawy Anglik w dziwnym mundurze, przypominającym uniformy marynarzy: takie stroje nosili funkcjonariusze Brytyjskich Służb Granicznych, przewodnicy brytyjskich patroli wojskowych, pełniących służbę na lądzie, w powietrzu i na wodach rzek. Niemiec opierał się o grzejnik, Anglik siedział na krawędzi biurka.

- Jak daleko do wschodu słońca? - spytał Frank. Pod beżowym lekkim

płaszczem miał brązowe tweedowe ubranie, koszulę koloru khaki i żółto-beżowy krawat. Na pierwszy rzut oka strój ten przypominał mundur brytyjskiego oficera.

- Godzina i osiem minut - odparł Anglik, zerknąwszy na zegarek. Nie ufał dużym zegarom, nawet zsynchronizowanym, i stale sprawdzanym chronometrom, w jakie wyposażony był bunkier.

W kącie pokoju siedział na krześle czwarty mężczyzna - Bret Renss ilaer. Miał na sobie elegancki wełniany garnitur i ciemny, wytworny płaszcz. Przyjechał z Londynu jako obserwator i traktował tę funkcję bardzo poważnie. Spojrzał na swój zegarek. Starannie zakodował poprzednio w pamięci czas wschodu słońca i zastanawiał się, dlaczego Frank nie zadał sobie trudu, by zrobić to samo.

Ci dwaj ludzie współpracowali z sobą już od dawna i ich wzajemne stosunki były wyraźnie określone. Frank Harrington uważał patrycjuszowski sposób bycia Breta i jego wyniosłość charakterystyczną dla mieszkańców Wschodniego Wybrzeża Ameryki za typową manierę wyższych funkcjonariuszy CIA, których spotykał w Waszyngtonie. Bret widział we Franku sympatycznego, ale niezbyt sprawnego urzędnika, przedstawiciela rzeszy wywodzących się ze wsi aparatczyków, na których od zarania Imperium opierała się brytyjska administracja państwowa. Obydwaj byliby skłonni zaakceptować - choć ze stosownymi poprawkami - powyższe opinie o sobie, toteż bez trudu dopracowali się pewnego *modus vivendi*.

- Niemcy mieszkający w strefie nadgranicznej dostają specjalne przepustki i mogą przechodzić na drugą stronę dziewięć razy w roku, by odwiedzić krewnych i przyjaciół - wyjaśnił Frank, który uznał, że dobre maniery nakazują wciągnąć Breta do rozmowy. - Jeden z nich wrócił z takich odwiedzin wczoraj wieczorem - nie wolno im zostawać tam na noc - i powiedział, że wszystko wygląda normalnie; prace przy naprawie Muru, i tak dalej...

Bret kiwnął głową. W zapadłej nagle ciszy szum klimatyzacji wydawał się nienaturalnie głośny.

- Wybraliśmy dobry punkt - dodał Frank.
- Nie ma dobrych punktów - wtrącił głośno oficer Bundesgrenzschutz.

Frank, patrząc na jego pokrytą bliznami twarz i wielki brzuch, pomyślał, że wygląda na prostaka. Być może, funkcjonariusze specjalnych oddziałów policji musieli być właśnie tacy. Niemiec, nie doczekawszy się reakcji żadnego z nie znanych mu cudzoziemców, wysączył resztkę swej whisky, otarł usta, czknął, kiwnął im na pożegnanie głową i wyszedł z pokoju.

W sąsiednim pomieszczeniu zadzwonił telefon i wszyscy zaczęli nadłuchiwać. Telefonista mruknął coś niewyraźnie, odłożył słuchawkę i zawołał głośno: - Po drugiej stronie szczekają psy i coś się dzieje!

Bret spojrział na Franka. Frank zamrugał gwałtownie, ale nie poruszył się.

Angielski przewodnik pospiesznie dopił resztkę swej whisky i zsunął się z blatu biurka.

- Chyba lepiej już pójde - powiedział. - Mogę tam być potrzebny. O ile wiem, dwaj wasi wolni strzelcy mają przejść na drugą stronę, żeby im pomóc.

- Być może - odparł Frank.

- To nic nie da - stwierdził Anglik. - W gruncie rzeczy oznacza to naruszenie ich terytorium.

Frank spojrział na niego, ale nie odpowiedział. Nie lubił, kiedy obcy nazywali jego ludzi wolnymi strzelcami. Przewodnik, zapominając, że jego szklaneczka jest już pusta, próbował wypić z niej jeszcze jeden łyk. Potem odstawił ją na biurko, na którym poprzednio siedział, i wyszedł.

- Jeśli młody Samson wykona to zadanie, zamierzam zarekomendować go na stanowisko szefa Sekcji Niemieckiej - powiedział Bret, kiedy zostali sami. Siedział wygodnie w fotelu, opierając łokcie na poręczach. Miał złożone dłonie i przypominał profesora, który udziela reprimendy niesfornemu studentowi.

- Owszem, mówiłeś mi o tym.

- Czy on sobie z tym poradzi, Frank? - Bret wyraźnie sformułował pytanie, ale nadał mu takie brzmienie, jakby egzaminował Franka, a nie zwracał się do niego z prośbą o pomoc w podjęciu trudnej decyzji.

- Bernard nie jest głupi.

- Tylko uparty. Czy to chciałeś powiedzieć?

- Jesteś pewien, że nie chcesz drinka? - Frank podniósł butelkę whisky, która stała na podłodze obok jego krzesła. Bret kupił ją w wolnocłowym sklepie na londyńskim lotnisku, ale nie wypił ani kropli.

Bret potrząsnął głową.

- A co z jego żoną? - spytał tonem, który był równocześnie poważny i żartobliwy. - Czy pani Samson będzie pierwszym Dyrektorem Generalnym płci żeńskiej?

- Zbyt uporczywie trwa przy swoich poglądach, jak wszystkie kobiety. Nie

jest na tyle giętka, by robić to, co robi Stary, prawda?

- Nawet ołowiana rura jest giętka - stwierdził Bret.
- Chciałem powiedzieć: sprężysta.
- Jedynym słowem, jakie przychodzi mi na myśl, kiedy chcę podkreślić

zdolność odzyskiwania poprzedniej formy i poprzedniego kształtu, jest słowo: elastyczny - powiedział Bret.

- Czy tego przede wszystkim należy wymagać od kandydatów na stanowisko D-G? - spytał chłodno Frank. W czasie wojny Sir Henry Clevemore był jego kolegą na kursie szkoleniowym i pozostał do tej pory bliskim przyjacielem. Nie miał wielkiej ochoty rozmawiać z Bre-tem o jego ewentualnych następcach.

- Tego przede wszystkim należy wymagać od kandydatów na wiele stanowisk - stwierdził Bret tonem człowieka, który chce zmienić temat rozmowy. A potem dodał: - Zbyt wielu ludzi z naszej branży ulega trwałemu okaleczeniu.

- Masz na myśli agentów operacyjnych?
- Ci, którzy ich wysyłają, są czasem jeszcze bardziej zagrożeni.
- I tego właśnie się obawiasz w przypadku Bernarda Samsona? Że

nadmierna dawka przemocy może pozostawić na nim trwałe piętno? Czy dlatego mnie o niego pytałeś?

- Nie, wcale nie.
- Bernard mógłby odwalić w Londynie kawał dobrej roboty. Daj mu szansę,

Bret. Ja cię poprę.

- Może poproszę cię kiedyś o dotrzymanie tej obietnicy, Frank.
- Wolni strzelcy! - powiedział Frank. - Co za bezczelny facet. Mówił o

moim zespole przechwytyjącym.

- Zapalili reflektory! - zawołał z sąsiedniego pokoju telefonista.
- Powiedz im, żeby włączyli to duże urządzenie zakłócające pracę radaru - rozkazał Frank. - Nie życzę sobie żadnych dyskusji: włączyć Piranię!

Wojskowi nienawidzili tego urządzenia, gdyż zakłócało ono działalność radaru po obu stronach granicy.

- Natychmiast! - dodał Frank.

Pierwszy reflektor zapalił się z sykiem i trzaskiem; snop jego światła zaczął przeczesywać leżący przed nimi pas starannie wygładzonej ziemi. Teraz Max i Bernard nie mogli już mieć nadziei, że uda im się niepostrzeżenie przekroczyć

granicę.

Bernard upadł na ziemię, ale Max, twardy weteran, biegł nadal w kierunku ciemności graniczącej z jasnym snopem światła, wiedząc, że ten obszar jest najmniej widoczny dla strażników.

Dyżurujący na wieży funkcjonariusze straży granicznej byli zaskoczeni. Obaj byli młodymi poborowymi, przysłanymi tu z głębi kraju i wyznaczonymi do tej specjalnej służby w nagrodę za działalność w Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej. Wiedzieli, że ogłoszono alarm, a nawet dwa. Ich sierżant przeczytał im na głos tekst z dalekopisu, aby upewnić się, że dobrze go zrozumieją. Ale takie alarmy były chlebem powszednim. Żaden z funkcjonariuszy Grepo nie traktował ich poważnie. Od przybycia obu młodych ludzi, co miało miejsce pół roku wcześniej, dziewięciokrotnie ogłaszano stan pogotowia i za każdym razem okazywało się, że druty zostały potrącone przez króliki lub ptaki. Nikt w tych czasach nie próbował przedostać się na drugą stronę; byłoby to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Tom Cutts i „Gabby” Green - członkowie zespołu przechwytyjącego Franka Harringtona - podeszli tymczasem do zachodniej strony Muru. Obaj byli specjalistami nie podlegającymi bezpośrednio Harringtonowi. Choć mieli już po trzydzieści kilka lat, z ich dokumentów wynikało, że są podoficerami wojsk łączności. Towarzyszył im prawdziwy żołnierz, sierżant Powełł, technik obsługi radaru. Jego zadaniem była troska o ich sprzęt, choć jak sam im szczerze powiedział, było mało prawdopodobne, aby w razie awarii udało mu się coś naprawić w wąskim okopie. Musiałby wrócić do warsztatu, a później zapewne odesłać urządzenie producentowi.

Wszyscy trzej „wolni strzelcy” przebywali w rowie już od dłuższego czasu. Mieli pomalowane na ciemno twarze, polowe kombinezony maskujące i naciągnięte na uszy brązowe wełniane czapki. Hełmy były zbyt ciężkie, a kiedy spadały na ziemię, hałaśliwe. Byli, o dziwo, bezpieczniejsi w mundurach niż w cywilnych ubraniach. Funkcjonariusze Grepo nie strzelali pochopnie, gdyż żołnierze po obu stronach Muru byli niemal identycznie umundurowani.

Nieczęsto wymieniali między sobą uwagi; w nocy każdy dźwięk niósł się bardzo daleko, a oni pracowali razem nie po raz pierwszy i wiedzieli, co mają robić. Poprzedniego wieczora, tuż po zapadnięciu zmroku, wysunęli ku przodowi małe urządzenie radarowe i ustawili antenę we właściwym położeniu. Przez całą noc mieli włączoną aparaturę i śledzili ruchy strażników oraz pojazdów. Obaj ludzie Franka mieli na głowach zestawy słuchawek, a Gabby nie odejmował oka od okularu

teleskopu.

- Tak - powiedział nagle, przyciskając do ust gumową obudowę mikrofonu. - Jeden! Nie... dwaj ludzie. Jeden biegnie... drugi leży na ziemi. Jezu!

W tym momencie zapłonął reflektor, który jednak w żaden sposób nie ułatwił obserwatorom ich zadania.

- Teraz włączyli światła podczerwone. Mój Boże, zaczynają podchodzić do sprawy poważnie - spokojnie stwierdził Gabby. - Czy możemy im trochę utrudnić pracę? - Tom nastawił już urządzenie zakłócające na odpowiednią długość fal, ale jego aparatura miała małą moc i mogła oddziaływać jedynie na zestawy radarowe o niewielkim zasięgu.

- Będę musiał podejść do przodu. Stąd nic nie widzę - dodał Gabby.

Tom nie odezwał się. Obaj mieli nadzieję, że nie będą musieli wkraczać na terytorium NRD. W ciągu ostatniego roku kilkakrotnie z trudem uszli z życiem, a dwaj ich koledzy, odpowiedzialni za sąsiadujący od północy z ich odcinkiem fragment Muru, niedawno zginęli. Jeden z nich nadepnął na minę, którą „przypadkiem” pozostawiła na zachodniej stronie Muru enerdowska ekipa remontowa.

Tom Cutts przekonałby się, że jego obawy są słuszne, gdyby miał okazję zajrzeć do wnętrza wyposażonego w sprzęt elektroniczny rosyjskiego pojazdu wspomagającego działania operacyjne, zaparkowanego poza zasięgiem ich wzroku, obok klatek dla psów. Siedzący w jego ciemnym wnętrzu starszy oficer KGB Erich Stinnes z trudem mieścił się między zgromadzonymi w nim urządzeniami. Miał napiętą twarzą w szklach jego okularów odbijał się ekran radaru bojowego, znacznie doskonalszego niż przenośny aparat, którym dysponowali „wolni strzelcy”.

- Jeden z nich posuwa się naprzód - oznajmił Stinnesowi obsługujący urządzenie rosyjski żołnierz. Punktik sygnalizujący położenie Gabby'ego załśnił nieco silniej, gdy Gabby wygrzebał się z okopu i wystawił na działanie radaru większą powierzchnię swego ciała.

Pojazd wyposażony był w urządzenia, które pozwalały na wiele sposobów śledzić sytuację panującą w sektorze. Rejestrator termiczny, reagujący na temperaturę ludzkiego ciała, nanosił na ekran białe punkty, a teraz po włączeniu promieni podczerwonych specjalne aparaty dokonywały co pięć sekund zdjęć fotograficznych. Chodziło o to, aby w przypadku dochodzenia nikt nie był w stanie dowieść winy NRD.

- Niech się posuwa - powiedział Stinnes. - Może ten drugi pójdzie za nim.

Wtedy złapiemy obu.

- Ale jeśli będziemy zwlekać zbyt długo, ci dwaj szpiedzy uciekną - wtrącił przydzielony Stinnesowi do pomocy oficer Grepo.

- Nie bójcie się, złapiemy wszystkich. Szedłem ich tropem już od dawna. Nie wypuszczę ich teraz z rąk. - Podkomendni Stinnesa nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo zarządzenia i przepisy ograniczają swobodę poczynań. On jednak, nie łamiąc żadnych zarządzeń, przeprowadził całą operację w sposób wzorowy. Dwaj agenci aresztowani w Schwerinie ujawnili szczegóły dotyczące miejsca spotkania dopiero po dwóch godzinach przesłuchania. Co więcej, metody, za pomocą których nakłoniono ich do „wyznania winy”, były według norm KGB zaledwie umiarkowanie drastyczne. Odnaleziono dwóch „Anglików” w drewnianej chatce i śledzono ich przez całą drogę, aż do granicy. Jeśli pominąć to, że jakiś skretyniały funkcjonariusz kontroli ruchu powietrznego skierował śmigłowiec na niewłaściwy tor, była to naprawdę wzorcowa operacja.

- Drugi facet wysuwa się do przodu - oznajmił operator.
- Wspaniale! - ucieszył się Stinnes. - Kiedy dotrze do drutów, możecie strzelać.

Wiedząc, gdzie leży nie załatana jeszcze szczelina w Murze, mogli dokładnie zaplanować pola ognia. Wszystko było jak na strzelnicy: czterej mężczyźni schwytni w pułapkę, którą tworzył Mur, druty kolczaste i materiały budowlane.

W pewnym momencie Gabby strzelił i zgasił reflektor. Bernard twierdził później, że zrobił to Max, ale tylko dlatego, że sam chciał w to wierzyć. Śmierć Maxa zmartwiła go bardziej niż prawie wszystkie dotychczasowe straty. A poza tym nigdy oczywiście nie pozbył się poczucia winy, które odczuwał jako jedyny pozostały przy życiu uczestnik operacji.

Widział śmierć całej trójki. Maxa, Tommy’ego i Gabby’ego. Zostali rozerwani na strzępy przez pociski z ciężkiego karabinu maszynowego; był to stary ale niezawodny diegtarijew, kaliber 12,7 mm. Jego terkot wydawał się w nocnej ciszy ogłuszający. Słysząc go było w promieniu wielu kilometrów. Miała to być nauczka dla Anglików.

- Gdzie jest ten czwarty? - spytał Stinnes, nadal obserwując ekran radaru.

- Potknął się i upadł. Cholera! Cholera! Cholera! Włączyli duże urządzenie zakłócające! - Obaj patrzyli na ekran, na którym elektroniczny szum przybrał postać skłębionych kólek, odrywających się od dna. Efekty urządzenia zakłócającego przypominały burzę śnieżną.

- Gdzie on jest? - Stinnes uderzył dłonią w bezużyteczny ekran radaru i wrzasnął: - Gdzie on jest?!

Obecni w pojeździe podkomendni zerwali się na nogi i zastygli nieruchomo w postawie „na baczność”. Nauczono ich, że tak właśnie postępuje dobry radziecki żołnierz, kiedy wyższy oficer podnosi na niego głos.

I wtedy właśnie Bernard Samson wtopił się w szum radaru i uszedł bez szwanku, biegnąc tak szybko jak nigdy dotąd, dopóki nie wpadł w ramiona sierżanta Powella.

- Jasna cholera! - powiedział Powell. - Skąd się wzięłeś, chłopie? - Przez krótką chwilę był przekonany, że ujął jeńca. Kiedy zdał sobie sprawę, że jest to jedynie uciekinier ze Wschodu, był zawiedziony. - Mówili, że będzie was dwóch. Gdzie jest ten drugi?

3

Cambridgeshire, Anglia, luty 1978.

Sir Henry Clevemore nie był człowiekiem słynącym z gościnności - i nie bez powodu. Jako Dyrektor Generalny Tajnej Służby Wywiadowczej (SIS) starannie dobierał ludzi, z którymi się spotykał, i miejsca, w których dochodziło do takich spotkań. Rzadko takim miejscem bywał jego dom, wspaniała stara rezydencja z drewna i kamienia, której znaczna część pochodziła z szesnastego wieku. Tak czy owak Lady Clevemore nie lubiła przyjmować gości. Jeśli jej mąż chciał się z kimś widywać, mógł robić to w swoim Cavalry Club na Piccadilly. Było to miejsce pod każdym względem bardziej odpowiednie.

Bret Rensselaer, jeden z wyższych funkcjonariuszy Departamentu, czuł się więc zaszczycony, kiedy otrzymał pewnego dnia zaproszenie na kolację do prywatnej rezydencji Dyrektora Generalnego.

Sir Henry przeoczył chyba fakt, że Rensselaer należał do tych Amerykanów, którzy lubią nosić stroje wieczorowe. Bret zastanawiał się długo, czy nie włożyć smokinga, w końcu jednak wybrał ciemne ubranie, uszyte przez doskonałego krawca

z Savile Row, lekko nakrochmaloną białą koszulę i szary jedwabny krawat. Sir Henry miał na sobie zwykły niebieski garnitur, który pamiętał lepsze czasy, koszulę z miękkim kołnierzykiem, przy której brakowało jednego guzika, i lśniące czarne buty, którym przydałyby się nowe sznurowadła.

- Na miłość boską, dlaczego kobieta? - spytał Bret Rensselaer spokojniejszym tonem, niż sugerowałby dobór słów. - Dlaczego wybrał pan kobietę?

Pracownicy Departamentu nie zwracali się zazwyczaj w ten sposób do swego szefa, ale Breta Rensselaera łączył z nim „szczególnego rodzaju związek”.

Podstawami tego związku były miejsce urodzenia

Breta, jego wpływy w Departamencie Stanu oraz fakt, że dochody czyniły go niezależnym finansowo od SIS, podobnie jak od wielu innych rzeczy.

- Zapal, jeśli masz ochotę. Czy mogę zaproponować ci cygaro?
- Nie, dziękuję, Sir Henry.

Sir Henry Clevemore rozsiadł się w fotelu i sącył whisky. Po kolacji, na którą podano pieczonego homara i ostatnią butelkę szczególnie dobrego wina *Montrachet*, otrzymaną niegdyś przez gospodarza od stałego podsekretarza stanu, siedzieli teraz w salonie, patrząc na płonące w kominku kłody drewna.

- My nie działamy w taki sposób, Bret - odparł Sir Henry. Mówił bardzo pojednawczym tonem; obaj wiedzieli dobrze, jak działa Departament, ale D-G postanowił być tego dnia czarującym. Urok osobisty należał zresztą do jego stylu, chyba że nie miał czasu na subtelności. - Nie szukałem kobiety. Możesz być tego zupełnie pewien. Mamy dużo ludzi... Wiem, że nie oczekujesz ode mnie szczegółów... Ale jest ich sporo. Mężczyzn i kobiet, których cierpliwie podsuwaliśmy Rosjanom na przestrzeni wielu lat, mając nadzieję, że pewnego dnia uda nam się przy pomocy jednej z tych osób dokonać jakiegoś spektakularnego wyczynu.

- A dla niej ten dzień właśnie nadszedł? - spytał Bret. Wyciągnął otwartą dłoń w stronę kominka, by zbadać, na ile jest ciepły. Ód kiedy wysiadł z samochodu, przez cały czas odczuwał chłód. Na tym polegał kłopot z tymi starymi rezydencjami; trudno było je dogrzać. Bret żałował, że nie przewidział przebiegu tego wieczora i nie włożył czegoś mniej wytwornego, ale cieplejszego; może tweedowej marynarki. Sir Henry nie miałby mu tego chyba za złe, o ile w ogóle by to dostrzegł.

D-G spojrział na Breta, by przekonać się, czy jego wypowiedz zawiera element sarkazmu. Nie, był to po prostu kolejny przykład amerykańskiej bezpośredniości, która czyniła z Breta najlepszego kandydata do roli osoby kierującej naprawdę

obiecującym podwójnym agentem.

- Ty uruchomiłeś tę lawinę, Bret. - Ponownie skorzystał ze swojego uroku osobistego. - Kiedy przed kilku tygodniami przedstawiłeś mi tę koncepcję, szczerze mówiąc, nie byłem nią zachwycony. Ale zacząłem się przyglądać ewentualnym kandydatom, a potem wydarzyły się inne rzeczy, w wyniku których cała sprawa wyglądała coraz bardziej realnie. Powiem ci tylko, że spławik drgnął, a to może oznaczać, iż druga strona gotowa jest połknąć przynętę. Tylko tyle: może oznaczać.

Bret opanował pokusę i nie wspominał o wielu podobnych sytuacjach, w których Rosjanie pożerali przynętę tak sprytnie, że Depar-

tament wyciągał pusty haczyk. Wszystko wskazywało na to, iż potrafią oni skuteczniej niż ich przeciwnicy nakłaniać agentów do przejścia na swoją stronę.

- Ale kobieta... - mruknął Bret, chcąc przypomnieć D-G o istocie swych obiekcji.

- To niezwykła kobieta, inteligentna i piękna - dodał D-G.

- A zatem do akcji wkracza panna X - powiedział Bret, nieco urażony, że Stary uparcie odmawia podania szczegółów dotyczących tej kandydatury. Spodziewał się, że będzie miał wpływ na ostateczny wybór.

- Ściśle mówiąc, pani X.

- To jeszcze jeden powód, dla którego Ruscy nie zechcą ściągnąć jej na drugą stronę. Jest to społeczeństwo zdominowane przez mężczyzn, a KGB będzie ostatnią instytucją, jaka zdecyduje się na zmiany w tej dziedzinie.

- Nie jestem pewien, czy się z tobą zgadzam w tej kwestii, Bret. - D-G nieznacznie się uśmiechnął. - Oni się zmieniają. My też, jak sądzę. - Nie potrafił ukryć zawartego w głosie żalu. - Ale moim zdaniem możemy wykorzystać ich staroświeckie podejście. Nigdy nie zaczną podejrzewać, że chcemy ulokować w ich Komitecie kobietę.

- Nie. Chyba ma pan rację, Sir Henry.

Tym razem Bret był zaskoczony. Podobał mu się sposób rozumowania przełożonego. Niektórzy twierdzili, że D-G jest już zbyt stary - a on sam starał się czasem zadawać sobie wiele trudu, by potwierdzić tę błędną opinię - ale Bret wiedział na podstawie własnych doświadczeń, że jest on przebiegły, myśli sprawnie, a niekiedy nawet przewrotnie „w sprawach dotyczących dhigofalowej strategii. Dlatego właśnie osobiście przedłożył mu pomysł „wprowadzenia naszego człowieka na Kreml”.

Sir Henry pochylił się. Uprzejme przygrywki dobiegały końca, podobnie jak cały wieczór. Teraz rozmawiał z Breta jak przełożony z podwładnym.

- Obaj znamy niebezpieczeństwa i trudności, związane z posługiwaniem się podwójnymi agentami. Departament pełen jest trupów ludzi, którzy źle odczytali własne myśli.

- To ryzyko zawodowe - powiedział Bret. - Z biegiem lat podwójnemu agentowi coraz trudniej jest stwierdzić, dla której właściwie strony pracuje.

- Oni zapominają, która strona jest która - z naciskiem dodał D-G. Sięgnął po miętową czekoladkę i starannie odwinął ją z papierka.

Trudno mu było obejść się po kolacji bez cygara. - Dlatego właśnie ktoś musi trzymać ich za rękę, przeniknąć do ich myśli i podbudowywać polityczną motywację. Nauczylismy się tego od Rosjan, Bret, i jestem pewien, że jest to postępowanie słuszne.

- Ale ja nigdy nie chciałem być łącznikiem żadnego agenta - wyjaśnił Bret. - Nie mam doświadczenia. - Powiedział to obojętnym tonem, bez nacisku, na który musiałby się zdobyć, gdyby był zdecydowany odrzucić tę nową ofertę D-G. Jego przełożony wyczuł ten brak determinacji i uznał, że ma za sobą pierwszą przeszkodę.

- Mógłbym podać ci milion powodów, dla których nie chcemy w tym przypadku doświadczonego łącznika.

- Tak - przyznał Bret. Widok znanego łącznika, pozostającego z agentem w regularnym kontakcie, uruchomiłby wszystkie dzwonki alarmowe zainstalowane w KGB.

Ale D-G nie wysunął tego argumentu. Rzekł natomiast:

- Mam na myśli agenta, który może zająć wyjątkową pozycję i mieć wyjątkowe szanse. Jest to więc zadanie dla kogoś, kto zajmuje wysokie stanowisko, Bret. Dla człowieka, który zna cały obraz sytuacji i do którego mogę mieć pełne zaufanie.

Włożył czekoladkę do ust i dokładnie zwinął papierek, a potem umieścił go w popielniczce.

- No cóż, nie wiem, czy ja pasuję do takiego obrazu, Sir Henry - powiedział Bret, nieudolnie kopiując postawę, jaką powinni przyjmować Anglicy obdarzani takimi komplementami.

- Owszem, Bret. Pasujesz do niego bardzo dobrze - oznajmił Sir Henry. - Co

uważasz za naszą największą słabość?

- Słabość? Brytyjczyków? Departamentu? - Bret nie zamierzał odpowiadać na tego typu pytania i niechęć ta malowała się wyraźnie na jego twarzy.

- Oczywiście, jesteś zbyt uprzejmy, by mi to powiedzieć. Ale człowiek mniej powściągliwy niż ty, mówiąc niedawno o słabościach Brytyjczyków, oznajmił mi, że my, Anglicy, uwielbiamy amatorszczyznę, nie posiadając intuicyjnej fachowej wiedzy Amerykanów. Rezultaty są katastrofalne.

Bret milczał.

- Bez względu na to, czy miał rację - ciągnął Sir Henry - jestem głęboko przekonany, że ta operacja powinna zostać przeprowadzona w sposób stuprocentowo profesjonalny i podbudowana zdolnością do improwizacji, z jakiej znani są twoi rodacy. - Ostrze gawczym gestem podniósł rękę. - Będę musiał zaznajomić się ze szczegółami twojego planu. Podniosłeś kilka punktów, które są dość sporne. Ale ty przecież zdajesz sobie z tego sprawę.

- To plan zakrojony na dziesięć lat - powiedział Bret. - Oni są w bardzo trudnej sytuacji. Jeśli dobrze zaplanujemy atak na ich ekonomię, cały cholerny komunistyczny domek z kart zawali się z trzaskiem.

- Zawali się? Co masz na myśli?

- Sądzę, że możemy zmusić rząd Niemiec Wschodnich do zgody na istnienie partii opozycyjnych i swobodną emigrację.

- Naprawdę? - Koncepcja ta wydawała się Dyrektorowi Generalnemu absurdalna, ale był zbyt doświadczonym znawcą strategii obowiązującej w kołach rządowych, by głośno wyrazić swój brak przekonania. - Że Mur runie w roku 1988? Czy to chcesz mi powiedzieć? - Uśmiechnął się ponuro.

- Nie chcę składać zbyt konkretnych deklaracji, ale proszę spojrzeć na to w taki sposób: podczas drugiej wojny światowej brytyjskie lotnictwo bombowe wykonywało nocne naloty na wielkie miasta. Późniejsze badania dowiodły, że tylko nieliczne samoloty docierały nad wyznaczony cel, a te, którym się to udało, zrzucały ładunek na jeziora, parki, kościoły i nieużytki, tak że zaledwie jedna bomba na dziesięć trafiała w obiekt godny uwagi.

Sir Henry dotknął palcami różnobarwnych arkuszy papieru, na których znajdowały się liczne wykresy i tabele: dane statystyczne dotyczące wykwalifikowanej i niewykwalifikowanej siły roboczej w Niemieckiej Republice

Demokratycznej.

- Mów dalej, Bret - zachęcił go.
- Kiedy Spaatz i Jimmy Doolittle włączyli Ósmą Dywizję Wojsk Lotniczych USA do kampanii bombowej, naloty odbywały się w dzień, a piloci używali celowników Nordena. Były to precyzyjne bombardowania, organizowane według dokładnie opracowanego planu. Atakowano tylko fabryki syntetycznej ropy i zakłady lotnicze. Nie marnowano więc wysiłków, a skutki były mordercze.

- Czy nie nazywano wtedy tej kampanii działaniem środkami uniwersalnymi?

- Tej nazwy używali jedynie ludzie, którzy, jak się okazało, byli w błędzie - odparł ostrym tonem Bret.

- Chyba sobie przypominam również inne aspekty strategicznej kampanii bombowej - powiedział z namysłem Sir Henry, który nie przeoczył sugestii, że RAF popełniał błędy, a Amerykanie wybrali właściwą metodę postępowania. Nie uszła jego uwagi aluzja, że do tej pory działania SIS kończyły się w dziewięćdziesięciu procentach przypadków fiaskiem.

- Nie chciałbym nadmiernie eksploatować tego porównania - oświadczył Bret, który zdał sobie poniewczasie sprawę, że zacytowany przez niego przykład wyższości amerykańskich sił lotniczych nad RAF może być mniej przekonujący dla angielskiego słuchacza. Spróbował innej drogi: - Ten wykres, który trzyma pan w ręku, zatytułowany „Służba zdrowia i szpitalnictwo”, pokazuje, ilu lekarzy w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat umożliwia funkcjonowanie ich systemu opieki zdrowotnej. Według moich obliczeń, utrata dwudziestu pięciu procent tej siły roboczej - czerwony sektor na wykresie - zmusiłaby reżim do zamykania szpitali lub oddziałów szpitalnych w tak szybkim tempie, że stałoby się to przyczyną protestów o charakterze politycznym. Weźmy teraz pod uwagę budownictwo komunalne: proszę spojrzeć na wykres, który leży na stole...

- Oglądałem już te wykresy - powiedział Sir Henry, który nigdy nie lubił prezentacji wizualnej.

- Musimy nastawić się na wysoko wykwalifikowanych fachowców. Wywoła to ostre napięcia w komunistycznym społeczeństwie, któremu rząd wmawia od dawna, że w zamian za niskie pensje i nędzne życie otrzymuje gwarancje dotyczące zatrudnienia i korzystny system świadczeń socjalnych: opiekę zdrowotną, sprawną

komunikację miejską, i tak dalej. A drenaż mózgow jest działaniem, któremu nie mogą się przeciwstawić. Aby wyszkolić lekarza, inżyniera czy chemika, potrzeba siedmiu lat i to pod warunkiem, że trafi się na uzdolnionego studenta.

- Wspominałeś o opozycji politycznej - przerwał mu D-G.

Bret odsunął wykresy na bok.

- Owszem. Musimy również zmienić nasz lekceważący stosunek do tych małych ugrupowań opozycyjnych działających na terenie NRD. Musimy okazać im sympatię; doradzać i pomagać grupom skupionym wokół Kościoła i reformatorem politycznym. Doprowadzić do ich zjednoczenia. Czy widział pan moje wykresy dotyczące wpływów Kościoła? Dowodzą one, że możemy pominąć tereny rolnicze, gdyż znajdziemy wystarczającą liczbę odpowiednich ludzi wśród protestantów skupionych w wielkich miastach. Jest to korzystne, gdyż łatwiej docierać do ludności miejskiej.

- Bombardowanie strategiczne. Hmmm... - mruknął D-G. Doszedł do wniosku, że nawet Sekretarz Gabinetu może dostrzec logiczne walory tego podejścia i przyznać na ten cel dodatkowe fundusze.

- A ludzie, o których nam chodzi, są na Zachodzie potrzebni.

Nie musimy szukać jakichś wyjątkowych, dobrze płatnych stanowisk dla ludzi, których nakłonimy do emigracji. Posady dla nich już tu są. Bret wyciągnął kolejny wykres.

- A czy widział pan, w jaki sposób statystyka urodzin działa na naszą korzyść? - Podniósł arkusz papieru i wskazał krzywą, dotyczącą początku lat osiemdziesiątych.

- Ale jak ich tu sprowadzimy?

Bret sięgnął po następny wykres. - To są ludzie wyjeżdżający z Niemiec Wschodnich na wycieczki zagraniczne. Podzieliłem ich na grupy, w zależności od kraju, w którym spędzają urlop. W myśl konstytucji Republiki Federalnej każdy z tych obywateli NRD ma prawo do zachodnioniemieckiego paszportu.

Sir Henry wstrzymał potok wymowy Breta gestem ręki.

- Sugerujesz, żeby grupom enerdowskich turystów, wysiadających z autokarów w Maroku, proponować wymianę paszportów? Co na to powiedzą władze marokańskie?

Bret uśmiechnął się z przymusem. D-G, w charakterystyczny dla siebie sposób, wybrał na chybił trafił jakiś kraj i zaczął piętrzyć trudności.

- Na tym etapie lepiej będzie nie brnąć w szczegóły - wyjaśnił. - Obywatele NRD mogą pod wieloma pretekstami starać się o paszporty i liczba wyjeżdżających wzrasta z roku na rok. Rząd Niemiec Zachodnich domaga się zwiększenia zakresu swobód obywatelskich przy okazji każdej subwencji, jaką przyznaje temu parszywemu reżimowi. I proszę pamiętać, że naszym celem są przedstawiciele klasy średniej - poważni ojcowie rodzin i ich wykształcone, pracujące żony, a nie długowłosi hippisi w dżinsowych strojach, usiłujący przeskoczyć przez Mur. Właśnie dlatego potrzebna jest nam tam pani X, która będzie mogła zajrzeć do tajnych akt policyjnych i poinformować nas, jakie środki są skuteczne; z kim się kontaktować, ku czemu zmierzać, w jaki sposób wywierać naciski.

- Powiedz mi to jeszcze raz. Jakie będą jej zadania?

- Musi zdobyć dostęp do akt KGB dotyczących grup opozycyjnych. Musi dowiedzieć się, kim są opozycjoniści i w jaki sposób działają: dysydenci skupieni wokół Kościoła, demokraci, liberałowie, faszyci, nawet komunistyczni reformatorzy. W ten sposób najlepiej będziemy mogli pozyskać odpowiednich ludzi i przygotować ich do prawdziwej działalności opozycyjnej. Musimy też wiedzieć, jak zareaguje armia rosyjska na powszechne protesty polityczne.

- Jesteś odpowiednim kandydatem na współpracownika pani X - powiedział Sir Henry. Przypomniał sobie zasłyszane kiedyś

powiedzenie premiera: Każdy Rosjanin jest szachistą, a każdy Amerykanin jest w głębi serca agentem reklamowym. No cóż, zapał Breta Rensselaera potwierdzał słuszność tego stwierdzenia. Śmiałość całego przedsięwzięcia i entuzjazm Breta przekonały go, że warto podjąć taką próbę.

Bret kiwnął głową, dziękując za komplement. Wiedział, że na decyzję przełożonego wpłynęły również inne okoliczności. Bret był Amerykaninem. Sir Henry, przyjmując jego argumentację dotyczącą energooszczędnej ekonomii, uczynił go najważniejszym kandydatem na łącznika wybranego agenta. Bret dysponował mnóstwem ekspertów w dziedzinie statystyki, bankowości i ekonomii, a nawet specjalistą od „teorii permutacji grupowej”, którego znalazł w gronie kryptoanalityków. Podległa Bretowi Sekcja Analiz, Ekonomicznych odnosiła liczne sukcesy. Mogła stanowić doskonałą przykrywkę dla jego działań w charakterze łącznika. A skoro w grę wchodziła kobieta, Bret miał jeszcze jedną przewagę: teraz, po separacji z żoną, mógł widywać się z „inteligentną i piękną kobietą”, nie budząc niczyich podejrzeń, że ich spotkania mogą mieć charakter zawodowy.

- Wnoszę z tego, że pani X działa od dłuższego czasu bez pośrednictwa łącznika - powiedział Bret.

- Tak, ponieważ był w to wmieszany Silas Gaunt. Wiesz, jaki jest Silas. Wymógł na mnie obietnicę, że nic nie znajdzie się na papierze i że on będzie jedynym kontaktem.

- Dosłownie jedynym kontaktem? - spytał Bret, nie wyobrażając sobie ani przez chwilę, że może otrzymać twierdzącą odpowiedź.

- Jak najbardziej dosłownie.

- Mój Boże! A więc po co...?

- Po co chcemy teraz wtajemniczyć inną osobę? Powiem ci. Gaunt przyjeżdża do Londynu tylko raz w miesiącu, a ja nie jestem pewien, czy nawet to nie naraża go na zbyt wielki wysiłek.

Poza tym, oczywiście, Silas Gaunt był zdeklarowanym zwolennikiem amatorstwa wywodzącego się z prywatnych szkół, które D-G najwyraźniej odrzucał.

- Czy coś się wydarzyło? - spytał Bret.

Jego reakcja umocniła Sir Henry'ego w przekonaniu, że jest on odpowiednim człowiekiem; Bret miał instynkt.

- Owszem, coś się wydarzyło. Pewien cholerny Rosjanin chce przejść na naszą stronę.

- I?

D-G wypił łyk whisky, jakby zwlekając z odpowiedzią.

- I zwrócił się z tą sprawą do pani X. Rozmawiał z nią podczas jednego z tych nieoficjalnych przyjęć, które organizują ludzie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych wspólnie z naszymi rosyjskimi przyjaciółmi. Nie słyszałem dotąd, żeby wynikło z nich coś pożytecznego.

- Człowiek z KGB chce przejść na naszą stronę. - Bret wybuchnął śmiechem.

- Tak, to dobry dowcip - z goryczą przyznał D-G. - Żałuję, że moje stanowisko nie pozwala mi śmiać się razem z tobą.

- Przepraszam, sir - powiedział Bret. - Czy chodzi o ważnego Rosjanina?

- Dość ważnego - ostrożnie zgodził się Sir Henry. - Nazywa się Blum, jest oficjalnie trzecim sekretarzem, zatrudnionym w biurze attache ambasady. Niemal na pewno pracuje dla KGB. Kontakt został nawiązany w sposób absolutnie dyskretny.

- Będzie musiała im o tym powiedzieć - bez wahania oświadczył Bret. - Bez względu na dyskrecję, będzie musiała go wsypać.

- Hmm... - Sir Henry doszedł do wniosku, że Bret jest człowiekiem całkowicie bezwzględny. Nie była to atrakcyjna cecha, ale stanowiła znakomitą rekomendację do jego zawodu.

- Chyba że chcecie zmarnować wszystkie lata jej pracy - dodał Rensselaer.
- Nie znasz jeszcze wszystkich okoliczności, Bret.
- Nie muszę ich znać. Jeśli nie wsypiecie tego Roskiego, poderwiecie ich zaufanie do waszej agentki.

- Chodzi o to, że w tym konkretnym przypadku pani X...

- Nie interesuje mnie opinia psychologa - przerwał Bret. - Będzie wiedziała, że obliczyliście stopień ryzyka, że umieściliście ją na wadze, kładąc na drugiej szali tego rosyjskiego kandydata na zbiega.

- Ja widzę to inaczej.

- Nieważne jest to, jak pan to widzi. Na dobrą sprawę nieważny jest również stan faktyczny. Mówimy teraz o agencie, którego nazywa pan „niezwykłym”, prawda?

- Który zajmuje niezwykłą pozycję i może mieć niezwykle możliwości.

- Więc może być niezwykły. Okay. Oświadczam panu, że jeżeli narazicie ją na ryzyko, choćby najmniejsze, po to, by wykorzystać tego rosyjskiego agenta, nigdy nie wykona swego zadania w stu procentach.

- Ale może być odwrotnie. Może czuć się załamana, wiedząc, że poświęciliśmy tego Bluma - powiedział łagodnie D-G. - Wyraziła już swoje zaniepokojenie. Pamiętaj, że jest kobietą.

- Pamiętam o tym. Musi natychmiast się z nimi porozumieć i zameldować o ofercie Bluma. Jeśli nie powiecie jej tego jasno, jeśli

- się zawahacie, zawsze będzie miała wam za złe wasze niezdecydowanie.

Kobieta może okazać współczucie, ale nie chce być lekceważona z korzyścią dla rywala. W przyszłości myśl o tym doprowadzi ją do furii. Owszem, pamiętam, że ona jest kobietą, Sir Henry.

- Ten facet, Blum, może nam dostarczyć bardzo dobre materiały - stwierdził D-G.

- Nawet gdyby miał kontakty w samym Politbiurze, musicie dokonać

wyboru: on albo ona. - Przez chwilę obaj przyglądali się sobie w milczeniu. - Jak rozumiem, pani X żyje w separacji z mężem?

D-G nie odpowiedział na to pytanie. Usiadł wygodnie i pociągnął nosem. Po chwili namysłu stwierdził:

- Chyba masz rację, Bret.
- W tej sprawie na pewno mam rację, sir. Nic nie szkodzi, że nie znam pani

X; wiem wystarczająco dużo o kobietach.

- Och, ależ owszem, Bret.
- To znaczy...?
- Znasz panią X. Znasz ją bardzo dobrze.

Znów przyglądali się sobie w milczeniu. Obaj wiedzieli, że Sir Henry ujawni nazwisko tej kobiety tylko wtedy, kiedy Bret podejmie się funkcji łącznika.

- Skoro uważa pan, że jestem właściwym człowiekiem... - zaczął Bret, ustępując w obliczu tego, co uznał za nieuchronne. Obaj od początku wiedzieli, że będzie musiał się zgodzić. Nie było to stanowisko, które obsadza się w drodze konkursu, informując o nim na tablicy ogłoszeń.

- Wspaniale! - stwierdził D-G stanowczym tonem. Nigdy nie objawiał swego entuzjazmu w sposób bardziej jednoznaczny. Zerknął na zegarek. - Mój Boże, wieczór był tak miły, że nie zauważyłem upływu czasu.

Bret nadal miał nadzieję, że usłyszy nazwisko, ale reagując na słowa D-G, wstał z fotela i powiedział: - Tak, muszę już jechać.

- O ile wiem, twój kierowca czeka w kuchni, Bret.
- Dostał kolację? To bardzo uprzejme z pańskiej strony, Sir Henry.
- Nigdzie w sąsiedztwie nie można zjeść przyzwoitego posiłku. - Sir Henry

pociągnął za jedwabny sznur; gdzieś w odległej części domu zabrzmiał dźwięk dzwonka. - Jesteśmy tu na odludziu. Nawet wiejski sklep został zamknięty. Nie wiem, jak damy sobie radę w przyszłości - dodał, nie okazując niczym, że problem ten przysparza mu większych zmartwień.

- To wspaniały stary dom.
- Musisz tu przyjechać w lecie. Ogród jest przepiękny.
- Chętnie - odparł Bret.
- Przyjedź w sierpniu. Otwieramy go wtedy dla zwiedzających, a wpływy

przeznaczamy na potrzeby miejscowego kościoła.

- To wspaniały pomysł. - Jego entuzjazm osłabł nieco, gdy zdał sobie sprawę, że D-G proponuje mu zwiedzanie ogrodu w tłumie gamoniowatych turystów.

- Czy łowisz ryby? - spytał D-G, odprowadzając go do drzwi.

- Nigdy jakoś nie mam na to czasu - odparł Bret. Usłyszał od strony wejścia swojego kierowcę. Wiedział, że za chwilę służba znajdzie się w zasięgu ich głosu i będzie już za późno. - Kto to jest, sir? Kim jest pani X?

Sir Clevemore spojrzał na Breta, ciesząc się ostatnimi chwilami niepewności i przewidując jego zdumienie.

- Osobą, o której mówiliśmy, jest pani Samson.

Drzwi otworzyły się.

- Samochód pana Rensselaera już czeka, sir. - Lokaj gospodarza dostrzegł zmieszanie na twarzy Breta i zaczął się zastanawiać, czy coś mu dolega. Może zaszkodziło mu jedzenie lub wino. Od dawna miał wątpliwości co do tego *Montrachet*; w tej samej skrzynce natrafił na dwie butelki, których zawartość była skwaśniała.

- Rozumiem - powiedział Bret, który nie rozumiał nic i był jeszcze bardziej zaskoczony, niż wyobrażał sobie Sir Henry. Przez głowę przelatywały mu różne myśli i wnioski. Pani Samson. Boże! Pani Samson miała męża i małe dzieci. Jakim cudem, do diabła, mogła to być właśnie ona?

- Dobranoc, Bret. Spójrz na te gwiazdy... Dziś w nocy będzie mróz, chyba że spadnie deszcz, który stale zapowiadają ci idioci z telewizji.

Bret niemal wysiadł z samochodu. Miał ochotę zażądać przedłużenia wizyty jeszcze o pół godziny, żeby mogli to wszystko omówić. Zamiast tego zgodził się posłusznie:

- Owszem, obawiam się, że ma pan rację. Proszę posłuchać, sir, w świetle tego, co pan mi powiedział, nie możemy powierzyć Bernardowi Samsonowi stanowiska szefa Sekcji Niemieckiej.

- Tak uważasz? Samson jest jedynym człowiekiem, który uszedł z życiem tego wieczora, prawda?

- Owszem, sir.

- Co za pech. Zależało nam na rozmowie z tym drugim, z Maxem Busby.

Tak, zgadza się: Samson. Brak mu oczywiście odpowiedniego wykształcenia, ale ma fantazję i zasługuje na szansę sprawdzenia się w Sekcji Niemieckiej.

- Zamierzałem ogłosić— jutro oficjalnie jego nominację.
- Jak uważasz, Bret.
- W tej sytuacji jest to nie do pomyślenia. Z każdego punktu widzenia... nie do pomyślenia. Musimy dać— to stanowisko Cruyerowi.
- Czy da sobie radę?
- Jeśli Samson zostanie jego asystentem. - Bret poruszył się niepewnie na siedzeniu samochodu. Zaczynał dochodzić— do wniosku, że D-G wszystko to zaplanował, wiedząc o zamierzonej nominacji Bernarda Samsona. Zaprosił go na kolację tylko po to, by uniemożliwić— mu powierzenie tego stanowiska Samsonowi, co mogłoby zagrozić— jego wielkiej koncepcji wprowadzenia pani Samson „na Kreml”. Co za przebiegły stary drań.
- Zostawiam ci wolną rękę - powiedział D-G.
- W porządku. Dziękuję. Dobranoc, Sir Henry.
Sir Clevemore pochylił się ku wnętrzu samochodu i dodał:

- Aha, jeszcze jedno. Nie wspominaj o naszej rozmowie ani słowem

Silasowi Gauntowi. Lepiej, żeby na razie nie wiedział o twoim udziale w tej sprawie.

- Czy jest pan pewien, że tak będzie rozsądniej, sir? - spytał Bret, urażony, że jego szef przedstawił „Wujowi” Silasowi tę koncepcję jako własny pomysł.

D-G wiedział dobrze, o czym myśli Bret. Dotknął palcem nosa.

- Nie można tańczyć na dwóch weselach, jeśli ma się tylko jedną butelkę wina. Czy słyszałeś kiedyś to przysłowie?
- Nie, sir.
- Pochodzi z Węgier.
- Rozumiem, sir.
- A może z Rumunii czy z Krocacji. Z któregoś z tych przeklętych krajów, w których tańczą na weselach. Ruszaj, Bret. Masz przed sobą długą podróż, a ja zaczynam marznąć.

Sir Henry zatrzasnął drzwi i zastukał w dach samochodu, który ruszył naprzód, chrzescząc oponami po zwirowanym podjeździe. Gospodarz nie wrócił do domu, lecz spoglądał w ślad za autem, dopóki nie zniknęło ono za zakrętem.

Chwilę później zatarł energicznym ruchem rękę, a potem odwrócił się i wszedł do domu. Wszystko poszło dobrze. Zatwierdzenie całego planu będzie wymagać stanowczych negocjacji, ale Sir Henry zawsze był w tej dziedzinie mistrzem. Bret Rensselaer nadaje się do tej funkcji lepiej niż ktokolwiek inny. Jego prognozy były przekonujące; tak właśnie należy traktować Niemiecką Republikę Demokratyczną. W dodatku był to pomysł Breta, jego własne dziecko. Bret posiada wszystkie odpowiednie cechy: jest dyskretny, obsesyjnie oddany sprawie, pomysłowy i bystry. Od razu zrozumiał, że Samson nie może kierować Sekcją Niemiecką, skoro jego żona

przechodzi na drugą stronę: tego byłoby już za wiele. Tak, Bret da sobie radę.

Dlaczego więc Dyrektor Generalny nadal żywił wątpliwości wobec operacji, której właśnie nadał bieg? Ponieważ Bret Rensselaer był zbyt skrupulatny. Wiadomo było, że kiedy otrzyma rozkaz, wykona go za wszelką cenę. Sir Clevemore widywał taką determinację u wielu synów bogatych ojców; przesadna kompensacja, poczucie winy czy coś w tym rodzaju. Nigdy nie wiedzieli, kiedy należy się zatrzymać. D-G zadrżał. Noc była naprawdę chłodna.

Kiedy samochód wjechał na główną drogę, Bret Rensselaer zapadł się w miękkie skórzane siedzenie i przymknął oczy, aby jaśniej myśleć. A więc pani Samson grała rolę podwójnego agenta od Bóg wie ilu lat i nikt nie miał o tym pojęcia. Ale czy Sir Henry mówił prawdę? Wydawało się to całkiem niewiarygodne, ale on w to wierzył. Tam, gdzie w grę wchodziła pani Samson, Bret gotów był wierzyć we wszystko. Fiona Samson była najbardziej fascynującą i cudowną kobietą na świecie. Kochał się w niej skrycie od dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy.

4

Kent, Anglia, marzec 1978.

- Żyjemy w społeczeństwie gnębionym przez troski, choroby i cierpienia, którym można by zapobiec; gnębionym przez bezwzględność i głupie, bezmyślne akty okrucieństwa. - Miał walijski akcent. Przerwał; Fiona milczała.

- To nie moje słowa, to słowa H.G. Wellsa. - Usiadł przy oknie.

Kanarek siedzący w klatce zawieszanej nad jego głową zdawał się pogrążony we śnie. Zbliżał się kwiecień; światło dnia szybko gasło. Rodzice wołali bawiące się w sąsiednim ogrodzie dzieci, każąc im wracać do domów. Tylko najbardziej niespokojne ptaki nadal poruszały się w gałęziach drzew.

Dochodził do nich słaby szum niewidocznego, zasłoniętego przez wzgórze morza. Profil Martina Euana Pryce-Hughesa odcinał się wyraźnie od tanich, siatkowych firanek. Jego niemal całkowicie siwe długie włosy, lekko falujące na końcach, otaczały głowę jak hełm. Dopiero kiedy wciągnął dym z zakrzywionej fajki, jego starą, pobrużdżoną twarz rozjaśnił lekki uśmiech.

- Zdawało mi się, że znam skądś te słowa - powiedziała Fiona Samson.
- Fabianie; szlachetni ludzie. Wells jako główny teoretyk, wielki George Bernard!... Webbowie, Panie świeć nad ich duszami. Laski i Tawney. Mój ojciec znał ich wszystkich. Pamiętam, że wielu spośród nich odwiedzało nasz dom. Marzyciele, oczywiście. Myśleli, że pisarze, poeci i drukowane broszurki mogą zmienić świat. -

Nie patrząc w jej kierunku uśmiechnął się drwiąco; ton, jakim mówił, wyrażał jego pogardliwy stosunek do nich. Miał niski, atrakcyjny głos, w którym pobrzmiwały dźwięczne echa walijskich dolin. Taki sam akcent miała jego siostrzenica Dilwys, z którą Fiona dzieliła mieszkanie w Oxfordzie.

Departament zachęcał ją do zacieśnienia więzów tej przyjaźni; właśnie za jej pośrednictwem poznała Martina.

Na półce z książkami stała fotografia jego ojca. Potrafiła zrozumieć, dlaczego tak wiele kobiet traciło dla niego głowę. Być może, wolna miłość była elementem fabiańskiej filozofii, którą przyjął z takim entuzjazmem w czasach swej młodości. Jaki ojciec, taki syn? Martin również demonstrował objawy gwałtownej i bezwzględnej determinacji. A kiedy się postarał, umiał dość zręcznie imitować słynny wdzięk swego ojca. Taka kombinacja cech sprawiała, że obaj byli nieodparcie atrakcyjni dla pewnego rodzaju kobiet. Ta właśnie kombinacja zwróciła również na Martina uwagę rosyjskiego aparatu szpiegowskiego, zanim jeszcze otrzymał on nazwę KGB.

- Niektórzy ludzie są w stanie coś zrobić - powiedziała Fiona, udzielając odpowiedzi, której najwyraźniej od niej oczekiwał. - Inni mówią i piszą. Świat zawsze był tak urządzony. Marzyciele nie są wcale mniej wartościowi, Martin.

- Tak, wiedziałem, że to powiesz - odparł. Sposób, w jaki to oznajmił, wzbudził w niej lęk. W jego wypowiedziach często dostrzegała podwójny sens... a może ostrzeżenie. Mogło to oznaczać, że przewidział jej odpowiedź, ponieważ zawierała ona właściwą dawkę banału: takiej odpowiedzi udzielić mógł wróg klasowy. Zdecydowanie wolała mieć do czynienia z Rosjanami. Potrafiła ich zrozumieć - byli bezwzględnymi zawodowcami - ale ten zgorzkniały idealista, gotów wykonywać za nich brudną robotę, przekraczał jej możliwości pojmowania. A jednak nie nienawidziła go.

- Ty wiesz wszystko, Martin - stwierdziła.

- Nie wiem tylko jednego - przyznał. - Dlaczego wyszłaś za tego swojego męża?

- Bernard jest wspaniałym człowiekiem, Martin. Jest odważny, zdecydowany i inteligentny.

Zanim jej odpowiedział, zaciągnął się dymem z fajki. - Odważny, być może. Zdecydowany; niewątpliwie. Ale nawet najgłupszy z jego przyjaciół nie mogliby go uznać za inteligentnego, Fiona.

Westchnęła. Prowadzili takie rozmowy już wielokrotnie. Mimo że był od niej dwa razy starszy, uważał, że musi rywalizować o jej względy. Początkowo starał się nadać swym zalotom charakter erotyczny, ale było to już dawno i miała wrażenie, że zrezygnował z prób tego typu. Musiał jednak stale podkreślać swoją wyższość. Objawił nawet pełną goryczy zazdrość o jej ojca, kiedy wspomniała o otrzymanym od niego zdumiewającym futrze. Mruknął wtedy z wściekłością, że każdy dureń potrafi zarabiać pieniądze. A ona przyznała mu słuszność, chcąc go uspokoić i zadowolić jego miłość własną.

Dopiero niedawno zaczęła rozumieć, że jest równie ważna dla niego jak on dla niej. Kiedy funkcjonariusz KGB, wchodzący w skład Misji Handlowej, wyznaczył Martina na jej opiekuna, wykonawcę poleceń i łącznika, nie wyobrażała sobie jeszcze, nawet w najśmielszych marzeniach, że zostanie kiedyś zatrudniona przez brytyjski wywiad. Gdy nadszedł ten zdumiewający moment, Martin kontrolował jej każdy krok i stale doradzał. Teraz była już wyższym funkcjonariuszem Centrali Londyńskiej. Martin mógł spoglądać na minione dziesięciolecie z wielką satysfakcją. Ze zwykłego popychadła Rosjan awansował do roli kontrolera ich najcenniejszej inwestycji. Mówiono nawet, że ma otrzymać jakąś nagrodę albo stopień oficerski KGB. Udawał, że nie interesują go takie wyróżnienia, ale na myśl o nich przenikała go ciepła fala radości. Poza tym mogło to ułatwić jego kontakty z rezydentami KGB w Londynie. Rosjanie szanowali tego typu godności.

Fiona spojrzała na zegarek. Kiedy przybędzie kurier? Był już spóźniony o dziesięć minut. Nie zdarzało się to często. Podczas jej nielicznych kontaktów z ludźmi KGB, zawsze zjawiali się punktualnie. Miała nadzieję, że nie nastąpiły żadne komplikacje.

Fiona była podwójnym agentem, ale nigdy nie czuła lęku. Centrum Moskiewskie istotnie zaaranżowało w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy likwidację kilku ludzi - jeden z nich zamordowany został za pomocą zatrutej strzały na górnym pomoście autobusu do Fulham - ale wszyscy oni byli rodowitymi Rosjanami. Gdyby wykryto jej podwójną grę, szanse na likwidację były niewielkie; zmuszono by ją jednak zapewne do wyznania wszystkiego, co wie, a perspektywa przesłuchania przez KGB była przerażająca. Dla osoby posiadającej tak silną motywację jak Fiona jeszcze gorsza była perspektywa zmarnowania wielu lat ciężkiej pracy. Lat przygotowań, lat, w ciągu których musiała udowodnić swoje *bona fides*. W ciągu których oszukiwała męża, dzieci i przyjaciół. Lat znoszenia bolesnych uwag ze strony takich ludzi jak

Martin Euan Pryce-Hughes.

- Nie - powtórzył Martin, jakby rozkoszując się własnymi słowami. - Nawet najgłupszy z przyjaciół Bernarda Samsona nie mogliby uznać go za inteligentnego. Mamy szczęście, że wyszłaś właśnie za niego, moja droga. Naprawdę inteligentny mężczyzna domyśliłby się, na czym polega twoja rola.

- Podejrzliwy mąż, owszem. Ale Bernard mi ufa. Kocha mnie.

Martin mruknął coś niewyraźnie. Nie była to odpowiedź, która mogłaby go zadowolić. - Czasem go widuję, wiesz? - oznajmił.

- Bernarda? Widujesz Bernarda?
- To jest konieczne. Dla twojego dobra, Fiona. Sprawdzam go.

Obserwujemy go od czasu do czasu. Nie tylko ja, również inni nasi ludzie.

Co za zarozumiała stara drań. Nie brała pod uwagę takiej możliwości, ale teraz zrozumiała, że KGB musi ją sprawdzać, a Bernard jest jednym z ludzi, których Rosjanie poddają obserwacji. Dzięki Bogu, nigdy z niczego mu się nie zwierzyła. Nie żeby Bernard nie potrafił dochować tajemnicy - musiał mieć głowę pełną poufnych informacji - ale ta sprawa miała charakter osobisty. Musiała rozegrać to sama, bez pomocy Bernarda.

- Wiesz chyba, że poinformowano mnie, jak mogę skontaktować się w krytycznej sytuacji bezpośrednio z moim łącznikiem? - Zadała to pytanie cichym, sugestywnym głosem, jakby zaczynała opowiadać jakąś bajkę grupie pięciolatek słuchających jej z szeroko otwartymi oczami.

- Wiem - odrzekł. Odwrócił się i spojrzał na nią z uśmiechem pełnym wyższości. Tak uśmiechał się do wszystkich kobiet, które aspirowały do roli jego towarzyszek. - Uważam, że to dobry pomysł.

- Ja również. I wykorzystam ten kontakt. Jeżeli ty, Chesty lub któryś z tych niekompetentnych ignorantów z Misji Handlowej zaczniesz nachodzić ludzi z mojego otoczenia i obserwować ich albo robić jakieś inne głupie numery, postaram się, żeby urwano im jaja. Czy dobrze mnie rozumiesz, Martin?

Niemal wybuchnęła śmiechem na widok jego twarzy; wyjął fajkę z szeroko otwartych ust, a oczy wystąpiły mu z orbit. Nie znał tej strony jej osobowości; zawsze grała przed nim potulną kurę domową.

- Czy mnie rozumiesz? - powtórzyła, tym razem twardym i złośliwym głosem. Chciała zmusić go do odpowiedzi, aby odebrać mu jakiegokolwiek złudzenia,

że powiedziała to żartem.

- Tak - odparł potulnie. Zapewne kazano mu unikać denerwowania jej.

Albo, być może, zdawał sobie sprawę z tego, co zrobi z nim Centrum, jeśli Fiona złoży na niego skargę. Utrata Fiony równała się utracie wszystkiego, co cenił.

- I trzymajcie się z daleka od Bernarda. Jesteście amatorami; nie dorastacie mu do pięt. Bernard od dziecka wie, jak należy postępować z agentami. Tacy ludzie jak ty i Chesty to dla niego kaszka z mlekiem. Mamy szczęście, jeśli już czegoś nie zauważył.

- Będę się od niego trzymał z daleka.

- Bernard jest zadowolony, kiedy ludzie biorą go za durnia. W ten sposób wyprowadza ich w pole. Gdyby Bernard kiedykolwiek

zaczął podejrzewać... byłoby po mnie. Rozerwałby mnie na strzępy. - Zrobiła przerwę. - A Centrum zapytałoby, dlaczego.

- Być może, masz rację. - Udając obojętność wstał z krzesła, westchnął głośno i wyjrzał przez okno, jakby zamierzał obserwować drogę, którą miał nadjechać posłaniec.

Można było mu współczuć. Był inteligentnym synem sławnego ojca, który potrafił bez trudu łączyć swe głośno wyznawane socjalistyczne poglądy z dostatnim życiem i politycznymi zaszczytami. Ale nigdy nie przyjął do wiadomości, że jego ojciec był po prostu pozbawionym skrupułów, choć zabawnym draniem, któremu sprzyjało niezwykle szczęście. Martin był prymitywnie szczery w ujawnianiu swych przekonań politycznych, pilny, lecz niezbyt błyskotliwy jako student i wymagający w doborze przyjaciół. Kiedy jego ojciec umarł w luksusowym hotelu w Cannes, w objęciach bogatej damy z towarzystwa, która natychmiast po jego śmierci wróciła do swego męża, Martin, jego jedyny potomek, otrzymał drobny spadek. Zrezygnował wtedy z posady w bibliotece publicznej; siedział w domu i studiował historię polityczną oraz ekonomię. Trudno było mu utrzymać się z niewielkich odsetek od posiadanego kapitału. Byłoby mu jeszcze trudniej, gdyby nie poznał na jakimś wiecu politycznym szwedzkiego naukowca, który przekonał go, że popierając ZSRR służy interesom proletariatu, międzynarodowego socjalizmu i pokoju światowego.

Najbardziej może okrutnym kaprysem losu był fakt, że wykształcony w najdroższych szkołach Martin, pamiętając, jak jego ojciec cieszył się przynależnością do górnej warstwy klasy średniej, musiał nauczyć się współżyć z przedstawicielami klasy pracującej, z której jego ojciec się wywodził. Jego bunt miał stosunkowo

spokojne oblicze; Rosjanie stworzyli mu szanse potajemnego działania na rzecz destrukcji porządku społecznego, który był mu najzupełniej obojętny. Ta właśnie tajemna wiedza dawała mu siłę, pozwalającą wytrzymać trudy spartańskiego życia. Znał sekrety Rosjan i - oczywiście - sekrety kobiet. Tajemnica była w jego wypadku elementem pożądanym, gdyż tylko oszukując męża lub kochanka odczuwał pełnię satysfakcji.

W sąsiednim domu rozległy się nagle dźwięki fortepianu. Ściany tych małych chat, wzniesionych przed wiekiem dla robotników rolnych, uprawiających pola hrabstwa Kent, były bardzo cienkie.

- Oni się nigdy nie spóźniają - powiedziała Fiona, patrząc na zegarek i zastanawiając się nad wyjaśnieniem, które usatysfakcjonowałyby jej męża, jeśli zjawi się w domu przed jej powrotem.

- Ty masz z nimi rzadko do czynienia - odparł. - Masz do czynienia ze mną, a ja nigdy się nie spóźniam.

Nie oponowała. Miał rację. Bardzo rzadko widywała Rosjan; zbyt wielkie było prawdopodobieństwo ich inwigilacji przez ludzi z wywiadu wojskowego.

- A dla człowieka kontaktującego się z nimi regularnie spóźnienia są chlebem powszednim. - Był zadowolony, że przyznając się do tych kontaktów, może podkreślić własne znaczenie.

Mimo woli niepokoiła się o los Rosjanina, który wyraził chęć przejścia na drugą stronę. Zauważył, że stoi sama i podszedł do niej jakby pod wpływem impulsywnej decyzji. Czy był to podstęp KGB? Widziała go tylko ten jeden raz, ale wydał jej się człowiekiem naturalnym i szczerym.

- Musi to być trudne dla takich ludzi jak Blum - powiedziała.
- Co musi być trudne?
- Praca w obcym kraju. Jest młody, czuje się samotny, tęskni za żoną. Być może inni stronią od niego, ponieważ jest Żydem.

- Bardzo w to wątpię - rzekł Martin. - Był trzecim sekretarzem w biurze tego radcy; cieszył się zaufaniem i pobierał wysoką pensję. Mały drań chciał koniecznie pokazać, że jest ważny.

- Rosyjski Żyd z niemieckim nazwiskiem - stwierdziła Fiona. - Ciekawa jestem, jaka była jego motywacja.

- Nie spróbuje tej sztuczki po raz drugi - zapewnił ją Martin. - A biuro radcy

zostanie trafione rakieta z Moskwy. - Myśl ta wywołała na jego twarzy uśmiech zadowolenia. - Wszystko będzie szło przeze mnie, tak jak przedtem, przed pojawieniem się Bluma.

- A może był to podstęp?
- Żeby sprawdzić, czy jesteś wobec nich lojalna? Żeby upewnić się, że nie jesteś podwójną agentką i że w gruncie rzeczy nie pracujesz dla SIS?
- Tak - odpowiedziała. - Coś w rodzaju egzaminu. - Uważnie przyglądała się Martinowi. Bret Rensselaer, jej łącznik, który sprawował nadzór nad tym podwójnym życiem, stwierdził, że jego zdaniem Blum działa na polecenie Moskwy. Nawet gdyby tak nie było - tłumaczył - to lepiej stracić szansę na pozyskanie wysoko uplasowanego agenta, niż narazić ją na niebezpieczeństwo.

Czasem żałowała, że nie potrafi podchodzić do życia z tak pełnym bezwzględności dystansem, jaki demonstrował Bret. Tak czy owak, nie mogła sprzeciwić się jego poleceniom i wcale nie była pewna, czy ma na to ochotę. Ale co będzie dalej?

Martin, rozważając widocznie tę możliwość, posłał jej przebiegły uśmiech. - No cóż, jeśli był to egzamin, to zdałaś go na piątkę - powiedział z dumą.

W tym momencie po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak wielkie nadzieje pokłada w niej Martin. Czuł się z nią związany; była jego inwestycją, a on za żadną cenę nie mógłby pogodzić się z myślą, że jego protegowana nie jest najważniejszym agentem sowieckim w najnowszych dziejach świata.

- Robi się późno.
- Spokojnie, spokojnie. Dostarczymy cię na czas do pociągu. Bernard wraca dziś z Berlina, prawda?

Nie odpowiedziała. Martin nie miał prawa pytać o takie sprawy, nawet w trakcie przyjaznej konwersacji.

- Kontroluję czas - powiedział. - Nie denerwuj się.

Uśmiechnęła się. Było jej teraz przykro, że potraktowała go tak ostro. Rosjanie uważali, że łączą ich silne więzy wzajemnej sympatii, że dobroduszny sposób bycia Martina i jego niewzruszone przekonania polityczne stanowią ważny element składowy entuzjazmu, z jakim Fiona służy ich sprawie. Nie chciała dostarczać im powodów do weryfikacji tej teorii.

Rozejrzała się po małym pokoju, zadając sobie w myślach pytanie, czy Martin stale tu mieszka, czy też jest to tylko punkt kontaktowy, wykorzystywany podczas innych tego rodzaju spotkań. Wydawał się zamieszkały; artykuły spożywcze w

kuchni, węgiel obok kominka, otwarte listy wetknięte za tykający na kominku zegar, wykarmiony kot włączający się po dobrze utrzymanym ogrodzie. Na ścianie, za nieskazitelnie czystym szkłem, żaglowiec na pełnym morzu. Było tu mnóstwo książek: Lenin, Marks, a nawet Trocki stali na półkach obok jego ukochanych Fabianów, encyklopedii socjalizmu oraz dzieł Rousseau i Johna Stuarta Milla. I nudnawe książki jego ojca. Było to sprytne posunięcie. Nawet doświadczony pracownik kontrwywiadu nie podejrzewałby o współpracę z KGB człowieka tak otwarcie przyznającego się do znajomości poglądów dysydentów, rewizjonistów i zdrajców. To był kamuflaż Martina: grał rolę pomyłonego, staroświeckiego, brytyjskiego teoretyka lewicy, nie nadążającego za bieżącymi wydarzeniami politycznymi.

- Chodzi mi o mojego syna, Billy'ego. Miał dziś rano spuchniętą szyję - powiedziała Fiona, jeszcze raz spoglądając na zegarek. - Niania zamierzała mniej więcej o tej porze zawieźć go do lekarza. Ta niania jest rozsądną dziewczyną.

- Oczywiście. - Martin był przeciwny zatrudnianiu nianiek i innych domowych niewolników. Przypominało mu to własne dzieciństwo i mieszane uczucia, jakie żywił wobec ojca, o którym nawet teraz trudno mu było myśleć. - Nic mu nie będzie.

- Mam nadzieję, że to nie świnka.
- Kontroluję czas - powtórzył.
- Dobry, niezawodny Martin.

Uśmiechnął się i wypuścił kłąb dymu z fajki. Właśnie to pragnął usłyszeć.

Posłańcem okazał się długowłosy młodzieniec, który przyjechał na rowerze. Oparł go o płot, przeszedł przez ogród i zastukał do drzwi. Kanarek zbudził się i zaczął skakać z pręcika na pręcik tak energicznie, że cała klatka tańczyła jak na sprężynie. Martin otworzył drzwi i wrócił z arkuszem papieru, który wyjął z zaklejonej koperty. Wręczył go Fionie. Był to drukowany rachunek od miejscowego kwaciara. W poprzek arkusza ktoś napisał flamastrem: „Zamówiony wieniec został dostarczony zgodnie z poleceniami otrzymanymi od klienta”. Rachunek opatrzony był również czerwoną, owalną pieczęcią: ZAPŁACONO.

- Nic nie rozumiem - zdziwiła się Fiona.
- Blum nie żyje - wyjaśnił cichym głosem.
- Mój Boże!

Martin spojrział na nią uważnie. Jej twarz była blada jak papier.

- Nie martw się - rzekł uspokajającym tonem. - Wyszłaś z tego wszystkiego biała jak śnieg. - Nagle zdał sobie sprawę, że wstrząsnęła nią wiadomość o śmierci Bluma. Rozpaczliwie próbując ją pocieszyć, powiedział: - Nasi towarzysze mają skłonność do nieco operetkowych gestów. Zapewne odesłali go po prostu do Moskwy.

- Więc po co...?

- Żeby dodać ci pewności siebie. Żebyś poczuła się ważna. - Zdjął z półki kawałek sukna i owinął nim szczelnie klatkę, by zapewnić kanarkowi ciemność.

Fiona patrzyła na niego, próbując odkryć, co naprawdę myśli, ale nie była pewna słuszności swej diagnozy.

- Uwierz mi - dodał Martin. - Ja ich dobrze znam.

Postanowiła mu uwierzyć. Być może, była to typowo kobieca reakcja, ale nie potrafiła wziąć na swoje sumienie śmierci Bluma. Nie potrafiła dzielnie znosić cierpień zadawanych innym, a przecież do tego właśnie sprowadzała się jej praca.

Wróciła do domu nieco po wpół do dziewiątej. W dziesięć minut później zadzwonił Bret Rensselaer. - Wszystko w porządku? - spytał lakonicznie.

- Tak, wszystko w porządku.

- Co się stało?

Wyczuł coś w jej głosie. Odczytywał jej emocje tak nieomylnie, że czasem ją to przerażało. Bernard nie domyśliłby się nigdy, że jest czymś przygnębiona.

- Nic się nie stało - odpowiedziała, starannie kontrolując ton swego głosu. - Nic, o czym moglibyśmy rozmawiać.

- Czy jesteś sama?

- Tak.

- O tym samym czasie; w tym samym miejscu.

- Bernarda jeszcze nie ma. Powinien już być w domu.

- Zaaranżowałem drobną przeszkodę... opóźniłem jego bagaż na lotnisku.

Chciałem być pewien, że jesteś już w domu i że wszystko w porządku.

- Rozumiem. Dobranoc, Bret. - Odłożyła słuchawkę. Bret robił to dla jej dobra, ale wiedziała, że demonstrowanie tego rodzaju wpływu na losy jej męża sprawia mu satysfakcję. Był jeszcze jednym mężczyzną, czującym potrzebę okazywania swojej władzy. Jego postawa miała również mglisty podtekst seksualny,

który budził w niej instynktowną awersję.

5

Somerset, Anglia, lato 1978.

Dyrektor Generalny był enigmatyczną postacią, prowokującą personel do wielu dyskusji. Pewnego roku, w okresie Bożego Narodzenia, kazał na przykład powiesić na ścianie obok swego biurka elegancką plakietkę z wygrawerowanym napisem: „Tylko ignorancja jest niezwycięzona”. Pytań, jakie nasuwał ten przedmiot, nie wyczerpało wyjaśnienie, że jest to gwiazdkowy prezent od jego żony.

Jego gabinet tonął w nieopisanym chaosie, a sprzątaczkę zaglądały do niego tylko od czasu do czasu. Wszędzie leżały sterty książek. W większości z nich tkwiły kolorowe paski papieru, którymi jego wierny asystent zaznaczał - bezskutecznie - ważne materiały źródłowe.

Sir Henry Clevemore był przyczynkiem do prowadzonych od dawna przez Breta Rensselaera badań antropologicznych, poświęconych rasie Anglików. Bret zaliczył D-G do typowych przedstawicieli klasy wyższej. Ten wysoki, zgarbiony mężczyzna, którego kosztowne garnitury wyglądały jak workowate kombinezony robocze, różnił się zasadniczo od wszystkich ludzi, których Bret poznał w USA. Był nie tylko ekscentrykiem, lecz w dodatku starał się budzić w swych pracownikach przekonanie, że jest schorowany, głuchy i roztargniony. Grając przed nimi tę wymyśloną przez siebie rolę, zapewnił sobie ich pełną sympatię i lojalność, jakiej mógłby mu pozazdrościć niejeden bardziej wymagający szef.

Jednym z uciążliwych aspektów współpracy z Dyrektorem Generalnym był jego zwyczaj podróżowania po kraju w sposób całkowicie bezplanowy i niezorganizowany. Bret musiał stale za nim podążać, wyznaczał mu bowiem spotkania w odległych, trudno dostępnych miejscowościach. Dziś byli w Somerset. W trosce o dyskrecję D-G

zaprowadził go do małej drewnianej chatki. Widać z niej było tereny sportowe niewielkiej prywatnej szkoły, której Sir Henry był sumiennym kuratorem. Wygłosił już mowę do uczniów i zjadł lunch z dyrektorem. Bret, zawiadomiony w ostatniej chwili, musiał prosić kierowcę o pośpiech i pędzić na złamanie karku. Nie miał czasu na lunch. Ale w tak upalny dzień potrafił zrezygnować z lunchu i nie czuł się pokrzywdzony.

Z terenów szkolnych roztaczał się piękny widok na potężne drzewa, malownicze pagórki i pola uprawne. Taki właśnie angielski krajobraz inspirował wielu pejzażystów; mimo jaskrawych kolorów widok był nastrojowy i tajemniczy. W

powietrzu unosił się ostry aromat świeżo skoszonej trawy. Bret, choć nie miał skłonności do kataru siennego, odczuwał podrażnienie zatok nosowych. Była to przypadłość spotęgowana przez stres i niemądrym byłoby twierdzenie, że perspektywa spotkania z Dyrektorem Generalnym nie przyczyniła się do jej nasilenia. Przez okna chatki pokryte pajęczynami widzieli dwa zespoły ubranych na biało chłopców, którzy wykonywali zawile ćwiczenia gimnastyczne składające się na mecz krykieta. D-G, chcąc uczcić to wydarzenie, włożył białe spodnie, poźółkłą ze starości lnianą marynarkę i słomkowy kapelusz. Usiadł w fotelu, z którego mógł obserwować przebieg meczu. Przetarł szybę, Bret natomiast widział wszystko przez warstwę kurzu. Wolał stać, niż usiąść na wskazanej mu przez Sir Henry'ego beczce po nafcie przykrytej kawałkiem materiału. Śledził jednym okiem przebieg meczu, gdyż D-G komentował go od czasu do czasu, zasięgając jego opinii na temat zagrań zawodników.

- Jeśli powie się o tym mężowi - powiedział Sir Clevemore, potrząsając ze smutkiem głową - nasza tajemnica przestanie być tajemnicą.

Bret wstrzymał się przez chwilę z odpowiedzią. Stwierdził już poprzednio zupełnie jasno, że jego zdaniem mąż Fiony Samson powinien zostać o wszystkim poinformowany: o tym, że jego żona jest podwójną agentką i przygotowuje się do przejścia na drugą stronę.

- Zobaczą się z nią jeszcze dziś - rzekł w końcu. Miał nadzieję, że uzyska zgodę Sir Henry'ego i będzie mógł odbyć odpowiednią rozmowę również z jej mężem. Do wieczora wszystko powinno zostać wyjaśnione.

- Jak przebiegają jej przygotowania? - spytał D-G.

Bret zrobił kilka kroków i odwrócił się. Widząc tę charakterystyczną reakcję, D-G zrozumiał, że jeśli w zarodku nie stłumi potoku jego wymowy, będzie musiał wysłuchać jednego ze słynnych wykładów Breta. Usadził się wygodnie w swoim fotelu i czekał na okazję do przerwania mu. Bret nie mógł rozmawiać o tym z nikim innym. Ale Sir Henry wiedział, że nie może zapewnić mu audytorium, które wysłuchiwałoby jego opinii. - Jeśli chcemy obsadzić ją w roli, w której będzie mogła dokonać tego, czego obaj od niej oczekujemy, nie możemy zdać się na przypadek.

- Brawo! - zawołał D-G, reagując na dalekie wybicie piłki. Odwrócił się do Breta z uśmiechem. - Nie mamy zbyt wiele czasu, Bret.

- Potrzebujemy dziesięciu lat, panie dyrektorze; może więcej.

- Czy upierasz się przy tym twierdzeniu?

Bret spojrział na swego przełożonego. Obaj wiedzieli, o czym myśli. Chciał, aby Fiona Samson zajęła wyznaczone stanowisko przed jego odejściem na emeryturę. Mimo skromnego sposobu bycia, który stanowił jego *modus operandi*, pragnął chwały.

- Owszem, Sir Henry.
- Miałem nadzieję, że doczekamy się wyników nieco wcześniej.
- Sir Henry, z punktu widzenia Moskwy Fiona Samson jest jedynie agentem

ulożonym na potencjalnie korzystnej pozycji. Nigdy nic dla nich nie zrobiła.

Nigdy im niczego nie dostarczyła.

- Więc jakie masz plany wobec niej?
- Powinna zostać oddelegowana do Berlina. Chcę, żeby mogli jej się dokładniej przyjrzeć.

• To może przyspieszyć całą sprawę. Zaczną zastanawiać się, jak ją szybko przerzucić na drugą stronę.

• Nie, oni chcą, żeby była w Londynie, gdzie ukryte są naprawdę ważne materiały. - Bret wyjął chustkę do nosa i z zakłopotaniem wysiąkał nos, robiąc to w sposób możliwie najmniej hałaśliwy. - Przepraszam, Sir Henry. To chyba ta świeżo ścięta trawa...

- Więc po co ten Berlin?
- Będzie musiała coś dla nich zrobić.

Sir Clevemore spojrział na niego i zrobił niechętną minę. Nie lubił tych sztuczek, które polegały na udostępnianiu KGB jakichś materiałów. Zawsze dawano im cenne materiały, przekonujące materiały, czyli materiały, które Departament powinien zachować dla siebie. - Co?

• Jeszcze do tego nie doszedłem, panie dyrektorze, ale będziemy musieli to zrobić i to przed końcem tego roku.

• Czy możesz zapoznać mnie nieco dokładniej ze swoim sposobem myślenia? Poczekaj chwilę, ten chłopak dobrze rzuca.

Bret czekał. Dzień był upalny, trawa jasnozielona, a chłopcy w strojach do krykieta nadawali scenerii typowo angielski charakter, który w innych okolicznościach budziłby jego zachwyty. Piłka była

bardzo szybka, ale odbiła się od trawy i poleciała w bok. Bret powiedział: - Pani Samson jedź do Berlina. Podczas swego pobytu w tym mieście daj im coś ważnego... - widząc, że D-G krzywi się na samą myśl o tym, zrobił przerwę - a my przeprowadzamy wielkie dochodzenie, z którego ona wychodzi bez szwanku. Najlepiej z ich pomocą.

• Chcesz ich sprowokować do zaaranżowania tego w taki sposób, żeby wina spadła na jednego z ich agentów?

- No... tak. To byłoby, oczywiście, idealne wyjście.

D-G nadal śledził przebieg meczu. - Podoba mi się to - powiedział, nie odwracając głowy.

Bret uśmiechnął się posepnie. Solidnie się napracował, ale usłyszał z ust Sir Henry'ego Clevemore'a coś w rodzaju pochwały, chyba że jego uwaga dotyczyła jakiegoś zagrania, którego znaczenia nie pojmował. Ciągnął dalej:

- Potem pani Samson wraca do Londynu, a oni polecają jej siedzieć cicho i spokojnie.
- To zajmie cały rok - przypomniał mu D-G.
- Proszę posłuchać, sir. Możemy oczywiście natychmiast przekazać im panią Samson. Przypomina ona pudło pełne śrub i nakrętek - wszechstronny agent, który zawsze im się przyda. Ale to nie jest szczyt jej możliwości.
- Nie - przyznał Sir Henry, obserwując graczy i zastanawiając się, co zaproponuje mu Bret.
- Musimy popracować nad tą kobietą i usunąć z jej głowy wszystko, co wie.
- Tajne materiały?
- Staram się już od pewnego czasu, żeby nie docierało do niej nic, co może zaszkodzić Departamentowi.
- Jak ona to przyjmuje?
- Planując tę operację, musimy zakładać, że może być przesłuchiwana... przesłuchiwana w podziemiach Normannenstrasse. - W zapadłej nagle ciszy słychać było brzęczenie wielkiej, objającej się o szyby muchy.
- To niemiła myśl.
- Stawka jest wysoka, Sir Henry. Ale gramy tak, żeby wygrać. - Rozejrzał się po wnętrzu chaty. Panował tu nieznośny upał i wszędzie unosiła się woń oleju lnianego i środka do odchwaszczania trawników. Bret otworzył drzwi, żeby wpuścić trochę powietrza.

D-G spojrział na niego uważnie i powiedział: - Dobra burza oczyściłaby atmosferę - takim tonem, jakby był w stanie to załatwić.

Potem dodał: - Słuchając tego, co mówisz, zaczynam się zastanawiać, czy zrobiliśmy słusznie wybierając kobietę.

- Jest już zbyt późno na zmianę planów.
- Niemożliwe. - Nawet Sir Henry odczuwał działanie upału. Wytarł czoło

czerwoną jedwabną chustką, która wystawała z górnej kieszeni jego marynarki.

- Pani Samson wie, do czego zmierzamy. Jeśli wybierzemy innego agenta, będzie znała nasz plan. Pokazałem jej tabele i wykresy. Wie, że naszym celem jest wykwalifikowana, profesjonalna siła robocza. Wie, że zamierzamy ich pozbawić najcenniejszych ludzi i wie, jakie grupy opozycyjne chcemy popierać.

- Czy to nie było trochę przedwczesne, Bret?

- Kiedy już się tam znajdzie, wszystko zależeć będzie od niej. Musi rozumieć naszą strategię tak dobrze, żeby mogła improwizować swoje posunięcia.

- Chyba masz rację. Żałuję, że to nie ty będziesz wyjaśniał to w przyszłym tygodniu Sekretarzowi Gabinetu. Wszystkie te twoje wykresy i cała ta czarna magia... Widzisz, Bret, jeśli nie przekonamy go do zasadniczej koncepcji... Czy wymyśliłeś już kryptonim tej operacji?

- Myślałem, że lepiej będzie nie prosić o to Departamentu.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Wymyślimy go sami. Coś, co sugeruje osłabienie gospodarki, a nie zdradza naszych celów. Masz jakiś pomysł?

- Może operacja „Krwotok”? Albo operacja „Hemofilik”?

- Kojarzy się z krwią, z ranami. Poza tym słowo hemofilik ma w języku angielskim drugie, obraźliwe znaczenie. Co jeszcze?

- Wyciek?

- Wulgaryzm, kojarzący się z oddawaniem moczu. Ale może Splawik?

- A więc Splawik. Tak, oczywiście, Sir Henry.

- Och, mój Boże, ten chłopak jest beznadziejny. Leworęczny, i popatrz, w jaki sposób trzyma kij. - Odwrócił się do Breta. - Czy rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc o przekonaniu go do zasadniczej koncepcji?

Bret doskonale to rozumiał. Gdyby Sekretarz Gabinetu nie dał się namówić na sabotaż gospodarczy, wszyscy zaczęliby się zastanawiać, czy słusznie wybrano do tej operacji Breta. Pani Samson przydzielono by wtedy innego łącznika.

- Istnieje jeszcze jeden problem - powiedział D-G. - Czy Sowieci zaangażują ją tam do służby operacyjnej? Nie możemy zdawać się na przypadek.

- Agent X musi powstać z niczego - stwierdził Bret, dochodząc do wniosku, że wymienianie nazwiska pani Samson może wywołać wątpliwości w umyśle D-G. - Muszę dostarczyć im agenta, który będzie tak dobrze poinformowany i tak doświadczony w jednej, konkretnej dziedzinie, że będą musieli umieścić go na

wybrany przez nas stanowisku.

- Nie bardzo cię rozumiem - rzekł D-G, nie odrywając wzroku od gry.

• Poświęcę najbliższy rok na studiowanie powiązań Rosjan ze wschodniemiecką służbą bezpieczeństwa, szczególnie w obrębie wspólnego dowództwa Stasi i KGB w Berlinie. Przedłożę panu dokładny obraz ich silnych i słabych punktów.

- Czy będziesz w stanie to zrobić?
- Spędziłem większość ubiegłego tygodnia na lekturze Instrukcji

Operacyjnych. Jeśli umożliwi mi pan dokładne przyjrzenie się ich strukturze dowodzenia, moi analitycy stworzą na tej podstawie szczegółowy obraz sytuacji.

Będzie to wymagało czasu, ale zdobędziemy to, o co nam chodzi.

- Ich wywiad pracuje sprawnie - stwierdził D-G.
- Będziemy próbowali ustalić, czego potrzebują... czego nie wiedzą. Mam w swojej sekcji odpowiednich ludzi. Potrafią przesłać cyfry i stworzyć prawdziwy obraz wydarzeń.

• W ekonomii, owszem. Można to zrobić w przypadku statystyki, bankowości, eksportu, importu, kredytów, i tak dalej, ponieważ ma się do czynienia z konkretnymi faktami. Ale nasz przypadek jest o wiele bardziej skomplikowany.

• Z całym szacunkiem, Sir Henry, uważam, że pan się myli - powiedział Bret Rensselaer nieco chrapliwym głosem, zdradzającym jego zdenerwowanie.

D-G zapomniał na chwilę o krzyku i spojrzał na niego uważnie. Bret miał szeroko otwarte oczy i uśmiechał się z wyraźnym przymusem, a jego falujące jasne włosy były w nieładzie. Aż do tej chwili Sir Clevemore nie zdawał sobie sprawy, jak dalece Bret jest pochłonięty swym nowym zadaniem.

Teraz po raz pierwszy poczuł, że ten szaleńczy plan może się udać. Gdyby Bretowi się powiodło, osiągnąłby olśniewający sukces. Wprowadzenie pani Samson do berlińskiej struktury dowodzenia, w której miałyby dostęp do materiałów dotyczących grup opozycyjnych, dysydentów i innych antykomunistycznych organizacji, ułatwiłoby Departamentowi realizację planu gospodarczego wyniszczenia komunistycznego reżimu.

- Czas to pokaże, Bret.
- Istotnie, sir.

Sir Henry potakująco kiwnął głową. Zastanawiał się, czy Breta animuje tak

bardzo perspektywa oderwania się od niezwykle ważnego, ale męczącego świata komisji i przejścia do podniecającej działalności operacyjnej. A może teraz, po odejściu żony, kiedy separacja z nią wydaje się permanentna, ma po prostu więcej czasu. Niewykluczone wreszcie, że utrata żony na rzecz innego mężczyzny stała się dla niego motywacją do potwierdzenia swych możliwości. Być może, jego postawa jest wypadkową oddziaływania wszystkich tych elementów. Sir Clevemore nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, w jak wielkim stopniu źródłem siły i determinacji Breta jest udział Fiony Samson.

- Proszę dać mi wolną rękę, sir.
- Ale dziesięć lat...
- Być może nie powinienem był ustalać sztywnych ram czasowych. - Bolały go zatoki nosowe, odczuł nieodpartą potrzebę ponownego wytarcia nosa i zrobił to.

D-G obserwował go z zainteresowaniem. Nie wiedział, że Bret ma kłopoty z zatokami.

- Zobaczymy, jak się to potoczy. A co z finansami? - Odwrócił głowę i zaczął znów śledzić przebieg meczu. Mocno uderzona piłka spadła na ziemię, a widzowie wydali jęk zawodu.

- Będę potrzebował pieniędzy, które nie mogą przechodzić przez Centralny Fundusz.

- Jest na to wiele sposobów.
- Mam specjalną firmę.
- Zrób to jak chcesz, Bret. Wiem, że nie zmarnujesz tych pieniędzy. O jakiej sumie mówimy, tak mniej więcej?

- Milion funtów w ciągu pierwszego roku. Suma ta powinna być podwajana z każdym następnym rokiem, z uwagi na inflację i kursy walut. Żadnych czeków, żadnych pokwitowań, żadnych zapisów w księgowości.

- W porządku. Będziemy musieli wymyślić sposób przelewania tych pieniędzy. - D-G osłonił oczy złożoną gazetą. Słońce dotarło do punktu, z którego wpadało przez okna do wnętrza. - Czy nie zapomniałem o czymś ważnym?

- Nie, sir.
- Więc nie będę cię zatrzymywał. Jestem pewien, że masz masę roboty.

Popatrz: kapitan wystawił następnego szybkiego gracza. On jest całkiem dobry. Co o tym sądzisz?

- Istotnie jest dobry, sir. Bardzo szybki. Problemy wyłonią się dopiero wtedy, kiedy oddelegujemy panią Samson do pracy w Berlinie. Czy nadal będą kontaktować się z nią za pośrednictwem tego walijskiego socjalisty? Jeśli nie, to będziemy musieli bardzo uważać, dobierając nowego łącznika. Berlin jest zupełnie inny niż Londyn; wszyscy się tam znają.

- I wszyscy się nienawidzą - dodał D-G. - Najlepiej kazać jej wspomnieć im o takiej możliwości i przekonać się, jak na to zareagują.

- Ten Walińczyk jest bardzo przydatny - stwierdził Bret. - Wmówił sobie, że ona jest superszpiegiem KGB. Uważa ją za swoją protegowaną. Nawet gdyby popełniła jakiś okropny błąd, nadal będzie jej ufał. Ale kiedy pani Samson pojedzie do Berlina, będzie miała do czynienia z ludźmi bardziej podejrzliwymi. Wie pan, jak to bywa, kiedy czyjaś zdobycz jest oceniana przez rywala; KGB sprawdzi ją niezwykle dokładnie.

Sir Henry zmarszczył brwi. - Czy chcesz mi w ten obrazowy sposób powiedzieć, że masz wątpliwości? - spytał kwaśno.

- Nie, sir. Jestem pewien, że wyprawa do Berlina jest ważnym elementem całego planu. Mówię po prostu, że będzie narażona na wielki stres.

- No więc powiedz, o co ci chodzi. - D-G wstał, wyprostował się i pochylił głowę, by spojrzeć na Breta sponad swych szkieł.

- Żądamy od niej, żeby porzuciła męża i dzieci. Jej koledzy będą nią pogardzać...

- Kiedy ci to wszystko powiedziała?

- Wcale tego nie mówiła.

- Nie wyrażała żadnych wątpliwości?

- Nie wobec mnie. Jest patriotką, szczerze oddaną sprawie.

D-G pociągnął nosem. - Widzieliśmy już patriotów, którzy zmieniali zdanie, prawda?

- Ona tego nie zrobi - oświadczył Bret stanowczo.

- Więc o co chodzi?

- O jej męża. Należy go wtajemniczyć. Będzie mógł udzielić jej pomocy i zachęty, które okażą się jej bardzo potrzebne. Przejdzie na wschodnią stronę, wiedząc, że mąż utrzyma rodzinę w nienaruszonym stanie. Ta świadomość da jej coś, na czym będzie mogła się oprzeć.

- Och, nie zaczynamy całej rozmowy od początku. - Sir Henry znów zaczął obserwować mecz.

- Powiedział pan, że będę miał wolną rękę.

Sir Henry odwrócił się gwałtownie, a kiedy przemówił, w jego głosie wyraźnie zabrzmiał ton bezwzględnej determinacji.

- Nie przypominam sobie, żebym to powiedział, Bret. To ty prosiłeś mnie o wolną rękę; niemal każdy z pracowników Departamentu prosi o nią przy takiej czy innej okazji. To mnie skłania do zastanawiania się, za co ich zdaniem otrzymuję swoją pensję. Oczywiście, dam ci możliwie jak najwięcej swobody. Będę cię chronił przed zakazami i wskazówkami tych idiotycznych urzędników. Przydzielę ci fundusze w gotówce i będę wysłuchiwał wszystkich szaleńczych pomysłów, z jakimi do mnie przyjdiesz. Ale tajemnica jest tajemnicą. Pani Samson ma szansę wyjść z tego cało tylko pod warunkiem, że jej mąż będzie przerażony i załamany, kiedy ona przejdzie na tamtą stronę. To będzie karta atutowa, która ją ocali. Mniejsza o pomoc i zachętę. Chcę, żeby Bernard Samson szalał z wściekłości. - Uderzył kilkakrotnie trzymaną w rękę złożoną gazetą w brzęczącą muchę, która spadła na podłogę. - Szalał z wściekłości!

- Dobrze, sir. Jestem pewien, że pan wie najlepiej. - Ton Breta nie sugerował bynajmniej, że zmienił on zdanie.

- Owszem, Bret, to wiem najlepiej. - Obaj patrzyli na gracza, który zamachnął się kijem, a potem zatoczył w tył, przewracając drążki bramki. Szybka piłka trafiła go prosto w żołądek. Upadł na ziemię, wijąc się z bólu. Inni gracze zebrali się wokół niego, ale nie robili nic, żeby mu pomóc.

- Dobrze, sir - powiedział Bret. - Będę się zbierał.

- Ona może się wahać. Agenci często odczuwają wątpliwości, kiedy zbliża się krytyczny moment. Jeśli tak będzie, musisz ją nakłonić do posłuszeństwa. Stawka jest zbyt wysoka, żebyśmy mogli pozwolić sobie w ostatniej chwili na zmianę obsady.

Bret stał przez chwilę w miejscu, na wypadek gdyby D-G chciał jeszcze coś dodać. Ale Sir Henry odprawił go gestem ręki.

Bret wyszedł z chatki i ponownie wytarł nos. Niech diabli wezmą to zielsko - pomyślał, postanawiając trzymać się w przyszłości z daleka od meczów krykieta, rozgrywanych na świeżo skoszonej trawie. No cóż, Stary pokazał, że potrafi jeszcze

nas zaskoczyć - myślał dalej. - Cóż to za bezwzględny drań. W żadnych okolicznościach nie wolno o niczym informować Bernarda. A więc to oznaczało hasło: „Tylko ignorancja jest niezwycięzona”. Zanim doszedł do samochodu, ból zatok minął bez śladu. Przyczyną było po prostu napięcie nerwowe.

6

Londyn, sierpień 1978.

Fiona Samson miała trzydzieści jeden lat i zawsze lubiła tajemnice. Początkowo przepadała więc za pracą w Centrali Londyńskiej - najbardziej tajemniczej z wszystkich tajemniczych agend rządowych - ale w miarę jak jej rola podwójnego agenta rozrastała się i stawała coraz bardziej skomplikowana, zaczynała chwilami mieć wrażenie, że wzięła na swe barki zbyt wielki ciężar. Zawsze mówiono, że podwójni agenci tracą w końcu poczucie kierunku i sami nie wiedzą, dla której strony pracują, ale w przypadku Fiony sytuacja wyglądała inaczej. Fiona nie wyobrażała sobie, by mogła kiedykolwiek stać się czynną zwolenniczką reżimów komunistycznych; jej patriotyzm był głęboko zakorzenionym elementem wychowania typowego dla górnych warstw klasy średniej. Źródłem jej dylematu nie były wątpliwości polityczne; bała się, że nie poradzi sobie z przerażająco trudnym zadaniem, jakie zostało jej powierzone. Bernard idealnie nadawałby się do roli podwójnego agenta; jak większość mężczyzn potrafił podzielić swój mózg na poszczególne przegródki i nie łączyć problemów rodzinnych z zawodowymi. Fiona nie umiała się na to zdobyć. Wiedziała, że jej zadanie stanie się z czasem tak wymagające, iż będzie musiała zaniedbywać coraz bardziej męża i dzieci, a potem, bez uprzedzenia, porzucić całą rodzinę, zdając ją na własne siły. Że zostanie napiętnowana jako zdrajczyni i będzie obrzucana błotem. Myśl o tym napawała ją lękiem.

Gdyby mogła porozmawiać o tym z Bernardem, sytuacja wyglądałaby, być może, inaczej, ale kierownictwo postanowiło, że jej mąż nie powinien wiedzieć o planowanej operacji. Tak czy owak nie potrafiła rozmawiać z Bernardem. Miała nie mniej fantazji niż jej ekstrawertyczna siostra Tessa, ale była bardziej opanowana i rzadko ujawniała swoją błyskotliwą osobowość. Czasami, a może nawet często, żalowała, że nie jest taka jak Tessa. Publiczne demonstrowanie swych uczuć - ataków gniewu lub wybuchów fantazji, z których tak słynęła jej siostra - sprawiłoby jej wielką satysfakcję i przyniosło często natychmiastową ulgę, ale ona po prostu nie miała wyboru.

Fiona była piękna w sposób, który izolował ją niekiedy od innych kobiet. Jej uroda miała w sobie chłodną doskonałość, demonstrowaną niekiedy przez modelki pozujące z taką pewnością siebie do zdjęć, które ukazywały się w luksusowych czasopiśmie. Myślała również chłodno i perfekcyjnie; pedantyczni wykładowcy uniwersytetu nagięli jej umysł tak, że uznawała wyższość mężczyzn i rezygnowała z wielu uroków kobiecości, by stać się idealnym surogatem mężczyzny. Niechętnie i rzadko dzieliła się z otoczeniem swoimi smutkami, kłopotami i radościami. Ojciec nauczył ją, że należy starannie ukrywać wszystkie uczucia. Był pozbawionym wrażliwości i apodyktycznym człowiekiem, który zawsze chciał mieć synów. Informował o tym przy każdej okazji swoje dwie córki, tłumacząc im, że chłopcy nigdy nie płaczą. Małżeństwo Fiony z Bernardem Samsonem na zawsze zmieniło jej życie. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Nigdy przedtem nie spotkała kogoś takiego jak Bernard. Wysoki i potężny jak niedźwiedź, był najbardziej męskim przedstawicielem

swojej płci, jakiego kiedykolwiek poznała. W każdym razie posiadał cechy, które ona uważała za męskie. Był praktyczny. Potrafił naprawić każdą maszynę i znaleźć wspólny język z ludźmi najróżniejszego pokroju. Oczywiście, był męskim szowinistą; uparty i apodyktyczny. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby pomóc jej w pracach domowych i nie potrafił nawet ugotować jajka. Z drugiej strony - zawsze pogodny - niemal nigdy nie wpadał w ponury nastrój i był całkowicie pozbawiony napastliwości. Miał skłonność do abnegacji, nie przywiązywał wagi do sposobu ubierania się ani do własnego wyglądu. Nigdy niczego nie udawał i choć lubił sztukę oraz muzykę, nie starał się uchodzić za „intelektualistę” czy „artystę”, o co tak gorączkowo zabiegali inni znani jej mężczyźni.

Mąż Fiony był jedynym znanym jej człowiekiem całkowicie nie liczącym się z tym, co myślą o nim inni. Troskliwy ojciec, szczerze mówiąc, bardziej przywiązany do dzieci niż ona. Wbrew ostrzeżeniom jej ojca nie był też pozbawionym motywacji i ambicji nieudacznikiem. Motywem jego działań była jakaś siła, wiara czy idea, jaką o władni bywają ponoć wielcy artyści, i można współczuć każdemu, kto stanąłby na jego drodze. Współzycie z nim nie należało do łatwych. Wychował się w powojennym Berlinie - jego ojciec był wysokim oficerem wywiadu - w atmosferze przemocy i zdrady. Był z natury twardy i skryty. Zabijał ludzi w trakcie wykonywania swych obowiązków i robił to bez wyrzutów sumienia. Dobrze przystosowany i obdarzony wiarą we własne siły - co budziło w niej zdziwienie i zazdrość.

Źródłem ich problemów małżeńskich było wzajemne podobieństwo: żadne z nich nie potrafiło wygłaszać zdań, które mąż i żona muszą czasem wypowiadać, by utrzymać swój związek. Nawet słowa „kocham cię” nie przychodziły Bernardowi łatwo. W gruncie rzeczy idealną żoną byłaby dla niego taka hałaśliwa ekstrawertyczka jak Tessa. Umiałaby może skłonić go do wyjścia ze skorupy. Gdyby choć bywał od czasu do czasu głupi lub trywialny. Gdyby potrafił dzielić się z nią wątpliwościami i przychodzić do niej po pociechę. Fiona nie potrzebowała silnego, milczącego mężczyzny; ona sama była silna i milcząca. Bernardowi trudno było zrozumieć kobiecy sposób widzenia świata i nigdy nie potrafił pojąć przyczyn, skłaniających kobiety do płaczu „bez żadnego powodu”.

W ostatnim okresie zawiłe komplikacje związane z życiem zawodowym Fiony często okazywały się dla niej zbyt ciężkim brzemieniem. Zażywała środki uspokajające i nasenne tak często jak nigdy dotąd. Bernard, wchodząc niespodziewanie do domu, kilkakrotnie przyłapał ją na płaczu. Powiedziała mu, że przechodzi jakąś kurację zaleconą przez ginekologa, a dobry stary Bernard był zbyt nieśmiały, by żądać szczegółów.

Kiedy myśli i troski zanadto jej ciążyły, wychodziła pod jakimś pretekstem z biura i szła piechotą na Dworzec Kolejowy Waterloo. Bardzo polubiła tę stację. Jej rozmiary sugerowały trwałość, a belkowana konstrukcja i surowy wystrój nadawały anonimowość; przypominała wielką poczekalnię, zbudowaną z gotowych elementów. Wpadające przez brudny, szklany sufit światło było szare, nasycone kurzem, tajemnicze. Dziś, mimo deszczu, przyszła tu z biura piechotą i spacer dobrze jej zrobił. Siedziała na ławce ustawionej niedaleko pierwszego peronu i spokojnie wypłakiwała się sama przed sobą. Nikt nie zauważał tych jej wewnętrznych kryzysów; tylko raz jakaś dama z Armii Zbawienia zaoferowała jej udział we wspólnych modlitwach i wręczyła jakiś adres w Lambeth. Szloch nie budził na stacji Waterloo niczyjego zdziwienia. W tej dzielnicy rozwody były chlebem powszednim, a poza tym tu właśnie zbierali się ludzie bezdomni i głodni. Mogłaby równie dobrze wypłakiwać się na londyńskim lotnisku, ale stwarzało to zbyt wielką szansę spotkania kogoś znajomego. Albo, mówiąc dokładniej, kogoś, kto ją znał. Poza tym stacja

Waterloo mieściła się niedaleko biura, można tu było kupić gazety i wypić herbatę, łatwo było o taksówki i miejsca parkingowe. Poszła więc na peron pierwszy i zaczęła płakać.

Najgorsza była, oczywiście, perspektywa rozstania z Bernardem i dziećmi. Wiedziała, że w końcu zaczną jej nienawidzić. Nawet gdyby zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwano, i wróciła jako bohaterka, będą jej nienawidzić za to, że ich opuściła. Znienawidzi ją też własny ojciec. I własna siostra. A co się stanie z jej dziećmi? Pytała o to Breta, ale on zbył jej obawy. Dzieci zostaną otoczone opieką, na jaką zasługuje jej poświęcenie i heroizm - powiedział z tym teatralnym namaszczeniem, które uchodziło mu płazem, ponieważ mówił z tak wielką pewnością siebie. Ale na ile był szczery? Ta wątpliwość niekiedy budziła jej niepokój. Tak czy owak nie mogła powstrzymać się od podejrzenia, że jej dzieci zostaną zapomniane, gdy tylko ona podejmie już pracę na Wschodzie. Billy był w stanie znieść szkołę z internatem i zapewne czułby się w niej doskonale, ale Sally nie wytrzymałaby pobytu w takim otoczeniu. Fiona stanowczo nie chciała narażać swych dzieci na przeżycie dzieciństwa, którego ona sama tak bardzo nienawidziła.

Bret tłumaczył jej, że jedyne, czego boi się bardziej niż świadomości, że mąż i dzieci nie mogą dać sobie bez niej rady, jest perspektywa odkrycia, iż radzą sobie bez niej zupełnie dobrze. Drań! Ale, być może, było w tym źdźbło prawdy. Być może na tym polegał permanentny, bolesny dylemat, jaki niosło ze sobą macierzyństwo.

Prześladowała ją świadomość, że nigdy nie była bardzo dobrą matką. Nigdy nie pragnęła macierzyństwa tak rozpaczliwie jak Tessa. Fiona nigdy nie lubiła niemowląt. Drażniły ją dzieci przyjaciółek; stałe się czegoś domagały i doprowadzały dom do ruiny. Dzieci głośno płakały, dzieci często wymiotowały i miały śmierdzące pieluchy. Nawet obejmując własne dzieci, zawsze bała się, że poplamia jej suknię. Ich niańka wyczuła to już na samym początku i Fiona do tej pory pamiętała jej pełne wyrzutu spojrzenie. Mówiło ono: ja jestem ich prawdziwą matką, ty nie dorosłaś do tego, żeby się nimi opiekować.

Fiona nie umiała radzić sobie z dziećmi, ale nie chciała być bezdzietną mężatką. Chciała odfajkować na liście swych obowiązków pozycję: „macierzyństwo”. Stała niepokoila się o dzieci i chciała, żeby dobrze się uczyły, a najbardziej cieszyła ją perspektywa wspólnego życia, kiedy będą już dorosłe. Ale właśnie teraz najbardziej jej potrzebowały. Być może, nie jest jeszcze zbyt późno. Być może, mogłaby wyjść z budynku Centrali Londyńskiej i zająć się dziećmi z takim samym zapałem, z jakim zajmowała się studiami i pracą.

Nie było ani jednego dnia, w ciągu którego nie mówiłaby sobie, że powinna pójść do Breta i powiadomić go o zmianie decyzji. Ale podczas każdej rozmowy - zanim jeszcze udało się doprowadzić do pożądanego punktu - Bret przekonywał ją, że ma przede wszystkim obowiązki wobec kraju i wobec Departamentu. Nawet Dyrektor Generalny mówił z niezwykłą powagą o planie obsadzenia jej w roli agenta operacyjnego, niezwykle ważnego agenta. Dowiodłoby to, oczywiście, że kobiety mogą pracować w wywiadzie i odnosić takie same sukcesy jak mężczyźni. Ta świadomość, bardziej niż cokolwiek innego, podtrzymywała ją na duchu w chwilach zwątpienia.

Od początku roku spory i konflikty z Bernardem nasiliły się. Nie była to wyłącznie wina Bernarda; on też przeżywał trudny okres. Operacja „Reisezug” skończyła się czymś w rodzaju katastrofy; według krążących plotek zginęli trzej ludzie Departamentu. Max Busby zakodował w pamięci mnóstwo materiałów, ale Max Busby nie wrócił. Bernard nigdy o tym nie mówił, ale każdy, kto go znał, widział, jak bardzo jest wstrząśnięty.

Bernard przebywał teraz na „odpoczynku”, czyli nie musiał się zajmować

działalnością operacyjną. Bret Rensselaer, chcąc dodać Fionie otuchy, dał jej do zrozumienia, że Bernard spędzi resztę życia za biurkiem. Ale nie za biurkiem szefa Sekcji Niemieckiej. Tę funkcję otrzymał Dicky Cruyer, człowiek płytki i próżny. Bernard był poważnym kandydatem na to stanowisko i potrafiłby wykazać się na nim większą fachowością oraz inteligencją, ale Dicky miał doświadczenie w pracy administracyjnej oraz pochodzenie i rodzaj osobowości, które - w myśl panujących w Departamencie przekonań - powinni posiadać wysocy funkcjonariusze Firmy. Bernard twierdził, że jedynym atutem Dicky'ego jest krawat dobrej szkoły, ale Bernard bywał na tym punkcie trochę przewrażliwiony. Fiona zastanawiała się, czy Bret nie storpedował awansu Bernarda ze względu na jej misję, ale Bret twierdził uparcie, że ta decyzja zapadła na samej górze.

Była przekonana, że jej życie osobiste mogłoby ulec przeobrażeniu, gdyby Bret pozwolił jej zwierzyć się ze wszystkiego mężowi. W obecnej sytuacji nie zawsze mogła wyjaśnić mu przyczyny swej nieobecności. Było to wystarczająco trudne, gdy musiała jedynie spotykać się od czasu do czasu z Martinem Euanem Pryce-Hughesem. Teraz musiała odbywać nieskończone narady z Bretem i studiować liczne dokumenty. W dodatku były to materiały, których nie mogła pokazać Bernardowi. Bernard był bystry i inteligentny. Gdyby popełniła choć kilka błędów, szybko domyśliłby się prawdy, a D-G oznajmił jej osobiście, że jeśli Bernard odkryje ich plan, będą musieli zrezygnować z realizacji.

Biedny Bernard; biedny Billy; biedna Sally. Siedząc na ławce na stacji Waterloo, rozmyślała o nich wszystkich. Płacz złagodził jej napięcie, ale nie przyczynił się do uśmierzenia bólu. Popłakała jeszcze przez chwilę - w internacie nauczyła się płakać dyskretnie i powściągliwie, z zachowaniem godności - a potem spojrzała na drugi koniec hali dworcowej, pełnej spieszących się i żegnających z najbliższymi pasażerów. Powiedziała sobie, że, być może, mają oni większe kłopoty niż ona, ale nie przyniosło jej to ukojenia; w gruncie rzeczy poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Pogoda nie mogła wpłynąć na poprawę nastroju. Był to jeden z owych nieprzyjemnie chłodnych i deszczowych dni, które tak często trafiają się w Anglii podczas lata. Wszyscy chodzili w płaszczach i owijali się szalikami, a przenikliwa wilgoć wpędzała Fionę w jeszcze głębszą depresję. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały. Jakaś młoda kobieta spytała ją o godzinę, a para starych ludzi przeszła obok, kłócąc się zawzięcie. Z dźwigarów podtrzymujących dach sfruwały w dół gołębice i jaskółki, wabione przez siedzącego na pobliskiej ławce brodatego mężczyznę, który rzucał im okruchy chleba. Fiona przez długą chwilę przyglądała się ptakom.

- Przepraszam panią. - Podniosła wzrok i dostrzegła dwóch mężczyzn:

umundurowanego policjanta kolejowego i człowieka w cywilnym ubraniu.

- Czy rozmawiała pani przed chwilą z jakąś młodą kobietą? - spytał policjant.

W pierwszej chwili pomyślała, że chcą jej kazać opuścić dworzec, aresztować pod zarzutem prostytucji lub przyczepić się do niej pod innym pretekstem, ale natychmiast zorientowała się, że mężczyzna w cywilnym ubraniu nie jest policjantem.

- O co chodzi?

- W ciemnoniebieskim płaszczu i czerwonym jedwabnym szaliku. Ciemne włosy. Młoda dziewczyna. - Tym razem wypytywał ją mężczyzna w płaszczu z

wielbłądziej wełny. Ku jej zaskoczeniu zdjął z głowy kapelusz, jakby chcąc okazać szacunek, i trzymał go w opalonej dłoni. Wydawał się zdenerwowany.

- Pytała mnie tylko o godzinę. Złapała pociąg do Southampton - odparła Fiona. Przerwała jej rozbrzmiewająca echem, niewyraźna zapowiedź, dotycząca jakiegoś pociągu, więc musiała poczekać na jej zakończenie. - W każdym razie powiedziała mi, że zamierza do niego wsiąść.

- Miała ze sobą dużą zieloną plastikową torbę z paskiem na ramię - rzekł mężczyzna.

Doszła do wniosku, że jest to pytanie.

- Miała jakąś torbę - potwierdziła. - Ale nie zauważyłam w niej nic szczególnego.

- Czy nic pani nie dolega? - spytał policjant. Widocznie zauważył jej zaczerwienione i załzawione oczy.

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała stanowczo. Zerknęła na zegarek i wstała z ławki, by pokazać im, że zamierza odejść.

Policjant kiwnął głową. Chciał jej wierzyć; nie szukał dodatkowych kłopotów. - To była córka tego pana - wyjaśnił Fionie.

- Nazywam się Lindner. Adam Lindner. Ona ma dopiero szesnaście lat - mówił nieznajomy mężczyzna. - Uciekła z domu. Wygląda na starszą. - Miał miękki, transatlantycki akcent, który nie kojarzył jej się z żadnym konkretnym krajem.

- Zatelefonujemy do Southampton - powiedział policjant energicznym tonem. - Zatrzymają ją, kiedy pociąg dojedzie na miejsce.

- Czy ktoś jej towarzyszył? - spytał autorytatywnym tonem mężczyzna.

Fiona przyjrzała mu się uważnie. Był wysoki i dobrze zbudowany; chyba zbliżał się do czterdziestki. Miał bujne, ale starannie przystrzyżone włosy, opadające na końcach brwi, nos nieco kulfonowaty i pobrużdżoną twarz. Był przystojny w sposób nie rzucający się w oczy, jak grający twardych mężczyzn gwiazdorzycy filmowi, których fotografie wieszala sobie nad łóżkiem, kiedy była jeszcze w szkole. Ubrany kosztownie, ale zbyt elegancko, w stylu, który przyswajają sobie cudzoziemcy pragnący uchodzić za Anglików: piękny płaszcz z wielbłądziej wełny, kwiecisty krawat ze złotą spinką, przechodzącą przez kołnierzyk koszuli, lśniące półbuty.

- Owszem - odparła. - Był z nią jakiś mężczyzna.

- Czarny?

- Być może, nie zauważyłam. Tak, chyba tak.
- To nam ułatwia zadanie - stwierdził policjant.

Powiew wiatru poruszył porzuconymi gazetami i innymi śmieciami na tyle gwałtownie, by przestraszyć ptaki. Mężczyźni mieli zamiar odejść.

• Mamy numer pańskiego telefonu, panie Lindner - powiedział policjant. -
Gdy tylko otrzymamy wiadomość z Southampton, oficer dyżurny da panu znać. -
Wyraźnie się spieszył. Miał widocznie inne zajęcia.

- Czy to już wszystko? - spytała Fiona. - Muszę złapać taksówkę.

• Jadę w kierunku Maida Vale - oznajmił mężczyzna. - Czy mogę panią podwieźć? - Nadal nie potrafiła zidentyfikować jego

akcentu. Doszła do wniosku, że jest marynarzem ze statku handlowego lub pracownikiem naftowej platformy wiertniczej, który otrzymał wypłatę po upływie długotrwałego kontraktu i wydaje teraz zarobione pieniądze.

- Dam sobie radę - odrzekła.
- Bardzo panią proszę. Znow leje deszcz, a mnie przyda się czyjeś

towarzystwo.

Obaj nieznajomi patrzyli na nią badawczo. Nienawidziła mężczyzn, którzy oczekują od kobiet tłumaczenia się, traktują je jak obywateli drugiej kategorii. Ale wymyśliła wyjaśnienie. - Odprowadzałam kogoś na pociąg. Mieszkam w Marylebone. Wezmę taksówkę.

• Przecież ja będę przejeżdżał przez Marylebone - powiedział mężczyzna. -
Dziękuję panu, sierzancie, bardzo mi pan pomógł.

• Dzieci zachowują się czasem dziwnie - stwierdził policjant odchodząc. -
Wszystko będzie dobrze, zobaczy pan.

• To był pech - westchnął mężczyzna. - Gdyby pociąg odjeżdżał o kwadrans później, zdążylibyśmy ją zatrzymać. - Fiona szła już w kierunku postoju taksówek, więc przyspieszył i zrównał się z nią. - Proszę spojrzeć, jak leje! Lepiej niech pani jedzie ze mną. - Na postoju stało około pięćdziesięciu osób, a nie widać było ani jednej taksówki.

- No dobrze. Dziękuję.

Ruszyli w kierunku samochodu, rozmawiając po drodze o zdradliwej angielskiej pogodzie. Mężczyzna traktował ją z wielkim szacunkiem, a w jego głosie zaszła jakaś trudna do zdefiniowania zmiana. Uśmiechnęła się do niego. Otworzył

drzwi samochodu i pomógł jej wsiąść. Był to nowy, szary, lśniący jaguar XJS z opuszczanym dachem.

- Pani Lindner jest pewnie bardzo zaniepokojona - powiedziała Fiona. Kiedy silnik zapalił z głuchym warkotem, stereofoniczne radio zaczęło grać jakiegoś walca Straussa. Mężczyzna wyłączył je, odwrócił głowę i ostrożnie wycofał auto z parkingu.

- Nie ma żadnej pani Lindner - odparł, odchylając się w tył, by zobaczyć, co stoi za jego samochodem. - Rozwiodłem się przed pięciu laty. Poza tym ta dziewczyna nie jest moją córką. Jest moją bratanicą.

- Rozumiem.

Pewnie zjechał z podjazdu i wcisnął się między samochody i autobusy; nie prowadził jak człowiek nieprzyzwyczajony do londyńskiego ruchu. - Tak... nie chciałem im mówić, że to moja bratanica; policjanci pomyśleliby natychmiast, że chodzi o jakąś smarkulę, która u mnie zamieszkała.

- Tak pan sądzi?

- Oczywiście. Policjanci rozumują właśnie w taki sposób. Poza tym jestem Kanadyjczykiem i nie mam zezwolenia na pracę w Anglii. - Zagryzł wargi. - Nie chcę mieć do czynienia z policją.

- Czy podał im pan fałszywe nazwisko?

- Tak. W istocie tak właśnie zrobiłem. - Odwrócił ku niej głowę i uśmiechnął się z podziwem.

Fiona kiwnęła głową.

- O, mój Boże! Teraz okaże się, że pani jest funkcjonariuszką Wydziału Imigracji. Ja zawsze mam takie zezowate szczęście.

- Naprawdę?

- Słowo daję. - Pauza. - Nie, pani nie jest policjantką. Pani mnie nie wsypie, prawda?

- Mówi pan poważnie?

- Oczywiście, że mówię poważnie. Pracowałem kiedyś w Sydney, w Australii, i wsypał mnie portier hotelowy. Kiedy wróciłem pewnego dnia, czekali już na mnie dwaj faceci z Imigracji. Przeczytali moje listy, a nawet odpruli podszewkę od ubrań. Ci Australijczycy z nikim się nie patyczkują. Ale w Urugwaju, za dawnych czasów, było jeszcze gorzej. Zabierali człowiekowi wszystko, co miał.

- Wygląda na to, że jest pan ekspertem w dziedzinie nielegalnej imigracji - powiedziała z uśmiechem.

- Och, tak jest o wiele lepiej! Myślałem, że przestała się pani uśmiechać z okazji Wielkiego Postu. Imigracji? Mój kuzyn handluje samolotami. Od czasu do czasu biorę urlop, żeby dostarczyć jeden z nich do nabywcy. Potem ulegam pokusie i pilotuję przez jakiś czas miejscowe samoloty czarterowe, żeby zarobić parę groszy.

- Czy tym właśnie zajmuje się pan w Londynie?

- Samoloty? Nie, to tylko moje hobby. Nauczyłem się latać w wojskach lotniczych i nie zapomniałem tego do tej pory. Ale w prawdziwym życiu jestem psychiatrą.

- Ta pańska bratanica... czy to był kolejny wymysł? - spytała Fiona.

- Nie, nie jestem kompletnym wariatem. Jest córką mojego kuzyna Grega, a ja mam opiekować się nią podczas pobytu w Londynie. Będę musiał chyba zadzwonić do Winnipeg i powiedzieć Gregowi, że zdezerterowała.

- Czy będzie zły?

- Będzie zły, ale nie zaskoczony. Wie, że potrafi się zachowywać jak mała dzikuska.

- Dlaczego właśnie pan...?

- Greg służył ze mną w lotnictwie, a teraz ma spore udziały w firmie handlującej samolotami.

- Rozumiem.

- Jestem psychiatrą, więc myśli, że sprowadzę ją na właściwą drogę.

Miejscowy konował kazał ją po prostu faszerować amitryptyliną i innymi tego rodzaju świństwami.

- Ale pan również nie potrafi jej pomóc?

- Dziewczyny, które... - Nonszalancka odpowiedź, jakiej zamierzał jej udzielić, zamarła mu na ustach. - Naprawdę chce pani to wiedzieć? Być może, przeżywa schizofreniczną reakcję na dojrzewanie, ale taką diagnozę mógłby postawić tylko specjalista z o wiele większym doświadczeniem.

- Czy jej ojciec zna tę pańską opinię?

- Sam nie wiem, dlaczego pani o tym mówi... Nie, jest jeszcze zbyt wcześnie, by mu o tym powiedzieć. Byłby to ciężki cios dla rodziców. Chcę z kimś o niej porozmawiać. Chciałem zaaranżować to w taki sposób, żeby przyjrzał jej się

jakiś specjalista, ale bez jej wiedzy. - Znów zerknął na Fionę. - Teraz moja kolej na domysły. Założę się, że jest pani studentką filozofii. Zgadłem, panno...? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Pani Samson. Jestem mężatką i mam dwoje dzieci.
- Naprawdę? To niemożliwe! Dwoje dzieci... muszą być bardzo małe.

Nazywam się naprawdę Harry Kennedy. Miło mi panią poznać, pani Samson. Tak, może z tej dziewczyny będą jeszcze ludzie. Widziałem już takie przypadki. Nie dzwonię, żeby nie niepokoić jej rodziców. Ona nie zażywa narkotyków. A przynajmniej mam taką nadzieję. Nie idzie jej dobrze w szkole. Nie jest pilną uczennicą. Przepada za przyjęciami, muzyką i tańcem; zawsze taka była, od dzieciństwa. Nie lubi czytać. Ja nie mógłbym żyć bez książek.

- Ja też nie.
- Pani nikogo nie odprowadzała, prawda? - powiedział nagle, nie odrywając oczu od drogi.

- Nie.
- Więc dlaczego siedziała pani na stacji?
- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?
- Jestem bardzo wścibski. Ale miałem szczęście, że Patsy spytała o godzinę

właśnie panią. Pani mnie fascynuje.

- Chciałam spokojnie pomyśleć.
- O czymś smutnym?
- Wszystko jest względne. Ale moje życie układa się pomyślnie, nie mam

prawa narzekać.

-Przydałby się pani drink.

Roześmiała się. - Może ma pan rację - przyznała.

Mijali już Marylebone. Ruch był niewielki. Mogła coś powiedzieć, zażądać, żeby odwiózł ją wprost do domu, ale milczała. Patrzyła na deszcz, na samochody, na ponurych kierowców i na nie kończący się tłum przemoczonych przechodniów. Jej towarzysz wjechał na parking przed dobrze utrzymanym budynkiem mieszkalnym w Maida Vale.

- Niech pani wejdzie na chwilę i wypije drinka - zaproponował.
- Może lepiej nie - odparła, nie ruszając się z miejsca.
- Nie ma się czego bać. Jak pani mówiłem, nazywam się Harry Kennedy.

Mam alergiczny wstręt do zezwoleń na pracę, ale poza tym jestem zupełnie niegroźny. Pracuję na oddziale psychiatrycznym kliniki Świętego Bazylego w Fulham. W końcu załatwią mi zezwolenie na pracę i będę odtąd żył długo i szczęśliwie.

- A może przeniesie się pan na nowe pastwiska?
- Niewykluczone.
- I naprawdę jest pan psychiatrą?
- Nie jest to zawód, który wymieniałbym, gdybym chciał zmyślać, prawda?
- Dlaczego?
- Gdyż utrudnia on niesłuchanie wszystkie kontakty towarzyskie. Proszę

spojrzeć, jaki skutek wywarł już na panią.

- Jeden drink.
- A potem odwiozę panią do domu, do męża i dzieci - obiecał.
- W porządku - powiedziała, choć dzieci przebywały pod opieką niańki, a

Bernard był służbowo w Berlinie i miał wrócić dopiero za trzy dni.

Mieszkanie Kennedy'ego mieściło się na drugim piętrze. Szła za nim po schodach. Budynek został wzniesiony w latach trzydziestych i jeśli nie liczyć kilku odłupanych od fasady kawałków granitu, przetrwał wojnę w stanie nienaruszonym.

- Wynajmuję to mieszkanie od zamożnego kolegi z kliniki, który pojechał do Nowego Jorku i będzie pracował aż do kwietnia przyszłego roku w szpitalu Bellevue. Jeżeli przedłużą mu kontrakt, będzie chciał je sprzedać.

Mieszkanie było duże; w latach trzydziestych architekci wiedzieli, na czym polega różnica między sypialnią a służbówką. Kennedy pomógł jej zdjąć mokry płaszcz i powiesił go w przedpokoju. Potem pozbył się własnego płaszcza i cisnął kapelusz na stertę nie otwartych listów, które leżały na stoliku, obok wazy ze sztucznymi kwiatami.

-Stale mam zamiar przekazać mu tę pocztę, ale są to przeważnie oferty biur podróży i firm sprzedających encyklopedie.

Jego trzyczęściowy garnitur z szarej wełny w białe prążki skrojony był według najnowszej amerykańskiej mody i wyszczuplał sylwetkę. Z kieszeni kamizelki zwiisał złoty łańcuszek od zegarka, ozdobiony małym złotym wisiorkiem.

Wprowadził ją do salonu, na tyle przestronnego, że nie wydawał się zatłoczony, choć stał w nim fortepian, dwie sofy i stolik do kawy.

- Proszę wejść. Witamy w Disneylandzie. Niech pani siada. Gin, whisky, wódka, wermut... może *Martini*? Co pani sobie życzy?

Fiona rozejrzała się po pokoju. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by dostosować cały wystrój do modernistycznego stylu budynku.

- *Martini*. Czy gra pan na fortepianie?

Wszedł do kuchni i słyszała, jak otwiera lodówkę. Wrócił z dwoma oszronionymi kieliszkami do *Martini* oraz oszronionymi butelkami ginu i wermutu. Pod pachą niósł pudełko z keksami. Starannie przyrządził dwa cocktaile.

- Zabrakło mi oliwek - powiedział, podając jej drinka. - Służąca wyjada je tak szybko, że nie nadążam z kupowaniem. Jest Hiszpanką. Owszem, trochę gram.

- Wypijam szybkiego drinka, a potem muszę iść.

- Niech się pani nie boi. Odwiozę panią do domu.

- To ładny pokój. - Trzymając kieliszek za nóżkę przyłożyła go do twarzy, rozkoszując się jego lodowatym chłodem.

- Podoba się pani ten wystrój? - Wypił łyk swojego cocktailu i odstawił kieliszek, starannie umieszczając go na podstawce. - Mój kolega odziedziczył to mieszkanie. Jego rodzice byli uchodźcami z Wiednia, lekarzami. Wyjechali na tyle wcześnie, że mogli zabrać ze sobą meble. Musiałem złożyć przysięgę, że nie będę zostawiał szklanek po coca-coli na politurowanych stołach i nie będę palił. Zamierza przetransportować te meble do Nowego Jorku, o ile tam zostanie.

- Są przepiękne.

- To sentymentalny facet. Te meble są chyba w porządku, ale ja wolę coś, do czego można mieć osobisty stosunek. Proszę się poczęstować. - Wskazał ręką drobne, posypane serem herbatniki w pudełku z wizerunkiem pływającego po Renie parowca.

- Nie jestem głodna.

- Czy nie byłoby pani lepiej, gdyby mi pani o tym opowiedziała?

- Nie, nie sądzę.

- Jest pani piękną kobietą, pani Samson. Pani mąż ma wielkie szczęście - powiedział naturalnym tonem, bez cienia nieśmiałości;

żaden ze znanych jej Anglików nie umiałby wygłosić takiego komplementu bez zażenowania pokrywanego nonszalancją.

- Ja też mam szczęście - odparła spokojnie. Wolałaby, żeby na nią nie patrzył; była rozczochrana i miała zaczerwienione oczy.

- Jestem tego pewien. Czy pani drink jest w porządku? Nie za dużo ginu?
- Nie, odpowiadają mi właśnie takie proporcje. - Wypiła trochę, chcąc pokazać, że mówi prawdę. Czowała się nieswojo. Po kilku minutach zdawkowej pogawędki - Kennedy odkrywał przed nią uroki opery - powiedziała: - Czy mógłby pan zadzwonić po taksówkę? O tej porze trzeba na nich czasem czekać godzinami.

- Odwiozę panią.
- Przecież musi pan czekać na telefon z policji.
- Ma pani rację. Ale czy musi pani już jechać?
- Owszem, muszę.
- Czy zobaczę panią jeszcze kiedyś?
- To byłoby jeszcze mniej rozsądne.
- W przyszłym tygodniu - w piątek, może w sobotę - odstawiam do Nicei cenną i odbieram stamtąd learjeta. To wspaniałe zlecenie, niewiele takich mi się trafia. Znam naprawdę dobrą restaurację przy autostradzie, o dwadzieścia minut od lotniska w Nicei. Odwiozę panią do centrum Londynu przed szóstą po południu. Nie, proszę nie odmawiać mi tak bez namysłu. Może miałaby pani ochotę wziąć ze sobą męża lub dzieci? W samolocie są cztery miejsca.

- Chyba nie.
- Proszę to przemyśleć. Taki wyskok może pani dobrze zrobić. - Czy to opinia lekarza?

- Oczywiście.
- Wolałabym, żeby tak nie było.
- Dam pani mój numer telefonu - powiedział Kennedy. Nie czekając na decyzję Fiony, wręczył jej wizytówkę. - Jeśli utrzyma się ta fatalna pogoda, może nabierze pani ochoty na odrobinę słońca Riwiery. - Zerknęła na wizytówkę: Dr H.R. Kennedy, a pod spodem adres w Maida Vale i numer telefonu. - Zamówiłem je w ubiegłym miesiącu w jednym z tych ekspresowych punktów usługowych. Zamierzałem przyjmować tu pacjentów, ale potem z tego zrezygnowałem.

- Rozumiem.
- Naruszylibym w ten sposób warunki wynajmu, a poza tym mogłoby dojść do sporów, gdyby moi pacjenci zaczęli wykorzystywać tutejszy parking. - Podeszedł do telefonu i zamówił taksówkę. -

Zwykle przyjeżdżają szybko - powiedział. - Jestem ich stałym klientem. -

Potem dodał z rozmysłem: - Poza tym, przyjmując tu pacjentów, mógłbym ściągnąć sobie na kark tych facetów z Imigracji.

- Mam nadzieję, że pańska bratanica niedługo wróci.
- Nic jej nie będzie.
- Czy zna pan tego mężczyznę, z którym była?

Kennedy zastanawiał się przez chwilę. - Jest moim pacjentem. W klinice.

Poznał ją pewnego popołudnia, kiedy czekała na mnie.

- Ach, tak?
- Może być niebezpieczny. Dlatego policjanci wykazali tyle dobrej woli.
- Rozumiem.
- Bardzo mi pani pomogła, pani Samson. I jestem wdzięczny za to, że

zechciała mi pani dotrzymać towarzystwa. Naprawdę.

Zadzwoił telefon; okazało się, że taksówka czeka pod domem. Kennedy pomógł Fionie włożyć płaszcz, uważając, żeby jej długie włosy nie zostały uwiecznione pod kołnierzem.

- Chciałbym pani pomóc - powiedział, podając jej rękę na pożegnanie i zatrzymując jej dłoń w swojej.

- Nie potrzebuję pomocy.
- Chodzi pani na dworce kolejowe po to by ukryć swe niezadowolenie z życia. Czy nie sądzi pani, że małżeństwo, w którym żona boi się okazać swe niezadowolenie z życia w obecności męża, nie jest być może idealnym małżeństwem?

Fiona uznała jego uczciwość i prostotę za cechy rozbijające. Nie wierzyła w psychiatrię i na ogół nie ufała psychiatrom, ale poczuła sympatię dla tego niezwykle i zabawnego mężczyzny. Doceniała też szczerść, z jaką zwierzył jej się ze swych obaw przed Wydziałem Imigracji, i okazane jej zaufanie. Stała się przez to jakby współniczką człowieka naruszającego prawo.

- Czy tacy pacjenci jak ja przychodzą do pana z takimi właśnie problemami?
- Proszę mi wierzyć, że nie mam pacjentki, która w czymkolwiek przypominałaby panią, i nigdy takiej pacjentki nie miałem.

Delikatnie uwolniła dłoń z jego uścisku i wyszła. Nie poszedł za nią, ale kiedy wsiadając do taksówki zerknęła w górę, ujrzała go w oknie.

Spojrzała na zegarek. Było późno. Bernard starał się do niej telefonować co wieczór, mniej więcej o tej właśnie porze.

Witaj, kochanie! Ku swemu zdumieniu zastała Bernarda, nianię i dzieci przy okrągłym kuchennym stole. Scena ta odbiła się w jej pamięci na zawsze. Wszyscy śmiali się wesoło, rozmawiali i jedli. Na stole panował chaos, jaki widywała w domu matki Bernarda; herbata w filiżankach bez spodków, czajnik ustawiony na wyszczerbionym talerzu, foliowe pojemniki na mrożonki na obrusie, cukier w torebce, kawał ciasta w opakowaniu, w jakim został przyniesiony ze sklepu. Kiedy weszła do kuchni, śmiechy ucichły.

- Zastanawialiśmy się, gdzie zniknęłaś - oznajmił Bernard. Miał na sobie sztruksowe spodnie i stary sweter z golfem, który Fiona dwukrotnie już wyrzuciła do śmieci.

- Pan Samson pozwolił dzieciom zjeść w kuchni - tłumaczyła się nerwowo niania.

- W porządku, nianiu - uspokoiła ją Fiona, a potem podeszła do dzieci i pocałowała je. Były niedawno wykąpane i pachniały talkiem.

- Masz zimny nos - powiedział oskarżycielskim tonem Billy i zachichotał. Był bardzo podobny do Bernarda.

- Jesteś bezczelny - upomniała go młodsza siostra. Żeby mogła sięgnąć do stołu, posadzono ją na niebieskiej jedwabnej poduszce, przyniesionej z salonu. Fiona zauważyła na niej plamę sosu pomidorowego, ale nie przestała się uśmiechać, całując i ściskając córkę. Darzyła szczególną miłością małą Sally, która niekiedy zdawała się potrzebować jej opieki tak bardzo, jak żadna ze znanych jej dotąd osób.

Fiona objęła Bernarda. - Co za wspaniała niespodzianka. Spodziewałam się ciebie dopiero na weekend.

- Wymknąłem się. - Bernard otoczył ją ramieniem, ale w jego uścisku wyczuła pewien przymus. Dla wielu innych żon takie wahanie byłoby sygnałem ostrzegawczym. Fiona wiedziała, że w Berlinie stało się coś złego. Strzelanina? Zabójstwo? Spojrzała na niego uważnie, by się upewnić, że nie jest ranny. Nie mogła go spytać, co się wydarzyło; nie rozmawiali o sprawach zawodowych, chyba że dotyczyły ich obojga, ale wiedziała, że upłynie pewien czas, zanim Bernard będzie w stanie nawiązać z nią fizyczny kontakt.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że dobrze się czuję. - Uśmiech nie pokrywał lekkiej irytacji.

Nie był zadowolony, kiedy okazywała mu troskę.

- Czy będziesz musiał tam wrócić? - Dzieci obserwowały ich z wielkim zainteresowaniem.

- Zobaczymy. - Zdobył się na wesołość. - Nic nie wydarzy się w ciągu kilku najbliższych dni. Oni myślą, że podróżują po Bawarii.

Obdarzyła go jeszcze jednym powściągliwym pocałunkiem. Wolałaby, żeby nie był taki samowolny. Lekceważąc rozkazy po to, żeby wcześniej wrócić do domu, dawał jej dowód miłości, ale było to postępowanie, które Departament uważał za niewybaczalne. Nie była to jednak odpowiednia chwila na robienie wymówek. - To cudowna niespodzianka - powiedziała.

- Zjedz kolację, mamo - poprosiła Sally. - Mamy mnóstwo jedzenia.
- Mama nie je odmrażanych potraw, prawda, mamo? - wtrącił się jej brat.

Niania, która niewątpliwie kupiła „wspaniały, gotowy, domowy posiłek”, wyglądała na zakłopotaną. - To zależy - odparła Fiona.

- Nie ma tu mięsa - wyjaśnił Billy, jakby mogło to być zachętą. - Tylko sos i makaron. - Wetknął łyżkę w resztę potrawy, by jej to pokazać.

- Jest bardzo słony - dodała Sally. - Nie smakuje mi.

Niania odebrała Billy'emu łyżkę, a potem poszła po filiżankę i spodek, żeby Fiona mogła wypić z nimi herbatę.

Fiona zdjęła płaszcz i kapelusz. Potem wzięła papierową serwetkę, by sprawdzić, czy uda jej się usunąć z poduszki sos pomidorowy. Wiedziała, że w ten sposób zakłóca przytulną atmosferę, którą zastała po powrocie, ale po prostu nie umiała usiąść, pogрузić się w rozmowie i zapomnieć o tej plamie. Nie umiała. Może na tym polegała jej słabość i słabość jej małżeństwa.

Niania naląła jej herbaty i zaczęła sprzątać ze stołu. Bernard pochylił się w stronę dzieci i powiedział: - A teraz kto będzie pierwszym pasażerem mojego powolnego pociągu do Krainy Snów?

- Ja, tatusiu, ja! - zawołali oboje równocześnie.

Fiona została wkrótce sama. Nadal czyściła plamę na poduszce. Z góry słyszała podniecone okrzyki dzieci, odnoszonych przez Bernarda do łóżek. - Szu-szu-szu-szu!

Kochany, kochany Bernard. Jakże pragnęłaby, aby był idealnym ojcem, nie budząc w niej poczucia, że ona nie jest dobrą matką.

7

Londyn, wrzesień 1978.

Sylvester Bernstein był pięćdziesięcioletnim Amerykaninem. Mieszkał wraz z żoną w wiktoriańskim domu z czerwoną cegłą w Battersea. Na każdym piętrze był tylko

jeden pokój, a przybudówka mieszcząca kuchnię i łazienkę została wzniesiona przez poprzedniego właściciela dopiero na początku lat siedemdziesiątych. Teraz, kiedy na wschodnim brzegu rzeki osiedlały się masowo zamożne młode małżeństwa - które odkryły, jak blisko stąd do centrum Londynu - cała dzielnica przechodziła transformację. Pojawiły się żółte, a nawet różowe drzwi wejściowe, ozdobione mosiężnymi kołatkami, a zaparkowane ciasno wzdłuż ulicy samochody coraz częściej nie były zardzewiałe. Przepisy lokalnego wydziału planowania przestrzennego zakazywały przeznaczania tych budynków na biura, ale Bernstein ustawił w jednym z pokoi na poddaszu maszynę do pisania, dwa biurka oraz teleks i był przekonany, że nikt nie weźmie mu tego za złe. Prywatni detektywi nie spędzali wiele czasu w swych biurach; w każdym razie nie robił tego Sylvester Bernstein.

Bernstein był przez dwadzieścia jeden lat pracownikiem CIA. Przeszedł na emeryturę, kiedy kontuzja nogi okazała się nieuleczalna. Ożenił się z dziewczyną, którą poznał w Sajgonie, angielską pielęgniarzką z Chrześcijańskiej Organizacji Pomocy, i nagle doszedł do wniosku, że muszą oboje zamieszkać w Anglii. W owym czasie kurs dolara był wysoki, więc jego emerytura wystarczała na dostatnie życie w Londynie. Kiedy dolar spadł, Bernstein musiał starać się o dodatkowe zarobki. Dzięki kontaktom w ambasadzie amerykańskiej otrzymał tak niechętnie przyznawane zezwolenie na pracę i otworzył prywatne biuro detektywistyczne. Prawdę mówiąc, zawdzięczał większość klientów swej dawnej pracy w CIA. Niektórzy z tych ludzi nadal funkcjonowali

w mrocznym świecie „bezpieczeństwa” i zlecali mu pewne prace, od których sami woleli trzymać się z daleka. Typowym przykładem takiego zlecenia było zadanie powierzone mu przez Breta, a ponieważ Bernstein znał Breta od dawna i wiedział, że jest on wymagającym klientem, nie posługiwał się jednym ze swych pracowników, lecz wykonywał większość pracy osobiście.

Siedzieli w pokoju na górze. Na ścianach wisiały tanie, wiktoriańskie sztychy, przedstawiające sceny z powieści Waltera Scotta. Przed ozdobnym kominkiem, wyłożonym liliowymi kafelkami, stał mosiężny ekran, a obok niego leżał komplet pogrzebaczy, ale za żelazną kratą nie było węgla, lecz bukiet suszonych kwiatów. Bernstein kupił to wszystko, nawet meble, razem z domem. Jedynie należąca do jego żony kolekcja porcelany, beżowa wykładzina podłogowa, amerykańska łazienka i duży kolorowy telewizor, ustawiony na przemysłowym wózku, były nowymi szczegółami wyposażenia. Pokój był niewielki; przez otwarte drewniane drzwi widać było sąsiadującą z nim jeszcze mniejszą jadalnię, za której oknami rozciągał się mały ogródek. Bret rozsiadł się na sofie i rozłożył przygotowane przez Bernsteina dokumenty w taki sposób, żeby móc do nich zaglądać.

- Czy on naprawdę nazywa się Martin Euan Pryce-Hughes? - spytał Bret, który nie był obeznany z walijskimi nazwiskami. Musiał zajrzeć do swych papierów, by przypomnieć sobie pełne brzmienie.

- Jego ojcem był Hugh Pryce-Hughes. - Bernstein, niski i tęgi mężczyzna, miał na sobie szary trzyczęściowy garnitur, nazywany czasem przez niego „kostiumem tubylców”. Przypominał w znacznym stopniu ubranie, które miał na sobie Bret i w którym wyglądał jak dystyngowany dyplomata lub lekarz, nie pasował jednak do Bernsteina, gdyż jego rysy, cera i postawa sugerowały raczej, że jest robotnikiem czy może szeregowcem piechoty. Nie był w wystarczająco dobrej formie

fizycznej, by wykonywać któryś ze wspomnianych zawodów: miał czerwoną twarz i cerę człowieka cierpiącego na nadciśnienie oraz chrapliwy oddech, który potęgowało palenie, po rudej i kędzierzawej czuprynie pozostała resztką siwych włosów. Miał silne ręce i krótkie, grube palce; na jednym z nich nosił sygnet stowarzyszenia studenckiego, na drugim - błyszczący pierścienek z brylantem. Siedział wyprostowany na niewielkim krześle z giętego drewna, wyciągając dla wygody nogi do przodu. Jedna z czarnych skarpetek zwinęła się, odsłaniając kawałek gołej łydki. Zdawał sobie sprawę, że jego sztywna poza jest nienaturalna, ale siedząc w tej pozycji nie odczuwał bólu w nogach, wywołanego przez tkwiące w nich wietnamskie odłamki. Miał niski, stanowczy głos; mówił jak Amerykanin, ale nie podkreślał w sposób przesadny swego akcentu.

Bret opuścił wzrok i potarł czoło.

- Pisarz - wyjaśnił Bernstein - o międzynarodowej sławie... To on był autorem tych książek o Stowarzyszeniu Fabianów. Jego pamiętniki wywołały wiele zamieszania... chodziło o Wellsa i Shawa. Musiałeś o nim słyszeć. - Bernstein uwielbiał czytać książki. Na jego półkach stały dzieła Dreisera, Stendhala, Joyce'a, Conrada i Zoli - nie przepadał za rosyjskimi pisarzami - a czytał je nie raz, lecz wielokrotnie. Był dumny z tego, że jest absolwentem Princeton. Zdawał sobie jednak sprawę, że Bret i inni ludzie jego pokroju uważają go za przekonujący dowód słuszności twierdzenia, iż studia w dobrym uniwersytecie nie gwarantują sukcesu w czymś, co Bret nazywał „prawdziwym życiem”.

- Nie, Sylvy, nigdy o nim nie słyszałem - odparł Bret. - Dla tych Brytyjczyków pisarz o międzynarodowej sławie to ktoś, kto jest znany w Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii. Ile książek?

- Może z pół tuzina. - Bernstein uśmiechnął się przelotnie.
- Postaraj się je dla mnie zdobyć.
- Książki jego ojca? Po co? Nie zamierzasz chyba ich czytać?
- Oczywiście, że zamierzam. - Bret był skrupulatny i chciał, aby Bernstein o tym pamiętał.

- Bylebyś nie kazał ich czytać mnie - powiedział Bernstein.
- Nie - odparł Bret. - Ty nie musisz ich czytać, Sylvy.
- Nie stałeś się nagle przeciwnikiem palenia, prawda? - Bret potrząsnął głową, a Bernstein wyciągnął paczkę lucky strike'ów i wytrząsnął z niej jednego

papierosa.

- Czy możesz założyć dla mnie teczkę z aktami?

Bernstein otworzył przykrywkę poobijanej zapalniczki z napisem: „Rung Sat, Strefa Specjalna”, pamiątkę z okresu niemiłej wyprawy na położone na południowy wschód ód Sajgonu bagna, którą odbył podczas wojny wietnamskiej. Zachował ją, by przypominała mu - i wszystkim, którym trzeba było o tym przypomnieć - że jeszcze niedawno wiódł zupełnie inne życie. Bez pośpiechu zapalił papierosa i spytał: - Co masz na myśli?

- Teczkę z tajnymi aktami, w których znajdują się adnotacje dotyczące spotkań, kontaktów, wypłat, i tak dalej. Teczkę z aktami, które pochodzą od jednego z naszych ludzi.

- My nie funkcjonujemy w taki sposób. Nikt tak nie pracuje. Nikt nie trzyma wszystkich informacji od jednego agenta w tej samej teczce. Ludzie z Koordynacji przejmują je i zajmują się ich dystrybucją. I robią co mogą, żeby nie było w nich żadnych nazwisk, żadnych wskazówek umożliwiających zidentyfikowanie źródła.

- Nie pytałem cię o zasady naszej pracy - powiedział Bret.

Bernstein wypuścił kłęb dymu, przyglądając mu się uważnie.

- Ach, wiem, o co ci chodzi. O podrabianą teczkę. - Bret kiwnął głową. - O teczkę, która ma dowieść, że ktoś był naszym człowiekiem, choć w istocie nie był naszym człowiekiem.

- Nie brnijmy zbyt daleko w egzystencjalizm - przerwał mu Bret.
- Teczka z prawdziwymi nazwiskami?
- Kilkom prawdziwymi nazwiskami.

- Chcesz zrobić Martina Pryce-Hughesa? Chcesz, żeby ktoś myślał, że składa nam meldunki?

- Właśnie o to mi chodzi.

Sylvy znów wypuścił kłęb dymu. - Jasne. To jest możliwe; wszystko jest możliwe. Jak daleko chciałbyś się cofnąć?

- Dziesięć lat?
- To cofnęłoby nas do epoki mechanicznych maszyn do pisania.
- Być może.

- Nie myślisz o czymś, co mogliby przerzucić do Moskwy i zbadać pod

mikroskopem?

- Nie. O czymś, co można by komuś tylko pokazać.
- Bo naprawdę dobre fałszerstwa są kosztowne. Potrzebowalibyśmy

prawdziwego papieru firmowego i prawdziwych kryptonimów, jakich używał Departament.

- Mój plan nie jest aż tak ambitny.
- I dostanę ją z powrotem?
- Po co?
- Żeby ją przepuścić przez młynek do niszczenia dokumentów.
- Ach, oczywiście - zgodził się Bret.
- W takim razie spróbujmy coś wymyślić. Wybiorę trochę fotokopii i ułożę

różne materiały w takim porządku, w jakim byłyby przechowywane w archiwum. Będziemy mogli to obejrzeć i porozmawiać o szczegółach. Kiedy ustalimy wszystko tak jak chcesz, znajdę jakiegoś dobrego specjalistę, który sfałszuje odpowiednie papiery.

- Wspaniale - powiedział Bret. Wolałby, żeby Bernstein nie używał takich terminów jak fałszerstwo, gdyż budziły w nim niepokój. - Wystarczą poszlaki. Nie produkujemy dowodów dla sądu.

- Subtelna, delikatna prowokacja. Jasne, dlaczego nie? Ale muszę wiedzieć coś więcej.

- Weźmiesz tę teczkę, pokażesz ją temu chłystkowi i zaczniesz go naciskać.
- W jaki sposób?
- Chodzi o wyprowadzenie go z równowagi. Powiedz mu, że jesteś dziennikarzem. Powiedz, że jesteś z CIA. Powiedz mu cokolwiek, ale

chcę, żeby był sakramencko wystraszony.

- Dlaczego?
- Bo chcę zobaczyć, jak się zachowa.
- Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Przecież on będzie wiedział, że to

nieprawda.

- Zrób to.

Bernstein znów na niego spojrział. Rozumiał Breta, bo znał innych ludzi jego pokroju. Bret nie miał żadnego operacyjnego celu, dla którego chciał przestraszyć

tego starego człowieka. Po prostu chciał mu dokuczyć.

- Byłoby taniej kazać go pobić - powiedział.

Bret zmarszczył brwi. Wiedział dokładnie, co myśli Bernstein.

- Po prostu zrób to, o co cię proszę, Sylvy. Nie staraj się mnie rozgryźć.
- Jak sobie życzysz, stary.

Bret uśmiechnął się uprzejmie. - Czy mamy coś nowego na temat tej kobiety?

• Nie. Nie widziała się ze swoim przyjacielem od tygodnia. Może się pokłócili.

• Z przyjacielem? Czy istotnie tak to wygląda? - spytał Bret najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

• Och, jasne. Nie jeździ do tego wytwornego mieszkania w Maida Vale po to, żeby grać z nim w szachy.

• On jest psychiatrą - wyjaśnił Bret.

• Nie wątpię w to.

Bret uznał tę uwagę za napastliwą. Nie życzył sobie tego rodzaju żartów; cała sprawa miała wyłącznie charakter służbowy.

- Nie wyciągaj wniosków zbyt pochopnie, Sylvy. - W jego ustach zabrzmiało to jak reprimenda.

Bernstein zaciągnął się papierosem i nie odpowiedział. A więc nie była to jedynie sprawa zawodowa; chodziło o coś więcej. Czyżby ten Kennedy był krewnym Breta Rensselaera albo czymś w tym rodzaju?

• Skoro chodzi jej o konsultację, to dlaczego nie pójdzie do szpitala i nie poprosi o poradę?

• Ma obowiązek informować Departament, kiedy przechodzi jakąkolwiek terapię, szczególnie terapię psychiatryczną - odparł Bret. - Czy nie pamiętasz jakie są przepisy?

• A więc odwiedza tego psychiatrę w tajemnicy? Czy to chcesz powiedzieć?

• Jest narażona na poważny stres.

Bernstein zaciągnął się szybko papierosem. - No cóż, nie zadaję ci zbyt wielu pytań na ten temat, Bret, bo sam mi powiedziałeś, że sprawa jest delikatna, ale...

• Ale co?

• Kennedy nie jest tego rodzaju psychiatrą. Już nie. W szpitalu prowadzi badania nad przypadkami masowej hysterii i halucynacjami. Nie przyjmuje

pacjentów; analizuje cyfry, wygłasza odczyty i pisze dysertacje poświęcone instynktowi stadnemu i tego typu bredniom. Klinika utrzymywana jest przez pewną wielką amerykańską fundację, a publikowane przez nią prace studiowane są przez różne departamenty policji.

- Więc przedstaw mi swoją teorię - powiedział Bret.

• Co mogę ci powiedzieć? Jest przystojnym facetem. Ma bzika na punkcie samolotów. Kanadyjczyk. Delikatny, zamożny, dobrze ubrany, bardzo, bardzo bystry i w ogóle *muy simpatico*. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ta pani Samson... jest niezwykle atrakcyjną kobietą. - Przerwał. Rozmowa z Bretem, kiedy był on w tak drażliwym nastroju jak dziś, przypominała wędrówkę przez pole minowe. Zaciągnął się papierosem, jakby szukając odpowiednich słów. - Może potrzebuje właśnie kogoś takiego jak ten Kennedy, kogoś, kto ma kanadyjski wdzięk i kto służy jej pomocnym ramieniem.

- Przystojniak, co?
- Widziałeś fotografie, Bret.
- Wygląda, jakby złożono go z plastikowych części.
- Ubiera się trochę jak goguś, sam to powiedziałem. Ale nawet ludzie,

którzy go nie lubią, przyznają, że jest bardzo inteligentny. Dobry pilot, dobry lekarz i być może również dobry kochanek. Należy do tych ludzi, którzy zawsze zdają najlepiej wszystkie egzaminy. Jest bystry, elastyczny i subtelny.

- A jakie ma minusy?
- Na moje wyczucie jest znerwicowany, niespokojny i nieszczęśliwy. Nie

potrafi nigdzie osiąść na stałe. Ale kobiety często szaleją za takimi facetami: uważają, że potrafią im pomóc. A poza tym spójrz na jej męża. Spotkałem go kilka razy. To naprawdę nie oszlifowany diament, nie sądzisz?

- Mówiłeś...
- Że go lubię. I to prawda, do pewnego stopnia. Jest prostolinijny; nie

odważyłbym mu się narazić. - W ustach Bernsteina był to dowód wielkiego uznania. - To prawdziwy mężczyzna, z gatunku tych, którzy nie żenią się z takimi luksusowymi kobietami.

Bret zagryzł wargi i milczał przez chwilę, a potem powiedział: - Czasami sytuacja wygląda inaczej, niż...

- Och, wiem, co chcesz powiedzieć, Bret. Ale ja wykonuję ten zawód już od

dawna. Dwoje takich ludzi... Jeździ do jego mieszkania sama; nigdy z mężem... On nigdy nie odwiedza jej w domu. I wystarczy zobaczyć ich razem, by wiedzieć, że za nią szaleje. - Strząsnął popiół do starej fajansowej popielniczki, na której obrzeżu znajdował się słabo widoczny napis: „Niech panują długo i szczęśliwie. Koronacja 1937”. Był to okaz z kolekcji okolicznościowej ceramiki, zgromadzonej przez jego żonę. Przesunął ją w miejsce, w którym nie groziło jej potrącenie lub stłuczenie, i czekał na reakcję Rensselaera.

- To mało prawdopodobne - powiedział Bret.
- Ty mówisz, że to mało prawdopodobne. Okay, ty jesteś szefem. Ale

spróbuj przez jakiś czas wykonywać mój zawód, to może dojdiesz do wniosku, że nie należy używać tego określenia, bo kiedy chłopcy zadają się z dziewczynkami, wszystko jest prawdopodobne.

Bret uśmiechnął się, ale poczuł ukłucie w sercu. Na swój nieudolny sposób kochał i podziwiał Fionę Samson, wiązał z nią nadzieje, nie chciał więc uwierzyć, że może mieć przygodny romans. - Okay, Sylvy. Ty zwykle masz rację.

- Zawsze jest ten pierwszy raz. Może piją tylko herbatę, oglądają fotografie jego samolotów i rozmawiają o sensie życia. Ale w gruncie rzeczy myślę, że tak nie jest.

Bret Rensselaer wstał, czując, że nie potrafi opanować gniewu. Z wściekłością rozejrzał się dokoła, jakby ucieczka z tego pokoju była równoznaczna z ucieczką przed faktami, z którymi nie potrafił się pogodzić. Nie mógł powstrzymać się od myślenia o wspaniałym porozumieniu, jakie - w swoim odczuciu - nawiązał z Fioną Samson w ciągu ostatnich miesięcy, przygotowując ją do operacji, która miała przynieść wywiadowczy sukces stulecia. Fiona była idealną uczennicą. Choć słowo „uczennica” było chyba niestosowne, a w każdym razie on z pewnością nie użyłby go, rozmawiając z nią o ich układzie. Być może, bardziej pasowałoby słowo „protegowana”, choć i ono było nieodpowiednie. Ich związek przypominał, szczerze mówiąc, związek boksera z trenerem, managerem lub impresariem.

Teraz potrzebowała jego wsparcia. Zaczynała okazywać napięcie, ale można się było tego spodziewać. Chętnie jej pomagał, a poza tym odczuwał pewne podniecenie, spotykając się z nią potajemnie i aranżując wszystko w taki sposób, by jej mąż nie zaczął czegoś podejrzewać. Gotów był bowiem - jakkolwiek niechętnie - uznać słuszność racji D-G, który twierdził, że Bernard Samson musi zostać całkowicie zaskoczony zdradą i ucieczką swej żony.

- Jak ona mogła? - Dopiero zerknąwszy na Bernsteina zdał sobie sprawę, że zadał to pytanie na głos. Odwrócił się, przeszedł do jadalni i oparł się wyciągniętymi rękami o stół. Musiał spokojnie pomyśleć.

Fiona i on stali się sobie na tyle bliscy, że w ostatnim okresie zaczął wierzyć w jej sympatię do siebie. Przed każdą wizytą układał świeże kwiaty, a ona dostrzegała jego starania. Uśmiechała się rzadko, ale promiennie, w wymyślny sposób nalewała drinki dla siebie i dla Breta, a niekiedy przynosiła mu zabawne, drobne prezenty, na przykład automatyczny korkociąg, zamiast starego, który złamał się w jego rękach. Dostał też od niej kartkę urodzinową, która nadeszła pocztą, w jaskrawozielonej kopercie i z napisem: „Z serdecznymi życzeniami, Fiona”. Naruszyła w ten sposób wymogi tajności, na co zwrócił jej uwagę w czasie najbliższego spotkania, ale ustawił kartkę na stoliku nocnym, obok swego budzika. Była pierwszym przedmiotem, jaki widział każdego ranka, zaraz po obudzeniu. Bret zamknął oczy.

Bernstein widział jego nerwowe ruchy, ale nie odzywał się. Czekał. Nie był zdziwiony; dziwił się tylko wtedy, kiedy mu za to płacono. Z biegiem lat przekonał się, jak tajemnicze mogą być wzajemne stosunki kobiet i mężczyzn, a nerwowe gesty i nie kontrolowane pomruki Breta nie niepokoiły go ani nawet nie budziły w nim zainteresowania.

Bret uderzył pięścią w otwartą dłoń. Nie mieściło mu się w głowie to, że Fiona może mieć romans z tym Kennedym. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie. Nauczył się znosić to, że kiedy zegnała się z nim, wracała do domu, do męża i dzieci. To było słuszne i właściwe. Bret lubił Bernarda. Ale kim, do diabła, był Kennedy? Czy Fiona wymieniała z nim żarty i uśmiechy? I czy... - ta myśl była dla niego jeszcze trudniejsza - czy z nim sypiała?

Przypuszczenie to tak nim wstrząsnęło, że oparł się o obudowę kominka i z rozmachem kopnął z całych sił w jego mosiężną osłonę. Komplet pogrzebaczy uderzył w kratownicę paleniska tak mocno, że zaśpiewała ona jak kamerton, a na jednym z kafelków pojawiło się pęknięcie.

- Uspokój się, Bret! - powiedział Bernstein tonem, w którym po raz pierwszy odbiło się zaniepokojenie. Wstał z krzesła i na wszelki wypadek zdjął ze stołu dwa talerze wykonane z okazji diamentowego jubileuszu królowej Wiktorii - najcenniejsze okazy z kolekcji żony.

Gwałtowny gest chyba rozładował po części gniew Breta, gdyż zaczął spokojniej chodzić po pokoju, udając, że ogląda książki, a potem wyjrzał przez okno,

pod którym zaparkowany zbył jego samochód. Bretowi nieczęsto brakowało słów, ale tym razem po prostu nie mógł zebrać myśli.

-Jezu Chryste! - powiedział do siebie i postanowił oddelegować Fionę Samson do Berlina możliwie jak najszybciej, może jeszcze przed nadejściem weekendu.

Kiedy Bret usiadł, obaj milczeli przez chwilę, słuchając dochodzących z ulicy odgłosów towarzyszących pracy śmieciarzy. Trzaskali pojemnikami i wołali do siebie podniesionymi głosami, a kierowca śmieciarki trąbił cicho od czasu do czasu, kiedy musiał się cofnąć.

- Poczęstuj mnie papierosem, Sylvy.

Bernstein podsunął mu pudełko, a potem zapalniczkę. Zauważył, że Bret drży, ale papieros jakby go uspokoił.

- Co powiedziałbyś na stałą posadę? - zaproponował Bret.
- W twojej firmie?
- Może udałoby mi się to załatwić.
- Czyżbyś miał dość płacenia mi z własnej kieszeni?
- A czy myślisz, że to robię? - spytał spokojnie Bret.
- Nigdy nie żądasz pokwitowań.
- No więc, co ty na to?
- Nie pasowałbym do brytyjskiego systemu.
- Na pewno potrafiłbyś się dopasować.
- Prawdę mówiąc, Bret, nie mam zaufania do opieki Brytyjczyków.
- Jakiej opieki?
- Gdybym znalazł się w kłopotcie. Jestem jankesem. Gdyby powinęła mi się noga, rzuciliby mnie rekinom na pożarcie.
- Dlaczego tak uważasz?
- Wiem, że przekraczam swoje uprawnienia, Bret, ale moim zdaniem jesteś szaleńcem, jeżeli im ufasz. Jeśli będą musieli wybierać między tobą a kimś z grona własnych ludzi - jak twoim zdaniem postąpią?
- No cóż, daj mi znać, gdybyś zmienił zdanie.
- Nie zmienię zdania, Bret.
- Nie wiedziałem, że tak bardzo nie lubisz Brytyjczyków, Sylvy. Dlaczego w takim razie tu mieszkasz?

- Nie mówiłem, że ich nie lubię; powiedziałem, że im nie ufam. W Londynie mieszka mi się bardzo dobrze. Ale nie lubię ich obłądy i ich całkowitego braku względów dla uczuć innych ludzi oraz braku poszanowania cudzej własności. Czy wiesz, Bret, że nie ma Anglika, który nie chwaliłby się przy takiej czy innej okazji, że coś ukradł: w szkole, w wojsku, na uniwersytecie albo po pijanemu. Wszyscy w takim lub innym momencie coś sobie przywłaszczają, a potem opowiadają o tym tak, jakby to był najlepszy dowcip.

Bret wstał. Doszedł *do wniosku*, że Bernstein mówi czasem jak świętoszek. - Zostawiam ci te materiały. Przeczytałem je od deski do deski. Nie chcę ich brać ze sobą do biura.

- Jak sobie życzysz.

Bret wyjął portfel i odliczył dwadzieścia pięćdziesięciofuntowych banknotów. Bernstein napisał na kawałku papieru „tysiąc funtów”, ale nie opatrzył go datą czy podpisem ani nawet adnotacją: „otrzymano”. Zawsze załatwiali swoje interesy w taki właśnie sposób.

Bret dostrzegł zadrapanie na czubku swego buta i dotknął go, jakby mając nadzieję, że samo się zagoi. Westchnął, wstał, włożył płaszcz i kapelusz, a potem znów zaczął myśleć o Fionie Samson. Uznał, że będzie musiał sam ją o to spytać - nie było innego wyjścia. Ale nie zrobi tego dziś ani nawet jutro. O wiele lepiej będzie wysłać ją do Berlina.

- Ten facet, Pryce-Hughes... - spytał obojętnym tonem, kiedy znalazł się przy drzwiach. - Co o nim myślisz, Sylvy?

Bernstein nie był pewien, co Bret chciałby usłyszeć.

- Jest bardzo stary - powiedział w końcu.

Bret kiwnął głową.

8

Berlin Zachodni, wrzesień 1978.

Popołudnie żółkło jak stara gazeta, a gęste powietrze przenikał zapach lip. Ulicami Berlina przeciągały tłumy turystów obciążonych mapami, aparatami fotograficznymi i plecakami, którzy teraz, zmęczeni całodziennym zwiedzaniem, szli już trochę mniej spiesznym krokiem. Lato przechodziło w jesień, ale nadal było tu sporo Amerykanów, których znaczny procent stanowili czuli rodzice, przybyli w

odwiedziny do ukrywających się przed poborem synów.

Fiona Samson, wchodząc po całym dniu pracy do nowego „domu”, wydała westchnienie ulgi. Na stoliku w korytarzu leżał bukiet kwiatów, nadal owiniętych papierem i celofanem. Bernard, z typową dla siebie nonszalancją, nie zadbał o to, by umieścić je w wazonie z wodą, ale Fiona postanowiła ich na razie nie ruszać. Zdjęła płaszcz i kapelusz, upewniła się, że ani w skrzynce, ani na stoliku nie ma żadnej poczty, a potem spojrzała w lustro, by sprawdzić, czy makijaż jest jeszcze w zadowalającym stanie. Starzała się i nawet makijaż nie mógł całkowicie ukryć sińców pod oczami ani zmarszczek wokół ust. Poprawiła palcami fryzurę, przygniecioną przez obcisły kapelusz, a potem głęboko wciągnęła powietrze i z pogodnym uśmiechem weszła do pokoju, który pełnił w tym wynajętym mieszkaniu rolę salonu.

Bernard był już w domu. Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. W pomiętej koszuli i czerwonych szelkach siedział rozparty na sofie z wielkim drinkiem w dłoni.

- Jak ty niechlujnie wyglądasz, kochanie. Chyba trochę za wcześnie na popijanie? - powiedziała pogodnie na cały głos, a potem dopiero zauważyła, że ojciec Bernarda siedzi naprzeciwko niego, również ze szklanką w ręce.

Mimo jej żartobliwego tonu Brian Samson, który nadal, formalnie rzecz biorąc, był jej przełożonym, zmarszczył brwi. Wstał i pocałował ją w policzek.

- Halo, Fiona - przywitał ją. - Właśnie opowiadałem Bernardowi o tym wszystkim. - Pocałunek potwierdzał tylko jego opinię o pochodzących z klasy wyższej żonach, które natychmiast po powrocie do domu udzielały swym mężom reprimendy, tylko za to, że siedzieli sobie wygodnie we własnych mieszkaniach.
- O czym? - spytała, podchodząc do półki z książkami, na której zgodnie z umową kładziono listy przeznaczone dla nich obojga. Znalazła na niej tylko rachunek ze sklepu z winem i ozdobne zaproszenie na przyjęcie urodzinowe swojej siostry. Widziała już obie przesyłki, ale obejrzała je dokładnie, zanim odwróciła się z uśmiechem. Ponieważ żaden z mężczyzn nie zaproponował jej drinka, powiedziała: - Chyba zrobię herbatę. Czy ktoś się napije herbaty? - Zauważyła rozlany alkohol, więc wytarła stół papierową serwetką i zrobiła porządek na tacy z butelkami, a potem powtórzyła pytanie: - O czym, Brian?
- O tym alarmie związanym z tak zwaną aferą Baader-Meinhof - odpowiedział jej Bernard.
- Ach, o tym. Jakież to nudne. Miałaś szczęście, że cię tu wtedy nie było, kochanie.

- Nudne? - spytał jej teść nieco podniesionym głosem.
- Wiele hałasu o nic - dodała Fiona.
- Nie jestem tego pewien - rzekł. - Gdyby ci ludzie z grupy Baader-Meinhof porwali ten samolot i polecili nim do Pragi... - W wymowny sposób nie dokończył zdania.

- Ależ to było niemożliwe, drogi teściu - stwierdziła pogodnie. - Według informacji, jakie nadeszły z Bonn, Andreas Baader popełnił przed rokiem samobójstwo w specjalnie nadzorowanym więzieniu w Stammheim, a reszta tych ludzi siedzi w innych więzieniach na terenie Bundesrepublik.

- Wiem o tym - odparł Samson senior z przesadnie staranną dykcją - ale terroryści mają różne oblicza i nie wszyscy siedzą za kratkami. Mój Boże, Fiona, czy byłaś ostatnio w Bonn? Budynki rządowe otoczone są zasiekami z drutu kolczastego i strzeżone przez uzbrojonych strażników. Ulice patrolowane są przez pojazdy opancerzone. Nie wiem, co to jest, ale z pewnością nie jest to nudne.

Fiona postanowiła nie ustępować swemu teściowi. - A więc nie chcecie herbaty? - spytała.

- Świat dostaje obłądu - mówił Samson senior. - Pewien biedak został zamordowany przez bandytów, których przyprowadził jego własny chrześniak, przynosząc mu czerwone róże. Wszyscy politycy i przemysłowcy tego kraju strzeżeni są przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- I narzekają, bo nie mogą odwiedzać swoich kochanek; tak przynajmniej napisano w tajnym raporcie - oświadczyła Fiona. - Czy czytałeś go?

- Czego nie mogę zrozumieć - ciągnął Brian Samson, ignorując jej pytanie i niejako zrzucając na nią odpowiedzialność za przestępstwa popełniane przez przedstawicieli młodego pokolenia - to ludzi, którzy demonstrują swe poparcie dla terrorystów! Bomby w niemieckich salonach samochodowych w Turynie i w Bolonii. Demonstracje uliczne w Londynie, Wiedniu i Atenach! Demonstracje solidarności z terrorystami! Czy ci ludzie powariowali?

Fiona wzruszyła ramionami i podniosła ze stołu tacę.

Bernard przyglądał się jej bez słowa. W roku 1977 przetoczyła się przez cały świat wielka fala aktów terrorystycznych, popełnianych przez fanatyków religijnych i różnego rodzaju przestępczych maniaków. Wzbudziły one powszechną dezorientację. Starsze pokolenie zrzucało całą winę na własne dzieci, młodzież natomiast widziała w

bezmądrych aktach gwałtu dziedzictwo, jakie otrzymała w spadku po przodkach. Fiona i ojciec Bernarda byli typowymi przykładami obu tych postaw. Każda rozmowa przeradzała się w ostrą wymianę zdań, w której oboje grali role archetypów. Brian Samson uważał, że Fiona jest zbyt kapryśna i zmanierowana. - Zbyt bogata, zbyt wykształcona i cholernie apodyktyczna - powiedział kiedyś do syna po kolejnym sporze z jego żoną.

Wychodząc do kuchni, Fiona wypuściła partyjską strzałę: - Tak czy owak nie ma powodów do paniki, drogi teściu.

Bernard wolałby, żeby nie mówiła „drogi teściu” w tak ironiczny sposób. Irytowało to jego ojca, o czym Fiona doskonale wiedziała. Bernard spróbował przyjąć rolę rozjemcy:

- Tato mówi, że wszystko przez tę rosyjską depeszę, w której kazali Czechom trzymać przez całą noc otwarte lotnisko. Dodaliśmy dwa do dwóch i wyszło nam pięć.

Fiona była wyraźnie rozbawiona:

- O tej porze roku setki lotnisk wojskowych wschodniego bloku funkcjonuje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jest to okres ich wspólnych manewrów. A może ta tajemnica wojskowa nie dotarła jeszcze do Londyńskiej Centrali?

Nie widzieli jej, ale słyszeli, jak nalewa wodę do czajnika i ustawia na tacy filiżanki ze spodkami. Obaj milczeli. Ożywiona dyskusja, jaką prowadzili przed przybyciem Fiony, została gwałtownie przerwana. Brian spojrzał na syna i uśmiechnął się. Bernard odwzajemnił jego uśmiech. Weszła Fiona i ustawiła tacę na stoliku, o który Bernard opierał nogi. Potem uklękła na dywan, by nalać herbatę.

- Czy jesteście obaj pewni...? - spytała. Przyniosła trzy nakrycia, a także cukiernicę, ponieważ jej teść słodził herbatę.

- Nie, dziękuję, kochanie - powiedział Bernard.

Fiona spojrzała na męża. Bardzo go kochała. Pospieszne oddelegowanie do Berlina nie wyszło na dobre żadnemu z nich, ale dało jej okazję do zerwania niemądrego związku z Kennedym. Te utarczki z Samsonem seniorem były irytujące, ale był starym człowiekiem, a ona odkryła, że im bardziej nie znosi teścia, tym bardziej docenia Bernarda. Zawsze był rozjemcą, ale nigdy nie okazał słabości ani wobec niej, ani wobec ojca. Był wspaniałym człowiekiem. Teraz, kiedy patrzyła na to z pewnej perspektywy, wiedziała, że jest dla niej jedynym mężczyzną. Ryzykowny związek z Harrym Kennedym należał do przeszłości. Nadal nie mogła zrozumieć, jak

doszło do tego nie przemyślanego romansu, czuła jednak, że odsłonił on w niej jakąś niepokojącą wrażliwość seksualną, z której nigdy nie zdawała sobie sprawy.

Mimo to nie mogła powstrzymać się od domysłów, dlaczego nie przysłał pocztówki. Dostawała je co tydzień: kolorowe reklamówki jakiegoś „salonu piękności” z okolic Sloane Street. Należał do kogoś, kogo znał; niewątpliwie do kobiety.

- Nie było poczty? - spytała, nalewając mleko do herbaty i mieszając, by sprawdzić, jaki ma kolor.

- Tylko ta sama reklamówka - odparł Bernard.
- Gdzie ją położyłeś?
- Przecież nie jest ci potrzebna, prawda?
- Piszą na niej, że jeśli z nią przyjdę, otrzymam obniżkę.
- Jest w koszu na śmieci. Przepraszam.

Teraz ją zauważyła. Z miejsca w którym przykłęknęła na podłodze, mogłaby po nią niemal sięgnąć. Leżała w koszu razem z pustą butelką po toniku Schweppsa i pogniecionym pudełkiem po playersach, które palił Brian. Pocztówka była podarta na drobne kawałki, jakby Bernard wyczuł zawarte w niej niebezpieczeństwo. Fiona postanowiła jej nie tykać, choć pod wpływem pierwszego impulsu miała ochotę wyjąć ją i ułożyć z kawałków całość.

- Tak czy owak - dodał Bernard - nie będzie cię przez jakiś czas w Londynie, prawda?

- Tak, masz rację. - Usiadła na piętach i obojętnie popijała herbatę. - Zapomniałam o tym.

- Powiedziałem tacie, że wychodzisz dziś wieczorem. Chce, żebym poszedł z nim do klubu na jakieś przyjęcie, a potem na kolację. Nie masz nic przeciwko temu?

O mało się nie roześmiała. Zadała sobie wiele trudu, by zorganizować tego wieczora potajemne spotkanie z Bretem Rensselaerem, a teraz okazuje się, że jej plany w ogóle Bernarda nie obchodzą. Mimo to wyjaśniła: - To jakaś odprawa szkoleniowa. Ktoś przyjeżdża z Londynu.

Bernard prawie jej nie słuchał. - Jeśli będzie tam Frank - rzekł do ojca - zwróć mu kilka książek, które od niego pożyczyłem.

- Frank z pewnością tam będzie - odparł Brian. - Uwielbia przyjęcia.
- Szkoda, że nie jesteś wolna, kochanie - zwrócił się Bernard do żony.

- Przyjęcia pożegnalne są zwykle zabawniejsze, kiedy odbywają się bez udziału żon - oświadczyła Fiona tonem doświadczonej kobiety.
- Zrobić ci jeszcze jednego drinka, tato? - zaproponował Bernard, wstając z sofy.

Brian Samson przecząco pokręcił głową.

- Gdzie zjecie kolację? - spytała.
- U *Tante* Lisi - odparł Bernard z wyraźną radością. - Specjalnie piecze dla nas sarninę.

Tante Lisi prowadziła hotel, który był niegdyś jej domem. Brian Samson, wraz z rodziną, mieszkał tam na kwaterze zaraz po zakończeniu wojny. Dla Bernarda stał się on drugim domem, a *Tante* Lisi - zastępczą matką. Jego nie ukrywana miłość do starego domu napelniała niekiedy Fionę poczuciem zagrożenia. Odczuwała je i teraz.

Bernard podszedł do żony i pocałował ją w czubek głowy. - Do widzenia, kochanie. Mogę wrócić późno. - Wychodząc wraz z ojcem z pokoju, powiedział jakby do siebie: - Żebym tylko nie zapomniał wziąć tych kwiatów dla *Tante* Lisi. Ona kocha kwiaty.

Usłyszawszy trzask zamka drzwi frontowych Fiona zamknęła oczy i oparła głowę o fotel. Oczywiście, że kwiaty nie były dla niej; jakże mogła choć przez chwilę sobie to wyobrażać? Kupił je dla tej okropnej starej kobiety, na którą nie pozwala powiedzieć złego słowa.

Bernard bywał czasem archetypem męskiego egoizmu. Był pewien jej miłości. Zachwycała go perspektywa spędzenia wieczoru z ojcem i jego kolegami, perspektywa picia i opowiadania anegdot. Anegdot o tajnych agentach i odważnych wyczynach, które będą przedstawiane coraz bardziej przesadnie w miarę upływu czasu, stosownie do ilości wypitego alkoholu.

Bernard nie czułby się dobrze w jej towarzystwie podczas takiego spotkania i fakt ten sporo mówił o ich związku. Bernard szanował ją, ale gdyby ją naprawdę kochał, chciałby, aby zawsze była przy nim, w każdym towarzystwie. Marzyła skrycie o dniu, w którym będzie zmuszony zobaczyć, kim ona jest naprawdę: kimś, kto potrafi grać rolę agenta równie dobrze jak on. Być może wtedy zacznie ją traktować tak, jak chciałaby być traktowana: jako równego partnera. A jeśli w tym czasie wykorzystwała ten sam rodzaj sekretnej gry, by wywalczyć dla siebie odrobinę szczęścia, to kto może ją za to winić? Nikomu nie stała się żadna krzywda.

Rozejrzała się po pokoju i zauważyła, że Bernard zostawił okropny bałagan, choć wiedział, że ona będzie musiała tu posprzątać. Czy można się dziwić, że znalazła tyle radości w krótkiej i niemądrej aferze miłosnej z Harrym Kennedym? Ujawnił przed nią nowe oblicze życia, w chwili, w której była bliska rozpacz. W okresie romansu z Harrym przestała zażywać pigułki i czuła się jak inny człowiek. Harry traktował ją czule i opiekuńczo, a równocześnie był cudownie otwarty. Nie bał się jej wyznać, jak bardzo ją kocha. Dla niego była skomplikowaną i interesującą istotą ludzką; liczył się z jej zdaniem, a ona wymieniała z nim uwagi na temat ich uczuć, czego nigdy nie robiła z Bernardem. Szczerze mówiąc, kochała Bernarda i tolerowała go, ale Harry namiętnie ją kochał i sprawiał, że czuła się w pełni kobietą, czego nigdy dotąd nie doświadczyła.

Teraz już jest po wszystkim - pomyślała. Mogła trzeźwo spojrzeć wstecz i przekonać się, czym był jej romans z Harrym: wspaniałym luksusem, odprężeniem, rodzajem terapii.

Zerknęła na zegarek. Wiedziała, że musi się wykąpać i przebrać. Na szczęście przywiozła ze sobą trochę naprawdę wytwornej garderoby. Tego wieczora musiała wyglądać jak najlepiej i zdobyć się na maksimum przytomności umysłu.

Była umówiona u Kesslera, na Gatowerstrasse, w dzielnicy Berlin-Spandau. Restauracja zajmowała cały budynek, więc sale jadalne mieściły się na wszystkich piętrach. Ale stary Klaus Kessler nadzorował swych kelnerów w głównej sali, na parterze. Stał w swoim długim fartuchu, patrząc na ciemnozielone ściany, białoczerwone kraciaste perkalowe obrusy i spisy dań, wypisane na małych tabliczkach. Kessler nazywał swój lokal „typowym francuskim bistro”, ale w istocie wystrój i menu nie zmieniły się bardzo od czasów, kiedy nosił on nazwę „Berlin Weinstube”, a jego dziadek podawał w nim niewyszukane, ale dobre dania.

Do położonej na piętrze sali wchodziło się po trzeszczących, wąskich schodach. Nad nią znajdowały się trzy jadalnie wytworniej umeblowane; sztucce i szkło były tu w lepszym gatunku, obrusy lniane, a karty dań nie zawierały cen. W tych pokojach, które trzeba było rezerwować z góry, odbywały się nieliczne i bardzo dyskretne przyjęcia. Właśnie w jednym z nich spotkała się tego wieczora Fiona z Bretem Rensselaerem.

- Udało ci się wydostać bez trudności? - spytał uprzejmie Bret. Podsunęła mu policzek, a on musnął go w przelotnym pocałunku. Szampan chłodził się w kubku z lodem; Bret zaczął go już pić.

Kelner odebrał od niej płaszcz, nalał kieliszek szampana i wsunął jej do rąk kartę dań.

- Nie było żadnych problemów - odparła. - Bernard poszedł z ojcem na jakieś przyjęcie.

- Podobno mają tu dobrą sarninę - powiedział Bret, przeglądając menu.

- Nie lubię sarniny - oznajmiła Fiona bardziej stanowczym tonem, niż zamierzała. Wypiła łyk szampana. - Prawdę mówiąc, nie jestem zbyt głodna.

- Kessler obiecał, że zrobią dla nas suflet z sera.

- To brzmi bardzo obiecująco.

- A na zakąskę trochę szynki westfalskiej? - Przewidując jej pozytywną odpowiedź, odłożył kartę dań i przetaił modne okulary, które wkładał do czytania. Był próżny i nienawidził okularów, ale eksperymenty ze szklami kontaktowymi nie powiodły się.

- Wspaniale. - Żadne z nich nie interesowało się jedzeniem na tyle, by przeczytać kartę dań do końca. Co za ulga - pomyślała Fiona. Bernard zawsze szczegółowo wypytywał kelnera o wszystkie potrawy. Co gorsza, zawsze próbował namówić ją do skosztowania takich dań jak wędzony węgorz, ozór lub... - jak się nazywa jego ulubiony przysmak? - *Marinierter Herring*.

- Jak ci się żyje w Berlinie? - spytał Bret.

- Odkąd jest tu ze mną Bernard, znacznie lepiej.

- Oczywiście. Jego matka pojechała do Anglii, żeby zaopiekować się dziećmi, prawda?

- To miłe z jej strony, ale i tak okropnie za nimi tęsknię - powiedziała.

Przyniesiono półmisek z szynką, ozdobiony pomidorami i ogórkami, a kelner, robiąc wiele zamieszania, podał różne gatunki pieczywa i trzy rodzaje musztardy. Kiedy odszedł, Fiona dodała: - Chyba w głębi serca jestem kurą domową. - Smarując masłem ciemny chleb, obserwowała reakcję Breta. Dokładnie przed tygodniem doszła do wniosku, że nie będzie w stanie zrealizować tego szaleńczego projektu i uciec do KGB jako ktoś w rodzaju superszpiega.

Życie Fiony stało się dla niej zbyt skomplikowane. Potajemne kontakty z Martinem Euanem Pryce-Hughesem nie narażały jej na zbyt wielkie napięcie. Była uśpionym agentem; spotykali się rzadko. Jej zadanie budziło w niej poczucie, że służy krajowi i Departamentowi, ale nie wymagało od niej zbyt wiele. Potem Bret

Rensselaer ujawnił jej rewelacyjną wiadomość: premier poprosił D-G o opracowanie długofalowego planu, mającego doprowadzić do ulokowania tajnego agenta w kierownictwie wrogiego wywiadu. Oczywiście, nie przestawała podejrzewać, że Bret zrelacjonował jej przebieg wydarzeń w sposób nieco przesadny; podejrzewania te nasiliły się zwłaszcza teraz, kiedy widziała, jak bardzo jej planowana misja podniosła jego prestiż i zwiększyła poczucie własnej wartości.

Być może, zniosłaby potajemne spotkania z Martinem i Bretem, zwłaszcza że Bret postępował wobec niej tak delikatnie i tak dobrze rozumiał stres, na jaki była narażona. Ale niespodziewane *coup de foudre*, które poraziło ją w wyniku przypadkowego spotkania z Harrym Kennedym, było ostatnią kroplą. Ponadto spotkania z Martinem i Bretem można było ograniczyć do minimum i odwoływać je nawet w ostatniej chwili bez żadnych wyjaśnień czy pretensji, natomiast schadzki z Harrym miały zupełnie inny charakter. Niekiedy bardzo chciała się z nim zobaczyć. W dniach, w których byli umówieni, czuła się tak pochłonięta tą perspektywą, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. Sama się dziwiła, że ani Bernard, ani Bret, ani nawet jej siostra Tessa nie zauważyli, jak bardzo bywa podniecona. Ale wszystko to musiało się skończyć. Nie będzie odtąd spotykać się z Martinem, Bretem ani z Harrym. Zastanawiała się nawet, czy nie zrezygnować z posady w Departamencie. Jeśli Bret zacznie robić jakieś trudności i nie zechce zwolnić jej z tej misji, tak właśnie postąpi. Miała dość pieniędzy od swego ojca, by wysłać ich wszystkich do diabła. Bret będzie argumentował, stękał czy nawet wrzeszczał, ale ona ma tylko jedno życie i sama będzie decydowała o tym, jak je przeżyć.

Kiedy kobieta osiąga wiek trzydziestu kilku lat, zaczyna zadawać sobie pewne dociekliwe pytania. Czy to, co robi, jest ważniejsze niż jej dom, jej mąż i jej dzieci? Jak mogła brać pod uwagę możliwość długiego rozstania z nimi? Niech wyślą na Wschód jakiegoś innego agenta. Na pewno dysponują tuzinami ludzi, którzy zechcą się wslawić taką operacją. Ale nie ona.

Zjadła trochę szynki i kawałek ciepłej bułki. Ponieważ Bret się nie odzywał, powtórzyła swoją ostatnią kwestię: - Myślę, że w głębi serca jestem kurą domową.

Jeśli Bret domyślał się, co go czeka, nie okazał tego od razu. - Zmieniamy nazwę mojego wydziału - oznajmił. - Nie będzie to już Biuro Gospodarki Europejskiej, lecz Sekcja Wywiadu Gospodarczego, a ja otrzymam rangę Szefa Wydziału. To brzmi bardzo dostojnie, prawda? - Oboje nie byli tym zaskoczeni. Kiedy Bret ujawnił jej swój mistrzowski plan, plan operacji „Spławik”, mającej

doprowadzić do ruiny Niemiecką Republikę Demokratyczną, pozbawiając ją stabilnej klasy średniej, wiedziała, że jego projekt ma szanse powodzenia. Każdy, kto przeczytał podręcznik historii, widział wyraźnie, że Hitler doszedł do władzy, kokietując niemiecką klasę średnią, którą komuniści pogardzali.

- Czy można więc złożyć ci gratulacje? - spytała.

• Jasne - odrzekł, a potem oboje podnieśli kieliszki i spełnili toast. Fiona uśmiechnęła się; jak bardzo Bret był dumny ze swego nowego stanowiska! Wiedziała, że nigdy go do końca nie zrozumie i zastanawiała się, czy w ogóle jest to możliwe. Był tak doskonały, a zarazem tak bardzo próżny, czego dowodziła nawet jego idealna opalenizna. Jego granatowa marynarka i szare spodnie miały ją I zapewne przekonać, że potrafi ubierać się swobodnie, ale ponieważ miał również na sobie jedwabną muszkę i wykrochmaloną koszulę, której rękawy były na tyle długie, by widać było onyksowe spinki, wyglądał jak manekin ze sklepu z męską odzieżą. Był bardzo inteligentny, czarujący i mimo zaawansowanego wieku nadal przystojny,

a jednak kompletnie pozbawiony jakiegokolwiek seksualizmu.

- Czy widziałeś się z Frankiem? - zainteresowała się.
- W związku z tą całą paniką? Tak, spędziłem z nim dzisiejsze popołudnie.
- Czy będzie z tego awantura?
- Może, ale nie przypuszczam. Dla nas, w istocie, stanowi to świetną okazję.
- Żeby zwolnić Franka? - Było to złośliwe i prowokujące, toteż wiedziała,

że Bret pominie jej słowa milczeniem.

• Czy byłaś tam, kiedy nadeszła ta przechwycona depesza? - i zadał pytanie obojętnym tonem. Kiwnęła głową. - Opowiedz mi o tym.

• Było to we wczesnych godzinach rannych - mogę sprawdzić w raporcie, jeśli chcesz znać dokładny czas. Przyniósł ją dyżurny

szyfrant - rozszyfrowali ją bardzo szybko. Została nadana przez rosyjski nadajnik wojskowy w Karlshorst na polecenie sztabu głównodowodzącego generała. Zawierała polecenie, żeby jedno z wojskowych lotnisk w południowo-zachodnich Czechach było czynne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Czy Frank ją widział?
- Została mu przekazana. Frank początkowo ją zlekceważył, a potem, jak

zwykle, zaczął się ubezpieczać na wszelki wypadek.

- Kto był odpowiedzialny za bezpieczeństwo w sali łączności?

- Musiałeś to wszystko słyszeć z ust Franka.
- Kto był odpowiedzialny?
- Werner Volkmann.
- Ten przyjaciel Bernarda?
- Tak, on.
- To dobrze. Wszystko pójdzie gładko.
- Ale co?
- Musisz wziąć kopię tej przechwyconej depechy i przekazać ją Pryce-

Hughesowi.

- Przekazać ją Martinowi?
- To właśnie powiedziałem. Bądź precyzyjna. Napisałem dokładnie to, co

chcę, żebyś mu powiedziała.

Fiona wypła łyk szampana. - Czy wiesz, co się stanie?

- Powiedz mi, co się stanie, Fiona.
- Moskwa natychmiast poinformuje Karlshorst, są bardzo wrażliwi na

punkcie wojskowych sygnałów. Choćbym nie wiem jak prosiła o dyskrecję, wyślą ostrzeżenie o przechwyconej depechy temu głównodowodzącemu generałowi i każą mu wszystko zmienić.

- Owszem, zmieniają szyfry i kody. To dla nas nie ma większego znaczenia.

• Nie jestem ekspertem w dziedzinie łączności - powiedziała Fiona. - Ale przecież i tak zmieniają szyfry i kody trzy lub cztery razy w tygodniu, prawda? W związku z tak poważnym przeciekiem zmieniają cały system.

• Ktokolwiek zaaprobował tę akcję, musi wiedzieć, co zrobią Rosjanie - stwierdził Bret, który nie przywiązywał wagi do niczego, co nie łączyło się z jego własnymi planami.

- Ale o co chodzi?

• Zamierzam zrobić z ciebie gwiazdę - oznajmił Bret. - Chcę, żeby Sowieci obsypali cię gwiazdowym pyłem i zaczęli myśleć o tobie jako o potencjalnej gwiazdzie wywiadu.

- Nie podoba mi się to wszystko, Bret.

Spodziewała się, że zapyta dlaczego, ale on skwitował jej zastrzeżenia lekceważącym machnięciem ręki.

- Musiałem uzyskać zgodę D-G na to posunięcie, Fiona. To z jego strony wielkie ustępstwo, które dowodzi, że stary jest naprawdę przekonany.

- Czy NATO nie będzie protestować? Moskwa zmieni wszystko. Wszystko.

- Nie zamierzamy zwierzać się z naszych sekretów przed NATO - rzekł Bret. - Wiesz, co postanowiliśmy.

- Owszem, wiem. - Miała właśnie powiedzieć mu, że postanowiła się wycofać, kiedy usłyszeli od strony schodów ciężkie kroki i sam Kessler wniósł obiecany suflet. Była to wspaniała żółta kopuła z ubitych jajek, ozdobiona brązowymi plamkami przypieczonego sera.

Fiona wydała parę głośnych okrzyków zachwyty, wiedząc, że stary Kessler na to czeka, a Bret dorzucił niepewną niemczyzną kilka własnych komplementów. Kessler podał im suflet i sałatę oraz pieczywo, a potem napełniał ich kieliszki tak długo, że Fiona z trudem powstrzymała atak furii.

Kiedy odszedł, podjęła następną próbę.

- Przemyślałam całą tę operację; przemyślałam ją dokładnie i starannie.

- I chcesz się wycofać? - Spojrzał na nią i kiwnął głową, a potem zaczął dziobać widelcem swój suflet. - W porządku. Spójrz na niego: jest w środku miękki, ale nie surowy.

Nie wiedziała jak zareagować.

- Owszem, chcę, Bret. Jak to odgadłeś?

- Znam cię bardzo dobrze, Fiona. Czasem mam wrażenie, że rozumiem cię nawet lepiej niż twój mąż.

Wypiła łyk szampana i nerwowo kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała. Takie właśnie było podejście Breta. Rozumiał ją: każdy rozsądny łącznik przyjmował taką postawę wobec kierowanego przez siebie agenta. Oglądała to wszystko od drugiej strony, więc wiedziała, jak się to robi. Miała ochotę się napić, więc łakomie opróżniła swój kieliszek.

Bret zabrał się do jego napełniania. Wyciągnął butelkę z kubelka i trzymał ją w powietrzu, dopóki nie spłynęła z niej woda. Potem ostrożnie nalał Fionie szampana, uważając, żeby się nadmiernie nie pienieł.

- Tak, rozumiem - powiedział, nie podnosząc wzroku znad stołu.

- Mówię poważnie, Bret.

- Oczywiście, że mówisz poważnie. To skutki stresu, wiem o tym.

Niepokoję się o ciebie. Chyba wiesz, że się o ciebie niepokoję.

- Nie mogę tego zrobić, Bret. Z najróżniejszych powodów... jeśli żądasz ode mnie wyjaśnień... - Była na siebie zła. Postanowiła przed przyjściem na spotkanie, że nie przyjmie postawy petenta. Nie miała za co przepraszać. Okoliczności się zmieniły. Po prostu nie mogła w tej sytuacji ciągnąć tego dalej.

- Nie masz mi czego tłumaczyć, Fiona. Wiem, co przechodzisz.
- Nie zmienię zdania.

Podniósł wzrok i kiwnął głową z czułą, ojcowską obojętnością.

- Bret! Ja nie zmienię zdania. Nie mogę tam jechać.
- To ta podbudowa - powiedział. - To właśnie jest przyczyną takiego stresu; długi okres przygotowań.

- Bret. Nie myśl sobie, że możesz po prostu zignorować moje słowa, a ja przemyślę wszystko jeszcze raz i w końcu się zgodzę.

- Hmm. - Spojrzał na nią i kiwnął głową. - Być może powinienem wypić kieliszek szampana. - Napełniając kieliszek, zajęty tą czynnością nie zwracał uwagi na jej zdenerwowanie. - Każdy agent przechodzi taki kryzys, Fiona. To nie jest załamanie nerwowe; każdy wcześniej czy później zaczyna się denerwować. - Wyciągnął rękę i dotknął grzbietu jej dłoni. Jego palce, w których wcześniej trzymał butelkę szampana, były zimne jak lód, więc dotyk przyprawił ją o dreszcz. - Trzymaj się; wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci: wszystko będzie dobrze.

Gniew przywrócił jej spokój, tak przydatny podczas rozmowy z Bretem. - Nie traktuj mnie z góry. Ja się nie boję. Nie znajduję się na skraju załamania nerwowego, nie cierpię na przedmiesiączkowe napięcie ani na żadną inną przypadłość, na jaką twoim zdaniem cierpią kobiety - przerwała.

- Rozzłość się! Pozwól sobie na wybuch - powiedział Bret, uśmiechając się w typowy dla siebie protekcyjny sposób. - Wyładuj się na mnie. Powiedz, co masz do powiedzenia.

- Pracuję w Departamencie już od dłuższego czasu, Bret. Znam zasady tej gry. Nie chcę brać dalszego udziału w realizacji tego planu - powinnam pewnie powiedzieć: twojego planu - ponieważ nie czuję się już gotowa poświęcić mego męża i dzieci po to, by zdobyć sławę.

- Nigdy, ani przez chwilę, nie myślałem, że motywem twojego działania jest chęć zdobycia sławy.

- Tak, chyba ci wierzę. - Jego łagodny, pojednawczy ton ukoił nieco jej gniew.

- Wiedziałem, że twoim motywem jest patriotyzm.

- Nie - odparła.

- Nie? I to mówi ta sama kobieta, która mi deklamowała:

There is but one task for all - One life for each to give. Who stands if Freedom Fali? Who dies if England live?

Fiona oblizwała usta. Ulubiony cytat z Kiplinga nie mógł powstrzymać jej od powiedzenia tego, co musiała powiedzieć.

- Mówisz o dwóch latach. Moje dzieci są bardzo małe. Kocham je; potrzebuję ich, a one potrzebują mnie. Zbyt wiele wymagasz. Jak długo mnie nie będzie? Co się stanie z dziećmi? Co się stanie z Bernardem? I z moim małżeństwem? Posłuchcie się kimś, kto nie ma rodziny. To szaleństwo, żeby wysyłać właśnie mnie.

Mówiła cichym głosem, ale wyraz jego twarzy, na której malowało się obłudne współczucie, prowokował ją do krzyku. Kto ocaleje, jeśli zniknie wolność? Tak, słowa Breta odniosły pewien skutek; czuła się wstrząśnięta nagłą konfrontacją ze zdecydowaną młodą kobietą, którą niedawno była. Czy to małżeństwo, czy macierzyństwo uczyniło ją tak cholernie ociężałą?

- Tak, to szaleństwo. I to właśnie jest gwarancją twojego bezpieczeństwa. Bernard będzie szalał, a Sowietci obdarzą cię pełnym zaufaniem.

- Ja po prostu nie mam siły, Bret. Potrzebuję odpoczynku.

- Albo spójrz na to od innej strony - zasugerował przyjaźnie Bret. - Dwa lata pobytu po tamtej stronie może być okazją do sprawdzenia się, okazją, której właśnie potrzebujesz.

- Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebuję, jest kolejna okazja do sprawdzenia się - stwierdziła ostrym tonem.

- Czasem związki między ludźmi kończą się i nie ma na to rady; trzeba po prostu usankcjonować oficjalnie to, co się stało.

- O czym ty mówisz?

- Tak było ze mną i z Nikki - ciągnął cichym, przekonującym głosem. - Powiedziała, że musi się na nowo odnaleźć. Kiedy patrzę teraz wstecz na nasze małżeństwo, widzę, że było tylko fikcją.

- Moje małżeństwo nie jest fikcją.

- Może nie, ale niekiedy trzeba przyjrzeć się dokładnie, żeby coś dostrzec.

Tak było w moim przypadku.

- Kocham Bernarda, a on kocha mnie. I mamy dwoje uroczych dzieci.

Jesteśmy szczęśliwą rodziną.

- Może pomyślisz, że to nie moja sprawa - rzekł Bret - ale ta nagła niestabilność, to wołanie: „Opuśćcie kurtynę i odeślijcie orkiestrę do domu, bo ja nie mogę grać dalej” - i tym podobne bzdury, nie są

skutkiem twojego przepracowania, lecz są związane z twoim życiem osobistym. Więc chcąc poznać odpowiedź, musisz spojrzeć na swoje życie osobiste.

Słowa Breta podziały na nią jak środek wymiotny. Musiała zamknąć oczy, bo na widok talerza z jedzeniem dostawała mdłości. Kiedy je w końcu otworzyła, spojrzała na Breta, chcąc odczytać z jego twarzy, co myśli. Ale nie znalazła tam nic, oprócz protekcyjnej serdeczności, więc powiedziała:

- Moje życie prywatne to moja osobista sprawa, Bret.
- Kiedy jesteś w stanie takiego podniecenia, że każesz mi zrezygnować z najważniejszej operacji, jaką kiedykolwiek zaplanował Departament, przestaje ono być twoją sprawą osobistą.
- Czy zawsze musisz patrzeć na wszystko tylko z własnego punktu widzenia?

Bret dotknął palcami spinki do mankietu, jakby chcąc się przekonać, czy nadal jest na swoim *miejscu*. Ale Fiona rozpoznała w tym geście, w napięciu ramion i w pochyleniu głowy coś więcej. Gesty Breta przypominały nerwowe ruchy pióra przed podpisaniem ważnego dokumentu albo szybkie, rozluźniające ruchy sportowca przed startem do biegu po rekord.

- W twojej sytuacji nie masz prawa oskarżać nikogo o egoizm, Fiona.

Zagryzła wargi. Zignorowanie tego otwartego wyznania byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy, natomiast każda reakcja na nie mogła wywołać lawinę, którą oglądała w koszmarnych snach.

- Ja jestem egoistką? - spytała bojaźliwym głosem, mając nadzieję, że Bret wyśmieje taką sugestię.
- Fiona, musisz się trzymać tego, co zostało ustalone. Od tej operacji cholernie dużo zależy. To, co zrobisz dla kraju, będzie bardzo ważne. Tylko nieliczni mieli szanse dokonania czegoś, co mogłoby się równać z twoim wyczynem.

Przebywając po drugiej stronie, będziesz mogła w ciągu roku lub dwóch zrobić dla Londyńskiej Centrali tyle, że w wymiarze historycznym da się to porównać z wielkim militarnym zwycięstwem.

- Z wielkim zwycięstwem? - powtórzyła odruchowo.
- Powiedziałem ci to już: wskaźniki ekonomiczne sugerują, że możemy ich zmusić do zburzenia Muru, Fiona. Rewolucja bez przelewu krwi. Będą o tym pisali w podręcznikach historii. Tak, w podręcznikach historii. Nasze sprawy osobiste nie liczą się wobec takich perspektyw.

Niczego przed nim nie mogła ukryć; widziała to w jego oczach. - Czy ty mnie szantażujesz, Bret?

- Nie jesteś dziś sobą, Fiona. - Udawał przejętego, ale nie wkładał w to zbyt wiele wysiłku.
- Czy ty mnie szantażujesz?
- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Czym mógłbym cię szantażować?
- Ja się nie boję gróźb; nigdy się ich nie bałam.
- Czy możesz mi powiedzieć, czym ja ci grozę? Czy też mam zacząć zgadywać?

Fiona widziała, że jest zachwycony tą sytuacją; zachowywał się jak sadysta. Nienawidziła go, ale równocześnie dostrzegła w nim po raz pierwszy rodzaj upartej determinacji, za którą inna kobieta w innych okolicznościach mogłaby go pokochać. Czuli, że gotów byłby walczyć równie zajadle także w jej obronie; taką miał naturę.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Bret: czy kazałeś mnie śledzić?

Bret odłożył widelec, oparł się o krzesło, złożył dłonie, splatając palce, i spojrzał jej w oczy.

- Wszyscy podlegamy inwigilacji, Fiona. To należy do naszego zawodu.

Uśmiechnął się. Fiona podniosła swój kieliszek szampana i chlusnęła mu nim w twarz.

- Jezu Chryste! - Zerwał się na równe nogi i zaczął tańczyć wokół stołu, wycierając serwetką twarz i koszulę. - Czy ty oszalałaś?

Patrzyła na niego z przerażeniem. Przeszedł na drugą stronę sali, by wziąć garść nowych serwetek z bocznego stolika. Wytrzeł ubranie i krzesło, a potem, uspokoiwszy się, wrócił na miejsce.

Fiona nie poruszyła się. Nie lubiła tracić panowania nad sobą, więc żeby na

niego nie patrzeć, zaczęła przesuwając widelcem suflet po swoim talerzu.

- Ale Bernard o tym nie wie? - spytała, nie podnosząc wzroku. Nie tknęła ani kawałka sufletu; na samą myśl o jedzeniu robiło się jej niedobrze.

Bret przesunął palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka, który kleił mu się do szyi.

- Tego rodzaju nadzór odbywa się poza Departamentem. Ze względów bezpieczeństwa nie możemy używać do tego własnych ludzi.
- Obiecuj mi, że Bernard się nie dowie.
- Mogę obiecać, że nie dowie się ode mnie. Ale Bernard jest człowiekiem byстрыm i domyślnym... Nie muszę ci tego mówić. - Spojrzał na zegarek. Chciał wyjść z restauracji i jak najszybciej się przebrać.
- Tak czy owak to już się skończyło.
- Cieszę się. - Spojrzał na nią i mimo plam na koszuli i zmierzwionych włosów posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.
- Czy wiesz, o czym mówię? - spytała.
- Oczywiście, że nie wiem - odparł, uśmiechając się nadal.
- Czy ustaliliśmy jasno i wyraźnie, że mam tam być tylko przez rok, a potem zostanę przerzucona na naszą stronę?
- Rok. Tak, na tym od początku polegał nasz plan - stwierdził. - Czy masz torebkę? Podam ci szczegóły dotyczące tej przechwyconej depeszy. Jutro zadzwoń z samego rana na ten kontaktowy numer, który dał ci Pryce-Hughes. Jest to numer jego biura; jutro ma przedpołudniowy dyżur. - Nawet kąpiel w szampanie nie wyprowadziła go z równowagi.
- Jesteś bezwzględnym draniem - powiedziała Fiona.
- Od dawna wiadomo, że ludzie niezdolni do bezwzględności nie nadają się do tej pracy - podsumował Bret.

9

Londyn, kwiecień 1983.

To dawne berlińskie spotkanie z Fioną było dla Breta Rensselaera jedynym przykrym epizodem, do jakiego doszło podczas długich przygotowań do powierzonej jej misji. Wspominając je z perspektywy czasu był przekonany, że rozwiązał wtedy jej wątpliwości i dodał otuchy, tak potrzebnej agentom, którzy cierpią na chorobliwą niemożność podjęcia decyzji. Był to - jak oświadczył Dyrektorowi Generalnemu podczas jednego ze sprawozdań, które lubił składać osobiście - niezbędny etap

przygotowań agenta, mającego wykonać długofalowe zadanie.

- Dla niej była to zmiana roli. Można by nazwać ten okres „okresem schizotypicznym”; musieliśmy bowiem narzucić komuś o normalnej osobowości zadania właściwe dwóm całkowicie odmiennym osobom.

D-G gotów był wyrazić swoje wątpliwości, dotyczące zarówno terminologii, jak i podstawy naukowej, na której Bret oparł swoje uproszczone i zniekształcone - jego zdaniem - wnioski, ale przypomniał sobie w porę poprzednią dyskusję, podczas której Bret - jako człowiek poddający się niekiedy psychoanalizie - zasypał go potokiem psychologicznych wywodów, obejmujących obszerne notatki, dane statystyczne i cytaty z „fundamentalnych dzieł Jamesa i Langa”. Kiwnął więc tylko głową.

Bret przypomniał mu, że w tym przypadku agentem była kobieta, wybitnie inteligentna kobieta, mająca dwoje dzieci. Atak był więc bardziej gwałtowny niż zazwyczaj. Z drugiej strony te same okoliczności, które były przyczyną jej wątpliwości i trosk, czyniły ją osobą mniej podejrzaną w oczach strony przeciwnej. Fiona Samson miała stabilną osobowość, a subtelne zabiegi korekcyjne Breta wzmocniły ją na tyle,

że mogła „przystąpić do gry” jako osoba całkowicie „przeprogramowana”. Ponieważ w wyniku tego nieszczęsnego epizodu z szampanem stała się emocjonalnie zależna od Breta, a tym samym od decyzji podejmowanych w Londyńskiej Centrali, można było uznać, że posiada odpowiednią motywację i wystarczającą determinację.

- Ty znasz się na takich rzeczach lepiej niż ja - oświadczył D-G z pogodnym przekonaniem, które nie odzwierciedlało jego prawdziwych uczuć. - Ale ja wiem, że w kontekście naukowym tego rodzaju „przeprogramowanie” oznacza niekiedy podświadome wysunięcie na pierwszy plan nienawiści, a nie miłości czy szacunku.

- To absolutna prawda! - przyznał Bret. Zaskoczony, nie po raz pierwszy, bystrością swego szefa, oprzytomniał na tyle szybko, by dodać: - I na ten właśnie aspekt pracy zwracam szczególną uwagę.

- No cóż, jestem pewien, że nad wszystkim panujesz - powiedział D-G, patrząc na zegarek.

- Owszem, panie dyrektorze. Może pan na to liczyć.

Bret Rensselaer nie opierał swoich wniosków na osobistym doświadczeniu w pracy z agentami operacyjnymi, gdyż w trakcie swojej kariery rzadko stykał się bezpośrednio z tymi dziwnymi istotami (choć jego decyzje miały oczywiście wpływ na funkcjonowanie całej instytucji). Sir Henry dobrze wiedział, że Bret sprawował wyłącznie funkcje administracyjne. Wybrał go głównie dlatego, że nie był skażony rutynową działalnością operacyjną, więc nikt nie domyśliłby się, że taki urzędnik jak on może być łącznikiem podwójnego agenta, a to z kolei znacznie zmniejszało niebezpieczeństwo, na jakie narażona była Fiona.

Ale Bret Rensselaer i Fiona Samson nie byli jedynymi ludźmi zmagającymi się z problemami, które rodziła ta zmiana ról Fiona nigdy dotąd nie była agentem, a

Bret nigdy nie był łącznikiem, ale sam D-G też nigdy dotąd nie przeżył dylematów, związanych z wysyłaniem na terytorium nieprzyjaciela osoby, którą znał tak dobrze, jak znał Fionę Samson. Było już jednak zbyt późno, by mógł zmienić zdanie.

Znajdował pociechę w optymistycznych zapewnieniach Breta, ponieważ nie widział żadnego innego sposobu tłumienia swego niepokoju.

Bret wspominał tę kolację u Kesslera jako epizod, dowodzący chwilowego załamania Fiony, ale w jej pamięci tkwiła ona tak głęboko, jak program wprowadzony do pamięci komputera. Pamiętała ten okropny wieczór i wszystkie jego upokarzające szczegóły. Upokarzający był dla niej protekcyjny ton, jakim zareagował na jej chęć wycofania się z operacji. Upokarzająca była bezczelność, z jaką skłonił ją za pomocą szantażu do kontynuowania misji. Pogarda, jaką okazał jej, kiedy oblała go szampanem; wyśmiał ją, jakby była kilkuletnią córką szanowanego przyjaciela. Ale najbardziej wstydziła się tego, że zrobiła wszystko, co jej kazał, ponieważ, jak często bywa, mierzyła swe upokorzenie miarą sukcesu przeciwnika, a dominacja Breta pod koniec kolacji była już absolutna.

Od czasu tej konfrontacji nigdy więcej nie wyraziła chęci wycofania się z udziału w operacji. Po kilku męczących tygodniach, podczas których miała nadzieję, że Bret Rensselaer zrezygnuje z pracy w Departamencie, zostanie przeniesiony lub padnie ofiarą śmiertelnego wypadku, myśl o zwolnieniu z podjętych zobowiązań w ogóle nie przychodziła jej do głowy. Jej los był nieunikniony.

Jak większość kobiet - pod tym względem nie różniła się od celniczek, funkcjonariuszek urzędu imigracyjnego, policjantek i sekretarek zatrudnionych w jej własnym biurze - była bardziej sumienna i skrupulatna niż mężczyźni. Chcąc okazać pogardę Bretowi i innym mężczyznom jego pokroju, wykonywała swoją pracę dokładniej i staranniej niż on. Postanowiła, że zostanie tym cholernym „super-spiegiem”, którego chcą z niej zrobić. Pokaże im, jak dobrze można się wywiązać z tego rodzaju misji.

Jej spotkania z Martinem Euanem Pryce-Hughesem trwały nadal, ale Bret starał się, aby przekazywane mu strzępy informacji i odpowiedzi na konkretne pytania miały większą wartość niż *Spielmatehal*, jaki dostarczała mu dawniej. Pryce-Hughes był zadowolony. Reagując na wyraźną aluzję, poprosiła o większe sumy pieniędzy; nie tak wielkie, ale na tyle wysokie, by pozostawały w odpowiednim stosunku do jej wartości. Moskwa zareagowała pospiesznie i hojnie, co ucieszyło zarówno Breta, jak i Martina. A jednak, z biegiem przechodzących w lata miesięcy,

Fiona zaczęła żywić nadzieję, że Departament zrezygnuje ze swego długofalowego planu, mającego doprowadzić do ulokowania jej w obozie nieprzyjaciela. Bret nadal odbywał z nią regularne sesje szkoleniowe, do których dostosowane zostały jej obowiązki. Ograniczono jej dostęp do komputerów i nigdy nie dawano do rąk bardzo poufnych dokumentów. Wydawało się jednak, że D-G zapomniał o niej, co więcej, że zapomniał również o istnieniu Breta Rensselaera. Raz czy dwa razy chciała spytać go wprost o plany wobec jej osoby, ale postanowiła zostawić sprawy własnemu biegowi. Bernard mówił, że ekscentryzm D-G przybiera rozmiary inwalidztwa, ale Bernard zawsze miał skłonności do przesady.

Osobą, która w typowy dla siebie sposób doprowadziła do ponownej erupcji całego problemu, była jej młodsza siostra Tessa. - Kochana Fi! Zawsze jesteś pod ręką, kiedy cię potrzebuję.

- Zawsze podajesz świetnego szampana - stwierdziła Fiona, chcąc zneutralizować napięcie widoczne na twarzy siostry. Tessa uzewnętrzniała je również w inny sposób: nerwowo obracała zdobiące jej palce pierścionki.

- To moja dieta: kawior, szampan i ostrygi. Stosując taką dietę, nie można utyć.

- Nie, najwyżej zubożeć - powiedziała Fiona.

- To samo mniej więcej mówi tato. Odnosi się do mnie z dezaprobatą. -

Jakby chcąc zrobić mu na złość, podniosła swój kieliszek, obejrzała bańki powietrza i wypila łyk szampana.

Tessa zawsze demonstrowała niezależność, która bywała źródłem jej kłopotów. Związek między Fioną a młodszą od niej Tessą był typowym przykładem siostrzanej rywalizacji - zjawisko psychologiczne, do którego wielokrotnie nawiązywał Bret podczas wspólnych sesji przygotowawczych. Ich ojciec, człowiek dość ograniczony, kazał wyhaftować na poduszce biurowego krzesła, na którym sadzał interesantów, swoje ulubione motto: „Chcę rezultatów, a nie tłumaczeń”. Wierzył, że każda forma wyrozumiałości może nadwątlić siłę córek i poderwać jego własny autorytet.

Tessa rychło odkryła, jak mało wymagająca i wygodna jest rola młodszej siostry, i pozwalała Fionie spełniać, a czasem zawodzić, oczekiwania ojca. Tessa była zawsze tą córką, od której nie należało wiele wymagać. Fiona pojechała do Oxfordu i studiowała literaturę; Tessa została w domu i czytywała książki Harolda Robbinsa. Była serdeczna, porywcza i czuła. Potrafiła wszystko zmienić w żart; to była jej

metoda unikania poważnych problemów. Nieograniczona hojność stanowiła jej słaby punkt, na świecie roiło się bowiem od ludzi zimnych, wyrachowanych i niezdolnych do miłości. Czy w takim świecie mogły mieć znaczenie jej liczne, frywolne romanse? Zawsze wracała do męża, którego bardzo kochała. I cóż z tego, że podczas wspólnie spędzonej nocy pewien podпиты, niemądry kochanek przyznał się jej w łóżku do szpiegostwa na rzecz Rosjan? Zapewne był to żart.

- Opisz mi go jeszcze raz - zażądała Fiona.
- Znasz go - odparła Tessa. - W każdym razie on wszystko o tobie wie.
- Miles Brent?
- Giles Trent, kochanie. Giles Trent.
- Gdybyś przestała gryźć te cholerne orzechy, byłabym w stanie zrozumieć,

co mówisz - powiedziała Fiona z irytacją. - Owszem, Giles Trent. Oczywiście, pamiętam go.

- Przystojniak; wysoki, postawny, ma falujące siwe włosy.
- Ależ on jest stary jak Matuzalem, Tessa. Zawsze brałam go za pedała.
- Och, nie. Nie jest pedałem - orzekła Tessa, chichocząc. Wypiła już sporo szampana.

Fiona westchnęła. Siedziała w wytwornie umeblowanym salonie Tessy Kosiński w Hampstead, zielonym przedmieściu Londynu, obserwując krwistoczerwone słońce, które nasączało szkarłatem różowawe chmury. Kiedy przed wielu laty bogaci londyńscy kupcy i arystokraci zaczęli jeździć do wód i odwiedzać w tym celu modną miejscowość Bath, mniej zamożni pijali lecznicze wody w tym pagórkowatym regionie, zamieszkanym obecnie przez zamożnych wydawców i właścicieli agencji reklamowych.

Mąż Tessy zajmował się handlem nieruchomościami i samochodami, grą na giełdzie i innymi ryzykownymi przedsięwzięciami. Ale miał niezawodny talent do interesów. Kiedy kupował podupadającą firmę, natychmiast odzyskiwała ona rozmach. Kiedy kupował za niewielkie pieniądze pakiet niechodliwych akcji, jego inwestycja przynosiła wielki zysk. Nawet kiedy wyświadczył przysługę miejscowemu antykwariuszowi, kupując od niego obraz, którego nie chciał nikt inny - nudne, ciemnawe, alegoryczne malowidło - ktoś z jego gości odkrył, że jest to dzieło jednego z uczniów Ingesa. Choć wśród nich znajdowało się wiele miernot, niektórzy jednak byli z kolei nauczycielami Degasa i Seurata. Ten fakt oraz surowe płótno i typowe dla

techniki Ingresa wykorzystanie bieli skłoniły radę nadzorczą jednego z amerykańskich muzeów do zaoferowania George'owi za wspomniany obraz niezwykle wysokiej sumy. Wysłał go następnego dnia. George uwielbiał robić interesy.

- I powiedziałaś o tym wszystkim tacie? O tym, że Trent wyznał ci, iż jest rosyjskim szpiegiem, i tak dalej?

- Tato kazał mi o wszystkim zapomnieć. - Tessa odruchowo podniosła ze stolika luksusowe czasopismo. Otworzyło się ono na fotografii uczestników jakiegoś przyjęcia, jednego z tych, na których często bywali państwo Kosiński.

- Tato potrafi być czasem bardzo niemądry - stwierdziła Fiona z wyraźną pogardą. Tessa spojrzała na nią z wielkim szacunkiem. Fiona naprawdę tak myślała, natomiast Tessa, która również od czasu do czasu nazywała ojca głupcem, nigdy nie uwolniła się od dziecięcej zależności od niego.

- Być może Giles po prostu żartował - zasugerowała Tessa, która poczuła się winna, widząc niepokój siostry.

- Mówiłaś, że to nie był żart - warknęła Fiona.

- Tak - przyznała Tessa.

- Tak czy nie?

Tessa przyjrzała się siostrze, zdziwiona jej podnieceniem. - To nie był żart. Mówiłam ci: rozmawiałam z nim o tym wszystkim... o tym Rosjaninie, i tak dalej.

- No właśnie - westchnęła Fiona. - Więc jak mógł być to żart?

- Co się z nim stanie? - Tessa odrzuciła czasopismo na stos innych magazynów.

- Nie potrafię ci powiedzieć. - Fiona rozważała komplikacje, jakie to wydarzenie wniesie w jej życie. Patrzyła na swoją młodszą siostrę, siedzącą na żółtej sofie w szmaragdowozielonej obcisłej sukni z firmy Givenchy, której ona - choć miały te same wymiary - nigdy nie ośmieliłaby się włożyć, i zastanawiała się, czy poinformować ją o grożącym jej niebezpieczeństwie. Jeśli Trent przyznał się swemu rosyjskiemu łącznikowi do popełnienia tak drastycznej niedyskrecji, Moskwa może wydać polecenie zlikwidowania Tessy. Otworzyła usta, zastanawiając się, jak sformułować tę informację, ale kiedy Tessa spojrzała na nią wyczekująco, powiedziała tylko: - To piękna suknia.

- Ty zawsze byłaś zupełnie inna niż ja, Fi. - Tessa uśmiechnęła się.

- Nie jestem tego pewna.
 - Bardziej w stylu Chanel.
 - Co to znaczy?
 - *Tailleur*, z żakietem, którego podszewka pasuje do bluzki, łańcuszkowy pasek i gardenia; wszyscy wiedzą, na czym polega styl Chanel.
 - I co jeszcze? - Sposób bycia Tessy bywał czasem irytujący.
 - Wiedziałam, że będziesz robić w życiu coś ważnego... coś, czym zajmują się mężczyźni - mówiła łagodnym tonem Tessa, czekając na odpowiedź siostry, dotyczącą dalszego biegu wydarzeń. Widząc, że Fiona nie spieszy się z odpowiedzią, dodała: - Nie pytałam Gilesa o to, co robi; on sam mi o tym powiedział.
 - Tak. On pracuje w Departamencie - oznajmiła Fiona.
 - Bardzo mi przykro z powodu tych wszystkich kłopotów, Fi. Może nie powinnam była zawracać ci tym głowy.
 - Zrobiłaś słusznie, mówiąc mi o tym.
 - Czasem potrafi być taki czarujący - oznajmiła Tessa.
 - Po co ty w ogóle wychodziłaś za męża?
 - Chyba z tych samych powodów co ty. Chciałam rozzłościć tatę.
 - Jak to? - spytała Fiona.
 - Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Wychodząc za swojego upartego, twardego faceta, o mało nie przyprawiłaś ojca o atak szału.
 - Myślałam, że lubisz Bernarda - powiedziała Fiona przyjaźnie. - Namawiałaś mnie do małżeństwa z nim.
 - Uwielbiam go, przecież o tym wiesz. Któregoś dnia ucieknę z nim.
 - Czy małżeństwo z George'em było twoim sposobem dokuczenia tacie?
- Tessa zwlekała przez chwilę z odpowiedzią. - George jest takim wspaniałym człowiekiem... jest święty. - I zdawszy sobie sprawę, że nie jest to pochwała, jakiej mógłby sobie najbardziej życzyć, dodała: - Tylko święty mógłby ze mną wytrzymać.
- Być może George potrzebuje kogoś, komu mógłby wybaczać.
- Tessa nie wzięła tej ewentualności pod uwagę. - Myślałam, że handlarz używanymi samochodami prowadzi fascynujący tryb życia. Wiem, że to głupie, ale na filmach tacy ludzie zawsze obracają się w półświatku, z gangsterami i ich dziewczynkami.

- Naprawdę, Tess! - westchnęła ze znużeniem Fiona, tonem nagany.
- Kochanie, trudno jest żyć z człowiekiem, który gorszy się, kiedy damy używają brzydkich wyrazów, i który wstaje o szóstej rano, żeby nie spóźnić się na mszę. Czasem myślę, że chciałby mnie przez cały dzień więzić w kuchni, jak jego ojciec matkę.
- Jesteś kompletną idiotką, Tessa.
- Wiem. To wszystko moja wina. - Wstała nagle i powiedziała z podnieceniem: - Już wiem! Chodźmy na kolację do Annabel. - Wygładziła swoją suknię. - Tylko we dwie.
- Usiądź, Tessa. Usiądź i uspokój się. Nie chcę iść do Annabel. Chcę pomyśleć.
- Mam w zamrażalniku domowy gulasz z kurczaka. Włożę go do piekarnika, a my będziemy tymczasem rozmawiać.
- Nie, nie. Będę musiała zjeść coś z Bernardem.

Tessa opadła z powrotem na sofę, chwyciła swój kieliszek i wypiła trochę szampana.

- Masz szczęście, że nie mieszkasz w Hampstead; pełno tu intelektualistów. Moja cholerna sprzątaczką zadzwoniła dziś, że nie może przyjść, bo ma naradę ze swoim redaktorem scenariuszy! Redaktorem scenariuszy! Jezu Chryste! Napij się jeszcze trochę szampana, Fi. Nienawidzę pić sama.

- Nie, dziękuję, Tessa. I myślę, że ty też wypiłaś dosyć jak na jeden wieczór.

Tessa odstawiła kieliszek i nie napełniła go. Czuła się okropnie, kiedy jej siostra miała o niej złą opinię. Fiona była - oprócz George'a - jedyną bliską jej osobą, a nie mogła zwierzać się mężowi ze wszystkich kłopotów. Większość z nich była skutkiem niemądrych, nieważnych romansów, które stale jakoś jej się przytrafiały. Nie mogła oczekiwać od męża pomocy w tego rodzaju sprawach.

- Czy mogę zadzwonić? - spytała Fiona.

Tessa wykonała oburącz przyzwalający gest. - Jeśli zależy ci na dyskrecji, zatelefonuj z sypialni.

Fiona poszła do sypialni. Na wielkim łóżu z czterema kolumnami rozpostarta była antyczna, biała, koronkowa narzuta, wyraźnie widoczna na tle ciemnoczerwonej kapy. Na nocnym stoliku stał modny nowy telefon i mnóstwo kosztownych perfum, flakoników z lekarstwami i książek w kieszonkowych wydaniach. Flakonik z

aspiryną był otwarty; wokół niego leżały wysypane tabletki. Fiona podniosła słuchawkę, ale zawahała się przed nakręceniem numeru.

Wbrew optymistycznym teoriom Breta Rensselaera, Fiona Samson nie była osobą chętnie zwracającą się do innych ludzi - bez względu na ich płeć - z prośbą o radę czy pomoc. Była - jak wiele najstarszych dzieci w rodzinie - samowystarczalna i samokrytyczna. Ale teraz odczuwała potrzebę wysłuchania opinii jakiejś innej osoby. Spojrzała na zegarek. Przygotowawszy sobie w myślach całą historyjkę, nakręciła numer Breta. Czekwała dość długo, ale nikt nie podniósł słuchawki. Spróbowała jeszcze raz, na wypadek gdyby źle nakręciła numer, ale i tym razem nikt nie odebrał. Ten nieoczekiwany zawód wyprowadził ją nieco z równowagi i wtedy właśnie wpadła na pomysł, żeby zadzwonić do wuja Silasa.

Kariera Silasa Gaunta była niemal legendą w niepisanej historii Departamentu. Nie można było go porównać z żadnym innym mężczyzną; był po prostu człowiekiem wyjątkowym. Establishment brytyjski co jakiś czas przyjmuje dla przyzwoitości w swoje szeregi brutala, żeby nie powiedzieć gruboskórnego słonia; człowieka, który z rozkoszą łamie wszystkie możliwe zasady. Który nie uznaje nikogo za swego mistrza, a tylko niewielu za równych sobie. Kontrowersje były kamieniami milowymi kariery Gaunta, który zaczął swoją służbę berlińskiego Rezydenta od gwałtownej kłótni z Dyrektorem Generalnym. Fakt, że nie miał wrogów na wysokich stanowiskach, był dowodem zarówno jego talentów dyplomatycznych, jak i bezwzględności.

Właśnie Gaunt, daleki krewny matki Fiony, tak energicznie chronił Briana Samsona i jego syna Bernarda przed atakami dygnitarzy, którzy uważali, że kierownicze stanowiska w SIS zarezerwowane są dla pewnego rodzaju Anglików z klas wyższych, czyli ludzi różniących się diametralnie od obu Samsonów. Samsonowie przetrwali; opozycja nie wzięła pod uwagę pomysłowości Gaunta, jego przebiegłości i skuteczności ataków furii. Kiedy przeszedł w końcu na emeryturę, w całej instytucji rozległo się ogólne westchnienie ulgi. Gaunt nie został jednak wykluczony z gry. Znał go i szanował Dyrektor Generalny, a jego wpływ był wyraźnie widoczny w sposobie, w jaki Sir Henry prowadził operację związaną z Fioną Samson. Oprócz Breta Rensselaera, który był autorem pomysłu, o operacji wiedzieli tylko dwaj ludzie: sam Sir Henry i Silas Gaunt.

Teraz, pod wpływem impulsu, Fiona nakręciła numer rezydencji w Whitelands. Usłyszawszy, że telefon odebrał sam gospodarz, nie wahała się ani nie

traciła czasu na wymianę uprzejmości; w gruncie rzeczy nie podała nawet swojego nazwiska. Zakładając, że rozpozna jej głos, powiedziała:

- Silas, muszę się z tobą zobaczyć. Muszę. W pilnej sprawie. Zapadło dłuższe milczenie.

- Gdzie jesteś? Czy możesz rozmawiać?
- W mieszkaniu mojej siostry. Nie, nie mogę.
- Czy to może poczekać do najbliższego weekendu?
- Doskonale. Kolejna dłuższa przerwa.
- Zostaw to mnie, kochanie. Zaproszę Bernarda, z tobą i dziećmi.
- Dziękuję, Silas.
- Nie ma za co. To dla mnie przyjemność.

Odłożyła słuchawkę. Kiedy opuściła wzrok, by przekonać się, co chrzęści pod jej stopami, stwierdziła, że wciska w złocisty dywan aspirynę i inne pigułki. Spojrzała na ten cały bałagan; niepokoiła się o Tessę. Do jakiego stopnia miała wpływ na to, że siostra stała się tego rodzaju kobietą? Fiona zawsze była „najstarszym synem”; bez trudu zdobywała dobre stopnie i miała dobre stosunki z ojcem, o czym Tessa nie mogła nawet marzyć.

Była faworytką ojca, ale nigdy nie cieszyła się jego zaufaniem. Tak bardzo dbał o tajność swoich finansów, że zatrudniał wielu różnych księgowych i prawników, aby nikt nie poznał całej prawdy o jego inwestycjach i dochodach. Fiona bywała mimo wszystko zapraszana do jego biura i przedstawiana personelowi, wydawało się więc, że na mocy niepisanego porozumienia zastąpi kiedyś ojca.

Tak się jednak nie stało. Fiona poszła na uniwersytet i świetnie sobie tam radziła. Lubiła obracać się w świecie mężczyzn i podczas

pobytu w Oxfordzie została zwerbowana do najbardziej męskiego rezerwatu, do tajemniczego i ekskluzywnego bractwa, które nosi podwójną nazwę i posiada głęboko utajnione cele. Obsesyjna tajemniczość ojca przygotowała ją do pracy w Tajnej Służbie Wywiadowczej, a ukazany przez niego świat businessu nie mógł konkurować z tą służbą.

Kiedy więc wśród członków tego bractwa odkryła człowieka, który nie przypominał jej żadnego innego poznanego dotąd mężczyzny, postanowiła go zdobyć i zrobiła to. Bernard Samson dorastał w tym świecie fizycznych zmagania i brutalności. Świecie, w którym trzeba było zabijać, aby nie zostać zabitym. Liczni przyjaciele jego ojca poznali służbę w wywiadzie podczas wojny - i niektórzy z nich zostali odznaczeni jako bohaterowie - ale Bernard Samson różnił się od nich wszystkich diametralnie; jego wojna była mroczną, brudną, prywatną wojną. Oto w końcu był człowiek, którego jej ojciec nie potrafił zgłębić i którego serdecznie nienawidził. Ale jeśli prawdą są słowa Chandlera, który napisał, że...*po tych splamionych występkiem*

ulicach musi chodzić człowiek, który sam nie jest splamiony występkiem, nie jest też ani brutalny, ani przerażony... Który jest prawdziwym człowiekiem, zwykłym człowiekiem, a zarazem człowiekiem wyjątkowym - to Bernard Samson był właśnie takim człowiekiem. Już w pierwszym dniu ich znajomości wiedziała, że nie zniosłaby jego utraty na rzecz jakiegóż innej kobiety.

Fiona wyszła za mąż. Tessa, lekceważona i niepewna siebie, zeszła na boczny tor; była ofiarą kariery zawodowej Fiony i obojętności ojca. Biedna Tessa, czym mogłaby się stać, gdyby Fiona strzegła jej, doradzała i odpowiadała na jej potrzeby?

- Czy wszystko w porządku?! - zawołała Tessa z sąsiedniego pokoju.
- Już idę, Tessa. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci, że to jakoś załatwię.
- Wiedziałam, że to zrobisz, Fi. - Tessa podeszła bliżej. Zarzuciła siostrze

ręce na szyję i pocałowała ją. - Najdroższa, kochana, cudowna Fi, wiedziałam, że to załatwisz.

Tego rodzaju objawy przywiązania wprawiały Fionę w zakłopotanie, ale tym razem stała nieruchomo i nie protestowała.

Gdyby zaproszenie od Silasa nadeszło w innych okolicznościach, Fiona byłaby zachwycona perspektywą spędzenia weekendu z mężem i dziećmi w wiejskiej rezydencji, w której Silas Gaunt zamieszkał po przejściu na emeryturę. Jego sześciusetakrowa posiadłość umożliwiała wspaniałe spacerowanie z wapiennego płaskowyzu zapierających dech widoków na lśniącą rzekę Severn.

Ale w tym kontekście wszystko obciążone było kłopotami i najeżone niebezpieczeństwami. Wśród zaproszonych gości znalazł się ambitny szef Sekcji Niemieckiej Dicky Cruyer wraz z żoną Daphne, artystką. Bret Rensselaer przywiózł z sobą jakąś młodą blondynkę. Onieśmielona towarzystwem wielu nieznanymi osobami, przez cały czas trzymała się blisko niego; tak blisko, że za zgodą Silasa dostali jedyne dwie łączące się ze sobą sypialnie. Fiona podejrzewała, że Bret zażądał takiego rozlokowania gości, bo kiedy spytała Silasa, czy jej dzieci mogą mieszkać obok niej, odpowiedział, że inni potrzebują sąsiadujących ze sobą pokoi bardziej niż ona, i roześmiał się.

Silas był piratem, a przynajmniej tak wyglądał. Był wielkim, łysym grubasem o wydatnych policzkach i wysokim czole. Jego workowate części garderoby pochodziły z dobrych firm, ale on lubił stare ubrania - podobnie jak stare wina i starych przyjaciół - i prezentował wyblakłe łaty i cery, będące dziełem jego wiernej gospodyni, pani Porter, jak stary wojak swoje medale.

Dom zbudowany był z miejscowego pięknego, brązowego kamienia, a jego wyposażenie - na przykład ledwie widoczne spod grubej warstwy pociemniałego

werniksu portrety rodzinne czy wspinała osiemnastowieczna komoda - pasowało do niego stylem. Silas Gaunt lubił swoją jadalnię, szczególnie gdy była tak zatłoczona jak podczas tego sobotniego obiadu. Gospodarz stał u szczytu pięknego, mahoniowego stołu, krojąc imponującą połówkę wołową dla swoich gości - Samsonów, Cruyerów, Tessy, Breta Rensselaera - i dominując nad nimi dzięki sile swojej osobowości.

Fiona Samson patrzyła na to wszystko jakby z dystansu. Nawet kiedy jej syn Billy wylał sobie sos na koszulę, uśmiechnęła się tylko pogodnie, jakby był to incydent utrwalony na starym, kręconym w domu filmie.

Z zainteresowaniem obserwowała państwa Cruyerów. Studiowała z Dickim w Oxfordzie. Pamiętała, że kiedyś odniósł sukces nagrodzony aplauzem w towarzystwie dyskusyjnym i że zalecał się do niej po zakończeniu jakiegoś meczu krykieta. Należał do najzdolniejszych absolwentów Balliol College i otrzymał stanowisko szefa Sekcji Niemieckiej, którego odmówiono Bernardowi. Mówiło się, że kiedy nadejdzie odpowiedni czas, obejmie kierownictwo Wydziału Europejskiego. Fiona zastanawiała się, czy Silas Gaunt zaproponuje dopuszczenie go do tajemnicy. Miała nadzieję, że tego nie zrobi; wiedziała o tym już wystarczająco duża liczba ludzi, a poza tym powierzenie Dicky'emu sekretów, których nie znał Bernard, wydałoby się jej nieznośne. Dicky zauważył, że na niego patrzy, i posłał jej nieśmiały uśmiech, który robił tak wielkie wrażenie na dziewczętach z Oxfordu.

Spojrzała na Tessę. Jej mąż George Kosiński był nieobecny. Silas, przejawiając typową dla siebie szczęśliwą intuicję, domyślił się, że telefon dotyczył Tessy, i sprowadził ją na wypadek, gdyby chciał dowiedzieć się od niej czegoś więcej.

Kiedy po obiedzie Silas zaprosił mężczyzn do pokoju bilardowego na koniak i cygara, Fiona zaprowadziła dzieci na górę i kazała im odrabiać lekcje.

- Mamusiu, czy w latach przestępnych kobiety oświadczają się mężczyznom? - spytała Sally.
- Chyba nie - odparła Fiona.
- Tak twierdzi moja nauczycielka - powiedziała Sally, a Fiona zdała sobie sprawę, że wpadła w jedną z pułapek, jakie lubiła zastawiać na nią jej córka.
- A zatem nauczycielka ma z pewnością rację - oznajmiła.
- To była panna Jenkins. Tato twierdzi, że ona jest idiotką.

- Może źle go zrozumiałaś?
- Byłem przy tym - wtrącił się do rozmowy Billy. - On naprawdę powiedział, że panna Jenkins jest cholerną idiotką. Było to wtedy, kiedy go prosiła, żeby nie stawiał naszego samochodu na parkingu zarezerwowanym dla dyrektora szkoły.

- To było w sobotę - dodała Sally, występując w obronie ojca.
- Wystarczy - przerwała stanowczo Fiona. - Zacznijmy od zadań z matematyki.

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała Tessa. - Tak? - spytała Fiona.

- Przyszłam spytać, czy dzieci nie chciałyby pójść do stajni.
- Muszą odrobić zadania.
- Jest tam nowe źrebię, urodzone w zeszłym tygodniu... tylko na pół godziny, Fi.

- Mają w poniedziałek klasówkę - oznajmiła Fiona.
- Zostaw je ze mną, Fi. Przypilnuję, żeby odrobiły zadania. Idź na długi spacer do Ringstone, zawsze mówiłaś, że to uwielbiasz. - Tessa wyraźnie chciała się jej pozbyć; lubiła przebywać w towarzystwie dzieci, które odwzajemniały jej uczucia. Tessa była urodzoną buntowniczką, a one wyczuwały to i były wyraźnie zaintrygowane.

- Dobrze - powiedziała Fiona, spojrzawszy na Billy'ego i Sally. - Pół godziny, a potem musicie siadać do zadań. - Odwróciła się. - Polegam na tobie, Tessa.

Rozległ się chór uszczęśliwionych głosów; dzieci deklarowały swój zamiar pilnej nauki pod nadzorem ciotki. Sally podeszła do matki i ścisnęła jej rękę, jakby zapewniając o swojej miłości. Billy nie tracąc czasu włożył płaszcz i szalik. Kiedy Tessa wyprowadzała dzieci, Fiona usłyszała, jak Billy mówi: - Jeśli Rosjanie przywrócą monarchię, będą mieli zamiast komisarzy komicara. - Był to jego ulubiony żart, od kiedy Silas zareagował na niego wybuchem śmiechu.

Tessa miała rację; Fiona potrzebowała odrobiny czasu dla siebie. Musiała przemyśleć wiele spraw. Znalazła w hallu stary płaszcz od deszczu i męski kapelusz, a potem włożywszy mokasyny, które trzymała w bagażniku swego ukochanego porsche, wymknęła się na spacer. Samotnie, idąc w mglistym deszczu, dotarła do szczytu Ringstone Hill, z którego rozciągał się widok na Singlebury. Przebyła około dziewięciu kilometrów, maszerując z pełną energią determinacją, z którą robiła tyle

innych rzeczy.

Dobrze знаła drogę, bo chodziła tędy wiele razy, czasem z całą rodziną, a czasem tylko z Bernardem. Cieszył ją widok tych samych furtek, strumieni i żywopłotów, równie znajomych jak twarze starych przyjaciół. Dostrzegała tu i ówdzie drobne zmiany; świeże pasma miękkiej ziemi, nową, błyszczącą, mosiężną kłódkę, rdzewiejącą ramę porzuconego roweru. Na granicy posiadłości leżało sześć powalonych jodeł, które padły ofiarą zimowych wichrów. Drzewa o płytkich korzeniach, podobnie jak ludzie tego rodzaju, zawsze odchodziły najwcześniej. Z ich butwiejących pni wyzierały żółte pączki pierwiosnków. Liczyła ich płatki jak za czasów dzieciństwa; niektóre miały ich pięć, inne sześć, niektóre osiem. Każdy był inny; jak ludzie. Kiedyś wierzyła, że pierwiosnki o czterech płatkach przynoszą szczęście, ale tego dnia nie znalazła ani jednego. Bernard wytłumaczył jej, że czteropłatkowe pierwiosnki są niezbędne w procesie zapylania; wołałaby o tym nie wiedzieć. Przyspieszyła kroku i przebrnęła przez wielkie, falujące morze dzwonek, a potem znów zaczęła się wspinać. Żadnych niespodzianek; tylko nastrój oczekiwania przed każdym następnym wspinałym widokiem.

Światło nieustannie się zmieniało. Mokre pola odcinały się jeszcze wyraźniej od ciemnoszarego nieba, a w powietrzu unosił się aromat jaskrawożółtego janowca. Wspięła się na nagie wzgórze i zrobiła przerwę w marszu, by uspokoić oddech. Pod wpływem wysiłku zapomniała na jakiś czas o jutrzejszej rozmowie z Silasem Gauntem. Ale teraz jej myśli znów skupiły się wokół tego tematu.

Fiona nie była odkrywczą ani eksperymentatorką; jej umysł funkcjonował najsprawniej, kiedy oceniała materiały i planowała możliwości ich wykorzystania. Dzięki temu znakomicie umiała ocenić swoją potencjalną przydatność w roli agenta. Była aż za bardzo dyskretna, ale nie miała wielu zalet, które dostrzegała w Bernardzie. Nie potrafiła tak jak on, wychowany na berlińskich ulicach, szybko myśleć i błyskawicznie działać. Umiała być bezlitosna, uparta i bezwzględna, ale dla niej były to uczucia długofalowe, Bernard posiadał natomiast tajemniczą, typowo męską umiejętność nagłego przechodzenia od pozornej życzliwości do bezwzględnej wrogości i z powrotem. Naciągnęła kapelusz na uszy. Niebo pociemniało, a deszcz robił się coraz bardziej dokuczliwy. Przypomniała sobie, że musi wrócić na tyle wcześniej, by wykąpać się i ubrać do kolacji. Sobotnie kolacje u wuja Silasa miały uroczysty przebieg. Zerknęła na zegarek i zaczęła wracać. Nawet łagodnie falujące wzgórza Cotswold mogły być niebezpieczne po zapadnięciu zmroku.

Wy glądałaś wczoraj niezwykle dystyngowanie, moja droga - powiedział wuj Silas.

- Dziękuję. Ale, prawdę mówiąc, mam już dość zdawkowych, błyskotliwych rozmów.

- Dlaczego miałabyś mieć na nie ochotę? Lubię cię najbardziej, kiedy jesteś poważna. To do ciebie pasuje.

- Naprawdę?

- Wszystkie piękne kobiety najlepiej wyglądają, kiedy są smutne. Z mężczyznami jest zupełnie inaczej. Przystojni mężczyźni mogą być weseli, ale zbyt wesoła kobieta wygląda jak kapitan drużyny hokejowej. Czy jakkolwiek mężczyzna mógłby się zakochać w komiku płci żeńskiej?

- Co ty za głupstwa wygadujesz, Silas!

- Czy znudziła cię paplanina tego okropnego architekta?

- Nie. To był wspaniały wieczór.

- Baseny kąpielowe i kuchnie; chyba nie potrafi mówić o niczym innym.

Ale musiałem go zaprosić, bo jest jedynym człowiekiem, który umie naprawić mój kocioł.

Zaśmiał się głośno. Był to skomplikowany żart, który rozumiał tylko on sam. Przyzwyczał się do własnego towarzystwa i wygłaszał tego typu uwagi wyłącznie dla swojej satysfakcji. Siedzieli w „pokoju muzycznym”, małym studio, w którym Silas zainstalował swój adapter i kolekcję płyt z nagraniami oper. W kominku płonął ogień, a Silas palił duże hawańskie cygaro. Miał na sobie przepiękny, ręcznie robiony sweter o bardzo skomplikowanym wzorze. Sweter strzępił się szybciej, niż pani Porter była w stanie go naprawiać, więc z rękawów i mankietów zwisały pojedyncze nitki wełny.

- A teraz powiedz mi, co cię niepokoi, Fiona. - Z sąsiedniego pokoju dochodziły dźwięki fortepianu; Bret grał „Night and Day”.

Fiona zrelacjonowała mu rozmowę Tessy z Gilesem Trentem. Kiedy skończyła, wstał i wyjrzał przez okno. Żwirowana alejka zataczała koło wokół gazonu, na którym rosły majestatyczne, stare wiązy. Pod oknem stał jaskrawozielony rolls-royce Tessy.

- Nie rozumiem, jak twoja siostra daje sobie radę z tym samochodem - powiedział. - Czy jej mąż wie o tym, że go używa podczas jego nieobecności?

- Nie bądź taki podejrzliwy. Oczywiście, że wie.

Spojrzał na nią uważnie. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z pomarańczową teczką, Fiona.

- Owszem, na to wygląda. - W pomarańczowych teczkach trzymano akta osób, przeciwko którym toczyło się oficjalne śledztwo.

- Giles Trent, zdrażliwa świnia. Dlaczego ci ludzie to robią? - Nie odpowiedziała mu. - Jak byś postąpiła, gdyby Tessa powiedziała ci o tym, a ty nie znajdowałabyś się w tej wyjątkowej sytuacji, w jakiej się znajdujesz?

- Poinformowałabym o wszystkim Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego - odparła bez chwili wahania. - Regulamin Departamentu wyraźnie określa postępowanie w takich okolicznościach.

- Oczywiście. - Podrapał się po głowie. - No cóż, nie możemy oddać tego w ręce ludzi z WBW, prawda? - Znow zrobił pauzę. - A nie wspomniałabyś o tym na początek swojemu mężowi?

- Nie.
- Wydajesz się bardzo tego pewna, Fiona.
- On w takiej sytuacji postąpiłby tak samo, prawda?
- Nie jestem pewien.

- Wuju Silasie! Dlaczego?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Jak by ci to wyjaśnić... My oboje - ty i ja - należymy do klasy społecznej, która ma obsesję na punkcie właściwego zachowania się. W naszych najlepszych prywatnych szkołach zawsze uczymy młodych ludzi, że najwyższym powołaniem jest „służba” - a ja jestem z tego bardzo dumny. Mamy służyć Bogu, naszemu monarsze, naszemu krajowi.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ponieważ Bernard nie chodził do prywatnej szkoły...

- Wysłuchaj mnie do końca Fiona - przerwał jej, podnosząc rękę. - Wszyscy szanujemy twojego męża. Ja bardziej niż ktokolwiek inny; sama o tym wiesz. Podziwiam go. Jest jedynym człowiekiem w tej instytucji, który wie, co to znaczy narażać się na kule. Chcę po prostu powiedzieć, że ludzie wychowani tak jak Bernard, podobnie jak chłopcy, wśród których dorastał, i członkowie jego rodziny, mają inną skalę wartości. Dla nich - i kto ma prawo

zarzucić im błąd? - najbardziej liczy się lojalność wobec rodziny. Bardziej niż wszystko inne. Wiem to, bo spędziłem całe życie dowodząc ludźmi. Jeśli nie rozumiesz tego aspektu psychiki swojego męża, może cię to narazić na wielkie kłopoty, moja droga.

- Masz na myśli chłopców z klas niższych?
- Tak. I nie boję się mówić: „klasy niższe”. Jestem zbyt stary, by przejmować się tym, że tego rodzaju określenia uchodzą za tabu.
- Czy chcesz powiedzieć, że gdyby Tessa przyszła z tą sprawą do Bernarda, on postarałby się ją zatuszować?
- Wypróbujmy go. Zaaranżuj wszystko w taki sposób, żeby twoja siostra spotkała się w przyszłym tygodniu z Bernardem i opowiedziała mu swoją historyjkę.
- I co on twoim zdaniem zrobi?
- Ważniejsze jest to, co zrobi twoim zdaniem - powiedział Silas.
- Nie widzę żadnego pożytku z takich spekulacji myślowych - oznajmiła Fiona. I widząc, że śmieje się z jej uniku, dodała z irytacją: - To ty sugerujesz, że Bernard wszystko zatuszuje.
- Ależ, Fiona, wiesz dobrze, że nic nie sugeruję. Przedłóżcie sprawę Bernardowi, a on znajdzie jakieś pomysłowe wyjście, które pozwoli tobie i twojej siostrze pozostać w cieniu. - Uśmiechnął się przebiegle. Używając słowa: „pomysłowe” - miał na myśli to, że Bernard odnosił się do wszystkich regulaminów z lekceważeniem, a nawet pogardą, a on podzielał jego uczucia.
- Bernard ma teraz dużo na głowie - stwierdziła Fiona.
- Poproś go koniecznie, żeby zapewnił twojej siostrze anonimowość. - Znalazł luźną nitkę, wyciągnął ją i rzucił do ognia.
- Ale jak?
- Nie wiem jak. Spytaj go o to. - Zaciągnął się cygarem. - W tej chwili o wiele ważniejsze jest to, że Giles Trent najwyraźniej pełnił rolę weryfikatora wszystkich informacji, jakie im przekazywałaś. - Wypuścił dym w kierunku kominka. Pani Porter udzielała mu reprymendy, kiedy poczuła zapach cygara; lekarz nie pozwolił mu palić. - Z pewnością o tym myślałaś. Czy istnieją jakieś powody do obaw?
- Żaden nie przychodzi mi do głowy.
- Nie, chyba nie. Utrzymywaliśmy twoją rolę w tajemnicy i dawaliśmy im

tylko wiarygodne materiały. Cokolwiek donosił im Trent, jego meldunki polepszały jedynie twój status w oczach Moskwy.

- Mam nadzieję.
- Głowa do góry, Fiona. Wszystko doskonale się układa. Ta sprawa też

pasuje do naszego scenariusza. Załatwię ci przepustkę do Centrum Danych. To powinno skłonić twoich mocodawców do nadstawienia uszu, nie uważasz?

- Czy powiemy Bretowi o mojej siostrze? - Nie chciała przychodzić z tym do niego sama; rozmowa zamieniłaby się w przesłuchanie.

- Powiedzmy mu od razu. - Ukrył cygaro w kominku i nacisnął przycisk dzwonka. Widząc w oczach Fiony wyraz niepokoju, dodał: - Ufaj swojemu wujowi Silasowi. - Z sąsiedniego pokoju nadal dochodziła melodia „Night and Day”.

Kiedy pani Porter zajrzała przez drzwi, powiedział:

- Proszę spytać pana Rensselaera, czy mógłby poświęcić nam chwilę czasu. On chyba gra na fortepianie.

- Rozumiem, sir. Natychmiast go poproszę.

Wchodząc do pokoju Bret uniósł brwi na widok gospodarza pogrążonego w rozmowie z Fioną.

- Cieszę się, że znów słyszę fortepian, Bret - odezwał się Silas. - Każę go stroić, ale teraz nikt już na nim nie gra. - Bret w milczeniu kiwnął głową. - Bret, wygląda na to, że mamy znowu problem z jednym z naszych kolegów.

Bret spojrzał na Silasa, a potem na Fionę i natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- To zaczyna robić się nagminne, Fiona - rzekł. Był urażony, że przyszła z tą sprawą do Silasa, i nie ukrywał swoich uczuć.

- Wszyscy jesteśmy pod obstrzałem - stwierdził Silas. - Oni koncentrują swe wysiłki na pracownikach Londyńskiej Centrali, co zresztą jest zupełnie naturalne.

- Mówisz o KGB?

- Owszem - odparł Silas, strząsając popiół do kominka. - Ten nieszczęsny Pryce-Hughes popełnił sporą niedyskrecję. Dał Fionie do zrozumienia, że mają jeszcze jedną wtyczkę w Londyńskiej Centrali.

- Jezu Chryste! - powiedział Bret.

- Fiona wnosi z kontekstu, że jest to facet, który nazywa się Giles Trent. - Silas wziął do ręki pogrzebacz i postukał nim w płonąca kłodę, która wypuściła

smużkę szarego dymu. Starannie przetoczył ją w głąb paleniska.

- Z Wydziału Szkolenia - uzupełnił Bret, przypomniawszy sobie nie bez wysiłku, kim jest Giles Trent.

- Tak. Został oddelegowany do szkoły przed dwoma laty, ale nie jest przez to ani trochę mniej niebezpieczny.

- Czy wie o tym ktoś jeszcze?

- Tylko my troje - odparł Silas, nadal wymachując pogrzebaczem. - Fiona nie była pewna, jak to rozegrać. Chciała iść wprost do Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Oczywiście, zrobiła lepiej informując o tym nieoficjalnie mnie.

To wyjaśnienie załagodziło nieco urazę Breta.

- Nie chcemy, żeby Bezpieczeństwo Wewnętrzne wtrącało się do tej sprawy - stwierdził.

- Nie. Lepiej załatwić to w taki sposób, prywatnie, nieoficjalnie, bez żadnych notatek.

- I co teraz?

- Zostaw to mnie - odparł Silas. - Wymyśliłem sposób załatwienia całej sprawy. Nie musisz wiedzieć jaki, Bret. Czego oczy nie widzą... Czy źle się czujesz, Bret?

- Moje zatoki dają mi w tym roku niezłą szkołę.

- To ten cholerny dym z kominka, co? Pozwól, że uchylę okno.

- Jeśli nie masz do mnie nic więcej, to po prostu pójdę na chwilę do ogrodu.

- Oczywiście, Bret, oczywiście. Czy jesteś pewien, że nic ci nie jest? Bret po omacku wyszedł z pokoju, przyciskając chustkę do twarzy.

- Biedny Bret - powiedział Silas.

- Nie powiem Bernardowi, że z tobą rozmawiałam - oznajmiła Fiona, nadal niepewna, czego właściwie od niej oczekiwał.

- I słusznie. A teraz przestań się martwić. Czy zdołasz namówić Tessę do opowiedzenia całej historii twojemu mężowi?

- Chyba tak.

- A więc zrób to.

- A jeśli Bernard pójdzie z tym do tych ludzi z Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

- Jest to ryzyko, z którym musimy się liczyć - odparł Silas. - Ale chcę, żebyś ty nie była w to zamieszana. Jeśli zaczniesz się robić gorąco, musisz po prostu zaprzeczyć, jakoby Tessa coś ci mówiła. Dopilnuję, żebyś była chroniona.

- Ten dym zaczął i mnie trochę przeszkadzać.

- Wracaj do towarzystwa, bo zaczną myśleć, że mamy romans albo coś w tym rodzaju.

- Nie będziesz rozmawiał z Tessą?

— Przestań grać— rolę starszej siostry. Jeśli zechcę z nią porozmawiać—, sam to zaaranżuję.

— Ona robi się bardzo nerwowa, Silas.

— Idź przejść— się po ogrodzie, żeby dym przestał cię szczypać— w oczy.

Kiedy wyszła, zapadł się w swój ulubiony fotel, wydając głośny jęk. Pochylił się w stronę kominka i ponownie zaczął grzebać w palenisku.

- Dlaczego akurat mnie przydarzają się takie rzeczy? – poskarżył się kłodzie drewna. Jakby odpowiadając mu, rozbłysła jasnym ogniem.

Gdyby Fiona mogła go teraz zobaczyć, nie byłaby tak przekonana, że potrafi usunąć z jej drogi wszelkie kłopoty.

- Będziemy musieli wsadzić cię do worka szybko i sprawnie, panie Trent - mruknął, usiłując wyobrazić sobie reakcję przełożonego Trenta, kiedy odkryje, że jego człowiek został zdemaskowany. Czy będą próbowali go przerzucić na tamtą stronę i ocalić? Czy też Moskwa uzna nowy proces szpiegowski w samym sercu Londyńskiej Centrali za triumf wart poświęcenia pionka? Może to być jeden z tych przypadków, w których Moskwa i Londyn zgodnie dojdą do wniosku, że najlepszym wyjściem jest uciszenie Trenta na zawsze. Gdyby do tego doszło, trzeba znaleźć kogoś, kto tego dokona. Przypomniał sobie twardego, starego, niemieckiego weterana z czasów wojny, który pracował niegdyś jako barman w hotelu Lisi, a równocześnie wykonywał dla niego różne brudne roboty. Osiedlił się potem na stałe w NRD - wspaniale! Kto połączy takiego człowieka z Londyńską Centralą? Jakże się ten facet nazywał... ach, tak, Rolf Mauser, wspaniały prymityw. Wy marzony człowiek do takiego zadania. Nie można, oczywiście, kontaktować się z nim bezpośrednio - pomyślał. - Trzeba trzymać się od niego na odległość wyciągniętej ręki.

- Czy zasnął, kochanie? - Fiona wcisnęła twarz w poduszkę i nie odpowiedziała. Materac drgnął lekko, gdy jej partner wysunął się z łóżka i poszedł do łazienki. Był słoneczny, wiosenny dzień. Leżąc o tej porze w łóżku, w zaciemnionym pokoju, miała poczucie winy. Co się z nią stało? W ciągu ostatnich lat co najmniej tysiąc razy przysięgała sobie, że nie spotka się więcej z Harrym Kennedym, ale był tak czarujący i zabawny, że stale ją intrygował. Przyłapywała się na tym, że o nim myśli, lub dostawała bukiet kwiatów albo reklamówkę „salonu piękności”, a wtedy nieodmiennie machała ręką na wszystkie postanowienia i wracała do niego.

Niekiedy spotkania ograniczały się do szybkiego drinka w jakimś pubie położonym blisko kliniki lub do kilku słów wypowiedzianych przez telefon, ale chwilami naprawdę go potrzebowała. Od czasu do czasu dochodziło do takich spotkań jak teraz, a wtedy cieszyła się każdą chwilą spędzoną w jego towarzystwie.

Patrzyła, jak idzie nago przez pokój i otwiera szafę. Był muskularny i opalony. W ostatnim czasie trzykrotnie dostarczał samoloty do Arabii Saudyjskiej. Na ramieniu miał wyraźne blizny, przypominające epolety - skutki przymusowego lądowania w Meksyku przed dziesięcioma laty. Poczł, że go obserwuje, i wykrzywił się do niej drwiąco.

Ten nielegalny związek odmienił Fionę. Kojarzył się z bombą wrzuconą w codzienność jej małżeńskiego życia. Harry był atrakcyjnym mężczyzną, w jego towarzystwie czuła się niezwykła i godna pożądania, czego nigdy nie potrafił sprawić Bernard. Oczywiście, znaczną rolę odgrywał w tym seks, ale chodziło o coś ważniejszego niż życie erotyczne. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Wiedziała tylko, że stresy, na jakie naraża ją kariera zawodowa, byłyby nieznośne, gdyby nie perspektywa spotkania się z nim, choćby na krótką chwilę. Nawet dźwięk jego głosu w telefonie podniecał ją i ożywiał. Rozumiała teraz coś, czego nigdy nie zaznała: młodzieńczą miłość, o jakiej rozmawiały niegdyś jej koleżanki i o jakiej śpiewali popularni piosenkarze, których nie znosiła. Oczywiście, czuła się winna oszukując Bernarda, ale Harry był jej potrzebny. Czasem myślała, że pozbyłaby się choć części dręczącego ją poczucia winy, gdyby zmieniła oblicze przyjaźni z Harrym, nadając jej platoniczny charakter. Ale gdy tylko znalazła się w jego towarzystwie, natychmiast zapomniała o wszystkich postanowieniach.

- Ach, więc nie śpisz. Co powiesz na cocktail z szampanem? Mam pod ręką wszystkie składniki.

Roześmiała się.

- Czy to jest śmieszne? - spytał. Włożył kraciasty, jedwabny szlafrok, a teraz przeglądał się w lustrze, wygładzając fałdy i zawiązując pasek.
- Owszem, kochanie, bardzo śmieszne. Jeszcze bardziej ucieszyłabym się z herbaty.
- Herbaty? Masz to załatwione.

Kiedy Harry wyszedł z pokoju, sięgnęła po południowe wydanie dziennika, które leżało na nocnym stoliku. Na pierwszej stronie widniał tytuł: *Chelsea - Strzały w łazience*. Nieznany napastnik włamał się do domu Gilesa Trenta i zastrzelił go pod prysznicem. Morderca wykorzystał plastikową zasłonę, by uniknąć pochłapania krwią, i wymył ręce przed opuszczeniem miejsca zbrodni. Nie wymieniony z nazwiska przedstawiciel Scotland Yardu nazwał jego czyn *bardzo zawodowym zabójstwem*, a jeden z tych ekspertów, którzy zawsze chętnie rozmawiają z dziennikarzami, dodał, że miał on *wszelkie cechy typowej egzekucji dokonanej przez nowojorską mafię*. Reporter sugerował niejasno, że chodziło o narkotyki. Artykuł opatrzony był jednoszpaltową fotografią, na której młody Giles Trent, w stroju kąpielowym, stał z założonymi rękami i promiennie się uśmiechał. Na jednej z dalszych stron zamieszczono duże zdjęcie jego domu, strzeżonego przez policjanta.

Dzięki Bogu, Bernard nie wplątał w tę całą sprawę ani Tessy, ani i Fiony. Wuj Silas nie mylił się co do niego. Musiała z niechęcią przyznać, że niektórzy spośród jego przyjaciół rozumieli go lepiej niż ona. Był tak tajemniczy. Nie dyskutując z nią i niczego jej nie tłumacząc, zmusił Gilesa Trenta do przyznania się i to w taki sposób, że nazwisko Tessy nie zostało ujawnione. Teraz Trent został zamordowany i choć okoliczności jego śmierci budziły w niej dreszcz, odczuwała równocześnie pewną ulgę.

Dostrzegła też inne złowróżbne znaki. Bret poprosił ją o przepisanie długiego tajnego dokumentu, dotyczącego metod utrzymywania kursu funta przez Bank Angielski. Miała go przepisać własnoręcznie, ale nie dawać kopii Martinowi. Jej zdaniem mogło to oznaczać tylko jedno: Bret zamierzał go przekazać KGB za pośrednictwem innego agenta. Ale dlaczego chodziło o jej charakter pisma? Tylko kompletny dureń sporządziłby tak obciążający dokument... chyba że Bret chciał mieć konkretny dowód jej pracy dla drugiej strony. Sposób, w jaki zbył wszystkie pytania, wydał jej się niepokojący.

Innym ostrzegawczym znakiem była ilość materiałów, jakie przekazywała Martinowi w ciągu ostatnich tygodni. Bret twierdził, że nie zawierają one żadnych

ważnych informacji, ale było ich bardzo dużo. Londyńska Centrala nie mogła utrzymać na dłuższą metę takiego tempa, a Fiona wiedziała, że ograniczając dopływ w przyszłości, będzie musiała podać jakiś pretekst. Wszystko to oznaczało tylko jedno: zamierzali ją przerwucić na Wschód, i to niebawem. Bała się tego, ale oczekiwanie było w pewnym sensie jeszcze gorsze.

Codziennie przyglądała się mężowi i dzieciom z miłością i tęsknotą. Przy każdym spotkaniu z siostrą chciała ją ostrzec, że wkrótce się rozstaną, ale jakkolwiek wzmianka o przygotowaniach do wyjazdu w ogóle nie wchodziła w rachubę. Fiona przeżywała to tym boleśniej, że była przekonana, iż nigdy nie wróci. Przekonanie to nie opierało się na żadnych logicznych przesłankach czy dowodach. Było po prostu instynktownym, kobiecym przeczuciem. Podchodziła do niego z chłodnym fatalizmem, jak matka rodu, która otoczona swymi bliskimi spoczywa na łożu śmierci.

Żałowała tylko, że nie może załatwić przedtem kilku ważnych spraw, o których teraz decydować będą inni, bez jej udziału. Niepokoiła się o Billy'ego i jego szkołę. Zawsze miała nadzieję, że Bernard dostrzeże w końcu korzyści, jakie może odnieść jego syn, chodząc do dobrej szkoły prywatnej. Mogła załatwić jego przyjęcie; obiecał jej to ojciec. Ale nie było szansy na to, aby Bernard zechciał zrobić cokolwiek w tej sprawie pod jej nieobecność. Bernard miał wstręt do szkół prywatnych - twierdził, że ich uczniowie są bici i źle wychowywani, a poza tym nabierają złych nawyków. Niekiedy wydawało się, że jego fobia obejmuje wszystkich, którzy kiedykolwiek uczęszczali do takich szkół.

Wszedł Harry, niosąc na tacy nakrycie do herbaty.

- Przeczytałaś ten artykuł już ze trzy razy, kochanie. Czy ma on dla ciebie jakieś specjalne znaczenie? - Pochylił się i pocałował ją.
- Wieczny psycholog - powiedziała i odrzuciwszy obojętnym gestem gazetę, położyła tacę na kolanach. W małym wazoniku stały na niej ostatnie chyba tegoroczne fiołki. Jakże delikatnie wyglądały. Piękna, półprzezroczysta porcelana, srebrne łyżeczki i dwa plasterki jej ulubionego keksu z owocami. Musiał to wszystko przygotować z góry. - Wspaniale! - Trzymała mocno tacę, kiedy wracał do łóżka. - Harry, co wiesz o angielskim systemie szkół prywatnych?
 - Nie używasz mleka do herbaty Earl Grey, prawda?
 - Nie, dziękuję.
 - Szkoły prywatne? Co za dziwne rzeczy chodzą ci po głowie. Większość

moich kolegów z kliniki przeżyła je bez widocznych skutków negatywnych. Ale cóż ja mogę na ten temat wiedzieć? A poza tym nie ma wśród nich wielu, z którymi gotów byłbym znaleźć się pod prysznicem, kiedy zgaśnie światło. Ale dlaczego pytasz?

- Mam przyjaciółkę... Jej męża mają wysłać za granicę. Zastanawiają się, czy nie oddać chłopca do prywatnej szkoły.

- A ty mnie pytasz, czy to dobry pomysł. - Postawił filiżanki na spodkach. - Chodzi ci o moją opinię jako psychiatry, prawda? Co mogę ci powiedzieć, skoro nie widziałem na oczy tego dziecka? Ani jego rodziców.

- Pewnie masz rację.

- Jeśli mąż sobie tego nie życzy, to żona byłaby głupia postępując wbrew jego woli. - Nalał herbatę. - Czy jest wystarczająco mocna?

- On nienawidzi wszystkich prywatnych szkół. Tak, w sam raz.

- Dlaczego?

- Snobizm, współzawodnictwo, przywileje, wmawianie niektórym dzieciom, że stanowią elitę. Uważa, że przyczynia się to w Anglii do konfliktów klasowych.

- Tak, i ma zapewne rację, ale to samo możesz powiedzieć o robieniu zakupów w dzielnicy Knightsbridge.

- Czy tam również dochodzi do bijatyk? - spytała ze śmiechem.

- Jasne. Czy nigdy nie miałaś do czynienia z tymi rozwścieczonymi starszuchami uzbrojonymi w ostre parasolki?

- Czy ty chodziłeś do szkoły z internatem? - Wypiła łyk herbaty i zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - W gruncie rzeczy mało się znamy, prawda?

- Właśnie dlatego powinniśmy się pobrać - odparł.

- Wolałabym, żebyś przestał to powtarzać.

- Mówię poważnie.

- Ale to mnie przygnębia.

- Posłuchaj, szaleję za tobą. Jestem wolny, biały i pełnoletni. Jestem w niezłej formie fizycznej i niezłej sytuacji materialnej. Wyna-

- jąłem to mieszkanie na dwadzieścia lat, a ty wybrałaś większość mebli.

Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek kogokolwiek kochałem. Myślę o tobie w dzień i w nocy; wracam do życia tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem.

- Przestań. Nic o mnie nie wiesz.

- Więc opowiedz mi o sobie.
- Harry, oboje wiemy, że ten związek jest głupi i egoistyczny. Trwa do tej pory tylko dzięki temu, że zachowujemy nasze drugie życie dla siebie.
- Non-sens! - Zawsze wymawiał to słowo w taki sposób, że wyraźnie słyhać było dwie sylaby. - Ja nie chcę niczego przed tobą ukrywać.
- Nie wiem o tobie nic. Nie wiem nic o twoich przekonaniach politycznych, o twoich rodzicach, o twojej żonie... czy żonach. Nie wiem nawet, ile ich miałaś.

Podniósł w górę łyżeczkę.

- Moi rodzice nie żyją. Nie mam żadnych przekonań politycznych i nie mam już żadnej żony. Mój rozwód się uprawomocnił. Nie mam dzieci. Moja była żona jest Kanadyjką francuskiego pochodzenia i mieszka w Montrealu. Zawsze domagała się ode mnie większych sum pieniędzy. Dlatego dałem nogę i stale zmieniałem miejsce pobytu. Teraz wyszła ponownie za mąż, więc jestem naprawdę wolny. - Wypił łyk herbaty. - Jak ci mówiłem, moja bratanica Patsy wróciła do Winnipeg, a facet, z którym uciekła, siedzi w więzieniu za kradzież w sklepie. Wszystko to dawne dzieje. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Nic. Moim zdaniem, lepiej nie wiedzieć o sobie nawzajem zbyt wiele.
- Dlaczego?
- Bo inaczej zaczniemy dyskutować o naszych problemach.
- Czyż to nie byłoby straszne? A jakie ty masz problemy, kochanie?

Biedny Harry. Jej problem polegał na tym, że niedługo miała się przenieść na Wschód. Wiedziała, że kiedy to nastąpi, SIS zarządzi szczegółowe śledztwo, choćby po to, żeby odkryć jej motywę. Nie można było wykluczyć możliwości, że Wydział Specjalny dowie się o jej związku z Harrym. Gdyby mieli odbyć z nim rozmowę, to chciała, aby wysnuli z niej wniosek, że od dawna była marksistką. Każdy inny wariant był potencjalnie niebezpieczny.

- Chyba tylko nieistotne drobiazgi - odparła.
- Na przykład? - Przechylił się i pocałował ją w policzek.
- Być może przestałbyś mnie kochać, gdybyś o nich wiedział - odparła i zmierzwiła mu włosy, mając nadzieję, że taki poufały gest mieści się w kanonach postępowania marksistowskiego szpiega.

- Powiem ci coś - oznajmił pod wpływem impulsu. - Zamierzam zrezygnować z praktyki psychiatrycznej.

- Stale to zapowiadasz.
 - Ale tym razem mówię poważnie, dziecino! Za sto tysięcy dolarów mój kuzyn Greg sprzeda mi udziały w swojej firmie handlującej samolotami. Gdybym pracował u niego na pełnym etacie, moglibyśmy zwolnić jednego pilota. Potrzebuje stu tysięcy, żeby odnowić dzierżawę hangaru i budynków, które wynajmuje w Winnipeg.
 - Mówiłeś, że to ryzykowna branża.
 - Tak, ale nie na tyle, żebym nie dał sobie rady. A poza tym mam już serdecznie dość psychiatrii. - Przerwał, lecz ona nie powiedziała ani słowa. - To przez te układy personalne w klinice: ciągłe walki o stanowiska.
 - Ale masz zezwolenie na pracę. Czy nie możesz gdzieś pojechać i wziąć posady?
 - Nie, nie mógłbym. To nie jest zezwolenie tego rodzaju. A poza tym jaką posadę mógłbym dostać? Zająłem się w klinice badaniami nad histerią grupową, żeby uciec od znerwicowanych pań domu, przechodzących klimakterium. Musiałem od tego uciec, Fiona. Musiałem.
 - Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś nieszczęśliwy. - W takich momentach kochała go tak bardzo, że nie potrafiła tego wyrazić.
 - Mogę funkcjonować tylko dzięki temu, że mam ciebie. Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż ty - oświadczył Harry i dodał poważniejszym tonem: - Choćbyś żyła nie wiem jak długo, chcę, żebyś na zawsze zapamiętała tę chwilę. Abyś pamiętała, że moje życie należy do ciebie.
 - Drogi Harry. - Pocałowała go.
 - Nie proszę, żebyś mówiła to samo. Ty masz inną sytuację życiową. Nie żądam od ciebie niczego; kocham cię każdą cząstką mego ciała.
- Roześmiała się ponownie. Godziny, jakie spędzała z Harrym, były jedynymi, w których potrafiła zapomnieć o czekającym ją losie.

11 Londyn, maj 1983.

- Mój Boże, Bret, wolałabym, żebyś nie zjawiał się nagle, bez zapowiedzi, jak jakiś emisariusz ze świata przestępczego. Było to niemądre powiedzonko z jej szkolnych czasów - niezbyt stosowne powitanie dla Breta Rensselaera, nawet jeśli przychodził bez uprzedzenia. Ale Fiona - tak jak powiedziała - istotnie zaczęła w ostatnim czasie myśleć o nim jak o tajemnym

posłańcu z innego, ciemnego świata.

Wizja ta rozbawiła Breta. Stał w kuchni, z kapeluszem w rękę, uśmiechając się zyczliwie. Letnie promienie słońca lśniły jak cekiny na jego czarnym płaszczu.

- A więc tak mnie widzisz? Jako posłańca szefa gangu? A jaką postać przybiera on wtedy, kiedy nie jest Dyrektorem Generalnym?

Fiona, w fartuchu kuchennym, opróżniała maszynę do zmywania naczyń; jej włosy były w kompletnym nieładzie. Trzymając garść sztućców, wykrzywiła usta w nerwowym uśmiechu.

- Przepraszam, Bret. - Sięgnęła po ścierkę i zaczęła wycierać nóż. - Ta maszyna zawsze zostawia plamy na srebrze - powiedziała. - Czasem myślę, że byłoby szybciej, gdybym zmywała wszystko w zlewie. - Mówiła to podświadomie, gdyż na widok Breta zaczęła natychmiast myśleć o Bernardzie.

- Wpuściła mnie twoja urocza *au pair*; chyba bardzo jej się dokądś spieszyło. - Bret rozpiął płaszcz, odsłaniając czarny garnitur i czarny krawat. - Obawiam się, że wyglądam dość ponuro. Byłem na nabożeństwie żałobnym na intencję Gilesa Trenta.

Nie zaproponowała, żeby zdjął płaszcz i usiadł. - Przestraszyłeś mnie. Czekałam na telefon od Bernarda.

- Możesz długo czekać. Bernard przeszedł na tamtą stronę, żeby wyjaśnić sytuację po tym fiasku z Brahmsem Cztery. Nikt nie wie, gdzie się podziewa.

Na tamtą stronę, co za okropne sformułowanie - pomyślała Fiona. Poczwała nagle chłód. - Kiedy był ostatni kontakt?

- Spokojnie, Fiona. Spokojnie. - Stała osłupiała z nożami i widelcami w jednej ręce, a ścierką w drugiej. Miała zupełnie szarą twarz. - Nie ma żadnego powodu do przypuszczeń, że spotkało go coś złego.

- Nie powinien był tam jechać; zbyt dobrze go znają. Prosiłam go. Kiedy nawiązał kontakt?

- Wiesz, jak on lubi działać: żadnych dokumentów, żadnych przygotowań, żadnych awaryjnych kanałów łączności, żadnej pomocy ze strony lokalnych agentów, nic! Upiera się przy takiej metodzie, zażądał tego w mojej obecności.

- Owszem, wiem.

- Bernard lubi udawać technokratę, kiedy jednak wyrusza w drogę, jeździ tylko konnym zaprzęgiem. - Bret dotknął przelotnie ramienia Fiony, by dodać jej otuchy. - Ale wyniki, jakie uzyskuje, dowodzą, że ma rację.

Fiona milczała. Bret obserwował ją. Machinalnie, szybkimi ruchami, wycierała sztućce, a potem odkładała łyżki, noże i widelce do odpowiednich przegródek szuflady. Kiedy skończyła, starannie powiesiła ścierkę na krawędzi stołu. Potem usiadła i zamknęła oczy.

Bret nie spodziewał się, że będzie tak zdenerwowana, ale musiał jej to powiedzieć: po to przyszedł. A więc odczekawszy odpowiednio długą - jego zdaniem - chwilę, oświadczył:

- Wszystko wskazuje na to, że przerzucą cię w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Mnie?

- Tak zrobią, jeśli są sprytni. Uważają, że jesteś spalona. Bądź przygotowana.

- Ale jeśli aresztują Bernarda...

- Zapomnij o Bernardzie! Pojechał tam, ponieważ jest naszym najbardziej doświadczonym berlińskim agentem. Nic mu się nie stanie. Zaczynj myśleć o sobie.

- Ale jeśli zostanie aresztowany?

Bret zachował spokój. Mocno akcentując poszczególne słowa powiedział: - Jeśli Bernard zostanie zatrzymany, możesz dla niego więcej zrobić będąc na miejscu, niż siedząc tu i czekając na telefon.

- Oczywiście, masz rację.

- Nie próbuj nic improwizować. Zostaw to Bernardowi. Usiądź

i od razu upewnij się, że wszystko pamiętasz: warianty na wypadek utraty kontaktu, „komentarze” i twoje awaryjne sygnały, oznaczające, że wydarzyło się coś złego. Dostarczymy cię do domu, Fiona, nie martw się o to. - Do kuchni wszedł kot i zatrzymawszy się na wycieracze spojrzał najpierw na Breta, a potem na Fionę. Fiona podsunęła mu stopą plastikową miseczkę z jedzeniem, ale obwąchał ją tylko dokładnie i odszedł.

- Nauczyłam się wszystkiego i zniszczyłam notatki.

- Kiedy się tam znajdziesz, nie nawiążemy z tobą kontaktu przez wiele tygodni. Na początku będą cię obserwowali.

- Wiem.

Wydawała się zaabsorbowana czymś innym, więc spróbował przyciągnąć jej uwagę: - Będą próbowali złapać cię w pułapkę. Musisz być na to przygotowana.

- Nie boję się.

Spojrzał na nią z podziwem. - Wiem, że się nie boisz, i myślę, że jesteś niezwykłą kobietą.

Ten komplement zupełnie ją zaskoczył. Został wygłoszony serdecznym głosem. - Dziękuję ci, Bret. - Być może gdzieś pod tą gładką, jedwabistą powłoką biło prawdziwe serce.

- Czy jest coś, o czym mogliśmy zapomnieć, Fiona? Ciągłe powtarzam sobie wszystko w myślach. Próbuj sobie wyobrazić, że naprawdę jesteś takim agentem, za jakiego cię biorą... - Strzelił palcami. - Pieniądze! Czy chciałabyś zostawić jakieś pieniądze - może dla dzieci - i jakieś instrukcje? Pożegnalny list?

- Mój ojciec założył fundusz powierniczy dla dzieci. List? Nie, to zbyt skomplikowane. Bernard znalazłby jakiś sposób odczytania tego, co byłoby między wierszami.

- Mój Boże! - powiedział Bret z autentycznym lękiem. - Myślisz, że potrafiłby to zrobić?

- Żyłam z Bernardem przez wiele lat, Bret. Znamy się dobrze. Uczciwie mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem udało nam się tak długo ukrywać przed nim całą prawdę.

- Wiem, że było to czasem niełatwe - podsumował Bret - ale poradziłaś sobie. - Spojrzał na zegarek. - Zostawiam cię samą. Znam cię na tyle, by wiedzieć, że chcesz mieć trochę czasu dla siebie, chcesz pomyśleć. Będziemy śledzić twoją podróż przez cały czas, tak długo jak będzie to możliwe.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, co nastąpi wtedy, kiedy nie będzie to już możliwe, ale nie spytała go o to. - Czy mam dać ci znać, gdyby Bernard zatelefonował?

- Nie potrzeba. Kazałem podsłuchiwać twoje rozmowy. - Spojrzał na zegarek. - Kontrolują je od godziny. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w domu. - Zapiął płaszcz. - Jeśli moje domysły są słuszne, wszystko się wkrótce zacznie.

Uśmiechnęła się posepnie.

- Wszystkiego dobrego, Fiona. I do zobaczenia niebawem. - Miał zamiar ją pocałować, ale ona nie wyglądała na osobę, która miałaby na to ochotę, więc tylko mrugnął porozumiewawczo. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Do widzenia, Bret.

A jeśli to wszystko jest podstępem KGB? Przypuśćmy, że Ruscy ją porwą, a równocześnie zatrzymają jej męża; przypuśćmy, że zaproponują wam jakąś wymianę? - Sylvester Bernstein miał na sobie nieprzemakalny płaszcz z wełnianą podpinką; takie części garderoby kupuje człowiek, który zajmuje się śledzeniem innych.

- Będziemy się tym martwić, jeśli do tego dojdzie - odparł Bret. Zadrzał. Nie spodziewał się, że nawet w Szkocji może być nocą tak zimno.

- Znajdziecie się naprawdę w sytuacji podbramkowej, chłopie. Dwoje agentów w puszcze.

- Mamy innych.

- Czy taka jest wasza oficjalna polityka?

- Agent, który raz zostanie rozpoznany, jest martwy - powiedział Bret. - Nie ma szans ani na drugą próbę, ani na emeryturę.

- Czy pani Samson o tym wie?

- Oczywiście, że wie, o ile nie jest głupia. Nie możemy liczyć na ściągnięcie jej z powrotem żywej. Nawet jeśli ją sprowadzimy, nie będzie w dobrej formie. Samo przygotowanie do tego zadania sporo ją kosztowało. Była dawniej słodka, łagodna i ufna; teraz nauczyła się bezwzględności i cynizmu.

- Dobra robota - stwierdził Bernstein. A więc Bret mocno to przeżywał. Gadając te bzdury, starał się uwolnić od trosk o Fionę Samson. Sylvy często widywał innych łączników w podobnych sytuacjach. Często mieli emocjonalny stosunek do nadzorowanego przez siebie agenta.

Bret nie odpowiedział. Przytulił się mocniej do ściany zrujnowanego budynku, w którym znaleźli osłonę przed zimnym, mokrym wiatrem wiejącym od morza. Była to noc żywiołów, *Gotterdammerung*, którą można docenić tylko na takim opuszczonym skrawku wybrzeża.

Morze było czarne, ale rozerwany horyzont odsłaniał kłębowisko czerwieni, fioletów i różowości, oświetlone błyskami wściekłych elektrycznych wyładowań. Co za noc na pożegnanie swego kraju! Co za noc na pobyt na otwartej przestrzeni!

- To jakiś wygwizdów - powiedział Bernstein, który poznał w życiu wiele opustoszałych miejsc.

- Kiedyś była tu baza łodzi podwodnych - odparł Bret. - Gdy byłem tu ostatni raz, na redzie stało mnóstwo okrętów wojennych.

Bernstein mruknął coś niewyraźnie, podniósł kołnierz płaszcza i zapalił pod

jego osłoną papierosa.

- Royal Navy nadała tej bazie kryptonim HMS Paw, marynarze nazywali ją HMS Sracz. To molo szło kiedyś o wiele dalej w głąb morza. Stało tu tyle łodzi podwodnych i jednostek pomocniczych, że można było po nich przejść na drugą stronę zatoki.

- Jak dawno temu? - spytał Bernstein. Wypuścił dym i wypluł żdźbło tytoniu, które przykleiło się do jego wargi.

- Pod koniec wojny. Wszędzie, gdzie spojrzalesz, stały łodzie podwodne. Ten gładki kawałek asfaltu był placem musztry, który Angole nazywali „nadbudówką”. Oni mają obsesję na punkcie maszerowania, musztry i salutowania; robią to, żeby coś uczcić, albo za karę, albo zamiast modlitwy, albo zamiast jedzenia. Robią to w deszczu, w słońcu i w śniegu, rano i po południu, nawet w niedzielę. Ten... budynek, w którym teraz jesteśmy, był kinem. A bryły cementu, leżące wzdłuż drogi, to fundamenty bunkrów, które ciągnęły się szeregami.

- Może mieli w nich piece - powiedział Bernstein. Ściskając papierosa w ustach, obserwował równocześnie przez noktowizor wody zatoki.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko zniknęło. Podczas wojny musiało tu stacjonować z osiem tysięcy żołnierzy, wliczając personel służb inżynierskich, który kwaterował po drugiej stronie zatoki.

- Nigdy nie przypuszczałem, że mogłeś być marynarzem, Bret.

- Byłem marynarzem tylko przez dwadzieścia pięć minut - odparł. Zawsze wstydził się tego, że miał wypadek, po którym uznano go za niezdolnego do służby. Kapitan jego łodzi podwodnej, wściekły, że musi zawrócić i wysadzić go na ląd, nazwał go Jonaszem. Bret, który sfalszował datę urodzenia, by móc zgłosić się na ochotnika, nigdy nie zapomniał tego epitetu i nigdy się od niego do końca nie uwolnił.

- Dwadzieścia pięć minut. Tak jak ja z buddyzmem. Może to było wystarczająco długo.

- Ja nie straciłem wiary - powiedział Bret.

- Służyłeś w US Navy? - spytał Bernstein, zastanawiając się, czy Bret mógł już wtedy współpracować z Brytyjczykami.

- Nie, służyłem na u-boatach - odparł Bret kwaśno. - Dostałem Żelazny Krzyż pierwszej klasy.

- Świńskie łodzie, co? - zapytał Bernstein, udając zainteresowanie, by spacyfikować starszego kolegę.
- To nie były świńskie łodzie, tylko łodzie podwodne.
- No cóż, teraz znów masz do czynienia z łodzią podwodną, tyle że należy ona do Ruskich - stwierdził Bernstein. Spojrzał na zegarek. Był to staroświecki chronometr z wielkimi, odblaskowymi wskazówkami; kolejny rekwizyt, który nabył rozpoczynając działalność prywatnego detektywa.
- Są spóźnieni, ale zjawią się - oznajmił Bret, odpowiadając na nie zadane pytanie. - Zawsze postępują w taki sposób.
- Tutaj? Zawsze tutaj?
- Niełatwo znaleźć miejsce, w którym można podплыnąć łodzią podwodną blisko brzegu i spuścić ponton, nie narażając się na zalanie łodzi wodą. A jednocześnie miejsce oddalone od tras statków i osad ludzkich.
- Istotnie są spóźnieni. Jakim samochodem jadą? - spytał Bernstein, nie odejmując noktowizora od oczu. - Ładą? A może jednym z tych dwutaktów?
- Potrzebna też jest głęboka woda - tłumaczył Bret. - Piasek i drobny żwir; chodzi o podłoże, które nie porysuje kadłuba. Owszem, przyjadą tutaj. Jest to jedno z niewielu miejsc, do których Rosjanie odważają się podплыwać w nocy łodziami podwodnymi.
- Weź tę lornetkę. Zdaje mi się, że widzę na wodzie jakiś ruch. Tuż za końcem mola.
- Zdawało ci się. Nic nie zobaczysz. Nie wynurzą się, dopóki nie dostaną sygnału, a nie dostaną sygnału, dopóki ich pasażerowie nie znajdą się na miejscu.
- Czy Brytyjczycy nie obserwują ich za pomocą ASW... sonaru, radaru czy jak tam się to nazywa?
- Nie ma takiej możliwości. Można to zrobić, ale istnieje prawdopodobieństwo, że rosyjskie urządzenia antyradarowe ostrzegą ich, że są śledzeni. Lepiej, żeby nie zdawali sobie sprawy z tego, iż o nich wiemy.
- Rozumiem.
- Mogłem poprosić Marynarkę, żeby posłała w ślad za nimi niszczyciel, ale to by ich odstraszyło. Nie bój się, przyplyną.
- Dlaczego nie samolot, Bret? Łódź podwodna! Jezu, czuję się tak, jakbym czytał powieść z okresu wojny.

- Samolot? To nie Wietnam. Samoloty są hałaśliwe i łatwo widoczne; zbyt ryzykowne, żeby posłużyć się nimi w tak ważnej sprawie.

- I dokąd stąd popłyną?

- Niedaleko; w Sassnitz, w Niemczech Wschodnich, jest najbliższa baza łodzi podwodnych. Stamtąd zawiozą ją promem do Sztokholmu. Potem samolotem do Berlina.

- To bardzo okrężna droga. Dlaczego nie wsadzą jej w pociąg z Sassnitz do Berlina?

- Oni są przewrotni. Lubią, żeby ich ludzie przybywali z Zachodu. To robi lepsze wrażenie - powiedział Bret. - Pójdę do samochodu i zatelefonuję. Nasz wóz śledzi ich, odkąd wyjechali z Londynu.

Bernstein skrzywił się. Jego wiara w brytyjskie służby policyjne i wywiadowcze, a także w ich umiejętność śledzenia samochodu, była bardzo ograniczona.

Bret Rensselaer cofnął się drogą, którą przyszli, i wspinał po połamanych schodach do miejsca, gdzie zostawili samochód. Stał on ukryty za ostatnią pozostałą ścianą Izby Chorych, w której został w roku 1945 niesławnie umieszczony przez swego kapitana, kiedy spadł z trapu i złamał nogę podczas atlantyckiego patrolu.

Zanim wszedł do samochodu, spojrzął na zatokę. Woda była czarna jak syrop, a horyzont robił się w miarę nadciągania sztormu coraz jaśniejszy. Westchnął, zatrzasnął drzwi i połączył się z wozem patrolowym. - Johnson?

- Tu Johnson - odpowiedziano mu natychmiast.

- Boswell. Gdzie, do diabła, jesteście?

- Drobne kłopoty. Nasi przyjaciele mieli niegroźną kolizję z innym samochodem.

- Czy są ranni?

- Nie, ale wybuchł spór o to, kto jest pijany. Posłano po policję.

- Jak daleko od celu jesteście?

- Około godziny jazdy.

- Zrób coś, żeby mogli jechać dalej, Johnson. Nic mnie nie obchodzi, jak to zrobisz. Czy masz z sobą oficera policji?

- Tak, jest z nami.

- Każ mu to załatwić. I zróbcie to szybko.

- Dobrze, Boswell.
- I zatelefonujcie do mnie, kiedy ruszą. Zaczekam w samochodzie.
- W porządku.

Telefon wydał odgłos sygnalizujący przerwanie połączenia, więc Bret odłożył słuchawkę. Podniósł wzrok i zobaczył, że Bernstein stoi tuż obok samochodu. - Wejdź do środka i rozgrzej się - powiedział Bret. - Mamy jeszcze godzinę. Co najmniej godzinę.

Bernstein wsiadł do samochodu i oparł się wygodnie o poduszki.

- Czy wszystko w porządku? Zaczyna padać.
- Przypuszczałem, że będę musiał kiedyś prostować ścieżki Brytyjczyków, ale nie sądziłem, że mogę robić to w stosunku do Ruskich - rzekł Bret.
- Ty jesteś szefem tej operacji. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.
- Wiem - odparł Bret. - Jestem jedynym człowiekiem, który to wie. - Zapalił silnik i włączył ogrzewanie.

• Kto jest teraz właścicielem tego terenu? - spytał Bernstein, patrząc na porzucony budynek, będący niegdyś siedzibą administracji.

- Brytyjska Admiralicja zachowała prawo własności.
- Co za chucpa ze strony tych Ruskich. - Bernstein sięgnął do kieszeni.
- Odpowiada nam to - stwierdził Bret. - Wiemy, gdzie ich znaleźć. -

Ostrzegawczym ruchem podniósł rękę. - Proszę cię, nie pal, Sylvy. Dym szkodzi mi na zatoki.

Bernstein siedział przez chwilę, nerwowo poruszając rękami i zastanawiając się, czy lepiej zapalić na dworze, gdzie było bardzo zimno, czy też zrezygnować z papierosa i zostać w ciepłym wnętrzu samochodu. Bret zauważył, że spleta dłonie i po pięciu minutach ciszy spytał:

- Czy coś ci dolega?
- Medytowałem - odparł Bernstein.
- Przepraszam.
- Nic nie szkodzi.
- Czy naprawdę zostałeś buddystą? - spytał Bret.
- Tak. W Wietnamie. Zen buddyzm. Mieszkałem z piękną Kambodżanką, która nauczyła mnie medytacji. Bardzo mnie to wciągnęło.
- Przecież jesteś żydem.

- To nie wyklucza interesowania się inną wiarą. Medytacja pomogła mi, kiedy mnie złapali.

- Byłeś w niewoli? Czy złapał cię Vietcong?

- Tylko przez dwanaście godzin. Przesłuchiwali mnie. - Milczał chwilę, jakby sama rozmowa o tym sprawiała mu ból. - Kiedy odzyskałem przytomność, było już ciemno, więc rozwiązałem sznury i uciekłem; doczołgałem się do dżungli.

- Nic o tym nie wiedziałem, Sylvy.

- Któż chciałby wiedzieć coś o Wietnamie? Faceci, którzy tam walczyli, zostali przez wszystkich wydymani - od Białego Domu aż po liberalne gazety, a to już tak źle, że trudno upaść niżej. Dlatego osiadłem w Europie.

- Popatrz na to światło. Będzie tam dziś niezła fala. Czy miałbyś ochotę wypływać podczas takiej nocy na morze?

- Czy widywała się z tym Kennedym aż do samego końca?

Bret spojrział na swego rozmówcę. Powiedział mu tylko tyle, ile musiał mu powiedzieć, ale Sylvy Bernstein spędził życie w świecie wywiadu. Wiedział, co się dzieje.

- Tego jeszcze nie wiemy - odparł.

- To przypadkowe spotkanie na stacji Waterloo, podczas którego ten Kennedy zawarł z nią znajomość, wydaje mi się dość dziwnym zbiegiem okoliczności. - Bernstein potarł szczękę. Miał mocny zarost i czuł się nie ogolony. - Właściwie powinienem powiedzieć: korzystnym zbiegiem okoliczności. Znalazłem takie określenie w jednej książce.

- To bardzo atrakcyjna kobieta - powiedział Bret, cytując wielokrotnie powtarzane przez Bernsteina zdanie i nie chcąc słyszeć, że spotkanie to mogło być zaaranżowane.

- A on jest naprawdę bystrym psychiatrą. Ale czy należy do mężczyzn, którzy podrywają kobiety na dworcach kolejowych?

- To była specjalna sytuacja, Sylvy. - Bret nadal nie chciał brać pod uwagę takiej możliwości. - Córka Kennedy'ego uciekła z domu. Rozmawiałeś z tym policjantem ze stacji. Mówiłeś...

- Okay, okay. Tak naprawdę to była córka jego kuzyna, a Kennedy jest Kanadyjczykiem. Nie będzie łatwo dokładnie go przeświecić, a człowiek, który podaje fałszywe nazwisko policjantowi, może podawać fałszywe nazwisko wielu

innym osobom. Ale dlaczego miałbym się bronić przed przyjęciem zlecenia?

Potrzebuję pieniędzy.

- Lepiej wywróćmy go podszewką do góry, Sylvy - zdecydował Bret takim tonem, jakby mówił to po raz pierwszy. Wstępne dochodzenie dotyczące Kennedy'ego nie przyniosło nic obciążającego, ale cudzoziemcy, zwłaszcza tacy, którzy dużo podróżowali, byli często trudnymi obiektami śledztwa. Być może powinien był poświęcić tej sprawie więcej uwagi już na samym początku, ale był tak zaszokowany wiadomością o małżeńskiej zdradzie Fiony, że nie zajął się wystarczająco skrupulatnie zebraniem danych dotyczących jej kochanka. A jednak cóż mogło być bardziej oczywiste? Jeśli KGB chciało dać jej wysokie stanowisko, to starałoby się ulokować kogoś w jej najbliższym otoczeniu. Kochanek! Tak zawsze przebiegał tok myślenia funkcjonariuszy KGB.

- Przeprowadź dokładne dochodzenie: akt urodzenia, dane z komputera policji kanadyjskiej i z Waszyngtonu. Sprawdź informacje dotyczące przebiegu studiów i służby wojskowej. Niech ktoś porozmawia z jego sąsiadami, kolegami, przyjaciółmi i krewnymi: pełna procedura. Ty zrobisz to szybciej, niż mogę to zrobić ja za pośrednictwem kanałów oficjalnych.

- Czego mam szukać?

- Jezus, Sylvy! Przypuśćmy, że ten Kennedy jest wtyczką KGB?

- Okay, będę działał jak najszybciej, Bret, ale pośpiech w takich sprawach grozi odsłonięciem się, a wiem, że chcesz to utrzymać w całkowitej tajemnicy.

- Tuzin czerwonych róż - powiedział Bret. - No cóż, może dowiemy się, że przysłała je siostra lub jej ojciec.

- Chyba pójde rozprostować nogi - podjął decyzję Bernstein. Czuł się tak, jakby miał skonać, jeśli nie zapali papierosa.

12

Londyn, maj 1983.

Ucieczka Fiony - choć Departament postarał się, żeby informacje nie przeciekły do prasy ani telewizji - wywołała sensację w jej najbliższym otoczeniu.

Z wszystkich osób pracujących tego dnia w Departamencie jedynie Bret Rensseiaer znał całą prawdę na temat Fiony Samson. W tym czasie funkcję jego

tymczasowej sekretarki pełniła dziewiętnastoletnia blondynka Gloria Kent, zajmująca w istocie stanowisko młodszego referenta. Bret celowo zorganizował wszystko tak, by ta niezwykle atrakcyjna stażystka pracowała w jego biurze; jej obecność poprawiała mu samopoczucie, nadwątlone po odejściu żony. Pełniąc dyżur w sekretariacie Breta, dowiedziała się jako pierwsza, że Bernard Samson został aresztowany w Berlinie Wschodnim. Była wstrząśnięta.

Gloria Kent kochała się w Bernardzie dziewczęcą miłością od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w biurze. Być może te uczucia emanowały z jej twarzy, kiedy przyniosła Bretowi tę złą wiadomość, bo zaklął cicho, a potem powiedział:

- Panu Samsonowi nie stanie się nic złego.
- Kto zawiadomi jego żonę? - spytała Gloria.
- Proszę usiąść - polecił Bret. Gloria usiadła. - Według naszych

najnowszych informacji, pani Samson również przebywa w Niemczech Wschodnich.

- Jej samochód stoi obok zegara parkingowego i jest zasypany mandatami.

Bret zbagatelizował tę komplikację. - Nie życzę sobie, żeby rozeszło się to po całym biurze, panno Kent. Mówię pani o tym, bo chcę, żeby pomogła mi pani uśmierzyć obawy i uciszyć niemądre pogłoski. - Spojrzał na nią, a ona kiwnęła głową. - Będziemy musieli założyć, że pani Samson uciekła, ale nie mam powodów do przypuszczeń, że jej mąż był w to zamieszany.

- Co stanie się z dziećmi?

Bret kiwnął głową. Ta panna Kent była bystra; sprawa dzieci i jemu nie dawała spokoju.

• Jest z nimi niańka. Próbowałem dodzwonić się do siostry pani Samson, Tessy Kosiński, ale nikt tam nie odbiera telefonu.

- Czy chce pan, żebym do niej pojechała?

• Nie, mamy odpowiednich ludzi do tego rodzaju spraw. Tu jest ten numer telefonu. Niech pani dzwoni do skutku. Biurowy numer jej męża jest w moim skórzanym notesie - Kosiński International Holdings. Niech pani sprawdzi, czy on wie, gdzie może być jego żona. Proszę powiedzieć mu tylko tyle, że państwo Samson wyjechali za granicę w sprawach służbowych i że ich powrót się opóźnia. Ja jadę do domu Samsonów. Proszę tam do mnie zatelefonować i dać znać, co się dzieje. I proszę powiedzieć dyżurnemu zbrojmistrzowi, że zejdę na dół po rewolwer.

- Dobrze, sir. - Wróciła do sekretariatu i zaczęła telefonować. Myśl o

możliwości ucieczki Fiony Samson do komunistów wstrząsnęła nią tak bardzo, że nie była jeszcze w stanie rozważać konsekwencji tego faktu. Wszyscy pracownicy Departamentu obserwowali karierę Fiony Samson. Była wzorem doskonałości, jednym z tych ludzi, którzy nigdy nie robią fałszywego kroku. Nie można było jej nie zazdrościć: piękna kobieta z bogatej rodziny, absolwentka Oxfor-du, znakomita kucharka, czarująca pani domu, z dwojgiem dzieci i uroczo niekonwencjonalnym mężem, którego Gloria skrycie uwielbiała.

- Halo... - powiedział ktoś niewyraźnym, zaspanym głosem. - Och... Która godzina? Kto mówi?

Tessa lubiła sypiać do jedenastej, więc telefon obudził ją. Gloria poinformowała ją, że państwo Samson zostali zatrzymani za granicą przez nieprzewidziane okoliczności. Spytała, czy mogłaby pojechać do ich domu i zaopiekować się dziećmi. Starła się mówić jak najbardziej normalnym głosem.

Uśmierzenie obaw Tessy, która podejrzewała, że jej siostra została poszkodowana w jakimś wypadku, zajęło kilka minut, ale Gloria stanęła na wysokości zadania. Tessa doszła do wniosku, że jeśli chce dowiedzieć się czegoś więcej, musi pojechać do domu siostry i zapytać o to Breta Rensselaera.

W rekordowym tempie wzięła kąpiel, zrobiła makijaż, znalazła ozdobiony kamelią beret firmy Chanel, który nosiła zawsze, kiedy miała włosy w nieładzie, i narzuciła na siebie krótką, kraciastą kurtkę. Zajrzała do gabinetu, gdzie jej mąż studiował na komputerze ceny akcji, i podzieliła się z nim swoimi skąpymi informacjami.

- Oboje? O co w tym wszystkim chodzi? - spytał.
- Żadne z nich nie mówiło nic o wyjeździe - stwierdziła Tessa.
- Oni nigdy nie mówią człowiekowi całej prawdy. - George przyzwyczaił się już do tajemnic, obowiązujących w rodzinie jego żony.

- Nie podoba mi się to wszystko - oznajmiła Tessa. - Zaczęłam podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego, kiedy Fiona oddała mi pod opiekę swoje futro.

- Czy zostawiasz mi coś na lunch?
- W zamrażalniku jest gulasz z kurczaka.
- Czy jest jeszcze dobry? Był zrobiony w roku 1981.
- Spędziłam wiele godzin, przygotowując ten gulasz - odparła Tessa, wyraźnie rozgoryczona, że jej rzadkie próby zostania dobrą gospodynią nie są należycie docenione.

Kiedy Tessa przybyła do domu Samsonów, dwaj mocno zbudowani

mężczyźni, przysłani tu przez Breta, zwijali już ubrania robocze, w których zaglądali między klepki parkietu i poddali inspekcji każdy cal zakurzonego strychu. Bret Rensselaer stał przed kominkiem w czarnym płaszczu. Kończył właśnie pić kawę.

Widział niedawno Tessę w Whitelands, więc bez wstępów oświadczył: - Pani Samson pojechała na Wschód. - Odstawił filiżankę na obudowę kominka. - Dzieci potrzebują na razie kogoś, kto by im dodał otuchy... Ta niania wydaje się przyjmować to wszystko bardzo spokojnie, ale twoja obecność bardzo by pomogła. - Bret upierał się poprzednio, aby Fiona zatrudniła godną zaufania dziewczynę, która nie budziłaby wątpliwości Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Obecna niania była córką inspektora policji. Fiona narzekała od czasu do czasu, że nie ma ona odpowiednich kwalifikacji, ale ostrożność Breta wydawała teraz owoce.

- Oczywiście - odparła Tessa. - Zrobię wszystko, co będę mogła.

• Chwilowo poruszamy się właściwie po omacku - wyjaśnił Bret - ale jakkolwiek wygląda prawda, nie będzie żadnego oficjalnego komunikatu. Jeśli będą dzwonić jacyś dziennikarze czy inni ludzie tego rodzaju, powiedz, że jesteś gospożą, zapisz ich numer i zatelefonuj do mojego biura. - Nie powiedział jej, że wszystkie telefony są kontrolowane, a domu strzegą dwaj uzbrojeni ludzie, na wypadek gdyby Moskwa próbowała porwać dzieci.

Syn Fiony, Billy, wyszedł z kuchni, w której niania smażyła jajka i kielbaski na lunch. - Cześć, ciociu Tess. Mama jest na urlopie.

- No właśnie, czy to nie wspaniale? - powiedziała Tessa, schylając się, by go pocałować. - My też będziemy się świetnie bawić.

Billy patrzył przez chwilę na Breta, a potem, zdobywszy się na odwagę, poprosił: - Czy może mi pan pokazać swój pistolet?

- O co chodzi? - spytał niepewnie Bret, choć rzadko dawał się zbić z tropu.
- Niania mówi, że ma pan w kieszeni pistolet. Mówi, że dlatego nie

zdejmuje pan płaszcz.

Bret nerwowo oblizwał wargi, ale zanim przyszła mu do głowy jakaś odpowiedź, zjawiła się siedmioletnia Sally i złapała Billy'ego za ramię.

- Niania mówi, że masz przyjść do kuchni i zjeść lunch.
- No, chodźmy, dzieci - zachęciła Tessa. - Zjemy lunch wszyscy razem.

Potem zabiorę was na ciastka w jakieś miłe miejsce. - Uśmiechnęła się do Breta, a on kiwnął głową, by wyrazić aprobatę i wdzięczność.

- Niedługo się pożegnam - powiedział. Słyszał gdzieś, że Tessa Kosiński bierze „twarde” narkotyki, ale dziś wydawała mu się, dzięki Bogu, zupełnie normalna.

Tymczasem w jadalni niania nakładała jedzenie na talerze. Postawiła na dużym politurowanym stole cztery nakrycia, jakby domyślając się, że Tessa zje razem z nimi.

Kiedy dwaj technicy zwinęli swój sprzęt kontrolny i wyszli, Bret rozejrzał się po domu na własną rękę. Wszedł na górę, do sypialni: nocna koszula Fiony leżała, złożona pedantycznie, na jej poduszce. Na nocnym stoliku dostrzegł książkę z biblioteki Departamentu. Wziął ją do ręki i zerknął na kolorową pocztówkę z reklamą jakiegoś salonu piękności na Sloane Street, służącą jako zakładka. Stał przez chwilę nieruchomo, ciesząc się intymnym nastrojem jej sypialni. Nie dostrzegł nic, co z zawodowego punktu widzenia mogłoby go zaniepokoić. Samsonowie pracowali w Departamencie już od dawna; byli ludźmi ostrożnymi.

Kiedy wychodził z domu, usłyszał, jak Billy mówi z uporem w głosie: - Mogę się z wami założyć, że zastrzelił wielu ludzi.

Bernard Samson został aresztowany w Biergarten, niedaleko Muggelheimer Damm. Jest to las, który ciągnie się aż do brzegu Miiggelsee. Tysiącosobowy tłum podchmielonych mężczyzn,

świętujących *Himmelfahrt* - Wniebowstąpienie - wywołał zamieszanie, w którym Bernardowi i jego najbliższemu przyjacielowi - Wernerowi Volkmannowi - udało się pomóc parze starszych ludzi w ucieczce na Zachód. Nie był to zwykły akt filantropii - jednym ze zbiegów był agent Departamentu.

Werner i pozostali uciekli, kiedy Bernard odwrócił uwagę ścigających. Postąpił bardzo odważnie i miał dość czasu, by żałować swego pochopnego gestu. Zamknięto go w pokoju biurowym na najwyższym piętrze gmachu Państwowej Służby Bezpieczeństwa przy Frankfurter-allee.

Biuro to nie przypominało piwnicznych cel, z których więźniowie nigdy nie wychodzili na wolność, ale jego ciężkie drzwi i zakratowane okno oraz trudności z poruszaniem się po wnętrzu budynku, strzeżonym przez kamery i uzbrojonych wartowników, odbierały każdemu rozsądnemu człowiekowi chęć podjęcia próby ucieczki.

Bernard był przesłuchiwany przez uprzejmego oficera KGB, który nazywał się Erich Stinnes. Mówił tą samą berlińską niemczyzną, której Bernard nauczył się jako chłopiec, i pod wieloma względami miał z nim wiele wspólnego.

- Kto otrzymuje awanse i wysokie pobory? Ci nie ruszający się od biurka partyjni dranie - powiedział z goryczą Stinnes. - Powinniście dziękować Bogu, że nie macie systemu partyjnego, który przez cały czas utrudniałby wam pracę.

- Mamy go - odparł Bernard. - U nas tworzą go absolwenci Eton oraz

Cambridge i Oxfordu.

- I to ma się nazywać państwo proletariackie - dodał Stinnes.
- Czy nagrywa pan tę rozmowę? - spytał Bernard.
- Żeby wsadzili mnie do kryminału razem z panem? Czy myśli pan, że

oszałamem?

Tego rodzaju traktowanie było zazwyczaj wstępem do przesłuchania przez tępego brutala, który stanowił drugi człon tandemu, ale Stinnes czekał na „pułkownika KGB z Moskwy”, który okazał się Fioną Samson z Londynu.

Bernard Samson podejrzewał już w tym momencie, na co się zanoszą. Niektóre z poszlak, które Bret Rensselaer tak zręcznie podsuwał drugiej stronie, stawały się oczywiste dla coraz bardziej zaniepokojonego Bernarda.

Uświadomiwszy sobie, że jego żona jest pułkownikiem KGB, przeżył tak silny szok, że poczuł się chory. Ale ta świadomość - i związany z nią ból - nie były gorsze niż to, co przeżywają inni mężczyźni, odkrywając, że żona ich zdradza. Każdy człowiek posiada jednostkowy próg, powyżej którego ból nie nasila się już bardziej.

Ból Fiony zwiększało poczucie winy, związane ze świadomością, iż naraża ukochanego mężczyznę na tak wielkie cierpienia. Kiedy przywieziono tego ranka Bernarda, była bardzo zmęczona, a jej stan pogarszał ból głowy, którego nabawiła się podczas podróży. Była to być może najcięższa próba, jaką miała przeżyć - próba jej zdolności, jej przekonania i determinacji, z jaką potrafiła wcielić się w swoją postać, nawet w obliczu pogardy i nienawiści męża.

Strażnik wprowadził brudnego i nie ogolonego Bernarda. Rzucił jej spojrzenie, jakiego nie widziała w jego oczach nigdy dotąd. Była to ohydna, pełna nienawiści wymiana zdań, ale ona musiała grać swoją rolę w taki sposób, żeby Bernard nie dostrzegł nawet przeblasku nadziei. Tylko jego rozpacz mogła ją chronić.

Na stole stała taca z dzbankiem i filiżankami, ale Bernard nie chciał kawy. Spytał natomiast:

- Czy jest w tym biurze coś do picia?

Znalazła butelkę wódki i podała mu ją. Nalał sobie do filiżanki i wypił sporą porcję jednym haustem. Biedny Bernard; nagle poczuła lęk, że będzie to początek długiej pijackiej wielodniówki.

- Powinieneś ograniczyć picie alkoholu - powiedziała.
- Nie ułatwiasz mi tego - odparł. Uśmiechnął się ponuro i nalał sobie

następną porcję.

- Oczywiście, zostaniesz wezwany do D-G - oznajmiła spokojnie, choć przyszło jej to z wielkim trudem. - Możesz mu powiedzieć, że ta strona nie będzie rozgłaszała mojej ucieczki. Powinien być z tego zadowolony po wszystkich skandalach, jakie przeżyła jego instytucja w ciągu ostatniego roku.

- Powiem mu to.

Obserwowała go uważnie i zauważyła, że zrobił się zielony.

- Nigdy nie potrafiłeś pić na pusty żołądek - stwierdziła. - Czy nic ci nie jest? Nie potrzebujesz lekarza?

- Po prostu robi mi się niedobrze na twój widok.

Więcej nie była w stanie znieść. Nacisnęła guzik w podłodze i zjawił się strażnik, który miał odprowadzić jej męża. Wbrew zasadom swego zawodu i własnemu rozsądkowi rzekła:

- A więc, do widzenia, kochanie. Czy mogę liczyć na pożegnalny pocałunek? Ale Bernard myślał, że z niego szydzi.

- Nie - odpowiedział i odwrócił się do niej plecami.

Gdy tylko przewieziono go przez Checkpoint Charlie i uwolniono, Fiona, tłumacząc się zmęczeniem, wróciła do apartamentu hotelowego, w którym ją tymczasowo ulokowano. Wzięła długą, gorącą kąpiel, a potem dwa proszki nasenne i położyła się spać. Kiedy się w końcu obudziła, myślała przez chwilę, że wszystko to było koszmarnym snem, że jest w swoim londyńskim domu i nie przeżywa żadnych komplikacji życiowych. Naciągnęła kołdrę na głowę i leżała pod nią bez ruchu, dopóki nie pogodziła się z dziwnym światem, w jakim się znalazła.

Po tym okropnym spotkaniu z mężem, jej dalszy pobyt w Berlinie był łatwiejszy do zniesienia. Przesłuchania zdawały się trwać w nieskończoność, ale Bret Rensselaer pomyślał niemal o wszystkim, więc jej z góry przygotowane odpowiedzi zdawały się zadowalać pytających.

Szef wydziału personalnego KGB zadał sobie wiele trudu, by czuła się tu tak dobrze, jak było to możliwe, a mała garsoniera z twardym łóżkiem i staroświecką kuchnią była i tak o wiele lepsza niż zatłoczone mieszkania ze wspólnymi kuchniami i łazienkami, na jakie skazani byli przeciętni mieszkańcy stolicy NRD.

Jej biuro, mieszczące się w budynku dowództwa operacyjnego KGB/Stasi, było wyposażone w nowy dywan z owczej skóry i sprowadzone z Finlandii biurko z sosnowego drewna. Tego typu przedmioty uchodziły tu za symbole statusu. Co więcej, przydzielono jej pięćdziesięcioletniego sekretarza, który nazywał się Hubert

Renn, znał biegle rosyjski, słabiej francuski, trochę angielski, a poza tym umiał stenografować. Renn był tradycyjnym komunistą, z gatunku tych, którzy rodzili się tylko w Berlinie i byli już niemal na wymarciu. Był synem murarza i wraz z piętnastką rodzeństwa wychował się w ciemnym, trzypokojowym mieszkaniu na wybrukowanej kocimi łbami uliczce w Wedding. W latach dwudziestych *das rote Wedding* było tak skomunizowane, że cała dzielnica kierowana była przez samorząd, złożony z wyznaczonych przez partię działaczy. Matka Renna należała do ISK - *Internationaler Sozialistischer Kampfbund* - purytańskiej sekty politycznej, której członkowie nie pili alkoholu, nie palili tytoniu i nie jedli mięsa. Porzuciła ISK wychodząc za męża, ponieważ do sekty należeć mogli tylko robotnicy zatrudnieni na pełnym etacie.

Niski, żywy, niedożywiony i agresywny Renn był również bardzo sprawny. Typowym objawem jego praktycznej oszczędności był fakt, że nosił za klapą marynarki zapas szpilek i agrafek, a nawet igłę.

Kiedy Fiona ujrzała po raz pierwszy swego nowo mianowanego sekretarza, odniosła wrażenie, że już kiedyś się spotkali. To błędne przekonanie było projekcją oglądanych przez nią starych fotografii, przedstawiających berlińskie ulice. Odkryła jednak, że Renn nie przypomina żadnego ze znanych jej ludzi. Miał szeroki kark, zaczepną, rumianą twarz, zaniedbane zęby oraz krótkie włosy, nie poddające się ani grzebieniowi, ani szczotce. Był postacią prosto ze sztuki Brechta.

Mały Hubert Renn zetknął się z leninizmem i marksizmem jeszcze w pogiętej blaszanej wanience, która zastępowała mu kołyskę. ISK jako organizacja ekstremalnie bojowa odrzucała marksistowską teorię o nieuchronnym upadku kapitalizmu. Słyszał więc w nie kończących się rozmowach ojca i matki o konieczności ostrej walki. Po takim wychowaniu nikt już nie był w stanie nauczyć go niczego na temat lewicowej frazeologii politycznej. Nawet Paweł Moskwin, brutal popierany przez Moskwę, z którym Fiona zmierzyła się owego ranka, nie mógł pokonać go w sporach politycznych. Ale Renn nie głądził o „niemieckiej drodze do socjalizmu” i nie tracił czasu na rozprawianie o przyczynach, dla których uczestnicy fundamentalnego zjazdu partii w kwietniu 1946 zadeklarowali ideologię marksistowsko-leninowską, a nie leninowsko-stalinowską. Renn, który był obecny na tym historycznym kongresie, wolał pytać, nieco złośliwie, dlaczego odbywał się on w teatrze Admiralpalast, znanym skądinąd z „komicznych skeczów”.

- Mój ojciec był anarchista - oznajmił kiedyś Fionie podczas dyskusji o jakichś herezjach i fakt ten był kluczem do jego charakteru. Renn bowiem również był w głębi duszy anarchista. Fiona zastanawiała się, czy sam zdaje sobie z tego sprawę; być może po prostu było mu już wszystko jedno. Ludzie, którzy zbyt długo czekają na okres powszechnego szczęścia, stają się cynikami. To Renn, opisując Fionie Moskwiną, nazwał go „popieranym przez Moskwę brutalem” i zrobił to, zanim jeszcze Fiona poznała go osobiście. Równie otwarcie wypowiadał swoją opinię o wszystkich innych pracownikach budynku.

Przez kilka pierwszych tygodni Fiona podejrzewała, że ten przydzielony jej ekscentryczny współpracownik jest czymś w rodzaju *agent provocateur* albo że nikt inny nie mógł znieść jego dziwactw. Szybko jednak przekonała się, że proces

biurokratyczny w NRD nie opiera się na takich zasadach. Nawet najwyższym rangą funkcjonariuszom trudno było wybrać sobie sekretarza, a poza tym Renn w roli *agent provocateur* nie byłby łatwym podwładnym. Prawda wyglądała tak, że wydział personalny przydzielał urzędników według określonej kolejności. Fiona miała prawo do sekretarza tej rangi, jaką posiadał Renn, a jego poprzedni szef przeszedł na emeryturę tydzień przed jej przybyciem.

Fiona i jej sekretarz spędzili całą środę w małym centrum konferencyjnym w Kópenick Altstadt, na zalesionych przedmieściach Berlina. Była tam świadkiem długich i niekiedy zjadliwych wymian zdań między swoimi kolegami. Narada, w której brali również udział wysocy rangą funkcjonariusze służb bezpieczeństwa z Polski, Czechosłowacji i Węgier, poświęcona była nie zorganizowanym jeszcze dobrze grupom reformatorów politycznych i stowarzyszeniom religijnym, działającym na terenie Wschodniego Bloku. Niełatwo było osiągnąć porozumienie, dotyczące skoordynowanych metod postępowania wobec tego typu ugrupowań. Fiona była zadowolona z materiałów, które udało jej się zebrać. Był to właśnie ten rodzaj informacji wywiadowczych, na którym zależało Bretowi Rensselaerowi, a niepokój, jaki przejawiali podczas narady przedstawiciele komunistycznych służb bezpieczeństwa, potwierdzał jego długofalowe prognozy. Wiedziała, że kiedy Londyn nawiąże z nią w końcu kontakt, będzie mogła przedstawić konkretne wnioski dotyczące strategii politycznej.

Czekając na samochód, który miał zawieźć ich z powrotem do Mitte, podsumowała w myślach przebieg narady. Inni zostali odwiezieni autobusem z wydziału transportu, ale Fiona miała prawo do własnej limuzyny. Samochody były wyraźniejszym symbolem statusu niż inne przywileje czy prerogatywy, a demonstrowanie własnego statusu było w NRD rzeczą niezwykle ważną. Czekali więc na przyjazd kierowcy. Fiona zeszła nad rzekę, podziwiając brukowane uliczki i pochylone stare domki. Kościół i ratusz tworzyły w widłach Szprewy małą wysepkę, otoczoną drzewami. Na sąsiedniej wyspie - *Schlossinsel* - stał bogato zdobiony siedemnastowieczny zamek. W jego wspaniałej sali herbowej sądzony był za dezercję Fryderyk Wielki. Z miejsca w którym stali, można było dziękować władzom NRD za powolność, z jaką odbudowywano Berlin Wschodni. Łatwo było wyobrazić sobie Kópenick w dniu, w którym wyruszył stąd słynny później hochsztapler, by udowodnić, jak bardzo Niemcy szanują wojskowy mundur, bez względu na to, kto go nosi. Miała nadzieję, że świeże powietrze pomoże jej pozbyć się bólu głowy; w ostatnim czasie takie migreny zdarzały jej się zbyt często. Wiedziała, że są skutkiem stresu, ale to wcale nie ułatwiałało znoszenia bólu.

- *Hen Renn* - zwróciła się do swego sekretarza; nigdy nie mówiła do niego po imieniu.

Renn obserwował przejeżdżające po moście pojazdy. Wschód był już teraz niemal tak zatłoczony samochodami jak Zachód. Spojrzał na Fionę. - Czy zapomniałem o czymś, *Frau Direktor!*

- Nie. Pan nigdy o niczym nie zapomina. Jest pan najbardziej sprawnym urzędnikiem w naszym budynku.

Kiwnął głową. Wiedział, że to, co powiedziała, jest prawdą, i nie ukrywał tego.

- Czy pan mi ufa, *Hen Renn*? - Była to celowa próba wstrząśnięcia nim.

- Nie rozumiem, *Frau Direktor*. - Rozejrzał się nerwowo, ale na tym odcinku nadbrzeża nie stał nikt inny; otaczali ich tylko spieszący do domów robotnicy i ludzie robiący zakupy.

- Dostają protokoły porannych posiedzeń dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Czy jest ku temu jakiś powód?

- Wszyscy otrzymują protokoły przez tego samego posłańca. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Jesteśmy powolni, to jedyny powód. - Mostem przejeżdżał wielki, klimatyzowany autobus. Do jego szyb z przyciemnionego szkła przyciskali twarze japońscy turyści. Z wnętrza dobiegał głos przewodnika, ale w potoku wymowy rozróżnić można było tylko słowa: „Kapitan z Kopenick”. Autobus przejechał powoli i zniknął za drzewami. - Nigdy nie oglądają zamku ani Muzeum Sztuki - ze smutkiem powiedział Renn. - Chcą zobaczyć tylko ratusz. Przewodnik opowie im o szewcu, który kupił w lombardzie mundur kapitana, objął komendę nad kilkoma urlopowanymi grenadierami i aresztował burmistrza oraz skarbnika miejskiego. Wszyscy będą się śmiali i mówili o tym, jakimi my, Niemcy, jesteśmy durniami.

- Owszem - odparła Fiona. W Kopenick stał zamek, były tu ciemnozielone lasy oraz niebieskie jeziora i rzeki, ale wszyscy pamiętali tylko o tym, że stąd pochodził słynny kapitan.

- Najsmutniejsze jest to - ciągnął Renn - że ten biedny stary szewc, Wilhelm Voigt, wcale nie chciał funduszków miejskich. Chciał zdobyć prawo pobytu, a w Kopenick nie było instytucji, która mogłaby wystawić odpowiedni dokument. Widzi pani, on nie był berlińczykiem, a jego eskapada zakończyła się fiaskiem.

- Ja nie jestem mieszkanką Berlina ani nawet Niemką z pochodzenia... - Nie dokończyła.

- Ale mówi pani piękną niemczyzną - przerwał jej Renn. - Wszyscy zwracają na to uwagę: wspaniała *Hochdeutsch*, Kiedy słyszę, jak pani mówi, wstydzę się mojego pospolitego akcentu. - Spojrzał na nią. - Czy coś pani dolega?

Potrząsnęła głową. - Czy pan nie myśli czasem, że jestem wrogiem klasowym, *Herr Renn*?

Renn oblizał wargi. - Włodzimierz Iljicz Lenin urodził się w rodzinie burżuazyjnej. - Była to typowa ambiwalentna odpowiedź.

- Zapomnijmy na chwilę o okolicznościach urodzin towarzysza Lenina - powiedziała Fiona. - Chodzi mi o to, jaką postawę zająłby pan wobec próby usunięcia

mnie ze stanowiska.

Na wykrzywionej twarzy Renna odmalowało się wielkie podniecenie. Obliznął wargi i zmarszczył brwi, co miało odbijać głęboki namysł. - Musiałbym wziąć pod uwagę wszystkie fakty - odparł w końcu.

- Wziąć pod uwagę wszystkie fakty?
- Mam żonę i rodzinę - odparł Renn. - To ich muszę brać pod uwagę. -

Odwrócił się i spojrzał na rzekę, która niegdyś była bystra, świeża i czysta, a teraz powolna i gęsta. Jeszcze niedawno wędkarze łowili tu duże ryby; teraz nie było po nich nawet śladu. Renn patrzył na wodę, w nadziei, że *Frau Direktor* jest usatysfakcjonowana.

- Czy to znaczy, że rzuciłby mnie pan wilkom na pożarcie?
- Wilkom? Nie! - Odwrócił się do niej. - Ja nie jestem człowiekiem, który

rzuca kogoś na pożarcie, *Frau Direktor*. Jestem jednym z tych, którzy bywają rzucani. - Zegar kościelny wybił szóstą. Dzień pracy Renna dobiegł końca. Rozpiął płaszcz i sięgnął do tylnej kieszeni po flaszkę. - O tej porze wypijam czasem mały kieliszek sznapsa... Jeśli *Frau Direktor* pozwoli...

- Proszę bardzo - powiedziała Fiona. Była zaskoczona. Nie wiedziała o tym, że stary był nałogowym pijakiem, ale to tłumaczyło wiele spraw.

Odkręcił nakrętkę, służącą także za naczynie, i nalał sporą porcję. Podsunął nakrętkę Fionie. - *Frau Direktor!*

- Nie, dziękuję, *Herr Renn*.

Podniósł naczynie do ust, uważając, żeby nie rozlać zawartości i lekko pochylając głowę. Wypił połowę jednym haustem, a kiedy poczuł rozgrzewające działanie alkoholu, spojrzał na Fionę i powiedział: - Jestem zbyt stary, żeby brać udział w wendetach. - Przerwał. - Ale to nie znaczy, że brak mi odwagi. - Przejechał tramwaj; jego koła gniewnie zazgrzytały o szyny na zakręcie. - *Czy Frau Direktor jest pewna...?*

- Owszem, dziękuję panu, *Herr Renn*.

Trzymając nakrętkę w ręku, przyglądał się drugiej stronie rzeki, jakby nie zauważając obecności Fiony, a kiedy zaczął mówić, miała wrażenie, że mówi do siebie.

- Większość ludzi zatrudnionych na naszym piętrze to Niemcy, tacy jak ja zasłużeni urzędnicy. Żaden z nich nie szuka okazji do walki; wszyscy czekają na emeryturę. Nasi „przyjaciele”, których jest ośmiu, to zupełnie inna sprawa. - Wypił z

metalowej nakrętki resztkę sznapsa.

Fiona kiwnęła głową. Od roku 1945 zawsze nazywano Rosjan „przyjaciółmi”, choć niejeden niemiecki weteran wojenny pamiętał dzień, w którym ci „przyjaciele” wskoczyli do okopu i zakłuli bagnietami jego kolegów.

- Może jednak się napiję - powiedziała Fiona.

Renn wytarł palcami krawędź nakrętki i nalał Fionie trochę sznapsa. - Sześciu spośród tych przyjaciół pracuje w innym wydziale i nie może liczyć na awans, bez względu na to, co się stanie z panią.

Fiona wypłała drobny łyk sznapsa. Był tak mocny, że niemal się zakrztusiła. Nic dziwnego, że twarz Renna pokryta była czerwonymi żyłkami.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - rzekła. Zostawali jeszcze dwaj. Obaj byli specjalistami od Niemiec: Paweł Moskwin i człowiek, który (podobnie jak niegdyś Lenin i Stalin) przybrał pseudonim operacyjny i występował jako Erich Stinnes. To byli dwaj ludzie, z którymi starła się tego popołudnia podczas zakończonej niedawno narady. Obaj byli twardymi zawodowcami i dawali jej do zrozumienia, że praca pod rozkazami kobiety nie jest szczytem ich marzeń. Do sporu doszło podczas dyskusji o planowanej wyprawie operacyjnej do Mexico City. Podejrzewała, że wybrali tę okazję tylko po to, żeby pokazać, jak skutecznie mogą się jej przeciwstawić, jeśli połączą swoje siły.

- Ten duży - Moskwin - jest niebezpieczny - powiedział Renn. - Ma znaczne wpływy w aparacie partyjnym. Popadł w chwilową niełaskę w oczach Moskwy - był zamieszany w jakiś czarnoryn-kowy skandal, który został zatuszowany - a tacy ludzie gotowi są posunąć się aż do absurdu, byle dowieść swojej wartości. Jest wybuchowy i brutalny, a ludzie dobrze przystosowani często są bezradni wobec gwałtownych i nieprzemyślanych działań. Ten drugi - Erich Stinnes - mówiący tak przekonująco berlińską niemczyzną, znający nawet gwarę i przekleństwa, jest zimnym, wyrachowanym intelektualistą. Zawsze myśli długofalowo. Osobie tak inteligentnej jak pani łatwiej będzie poradzić sobie właśnie z nim.

- Mam nadzieję - stwierdziła Fiona.
- Musimy ich ze sobą poróżnić - oznajmił Renn.
- Ale jak?
- Znajdziemy jakiś sposób. Moskwin jest doświadczonym administratorem, ale Stinnes był zawsze agentem operacyjnym. Tacy agenci nigdy nie umieją narzucić

sobie dyscypliny i ducha współpracy, których wymaga nasza działalność.

- To prawda - przyznała Fiona, myśląc przez chwilę o swoim mężu i o ciągłych trudnościach, jakich przysparzała mu praca w londyńskim biurze.

- Niech pani nie pozwala podrywać swojego autorytetu. Moskwa umieściła panią na tym stanowisku, ponieważ pragnie zmian. Jeśli ktoś się sprzeciwi, Moskwa poprze proces zmian i tego, kto te zmiany wprowadza. Musi więc pani być tą osobą, która forsuje zmiany.

- Jest w panu coś z filozofa, *Herr Renn*.

- Nie, *Frau Direktor*, jestem tylko aparaczką.

- Kimkolwiek pan jest, jestem panu wdzięczna, *Herr Renn*. - Zajrzała do torebki, znalazła aspirynę i połknęła dwie tabletki.

- Drobiazg - powiedział, choć oboje wiedzieli, że się naraził. Co ważniejsze, dał jej do zrozumienia, że w innych okolicznościach gotów byłby ujawnić przed nią dalsze fakty. Fiona zastanawiała się, czy Renn liczy na jej wdzięczność. Tak czy owak mógł okazać się bezcennym sojusznikiem.

- Dla pana to może drobiazg, ale dla człowieka, który niedawno objął stanowisko, przyjazne rady bardzo się liczą.

Renn, który obserwował most, dotknął kapelusza, jakby chciał zaszalutować, ale w istocie poprawił go tylko na głowie.

- Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb - zacytował, chowając flaszkę do kieszeni. - A oto nasze volvo.

Zauważyła, że powiedział „volvo”, a nie „samochód”. Był dumny, że pracuje z kimś, komu przysługuje importowany wóz. Uśmiechnął się do niej.

Wiedziała, że za jakiś rok wróci na Zachód, a Renn zostanie sam i będzie musiał ponieść konsekwencje jej ucieczki. Przesłuchania Stasi nie były łagodne. Będą podejrzewali, że był z nią w zмовie. Starła się nie myśleć o krzywdzie, jaką mu wyrządza. Czuła się jak Judasz, ale przecież była Judaszem. Brett ostrzegał ją, że konflikt lojalności może ją narazić na stresy, ale to nie ułatwiało wcale ich znoszenia.

Po powrocie do domu, jednego z tak pożądaných mieszkań w przypominającym tort bloku przy Frankfurterallee, usiadła i przez dłuższy czas myślała o odbytej niedawno rozmowie. Zaczęła w końcu odkrywać niektóre aspekty motywacji Renna. Podobnie jak Rosjanie nie potrafią zrozumieć, że niektórzy Europejczycy mogą być zażartymi zwolennikami kapitalizmu, wyznając

równocześnie zdecydowanie anty amerykańskie poglądy, tak Fiona nie zdawała sobie sprawy, że głęboka wrogość wobec Rosjan jest nieodłącznym elementem psychiki Huberta Renna. Renn, co miała odkryć znacznie później, widział, jak rosyjscy żołnierze zgwałcili jego matkę i pobili do nieprzytomności ojca podczas tych pamiętnych dni roku 1945, kiedy w Rozkazie Dziennym głównodowodzącego Armii Czerwonej oznajmiono żołnierzom: „Berlin jest wasz”. Miała też później przekonać się, że nie zawsze nazywa ich „przyjaciółmi”, lecz używa wobec nich niekiedy znacznie mniej przyjaznych określeń.

Umyła sałatę i pokroiła *Bockwurst* w cienkie plasterki. Najbardziej brakowało jej świeżych owoców; nie mogła zrozumieć, dlaczego tego rodzaju towary są taką rzadkością. Znalazła niedaleko biura prywatną piekarnię, w której sprzedawano dobry chleb. Uważała, żeby nie przybrać na wadze; wszystkie łatwo dostępne produkty były bardzo tuczające.

Mały, urządony po spartańsku pokój sprzyjał rozmyśleniom i pracy. Jego ściany miały kolor jasnoszary i wisiały w nim tylko trzy obrazki: sztych przedstawiający rzymskiego cesarza, sepiowa fotografia wytwornych dam, wykonana około roku 1910, i kolorowa reprodukcja *Pariserplatz* Kirchnera. Ich ramy, tematyka, a także nie najlepszy stan, zdawały się dowodzić, że wybrano je przypadkowo w jakimś państwowym magazynie. Mimo to była wdzięczna za ten humanitarny akcent. Sypialnia była tylko małą alkową, oddzieloną zasłoną od pokoju. Stare łóżko z metalowych rur, pomalowane na kolor kremowy, przypominało jej lata spędzone w internacie. Wiele aspektów życia w NRD - od nie kończących się drobnych restrykcji aż po nudną dietę - kojarzyło jej się ze szkołą. Ale powtarzała sobie w kółko, że jeśli przeżyła szkołę z internatem, to przeżyje również obecne warunki.

Kiedy położyła się tego wieczora do łóżka, nie mogła zasnąć. Od przyjazdu nie przespała normalnie ani jednej nocy. To okropne spotkanie z Bernardem było fatalnym startem do nowego życia. Teraz co noc myślała o nim i o dzieciach. Zadawała sobie pytanie, dlaczego od urodzenia nie miała prawdziwego instynktu macierzyńskiego. Dlaczego nigdy nie przepadała za dziećmi i nie chciała, jak inne matki, trzymać ich w ramionach dniami i nocami? I czy ostry ból, jaki sprawia jej ich brak, jest karą za zmarnowanie przeżytych z nimi lat? Dałaby wszystko za możliwość powrotu w czasie; chciałaby ujrzeć je znów jako małe dzieci, tulić i karmić, czytać im i bawić się w idiotyczne gry, które tak dobrze znała matka Bernarda.

W ciągu dnia, obciążona ponad siły bieżącymi obowiązkami, zapominała niekiedy o chronicznych cierpieniach, na jakie naraża ją separacja z rodziną. Dawała sobie radę z

intelektualnymi wymogami tej pracy - z kłamstwami i udawaniem lojalności - ale nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak mało jest odporna na stres emocjonalny. Przypominała sobie żartobliwą opinię Breta, który twierdził, że kobiety znacznie łatwiej niż mężczyźni adaptują się do podwójnego życia. Każda kobieta - mówił - musi być na zawołanie kurwą lub matroną, kompanem, matką, służącą lub przyjaciółką. Wcielenie się w dwie osoby jest zatem dla każdej kobiety zadaniem stosunkowo łatwym. Były to typowe dla Rensselaera bzdury. Zapaliła lampkę i sięgnęła po tabletki nasenne. W gruncie rzeczy wiedziała, że nigdy już nie stanie się osobą, jaką była jeszcze tak niedawno. Już teraz zaszły w niej nieodwracalne zmiany.

13

Whitelands, Anglia, czerwiec 1983.

- Nie, Dicky, słyszę cię bardzo dobrze - powiedział Bret Rensselaer, przyciskając do ucha słuchawkę, i wzruszył wymownie ramionami na użytek Silasa Gaunta, który stał naprzeciwko niego z drugą słuchawką przy uchu. Dicky Cruyer, szef Sekcji Niemieckiej, dzwonił z Mexico City i połączenie nie było dobre. - Wytłumaczyłeś mi to zupełnie jasno. Nie ma potrzeby powtarzać wszystkiego od nowa. Tak, porozmawiam z Dyrektorem Generalnym i powtórzę mu to, co powiedziałaś. Tak. Tak. Dobrze, że zadzwoniłeś, Dicky. Zobaczę, co będę w stanie zrobić. Do widzenia. Do widzenia. - Z głębokim westchnieniem odłożył słuchawkę.

- A jednak Dicky Cruyer cię wytropił - powiedział Silas Gaunt, również odkładając słuchawkę.
- Tak, udało mu się - przyznał Bret. Dyrektor Generalny kazał Bretowi odwiedzić Silasa i „przedstawić mu sytuację”. Bret zostawił numer posiadłości Silasa jako swój numer kontaktowy i pani Porter, gospodyni Gaunta, przełączyła telefon z Meksyku do biura rządcy gospodarstwa.

Silas, który miał na sobie starą nieprzemakalną kurtkę, zabłocone buty i sztruksowe spodnie, podziękował pomocnikowi ogrodnika za zawołanie ich i - schylając się w niskich drzwiach - wyszedł na brukowane podwórko. Oprowadzał Breta po swojej farmie.

- Nie jestem już zwolennikiem polowań - powiedział Silas. - Za dużo kłopotu. Te olbrzymie, wczesne śniadania i błoto w całym domu. Zrobiło się to zbyt męczące dla pani Porter i, szczerze mówiąc, dla mnie również. Wędkarze robią o wiele mniej kłopotu: są spokojniejsi i znikają na cały dzień, zabierając kanapki z serem.

Otworzył furtkę i zamknął ją ponownie po przejściu Breta. Przed nimi leżały rozległe pola. Zanosiło się na wczesne żniwa.

Pole za stodołą koszone było w pierwszej kolejności. Unosiły się nad nim zdeorientowane stada wróbli, które, ostrzeżone hukami maszyny, przeczuwały, że tutaj jedzenia już nie znajdują.

Był piękny dzień; delikatne, postrzępione obłoki snuły się beztrząsowo po ciemnobłękitnym niebie. Słońce stało w zenicie; zatrzymało się w martwym punkcie jak rzucona w powietrze piłka i świat zamarł w bezruchu, czekając na nastanie popołudnia.

Szli blisko żywopłotu, aby Silas mógł się upewnić, że został on właściwie przystrzyżony i odchwaszczony. Zerwał kłos niedojrzałej pszenicy i zmiażdżył go w dłoni, przesiewając przez palce ziarna i plewy. Bret, który nie interesował się farmami ani uprawą roli, włókł się niezdarnie za nim w kaloszach, które Silas dla niego znalazł, i poplamionej starej kurtce, mającej chronić jego elegancki granatowy garnitur. Przeszli przez furtkę w wysokim murze, otaczającym ogród warzywny. Był to piękny mur, a jasne i ciemne cegły tworzyły duże romboidalne wzory, ledwie widoczne przez gęste szpalery drzew owocowych.

- Nie jestem pewien, czy rozsądne było wysyłanie do Mexico City Dicky'ego Cruyera i Bernarda Samsona - powiedział Bret, podejmując przerwana rozmowę. - Naraża nas to na brak ludzi, a oni dwaj najwyraźniej ciągle się kłócą.

Silas pokazał mu różne jarzyny i oznajmił, że zamierza w przyszłym roku założyć mały ogród różany i ograniczyć areał przeznaczony pod uprawę rzepy, buraków i brukwi. Potem zapytał:

- Jak Bernard to znosi?
- Dezercję żony? Niezbyt dobrze. Chciałem posłać go na badania lekarskie, ale w swoim obecnym paranoicznym stanie uznałby to za obrazę. Myślę, że z tego wyjdzie. Póki co, będę miał na niego oko.
- Nie mam doświadczeń agenta operacyjnego - powiedział Silas. - Ty też nie. Tylko bardzo nieliczni ludzie w budynku wiedzą, na czym to polega. Pod tym względem przypominamy generałów z okresu pierwszej wojny światowej: siedzimy w naszym *chateau*, popijamy koniak i narażamy żołnierzy na koszmar, o którym nie mamy pojęcia.

Bret, nie wiedząc dokładnie, do czego zmierza Silas, i jako człowiek nieskory do ujawniania swojego zdania, dopóki nie będzie miał czasu na zastanowienie się, wydał pomruk oznaczający powściągliwą zgodę.

- Ale ja widziałem ich wielu - ciągnął Silas - i wiem coś niecoś na temat ich

motywacji. Fiona Samson nie zacznie zwalniać stopniowo, jak nie nakręcony zegar. Będzie funkcjonować na pełnych obrotach, dopóki się nie wyczerpie. Potem, jak żarówka, rozbliśnie trochę jaśniej, a w końcu zgaśnie.

Bretowi metafora ta wydała się nieco zbyt melodramatyczna. Spojrzał na Silasa, zastanawiając się, czy często wykorzystywał tę formułkę w przeszłości, zmieniając tylko nazwiska jak w listach, które pisze się do najbliższej rodziny zmarłych. Nie doszedł do żadnego wniosku. Kiwnął głową. - Kiedy po raz pierwszy omawiane były problemy związane z jej misją po tamtej stronie, byłem za tym, żeby dopuścić do tajemnicy jej męża.

- Wiem o tym. Ale jego nieświadomość okazała się cennym atutem dla nas i dla jego żony. Dała jej dobry start. Teraz wszystko zależy od niej. - Silas rozejrzał się w koło, patrząc na wszystko okiem właściciela i zmiażdżył obcasem ciężkiego buta bryłę ziemi. Była to dobra, żyzna gleba, ciemna i bogata w kompost.

Bret rozpiął pożyczoną kurtkę i namacał palcami plik wydruków komputerowych, by upewnić się, że nie zgubił ich podczas spaceru.

W ogrodzie, za osłoną wysokich murów, było gorąco; wszystko zastygło w nieruchomej ciszy. Wszędzie krzewiła się bujna zieleń, ale był to już schyłek lata; widać było, że liście niebawem uschną, a ziemia stanie się zimna i twarda.

- Spójrz na tę marchew - powiedział Silas. Pochylił się i chwycił za pęk liści. - Uprawa marchwi jest trudna. Rośnie aż do osiągnięcia dojrzałości i trzeba zdecydować, czy wyrwać ją, czy też zostawić w ziemi.

Bret kiwnął głową.

- Im dłużej zostawisz ją w ziemi, tym będzie słodsza, ale jeśli nadejdzie silny mróz, stracisz cały plon. - Wyciągnął jedną marchew. Była drobna, ale miała piękny kolor. - Z drugiej strony, jeśli ją wyrwiesz, masz pewność, że nie zaatakują jej robaki i pasożyty. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Więc w jaki sposób decydujesz, kiedy ją wyrwać?

- Konsultuję się - odparł Silas. - Rozmawiam z ekspertami.

Bret postanowił zignorować szersze implikacje ogrodniczych rozważań Silasa i wrócić do tematu Bernarda Samsona. - Ale kiedy zapadła już decyzja, może rozsądniej było przenieść Bernarda z Wydziału Operacyjnego. Jest zbyt ciekawy i cholernie się stara poznać całą prawdę.

- To dość naturalne - odparł Silas.

- Jest wścibski i zadaje masę pytań. Z tego względu, i z kilku innych, nie

powinniśmy go byli wysyłać na rozmowy z potencjalnym dezerters KGB do Mexico City ani w żadne inne miejsce.

- Dlaczego? - spytał sardonicznie Silas. - Ponieważ nie ukończył uniwersytetu?

- Ten facet z KGB - Stinnes - niezależnie od jego motywów i intencji, będzie się spodziewał absolwenta Oxfordu lub Cambridge. Kiedy zobaczy takiego człowieka jak Samson, pomyśli, że go nie doceniamy.

- Jesteś zajadłym anglofilem, Bret. Nie mówię tego z lekceważeniem, przeciwnie, jestem zachwycony. Ale czasem skłania cię to do przesadnego szacunku wobec naszych starych brytyjskich instytucji.

Bret zeszywniał. - Zawsze popierałem Samsona, nawet kiedy był bardzo samowolny. Ale Oxford i Cambridge przyciągają najbardziej ambitnych studentów i zawsze będą najlepszym źródłem rekrutacji kadr Departamentu. Nie chciałbym, żeby ta linia postępowania uległa zmianie za mojego życia.

Silas z miłością pogłaskał krzak pełen pomidorów. Zerwał jeden czerwony, duży owoc i zaczął go ważyć w dłoni. - Oxford i Cambridge stwarzają doskonałe warunki do nauki, choć nie lepsze od tych, jakie ambitny student znaleźć może w każdej dobrej bibliotece. Ale obie te uczelnie mogą wyrobić w absolwentach poczucie przynależności do uprzywilejowanej elity, która ma przewodzić innym i podejmować decyzje narzucane ludziom gorszego gatunku. Taki elitaryzm musi z konieczności budzić aspiracje, które często się nie spełniają. Dlatego Oxford i Cambridge dostarczyły Anglii nie tylko najbardziej znanych polityków i funkcjonariuszy państwowych, lecz również ludzi najbardziej rozgoryczonych, którzy zostali zdrajcami. - Silas uśmiechnął się ze smutkiem, jakby wspomniani zdrajcy splecali mu figla, dawno wybaczonego i już na wpół zapomnianego.

- Elita? - spytał Bret. - Musiałbyś długo szukać, żeby znaleźć człowieka bardziej aroganckiego niż Bernard Samson.

- Arogancja Bernarda ma swe źródło w czymś, co jest w nim: w żywotności, sile i niewyczerpanych z pozoru zasobach odwagi. Nasze wielkie uniwersytety nigdy nie będą w stanie wszczepić komuś wewnętrznej siły. Nikt tego nie potrafi. To, co dają studentom ich profesorowie, zostaje narzucone ukształtowanej już osobowości. Wychowanie jest pancerzem, płaszczem narzuconym na duszę, barwą ochronną.

- A poza tym Samson za dużo pije - dodał Bret, chcąc sprowadzić

konwersację z powrotem na bardziej konkretne tory.

- To jest względny problem - powiedział Silas. - Prawdę mówiąc, tylko nieliczni spośród nas nie zasługują na taki zarzut. - Wyjął scyzoryk i przekroił pomidora na pół, by sprawdzić, czy jest dojrzały, a potem włożył kawałek do ust.

-Oczywiście, masz rację - przyznał Bret z szacunkiem i dodał: - Pamiętaj, że to ja rekomendowałem Samsona na stanowisko szefa Sekcji Niemieckiej.

Silas przełknął kęs pomidora, ale odrobina soku ściekała mu po brodzie.

Wytrzeł usta grzbietem dłoni i powiedział:

- Istotnie tak było. Ale nie włożyłeś w to dość zapału i starań, aby postawić na swoim.

- Poddaję się, Silas. - Bret postanowił nie tłumaczyć mu, że decyzja ta była świadoma i wyważona; zajęłoby to zbyt wiele czasu. - Ale nie spierajmy się. Samson i Cruyer są w Meksyku. Od ich sukcesu wiele zależy; jeden nieostrożny ruch może nas narazić na poważne straty.

- Owszem, musimy postępować bardzo ostrożnie - przyznał Silas. -

Ulokowaliśmy tę kobietę na Wschodzie i musimy mieć nadzieję, że wszystko nadal będzie układać się pomyślnie dla niej. Nie mamy z nią jeszcze kontaktu? - Podsunął Bretowi pozostałą połówkę pomidora, ale Bret potrząsnął głową. Silas rzucił ją na stertę odpadków.

- Nie, Silas, nie mamy. Chcę możliwie jak najdłużej trzymać się od niej z daleka. Na tym etapie nie chodzi przede wszystkim o zbieranie informacji. Ty i D-G zgodziliście się ze mną w tej sprawie. Ustaliliśmy to na samym początku.

- Owszem, ustaliliśmy. Jestem pewien, że ona ma i tak dość problemów.

- Pozwólmy tymczasem jej mocodawcom przetrawić materiały, które im dostarcza. - Bret rozglądał się niespokojnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje albo nie podsłuchuje. Teraz skupił wzrok na Silasie. - Ale niebawem będziemy musieli dać Sowietom jakiś solidny dowód dobrej woli Fiony. Wszystko idzie dobrze, lecz musimy wykorzystać i zwielokrotnić sukces.

W spojrzeniu, jakim obrzucił go Silas, nie było ani cienia wyrazu. Ostatnie zdanie, na które Bret położył wyraźny nacisk, pochodziło z arsenału aksjomatów, zawartych w dziełach Sun-cy, Vegetiusa, Napoleona czy innego podobnego im nudziarza. Silas nie był wcale pewien, czy tego typu mądrości mogą być w czymkolwiek przydatne pracownikom wywiadu, ale uznał, że nie jest to właściwy

moment, by dzielić się tymi wątpliwościami z Bretem.

Bret, sądząc, że Silas go nie dosłyszał, powtórzył to ostatnie zdanie. - Musimy wykorzystać i zwielokrotnić sukces.

Silas spojrział na niego i kiwnął głową. Pod lodowatą osobowością Breta krył się pewnego rodzaju chłopięcy entuzjazm, często spotykany u Amerykanów, pochodzących z różnych klas społecznych. Bret łączył go z jeszcze jedną typowo amerykańską cechą: z gorliwą pasją uczestnika wyprawy krzyżowej. Silas zawsze myślał o nim jako o księciu-wojowniku, który w ręcznie tkanej jedwabnej koszuli pod zbroją maszeruje przez pustynię pod znakiem Prawdziwego Krzyża. Powściągliwy i wyrachowany Bret stałby się niezwykłym Ryszardem Lwie Serce, ale równie przekonująco potrafiłby się wcielić w postać Saladyna.

- Mam nadzieję, że nie masz na myśli czegoś, co byłoby bardzo kosztowne - powiedział Silas. - Wczoraj wieczorem wyliczyłem, że zmiana kodów, szyfrów, i tak dalej, zarządzona przez D-G po dezercji Fiony, musiała kosztować Departament niemal milion funtów. Dolicz do tego koszty, których nie pokrywamy my. Myślę, że łączny rachunek sięga trzech milionów. Nie licząc utraty twarzy, na jaką naraziła nas jej dezercja.

- Nie zapominam o finansach.

- To dobrze. A co sądzisz o tym facecie z Mexico City? Zwierzę, roślina czy minerał? - Silas pochylił się i dotknął palcami szpinaku, jak dziecko machające ręką w wodzie.

- O tym właśnie chciałem porozmawiać. Jest postacią autentyczną: czterdziestoletnim majorem KGB, posiadającym znaczne doświadczenie. - Bret włożył modne okulary, których używał do czytania, sięgnął pod pożyczoną od Silasa kurtkę i wyjął plik wydruków z komputera. - Nie muszę ci mówić, że nasze akta nie sięgają zwykle tak daleko w dół drabiny, by obejmowały majorów, ale ten facet był bardzo aktywny, więc wiemy co nieco o jego przeszłości. - Bret opuścił wzrok i zaczął czytać z wydruku: - Sadoff. Posługuje się nazwiskiem Stinnes. Urodzony w roku 1943. Zawodowy oficer, podobnie jak jego ojciec. Wychowany w Berlinie. Oddelegowany do KGB, Sekcja 44, Urząd do spraw Wyznań. Przebywał służbowo na Kubie...

- Na miłość boską, Bret. Sam mogę przeczytać te wszystkie brednie. Pytam cię, kto to jest.

• I czy naprawdę chce przejść na naszą stronę? Tak, oczywiście, wiem, że o to pytasz, ale za wcześnie jeszcze na odpowiedź. - Podał wydruki z komputera Silasowi, który trzymał je w ręku, nie zaglądając do nich.

- Co o nim mówi Cruyer?
- O ile wiem, nie zetknął się z nim jeszcze bezpośrednio.
- Więc co ci dwaj idioci tam robią?
- Miło ci będzie usłyszeć, że to Samson spotkał się ze Stinnesem.

- I?

- Tego człowieka warto pozyskać, Silas. Jeśli będziemy z nim odpowiednio postępować, możemy z niego wiele wydobyć. Ale musimy działać bardzo ostrożnie. Ze względów bezpieczeństwa musimy zakładać, że nawiązał z nami kontakt na polecenie Moskwy.

Silas pociągnął nosem i oddał mu nie przeczytane wydruki. - A więc mamy dwie możliwości. Albo wróci do Moskwy i opowie im, czego się dowiedział, albo działa w dobrej wierze i zrobi, co mu każemy.

- Tak, Silas.
- Więc dlaczego nie rozgrywamy tego w taki sam sposób? Przyjmijmy go z otwartymi rękami. Dajmy mu pieniądze i pokażmy mu nasze sekrety. Co ty na to?
- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem, Silas.
- Porywamy go. Moskwa ryczy z wściekłości. Proponujemy mu, żeby tam wrócił i pracował dla nas. Stinnes jedzie do Moskwy.
- A oni go likwidują.
- Nie, jeśli go porwiemy. Wtedy nie będą mogli nic mu zarzucić.
- Moskwa może patrzeć na to inaczej.
- Nie łam mi serca; mówimy o drobnym gówniarzu z KGB.
- Tak, masz rację.
- Oczarujcie go, nawróćcie i wyślijcie z powrotem do Moskwy. Jakie to ma znaczenie, czy nas zdradzi albo czy zdradzi ich...? Nie rozumiesz tego?
- Niezupełnie - odparł Bret.
- Do diabła, Bret. Zastanie nas w całkowitej rozsypce po utracie pani Samson. Jesteśmy załamani. Zlecamy mu zadanie polegające na minimalizacji szkód, jakie wyrządziła nam jej ucieczka. Wraca do Moskwy, wierząc w autentyczność swej

misji. To, czy jest w gruncie rzeczy po tej, czy po tamtej stronie, nie ma żadnego znaczenia. Nawet jeśli go zlikwidują, będą go przedtem przesłuchiwać. Szczerze mówiąc, to odpowiadałoby nam najbardziej.

- To genialne, Silas!
- Więc nie mów tego takim cholernie zmartwionym tonem.
- Będzie to wymagało wielu przygotowań. - Bret zaczynał odkrywać, że

biorąc udział w poufnej operacji, o której wiedzą oprócz niego tylko Stary i Silas Gaunt, będzie musiał sam wykonać całą robotę. - Zadanie jest pracochłonne i trudne.

- Spójrz na to jako na wspianiałą szansę - powiedział Silas. - Nie możemy dopuścić do tego, żeby ten facet domyślił się prawdy na temat operacji „Spławik”. Nie chcę, by mógł nawet przypuszczać, że nasza strategia skierowana jest teraz na ekonomikę.

- A czy jest na nią skierowana?
- Nie bądź rozgoryczony, Bret. Dostałeś niemal wszystko, o co prosiłeś. Nie możemy zaangażować w tę sprawę wszystkich ludzi i środków; musimy nadal pamiętać o aspektach militarnych i politycznych.
- To kwestia definicji, Silas. Remilitaryzację można opisać w kategoriach ekonomicznych lub politycznych bez naginania liczb.

Silas zerwał strączek grochu i przyjrzał mu się uważnie. - Będziemy tupać i dmuchać, dopóki nie zdmuchniemy ich Muru - powiedział. Poczęstował Breta ziarnkiem grochu, ale Bret i tym razem odmówił.

- Ja nie jestem złym wilkiem z tej bajki - rzekł Bret.

14

Berlin Wschodni, wrzesień 1983.

Fiona Samson była zaskoczona, kiedy jej sekretarz Hubert Renn zaprosił ją na swoje urodziny i zastanawiała się nad tym chyba przez godzinę. Wiedziała, że Niemcy lubią obchodzić urodziny, ale teraz знаła już dość dobrze jego wojowniczo niezależną osobowość i była zdumiona, iż gotów jest zadać sobie tyle trudu, by wyprawić z tej okazji przyjęcie, i to przyjęcie, na którym ma być obecna jego zwierzchniczka.

Fiona znalazła z nim wspólny język, wiedziała jednak, że Rennowi niełatwo

przychodzi wykonywanie poleceń osoby młodej lub kobiety, a już szczególnie młodej kobiety i w dodatku cudzoziemki. Ale Renn był Niemcem i nie okazywał swych uczuć za pomocą zachowań, które mogłyby mieć wpływ na jego pracę.

Zastanawiała się, jaki dać mu prezent i jak się ubrać. Rozwiązała łatwo pierwszy problem, odwiedzając sklep walutowy, w którym z tytułu zajmowanego stanowiska miała prawo kupować za część swych poborów towary produkcji zachodniej. Kupiła elektryczną wiertarkę firmy Black & Decker, jeden z najbardziej poszukiwanych przedmiotów w kraju, w którym ciągle trzeba było coś naprawiać lub konstruować. Opakowała ją starannie, zawiązując wstążkę w ozdobną kokardę.

Trudniejsza była decyzja dotycząca stroju. Zastanawiała się, jaki charakter będzie miało przyjęcie. Czy będzie to skromna kolacja, wielkie zgromadzenie rodzinne, czy elegancki bankiet z tańcami i orkiestrą? Przejrzawszy przywiezione z sobą części garderoby - wybrane z uwagi na banalność wzorów i poważne kolory - zdecydowała się na krótką, popołudniową suknię, którą kupiła przed laty na Regent Street: wąskie, czarne i szkarłatne paski, plisowana spódniczka i wysoki, zapinany kołnierzyk. Kupiła ją przed wakacjami, które miała spędzić z Bernardem i dziećmi. Mieszkali na jakiejś farmie w zachodniej Szkocji, a deszcz padał niemal codziennie. Przywiozła suknię z powrotem, nie włożywszy jej ani razu. Przejrzała się w lustrze i doszła do wniosku, że teraz, kiedy odkryła wreszcie niezłego fryzjera, wygląda zupełnie dobrze.

Przyjęcie - jak się okazało, z kolacją - odbywało się w wynajętej sali, na terenie wielkiego ośrodka sportowego w Grunau. Choć mogła poprosić o podstawienie samochodu, pojechała kolejką podziemną do stacji Grunau, a potem wsiadła do tramwaju.

Tutaj, w atrakcyjnej podmiejskiej miejscowości, położonej na południowy wschód od stolicy, rzeka Szprewa przybiera nazwę Dahme, a na obu jej brzegach rozciągają się rozległe lasy. Główna brama prowadząca do klubu, wokół której zbudowano cały nowy ośrodek, wzniesiona została z okazji olimpiady w roku 1936. Na dwukilometrowym odcinku ozdobionej swastykami rzeki trzydzie-stotysieczny tłum widzów podziwiał zdumiewające sukcesy sprawnych fizycznie młodych Niemców, płynących na łodziach o zupełnie nowej konstrukcji z lekkimi wiosłami. Hitlerowska olimpiada relacjonowana była przez pierwszą w dziejach świata państwową stację telewizyjną, a Leni Riefenstahl nakręciła z jej okazji słynny film *Olympiad*. Znakomite sukcesy, osiągnięte dzięki selekcji, intensywnym treningom i

niemieckiej technologii - a wykorzystane w sposób mistrzowski przez hitlerowską propagandę - zapewniły Trzeciej Rzeszy spory sukces polityczny. Olimpiada 1936 roku była demonstracją nazistowskiej maszyny wojennej przebranej w cywilny strój. Była, pod wieloma względami, próbką tego, co miało nadejść.

Fiona stała w hallu, oglądając fotografie z X Olimpiady i stare trofea, wystawione w szklanej gablocie, kiedy pojawił się Hubert Renn. Złożyła mu najlepsze życzenia, a on uklonił się jej uprzejmie. - Czyżby interesowała się pani sportem, *Frau Direktor!*

- W szkole średniej trenowałam pływanie. A pan, *Herr Renn?*
- Nie. Jeśli nie liczyć hokeja, nigdy nie odniosłem większych sukcesów.

Byłem zbyt niski. - Renn miał na sobie garnitur, którego nigdy dotąd nie widziała, czerwoną muszkę i dopasowaną do niej chusteczkę w butonierce. - Tak się cieszę, że zechciała pani nas zaszczyścić swoją obecnością, *Frau Direktor*. To będzie tylko skromne spotkanie, które nie potrwa zbyt długo. Jesteśmy prostymi ludźmi.

Dzień urodzin nie zbiegał się, rzecz jasna, z dniem jego imienin; stary Renn, zaprzysiężony ateista, nigdy nie zgodziłby się na chrzest syna. Wszędzie stało jednak mnóstwo świec, jako że w Niemczech - gdzie przedchrześcijańskie dziedzictwo widoczne jest na każdym tradycyjnym festynie i w każdym obyczaju - żadna radosna okazja nie może się obyć bez świec.

Przyjęcie odbywało się w sali Giseli Mauemayer, nazwanej tak ku czci niemieckiej dyskobolki, która w roku 1936 zdobyła mistrzostwo świata. Jej portret namalowany na ścianie przedstawiał piękną, smutną blondynkę o długich, upiętych w kok włosach. Stół był już nakryty; stały też na nim dzbanki z winem i wodą. U szczytu stołu, obok talerza Huberta, ustawiono kilka skromnych prezentów. Żona Renn, Gretel, miała na sobie piękną suknię. Kiedy Fiona pochwaliła ją, wyznała, że suknię ma po babce i od ośmiu lat nie miała okazji jej włożyć. Gretel była szczupłą, nieśmiałą kobietą, o siwiejących, starannie ufarbowanych i ufryzowanych włosach, liczącą około pięćdziesięciu lat.

Jedzenie było doskonałe. Jeden z przyjaciół Rennów, myśliwy, zawsze dostarczał zamiast prezentu mięso z jelenia. Przed upieczeniem marynowane w winie, z dodatkiem ziół i przypraw, smakowało wybornie szczególnie o tej porze roku, kiedy berlińskie wieczory zaczynały się robić chłodne.

Było to dziwne przyjęcie; Fiona wyczuwała pewną sztywność, której w żadnej mierze nie można było tłumaczyć jej ograniczoną znajomością języka. Rytuwały

towarzyszące urodzinom wydawały się starannie przygotowane, a goście, nawet po pewnej ilości alkoholu, nie wpadli w dużo swobodniejszy nastrój. Miała wrażenie, że ze względu na jej obecność wszyscy starają się zachowywać jak najbardziej poprawnie.

Wśród biesiadników przy stole siedziała ciężarna córka Renna, Kathe, oraz jej poczciwy mąż, zatrudniony w jednej z opalanych węglem elektrowni, które zatruwały berlińskie powietrze. Brat Huberta Renna, brodaty Felix, był siedemdziesięcioletnim weteranem wojny hiszpańskiej i emerytowanym pilotem. Była tam również pewna para małżeńska, znana Fionie z biura; oboje pracowali jako urzędnicy w tym samym budynku co ona i Renn. Obok Fiony posadzono jakąś sympatyczną Angielkę. Miała na imię Miranda. Podobnie jak Fiona miała około trzydziestu lat i mówiła z wyraźnym akcentem, jaki cechuje członków londyńskiej elity lub ludzi, którzy pragną za nich uchodzić.

- To niezwykle imię - powiedziała Fiona. - A może popełniam nietakt?

- Sama je wybrałam. Przed ślubem byłam aktorką. To moje imię sceniczne. Odkryłam je, grając w „Burzy”, jeszcze w szkole. Byłam straszliwą, małą snobką. Ale jakoś do mnie przylgnęło.

- Jest urocze.

- Tutaj, oczywiście, nikt nie uważa, że jest niezwykle, a ja przyzwyczyłam się do niego.

- Czy była pani aktorką w Anglii?

- Tak. I to całkiem niezłą. Powinna była trzymać się tego zawodu, ale zbliżałam się do trzydziestki, a nigdy jeszcze nie zagrałam przyzwoitej roli na West End. Mój agent postanowił przejść na emeryturę. Pewien mężczyzna zakochał się we mnie i wyszłam za niego za mąż. Wie pani, jak to bywa.

- Czy ten mężczyzna był Niemcem?

- Jeszcze jak! Młody, seksowny i apodyktyczny... chyba to właśnie było mi w tym momencie potrzebne. Był w Anglii na urlopie i mieszkał u moich znajomych.

- I zabrał panią do Berlina?

- Byłam członkiem partii, odkąd ukończyłam osiemnaście lat, więc nie mogłam dać się uwieść kapitalistycznym powabom Hollywood, prawda? A mój pan i władca miał przyjaciół w wytwórni filmowej Babelsberg. Babelsberg - pomyślałam - przecież to stare studio UFA: Josef von Sternberg, Emil Jannings, Greta Garbo,

Marlena Dietrich. Mój Boże! A mój Wunderkind gwarantował mi mnóstwo ról.

- I dotrzymał słowa?
- Bardzo szybko zaszłam w ciążę, więc po kilku jednodniowych epizodach

w filmach telewizyjnych, w których grałam Angielki lub Amerykanki, musiałam szukać innej pracy. Robiłam jakieś okropne tłumaczenia dla różnych instytucji państwowych: foldery turystyczne i tego typu śmieci. A potem mój mąż zmarł.

- Och, to okropne. A co robił pani mąż?
- Upijał się do utraty przytomności.
- Och... - powiedziała Fiona.
- Urodził się mały Klaus. Jakoś dawałam sobie radę. Miałam mieszkanie i przyzwoitą rentę. Myślę, że NRD to najlepszy kraj dla wdowy z małym dzieckiem.

- Chyba ma pani rację.
- Czy pani jest zamężna?

• Porzuciłam mojego męża, żeby przyjechać tutaj - odparła Fiona. Była to jej standardowa odpowiedź na takie pytania, ale mimo to nadal odczuwała przy tym ból. Przed jej oczyma natychmiast pojawił się obraz Bernarda i dwojga dzieci: siedzieli przy okrągłym kuchennym stole i jedli jakieś mrożone danie, jak tego dnia, w którym poznała Kennedy'ego. Jak bardzo za nimi teraz tęskniła.

- Tak, Hubert powiedział mi, że zrezygnowała pani ze wszystkiego dla swoich przekonań. Postąpiła pani wspaniale. Ma pani cudowne perfumy. Czasem myślę, że dobre szminki i dobre perfumy to jedyne rzeczy, których mi tu brakuje. Co to jest... jeśli nie ma mi pani za złe tego pytania?

• Nie, oczywiście, że nie. Arpege. Nie dojrzałam jeszcze do żadnej z nowych marek. Czy pani mąż był krewnym państwa Renn?

• Arpege... oczywiście. Hubert jest ojcem chrzestnym mojego małego Klause.

- Rozumiem.
- Oczywiście, nie jest prawdziwym ojcem chrzestnym; brał udział w tej zastępczej hecy, którą oni tutaj urządzają.

• *Namengebung* - przypomniała sobie Fiona. Była to świecka ceremonia, dozwolona przez komunistyczny reżim.

• Mówi pani po niemiecku fantastycznie - powiedziała Miranda. - Jestem zdumiona, że zna pani tę nazwę. Chciałabym mówić choćby w połowie tak dobrze.

Kiedy słyszę, jak swobodnie pani rozmawia, czuję zazdrość.

- Pani niemczyzna wydaje mi się doskonała.
- Owszem, jest płynna, ale przeważnie nie wiem, co mówię. - Zaśmiała się. -

Chyba przez to wpadłam w te wszystkie kłopoty.

W tym momencie brat Huberta, Felix, wstał i zaproponował toast. Nalano szampana i pokrojono tort. Ciasta są dla niemiecko - I języcznych Europejczyków tym, czym suflety, spaghetti i wędzony łosoś dla ich sąsiadów. Tort urodzinowy Huberta Renna bynajmniej nie podważał tej doktryny. Był pięknie udekorowany, wielowarstwowy i tak duży, że Fiona nie była w stanie zjeść nawet jednego, cienkiego kawałka.

Felix, wysoki, kościsty mężczyzna z krótko przystrzyżoną brodą, okazał się dobrym mówcą i bawił towarzystwo przez pięć minut, zanim wznosił toast za zdrowie państwa Renn.

Kiedy uroczystość dobiegła końca, wyszli na dwór, gdzie świecił jasny księżyc. Gałęziami drzew poruszał lekki wiatr i nie było słyhać nic, oprócz silników odległego samolotu. Felix Renn powiedział, że jest to wieczorny lot z Berlina do Warszawy.

Fiona odmówiła, kiedy zaproponowano jej odwiezienie samochodem, i poszła piechotą aż do stacji Grunau. Odkryła, że spacerować są I jedną z przyjemności, rekompensujących jej życie w tym kraju. Kobieta mogła chodzić po pustych ulicach, nie obawiając się zaczepków czy napaści, a nawet to miasteczko, leżące tak blisko centrum Berlina, było spokojne i pełne zieleni.

Fiona źle znosiła samotne życie w obcym mieście. Wmawiała sobie stale, że daje jej ono szansę zebrania myśli, na co nigdy przedtem nie miała czasu. Ale samotność stała się z czasem przyczyną nawrotów depresji; były *to* czarne i pępne nawroty rozpacz, a nie przejściowe wahania nastroju, nazywane depresją przez ludzi, którzy nigdy prawdziwej depresji nie przeżyli. Fiona przeżywała długotrwałe okresy niezadowolenia z życia i niechęci do samej siebie. I jak zwykle w przypadku dolegliwości psychicznych, jej lęki miały konkretne źródła. Fatalnie się czuła bez męża i dzieci i z bólem myślała o tym, jak bardzo muszą jej nienawidzić. Znoszenie tych cierpień wymagało od niej wielkiego wysiłku.

Skutecznym lekarstwem była praca. Kiedy zmęczyły ją obowiązki zawodowe, czytała historię Niemiec i pracowała nad swoją niemczyzną; nadal myliła niekiedy przypadki. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, jak długo może tu zostać. Jak gorliwy

żołnierz frontowy przyzwyczaiła się do myśli, że może zginąć. Na szczęście ani Renn, ani inni, nie znali jej normalnego stanu ducha i myśleli, że zawsze była kobietą o zmiennych nastrojach, przeżywającą ataki złego humoru i długie, niewytłumaczalne okresy milczenia.

Idąc pod drzewami w świetle księżyca, który rzucał jej cień na przylegający do trotuaru trawnik, rozmyślała o przyjęciu urodzinowym Renna i doborze obecnych na nim gości. Zastanawiała się, czy Renn zorganizuje drugie przyjęcie, będące wierniejszym obrazem krewnych, znajomych i sąsiadów, których najwyraźniej miał całe mnóstwo. Czy obecni zaproszeni dziś ludzie byli najbliższymi przyjaciółmi jego i żony po całym życiu spędzonym w tym mieście? A jeśli nie, to dlaczego?

A jeśli taka wytworna kolacja - ekstrawagancka jak na poziom życia w NRD - była powszednim wydarzeniem w życiu państwa Renn, to dlaczego jego żona Gretel nie miała na sobie tej sukni od ośmiu lat?

A kim była ta chętnie opowiadająca o sobie Miranda? W tym zagadkowym mieście, pełnym półprawd i dwuznaczności, nic nie było bardziej enigmatyczne niż otwartość. Nim doszła do jakichkolwiek wniosków, znalazła się w Grunau. Wielka, dziewiętnastowieczna stacja Stadtbahn była ponura i zaniedbana. Inni podróżni oczekujący na pociąg rozmawiali po cichu i byli porządnie ubrani. Nawet siedzący na wózku bagażowym pijak - nieodłączny element tutejszego krajobrazu - bezgłośnie nucił pod nosem jakąś piosenkę.

Nadjechał pociąg i schludnie umundurowany konduktor poczekał, aż pijak wsiądzie do wagonu, a potem dopiero dał sygnał do odjazdu. Siedząc w klekoczącym pociągu, który pędził nad miastem po specjalnym wiadukcie, znów zaczęła myśleć o gościach. Ciekawa była, po której stronie walczył w Hiszpanii Felix, elokwentny brat Huberta. Jeśli po stronie komunistów, to jak przeżył okres faszyzmu, a jeśli po stronie generała Franco, to jak zniósł następne lata? Ale najbardziej zagadkowa wydała jej się obecność Mirandy. Zastanawiała się, dlaczego Hubert Renn nigdy nie wspomniał o tym, że matką jego „chrześniaka” jest kobieta urodzona i wychowana w Londynie, i dlaczego nie uprzedził jej, że na przyjęciu będzie jakaś Angielka. Gdyby chodziło o urodziny kogokolwiek innego, wszystko to nie miałoby żadnego znaczenia, ale Fiona знаła Renna na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie lubił tego rodzaju przyjęć.

Ciekawość Fiony została by zaspokojona, gdyby mogła być świadkiem sceny, która rozgrywała się w tej samej sali o dziesiątej trzydzięci następnego dnia. Brała w niej udział Miranda, dwaj Rosjanie i pewna młoda Murzynka. Miranda opisała im dokładnie przebieg poprzedniego wieczoru.

Jednym z obecnych był agresywny współpracownik Fiony, Paweł Moskwin. Miał około pięćdziesiątki i ważył ponad sto kilogramów. Był zbudowany jak amerykański futbolista. Miał krótko obcięte włosy, wąsko osadzone oczy, krótką szyję, wgnieciony nos i pozbawioną wyraźnych rysów twarz.

Erich Stinnes, szczupły mężczyzna o ostrych rysach i rzadziejących włosach, spod których przeświecała czaszka, siedział spokojnie w kącie sali, zaglądając od czasu do

czasu do trzymanej w rękach książki. Jego okulary w metalowej oprawce, brązowy sztruksowy garnitur i ciężkie wysokie buty tworzyły kombinację, którą niektórzy dobrze płatni funkcjonariusze reżimu uważali za niezbędną.

Naprzeciw Stinnesa siedziała wysoka, energiczna, dwudziestokilkuletnia Murzynka z Jamajki. Miała na sobie obcisły biały sweter i czerwone dżinsy, a jej kurtka ze sztucznej skóry geparda leżała obok, niedbale przerzucona przez krzesło. Bawiła się czerwonym jabłkiem, tocząc je po stole. Miranda patrzyła na ciemnoskórą dziewczynę; niezależnie od stroju i makijażu, miała w sposobie bycia coś, co sugerowało już na pierwszy rzut oka, że mieszka na Zachodzie.

Moskwin, nerwowo usiłując pohamować kipiący w nim stale gniew, spojrzał na Mirandę.

- Opowiedz mi o niej - powiedział. Miał ochryply głos człowieka, który zbyt często krzyczy.

- Już ci mówiłam - cicho odpowiedziała Miranda. Stała po drugiej stronie stołu. Nie chciała usiąść i postanowiła nie dać mu się zastraszyć. Widziała w życiu wielu tego rodzaju Rosjan.

- Więc opowiedz mi jeszcze raz, do cholery! - Podeszedł do ściany i zaczął oglądać obraz przedstawiający dyskobola, ale w gruncie rzeczy wcale go nie widział.

- Pani Samson jest o jakieś trzy centymetry wyższa niż ja. Ma dłuższe nogi - rzekła.

- To nie ma znaczenia - stwierdził, nie odwracając się od ściany.

- Nie masz o tym pojęcia - oznajmiła pogardliwym tonem Miranda. Teraz, kiedy rozmowa zeszała na znany jej grunt, czuła się znacznie pewniej. - Jeśli mam naśladować jej sposób chodzenia, będzie to miało znaczenie.

Ciemnoskóra dziewczyna hałaśliwie odgryzła kawałek jabłka. Moskwin spojrzał na nią z gniewem, a ona posłała mu promienny uśmiech. Wszyscy obecni nie znosili go, a on dobrze o tym wiedział. Wyrósł wśród tego rodzaju wrogości i nie przejmował się zbyt ich uczuciami.

- Zorganizujemy to w taki sposób, że nie będziesz musiała chodzić - powiedział, nie odrywając wzroku od czarnej dziewczyny. Potem odwrócił się i spojrzał na Mirandę badawczo. - Czy potrafisz naśladować jej głos?

- Jej głos jest łatwy - odparła Miranda.

Czarnoskóra dziewczyna ugryzła następny kawałek jabłka. - Zachowuj się cicho! - upomniął ją Moskwin.

- Muszę czasem coś jeść, kolego - odparła.

Moskwin podeszedł do stołu i włączył magnetofon. Rozległ się w nim głos Fiony, która mówiła: - To urocze imię. (pauza) - Czy była pani aktorką w Anglii?

(pauza) - I zabrał panią do Berlina? (pauza) - Och, to okropne. A co robił pani mąż?

Moskwin wyłączył magnetofon. - Teraz ty - powiedział.

Miranda wahała się tylko przez chwilę, a potem skupiona i napięta, trzymając ręce złożone w taki sposób, jakby zamierzała odśpiewać „Lieder”, zaczęła powtarzać te same zdania. - To urocze imię. - Zrobiła głęboki wdech. - Czy była pani aktorką w Anglii? - Oblizła wargi i zupełnie już rozluźniona wygłosiła trzy ostatnie kwestie bez żadnej przerwy. - I zabrał panią do Berlina? Och, to okropne. A co robił pani mąż? - Potem uśmiechnęła się. Był to imponujący występ, a ona wiedziała o tym. Zawsze miała talent do imitowania głosów. Czasem przyłapywała się na tym, że naśladuje sposób mówienia swoich interlokutorów, co mogło prowadzić do niemiłych spięć.

- Dobrze - powiedział Moskwin.

- To niezwykle - stwierdził Stinnes. Czarnoskóra dziewczyna zaczęła bardzo cicho klaskać. Miranda ciągle nie wiedziała, czy dziewczyna jest nastawiona wrogo do nich wszystkich, czy tylko do Moskwin.

- Ale czy będziesz umiała to zrobić bez pomocy nagrania? - spytał Moskwin.

- Musiałabym jeszcze raz ją spotkać.

- Zostanie to zaaranżowane. Poza tym będziemy dla ciebie mieli mnóstwo nagrań.

- Nagrania pomagają, ale muszę widzieć, jak ona mówi. Muszę obserwować jej usta. Wiele zależy od języka, w jakim mam prowadzić rozmowę. I muszę lepiej poznać jej zasób słów.

- Zostaniesz dokładnie pouczona, co masz mówić. Nie ma potrzeby wdawania się w jakąkolwiek konwersację: masz powtórzyć tylko to, co chcemy. Chodzi tylko o to, żeby twój głos brzmiał naturalnie i żebyś wiernie ją naśladowała.

- Dobrze - zgodziła się Miranda.

- Element zaskoczenia działa na twoją korzyść - ciągnął Moskwin. - Zanim jej mąż i jej siostra ochłoną ze zdumienia, będzie po wszystkim.

- Mówić przez telefon jest bardzo łatwo, ale...

- Rozwiązałem ten drugi problem - wyjaśnił Moskwin. - Jej mąż będzie siedział w samochodzie za kierownicą i nie będzie mógł się odwrócić. To zadanie Harmony, a ona jest ekspertem, prawda, Harmony?

- Jasne, szefie - odparła Harmony z ironią, której Moskwin zdawał się nie

wyczuwać.

Patrząc nadal na Mirandę, powiedział: - Usiądziesz na tylnym fotelu. Będiesz blisko, ale on cię nie zobaczy.

- Dobrze. Użyję jej ulubionych perfum, Arpege. Rozpozna ich zapach.
- Poczuj twój zapach, ale nie będzie cię widział - potwierdził Moskwin.
- Nigdy nie potrafiłabym tak się ucharakteryzować, żeby wyglądać jak ona -

powiedziała Miranda. - Wystarczyłoby jedno spojrzenie i...

- Pomyślałem i o tym - odparł Moskwin. - Wcale nie musisz

wyglądać tak jak ona. Przeciwnie: damy ci czarną perukę, ciemne okulary i mocny makijaż. Nikogo nie zaskoczy to, że przyjeżdżając do Anglii zechce zmienić swój wygląd. Uznają to za jeszcze bardziej wiarygodne.

- Zdejmujesz mi kamień z serca. Nie potrafiłabym się na nią

ucharakteryzować. Jest bardzo piękna. - Spojrzała na obu Rosjan. - Prawdę mówiąc, polubiłam ją.

- Wszyscy ją lubimy - powiedział Stinnes. - Robimy to, żeby jej pomóc.
- Tego nie wiedziałam - odrzekła z powątpiewaniem Miranda.
- Ona w żadnych okolicznościach nie może się niczego domyślić -

powtórzył Moskwin, uderzając dłonią w stół. - Inaczej pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś.

- Okay - powiedziała Miranda spokojnie, choć bynajmniej nie była całkiem spokojna. Musiała z przykrością przyznać, że Moskwin ją przeraża, choć nie była osobą tchórzliwą.

- Ona już wie, o co chodzi - wtrąciła Harmony. - Czy mogę teraz zjeść

jabłko, szefie?

15

Bosham, Sussex, Anglia, październik 1983.

Niewiele poczynań zgodnych z prawem może być większym źródłem satysfakcji niż obiektywna obserwacja niepowodzenia kolegi. Tak się złożyło, że zaplanowana przez Pawła Moskwiną operacja, wymierzona przeciwko Londyńskiej Centrali, była opiewana w mowie i piśmie jeszcze w długi czas po jego śmierci.

Niektórzy zrzucali całą winę za klęskę na samego Moskwiną. Był on

biurokrata, nie posiadającym żadnego doświadczenia operacyjnego (co podkreślali chętnie agenci działający w terenie). Moskwin był niewątpliwie prymitywem; stale się spieszył i nie potrafił zrozumieć Anglików. Ale przecież wielu spośród jego kolegów też było ludźmi prymitywnymi i też prawie wszyscy się spieszyli, a nawet w samej Anglii trudno byłoby znaleźć kogoś, kto rozumiałby Anglików, a przynajmniej twierdził, że ich rozumie.

Bardziej przekonujące wytłumaczenie przyczyn niepowodzenia pochodziło od mniej zaangażowanych obserwatorów, którzy dopatrywali się źródeł klęski w sporze kompetencyjnym między osobami kierującymi operacją. Paweł Moskwin, zawodowy oficer KGB, zbyt polegający na swych wpływach w Moskwie, miał za partnera Ericha Stinnesa, doświadczonego agenta operacyjnego, który, choć wyższy rangą, nie był osobiście zainteresowany powodzeniem operacji.

Inni zrzucali winę na dwie kobiety wchodzące w skład ekipy. Ciemnoskóra dziewczyna z Jamajki w ciągu wielu lat pracy dla KGB nie przyswoiła sobie obowiązującej w tej instytucji dyscypliny, a Angielka została nakłoniona do wykonania zasadniczego zadania w tej operacji jedynie dlatego, że umiała naśladować głosy innych ludzi. Jedni twierdzili, że kobiety były skłócone, inni - że wspólny język macierzysty doprowadził do ich porozumienia, a to stworzyło potencjalne warunki do rebelii. Jeszcze inni, zresztą wyłącznie mężczyźni, twierdzili, że kobiety nie nadają się do tego rodzaju zadań.

- Należy ci się złoty medal za gównianą organizację - powiedziała do Moskwiną Harmony Jones. Siedzieli w małym domku w Bosham, niedaleko południowych wybrzeży Anglii. Moskwin zastawił tu pułapkę na Bernarda Samsona. - Z Londynu do Berlina, potem z powrotem do Londynu. To najgłupsza operacja, w jakiej kiedykolwiek brałam udział, kochanie.

Moskwin, który nie był przyzwyczajony do takiej bezczelności, opanował ogarniający go straszliwy gniew i odrzekł: - To wszystko należy do planu.

Erich Stinnes podniósł wzrok znad przewodnika: *Chichester and the South Downs*. Patrzył na nich obojętnie. Nie była to jego operacja, a nawet gdyby Brytyjczycy go złapali, to i tak był bezpieczny: porozumiał się już z nimi wstępnie w sprawie przejścia na ich stronę. Poinformował Moskwę, że inicjatywa wyszła od drugiej strony i uzyskał zezwolenie na kontynuowanie kontaktów, więc wiedział, że przeżyje bez względu na okoliczności.

Paweł Moskwin również uważał się za nieomylnego. Operacja miała

przynieść mu rozgłos, musiała więc obfitować w dramatyczne akcenty. Zamierzał zwabić Bernarda Samsona do tego domu-pułapki, przesłuchiwać go aż do śmierci, a potem pozostawić jego okaleczone zwłoki w punkcie kontaktowym SIS w Anglii! Miał nadzieję, że przesłuchując Samsona uzyska jakieś informacje, które będą mogły podważyć lub popsuć reputację jego nowej przełożonej, Fiony Samson. Nawet ten punkt kontaktowy został wybrany dlatego, że Fiona Samson ujawniła jego istnienie podczas jednej z wstępnych rozmów z funkcjonariuszami KGB. Jeśli dom ten okaże się spalony, będzie to dowodzić dwulicowości Fiony, a nie jego nieudolności.

Miranda spojrzała na swoich współników i zadrzała. Nie spodziewała się nigdy, że sytuacja będzie wyglądała w taki sposób. Odegrała swoją rolę dokładnie według instrukcji.

Stała na trawiastym poboczu szosy przebiegającej przez londyńskie lotnisko i wiodącej w kierunku Terminalu numer 3, kiedy dostrzegła nadjeżdżający samochód z Bernardem Samsonem za kierownicą. Harmony siedziała obok niego. Samochód zatrzymał się tuż obok niej, a ona wśliznęła się na tylne siedzenie i zaczęła naśladować głos Fiony Samson.

Wsiadając do auta i lokując się za plecami Bernarda Samsona, myślała przez chwilę, że zemdleje. Ale było tak, jak na scenie: jej profesjonalizm wziął górę nad tremą i wszystko poszło gładko.

- To ja, kochanie. Mam nadzieję, że nie przestraszyłam cię - powiedziała czułym, pełnym dystansu głosem, typowym dla przedstawicieli klasy wyższej, zabarwiając go odrobiną ironii.

- Fiona, czy ty oszalałaś? - spytał Samson. Nie obejrzał się, chociaż lusterko samochodowe zostało ustawione w taki sposób, żeby nie mógł jej w nim dojrzeć. Wszystko szło zgodnie z zapowiedzią Harmony. Bernard Samson - powiedziała Harmony - jest profesjonalistą; profesjonaliści nie narażają się na śmierć, lecz zastanawiają się nad przyczynami.

Samson został wprowadzony w błąd. Była to najbardziej udana rola w karierze Mirandy. Żałowała, że widownia składa się tylko z dwóch osób. Należało jednak uwzględnić fakt, że człowiek stanowiący połowę tej widowni był zaskoczony, a w dodatku czuł się zagrożony widokiem strzykawki, trzymanej tuż przy jego nodze.

- Przyjeżdżając tutaj? - kontynuowała Miranda. - Nie wydano nakazu aresztowania mnie. Zmieniłam wygląd i nazwisko... nie, nie oglądaj się. Nie chcę, żebyś zemdleł. - Wypróbowała każdą sylabę tej wypowiedzi tyle razy, że teraz

mówiła jak automat. Biedny facet był kompletnie ogłupiały. Mirandzie było go żal. Oczywiście, że będzie później próbował odnaleźć Harmony; jaki mąż powstrzymałby się od tego?

Kiedy po odegraniu swojej roli wróciła z londyńskiego lotniska do tego domku rybaka, Moskwin nie obdarzył jej ani jednym słowem pochwały. Nienawidziła go.

- A jeśli Bernard Samson nie odnajdzie Harmony? - spytała Miranda. - Jeśli nie przyjedzie? Jeśli zwróci się do policji?

- Przyjedzie - odparł Moskwin. - Nie płacą mu za to, żeby wzywał policję; jego zawód polega na znajdowaniu ludzi. Odnajdzie Harmony. Myśli, że jest tu jego żona, więc przyjedzie.

Harmony uśmiechnęła się kwaśno. To ona zostawiła ślady, dzięki którym miał ją odnaleźć Samson: przed kupnem biletów trzykrotnie pytała o drogę i robiła wbrew zdrowemu rozsądkowi różne niemądre rzeczy. Jej zdaniem, Moskwin popełnił prymitywny błąd, wybierając na przynętę piękną czarnoskórą dziewczynę, która musiała każdemu wpaść w oko. Tylko głupiec nie nabrałby podejrzeń, widząc tak wyraźny trop. A ona, po krótkim spotkaniu z Bernardem Samsonem, miała powody do przypuszczeń, że nie jest on kompletnym idiotą. Nie chciała być na miejscu podczas jego wizyty.

- Czy to nie wszystko jedno? - spytała. - My dwie i tak się stąd wynosimy. Miranda! Idź na górę, zetrzyj z twarzy te cholerne szminki, a potem spływajmy. Pobyt w Rzymie dobrze nam zrobi po trzech dniach spędzonych z tym wypierdkiem. - Wstała z krzesła.

- Będę gotowa za pół godziny - powiedziała Miranda.

Moskwin był wściekły, że uległ czułym namowom Harmony Jones i kazał obu kobietom wracać przez Rzym. Podczas rozmowy na ten temat posłużyła się przekonującymi argumentami natury operacyjnej, ale teraz jasne było, że po prostu chciała odbyć przyjemną podróż.

- Może będziecie mi jeszcze potrzebne - rzekł Moskwin, ale jego dotychczasowa umiejętność zastraszenia obu kobiet rozwiąła się w zetknięciu z aroganckimi odpowiedziami, jakimi Harmony kwitowała każde jego polecenie.

- Tobie, szefie, bardziej potrzebne będzie... - zaczęła Harmony, ale uznała, że lepiej go dłużej nie prowokować. Wzięła kasetkę z kosmetykami Mirandy i ruszyła w stronę schodów. Miranda poszła za nią.

- I nie nazywaj mnie wypierdkiem - z naciskiem powiedział Moskwin, kiedy obie kobiety wychodziły przez niskie drzwi, wiodące w stronę klatki schodowej.

Harmony zareagowała wulgarnym gestem, ale dopiero wtedy, kiedy Moskwin nie mógł jej już widzieć. Idąc po schodach, Miranda zaczęła głośno chichotać.

Kiedy usłyszeli odgłosy kroków na górze, świadczące o tym, że obie kobiety tam weszły, Stinnes podniósł głowę znad swojego przewodnika.

- Czy wiesz, że miasteczko Bosham uwiecznione zostało na gobelinie z Bayeux? - spytał. - Tutaj właśnie król Kanut kazał przyплыwowi się cofnąć.

Moskwin wiedział, że Stinnes usiłuje sprowokować go do wybuchu gniewu, więc mu nie odpowiedział. Wstał i podszedł do okna. Bosham leży na małym półwyspie pomiędzy dwiema zatokami. Z okien domku widać było powierzchnię morza i pływające po nim łodzie: żaglówki i motorówki wszystkich typów i rozmiarów. Po zabiciu Samsona mieli odpłynąć łodzią. Stinnes był doświadczonym żeglarzem. Mieli wymknąć się pod osłoną ciemności i zniknąć bez śladu. Perfekcyjny finał perfekcyjnej operacji.

- Nie stałbym zbyt blisko okna - odezwał się życzliwym tonem Stinnes. - Jest to podstawowa zasada obowiązująca przy operacjach tego rodzaju.

Moskwin odsunął się. Stinnes miał oczywiście rację. Nienawidził go.

- Grupa wspomagająca powinna już tu być.

Stinnes spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Przyjechali pół godziny temu.

- Więc gdzie są?
- Nie spodziewałeś się chyba, że zapukają do drzwi, prawda? Mają ze sobą materac; będą spali w furgonetce, dopóki nie będą potrzebni. Zaparkowali niedaleko pubu.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Przecież ja to organizowałem, prawda? Jak myślisz, po co chodziłem tyle razy do łazienki? Czy myślisz, że mam biegunkę? Z góry widać parking przylegający do tego pubu.

- Czy masz pistolet?

Stinnes zaprzeczył.

- Ja przywoziłem broń - powiedział Moskwin. Położył ją na stole. Był to Smith & Wesson kalibru 44, tak zwane magnum; ogromny rewolwer, który Moskwin zdobył z wielkim trudem.

Stinnes ocenił rozmiary broni, a potem zerknął na Moskwiną. - To powinno

wystarczyć dla nas obu - skwitował.

- W takim razie możemy tylko czekać - stwierdził Moskwin. Stinnes wetknął zakładkę między strony przewodnika i zamknął go. - Mówiłem ci, że właśnie tutaj, w Bosham, król Kanut kazał przyływowi się cofnąć.

- I co się stało? - spytał Moskwin, który nigdy nie słyszał nawet o królu Kanucie.

- Przyływ ciągle powracał. - Stinnes zarzucił na ramię swoją torbę i kontynuował: - Będę tutaj tylko przeszkadzał. Zejdę na dół i sprawdzę, czy łódź jest zatankowana i gotowa do wypłynięcia. Znasz numer telefonu.

- Owszem, znam - odparł Moskwin. Liczył na pomoc Stinnesa, ale postanowił o nią nie prosić.

Tymczasem na górze Miranda zmywała makijaż, zużywając mnóstwo kremu i przeglądając się uważnie w lustrze.

Harmony, zajęta pakowaniem walizki, powiedziała:

- Co za drań. Usunęłam wszystko z samochodu, tak jak mnie uczono, a on wrzeszczy, że się spóźniłam. Większość tych śmieci należała zresztą do niego. Jest niechlujną świnią. - Wskazała przezroczystą plastikową torbę, do której starannie włożyła wszystko, co znajdowało się w wynajętym samochodzie. Były tam dwie mapy południowej Anglii, kawałki papieru, popsuty długopis, stara szminka, trzy jednopensowe monety i szkiełko do zegarka. - Czy któryś z tych śmieci należy do ciebie, kochanie? - spytała.

- Nie - odparła Miranda.

- Te firmy wynajmujące samochody nigdy w nich porządnie nie sprzątają; pospiesznie wysypują popielniczki i to wszystko. - Opróżniła torbę, by schować do niej swoje kosmetyki.

- Jestem już prawie gotowa - powiedziała Miranda. - Myślę, że zostanę na dzień lub dwa w Anglii. Spotkam się z tobą w Rzymie pojutrze. Czy nie masz nic przeciwko temu?

- Jak chcesz, kochanie - odparła Harmony Jones. - Ja mam w Rzymie mnóstwo spraw do załatwienia.

Stinnes spał tej nocy na łodzi. Były na niej trzy podwójne kabiny, więc rozgościł się w jednej z nich. Uruchomił agregat prądowórczy i czytał do późna *Białe sprzysiężenie*. Był zagorzałym miłośnikiem Sherlocka Holmesa i wytrwale śledził

eskapadę Conan Doyle'a w średniowiecze. Pogoda była dobra, więc rozkoszował się odgłosami i kołysaniem zakotwiczonej łodzi oraz zapachem mokrego drewna i słonej wody.

Następnego dnia Moskwin zatelefonował do niego już o piątej rano. - Przyjź natychmiast - powiedział. Stinnes wybiegł pospiesznie w różowy blask wczesnego świtu i dotarł do domku w ciągu ośmiu minut.

- Co się dzieje? - spytał.
- Bernard Samson jest tutaj - odparł Moskwin. - Przyjechał około północy.

Zauważyła go grupa wspomagająca. Wprowadziliśmy go do domu bez żadnych trudności.

- Gdzie jest teraz?
- Na górze. Nie martw się, jest związany. Zwolniłem grupę wspomagającą.

Może popełniłem błąd.

- Do czego jestem ci potrzebny?
- Nie odpowiada na moje pytania - wyznał Moskwin. - Myślę, że trzeba

zmienić przesłuchującego.

- O co go pytałeś?

Moskwin z bezsilną wściekłością uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Wiem, że ta Fiona Samson jest brytyjskim szpiegiem. Wiem o tym i wycisnę to z jej męża, choćbym miał skonać.

- Ach, więc taka jest linia przesłuchania - powiedział Stinnes. Wydawało mu się to przejawem głupiej obsesji człowieka, który opowiadał mu wielokrotnie, jak bardzo nie znosi słuchać rozkazów kobiety.

Moskwin nie mógł nie wyczuć w jego głosie ironii, ale przyzwyczał się już do protekcyjnego tonu, którym Stinnes zawsze do niego przemawiał. - Idź na górę i porozmawiaj z nim. Zagraj rolę łagodnego baranka.

Kiedy Stinnes ruszył po schodach na piętro, Moskwin poszedł za nim. Nie był w stanie siedzieć na dole i czekać na rezultaty; musiał widzieć, co się dzieje. Stanął w drzwiach tuż za plecami Stinnesa.

Pokój był bardzo mały i znaczną część przestrzeni zajmowało niewielkie łóżko. Stało ono pod ścianą i było wyłożone poduszkami, tak że mogło pełnić rolę sofy. W rogu znajdowała się toaletka z dużym lustrem, w którym odbijała się twarz więźnia.

- Wyjmę ten knebel i chcę, żebyś... - zaczął Stinnes i nagle urwał. Odwrócił się do Moskwin, a potem znów spojrzął na więźnia. - To nie jest Bernard Samson - oznajmił.

Przywiązany do krzesła mężczyzna nazywał się Julian MacKenzie. Był praktykantem zatrudnionym w Departamencie. Bernard Samson polecił mu odnaleźć czarnoskórą dziewczynę. Zrobił to zbyt gorliwie. Był całkowicie przytomny, a - na widok wymachującego pistoletem Moskwin w jego oczach odbił się lęk.

- Co to znaczy? - spytał z gniewem Moskwin. Chwycił Stinnesa za ramię i wyciągnął go na wąski korytarz. Potem zamknął drzwi. Zrobiło się ciemno. Jedyne przebłysk światła dochodził z dołu.

- To znaczy, że to nie jest Bernard Samson - powiedział spokojnie Stinnes.
- Więc kto to jest? - spytał Moskwin, potrząsając nim brutalnie.
- Skąd, do cholery, mogę wiedzieć, kto to jest?
- Czy jesteś pewien?
- Oczywiście, że jestem. Samson jest o dobre piętnaście lat starszy od tego dzieciaka. Znam go dobrze. Oczywiście, że jestem pewien.

- Poczekaj na dole. Dowiem się, kto to jest.

Schodząc na dół, Stinnes słyszał wrzaski Moskwin i odpowiedzi młodego człowieka, zbyt ciche, by mógł rozróżnić poszczególne słowa. Usiadł na krześle i wyciągnął z kieszeni *Białe sprzysiężenie*, ale stwierdził, że czyta w kółko ten sam akapit. Nagle usłyszał głośny huk magnum. Krzyk. Następne strzały. Stinnes zerwał się na nogi, przerażony, że hałas obudzi wszystkich mieszkańców okolicy. Pod wpływem pierwszego odruchu chciał opuścić dom, ale jako profesjonalista czekał na swego współpracownika.

Moskwin schodził na dół tak wolno, że Stinnes zaczął się zastanawiać nad tym, czy sam nie wpakował sobie kuli lub nie został trafiony rykoszetem. W końcu Moskwin wszedł do pokoju. Był blady jak papier, nawet z warg odpłynęła cała krew. Rzucił rewolwer na komodę i wyciągnął rękę, by oprzeć się o krawędź kuchennego stołu. Potem pochylił się i zwymiotował do zlewu.

Stinnes obserwował go, ale trzymał się z daleka. Moskwin odsunął broń nieco dalej i znów zaczął wymiotować, miotany gwałtownymi skurczami żołądka. W końcu powoli i starannie wytarł twarz ręcznikiem i odkręcił kran nad zlewem.

- Mamy to już z głowy - rzekł, siląc się na buńczuczność.

- Czy jesteś pewien, że on nie żyje? - spytał Stinnes. Bez pośpiechu wyjrzał przez oba okna. Nic nie wskazywało na to, by odgłosy strzałów wzbudziły zainteresowanie któregoś z mieszkańców sąsiednich domków.

- Jestem pewien.

- Więc wynośmy się stąd - powiedział Stinnes. - Czy jesteś w stanie dojść do łodzi?

- Przestań się głupio śmiać, do cholery - warknął Moskwin. - Ja się będę śmiał ostatni; popamiętasz moje słowa.

Ale Stinnes wcale się nie uśmiechał; zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w stanie znosić głupie numery tego prymitywnego gbura.

Tego wieczora, w Berlinie, Fiona wybrała się do Opery Państwowej. Niezastąpiony Hubert Renn zawsze potrafił zdobyć bilet do opery lub na koncert, nawet jeśli prosiła go o to w ostatniej chwili. Tego dnia zorientowała się nagle, że ma ostatnią szansę obejrzeć głośną awangardową inscenizację *Der Freischutz*.

Siedziała oczarowana. Była to jedna z jej ulubionych oper. Niezwykle zestawienie prostych melodii ludowych z subtelnym romantyzmem pozwoliło jej na jakiś czas zapomnieć o pracy, a nawet - na krótką chwilę - o troskach i samotności.

Nadeszła przerwa. Nadal pochłonięta muzyką nie mogła znieść panującego przy barze tłoku, tym bardziej że cisnęli się przy nim tego wieczora liczni przybysze z Berlina Zachodniego, których łatwo było poznać po biżuterii i krzykliwej odzieży. Odwróciła się więc i zaczęła krążyć po hallu, oglądając wystawę „Elektryczność dla jutra” - wykonane z samolotu fotografie enerdowskich elektrowni. Patrzyła właśnie na kolorowe zdjęcie wielkiego betonowego budynku, odbitego w jeziorze, kiedy ktoś za jej plecami się odezwał:

- A więc jesteś, kochanie! Co powiedziałaś na kieliszek białego wina?

Odwróciła się ze zdumieniem; stał przed nią Harry Kennedy, z dwoma kieliszkami wina w rękach i z uśmiechem satysfakcji na twarzy.

- Wszystko w gruncie rzeczy zaczyna się dopiero w czasie antraktu, prawda?

Radość nie była jej pierwszym uczuciem. Od dawna bała się spotkania z jakimś starym przyjacielem, znajomym czy kolegą, który rozpozna ją na ulicy. Teraz doszło do takiego spotkania, a ona poczuła się tak, jakby miała zaraz zemdleć. Stała jak wryta, słysząc gwałtowne bicie własnego serca. Czuła, że krew uderza jej do twarzy i opuściła głowę, by nie dostrzegł jej rumieńców.

Kennedy zauważył wpływ, jaki wywarło na niej jego pojawienie się. - Czy

dobrze się czujesz? Przepraszam... Nie powinienem był...

- Wszystko w porządku - powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że może być obserwowana. W takim wypadku jej reakcja zostałaby dostrzeżona i odnotowana.

Harry mówił szybko, żeby nie dopuścić jej do głosu:

- Wiedziałem, że nie zrezygnujesz z *Der Freischutz*. Po prostu wiedziałem.

Mój Boże, co za scenografia! I te drzewa! Ale jakież on ma wspaniały głos!

- Co ty tu robisz, Harry? - spytała spokojnie i wyraźnie.
- Szukam ciebie, kochanie. - Podał jej kieliszek wina. - Przepraszam, że tak

cię zaskoczyłem.

- Nie rozumiem...
- Ja tu mieszkam - powiedział.
- We wschodniej części? - Wypiła trochę wina, ale nie poczuła jego smaku.

Nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Nie była pewna, czy powinna z nim rozmawiać, czy też przerwać i odejść.

• Przyjechałem tu na rok. Pewien profesor ze szpitala Charite był w Londynie i odwiedził klinikę, żeby obejrzyć wyniki naszych prac. Zaproponowali mi pracę na rok. Nie płacą mi, ale załatwiłem sobie niewielkie stypendium... Mogę tu za nie przeżyć dwanaście miesięcy. Chętnie uciekłem od tych londyńskich hochsztaplerów i podejrzewam, że klinika bez żalu się mnie pozbyła.

• Tutaj? W Berlinie Wschodnim? - Wypiła jeszcze trochę wina. Potrzebny jej był drink i przy okazji mogła mu się przyjrzeć. Wyglądał młodziej niż człowiek, którego zapamiętała; falujące włosy falowały jeszcze bardziej, a pobrużdżona twarz była jeszcze bardziej pobrużdżona, bo malował się na niej niepokój wywołany jej reakcją.

• Tak. W Charite. I wiedziałem, że nie darujesz sobie *Der Freischutz*. Byłem na wszystkich przedstawieniach.

- Na wszystkich przedstawieniach?
- Powiedziałaś kiedyś, że to twoja ulubiona opera.
- Chyba to prawda - przyznała. Nie była pewna. Nie była już niczego pewna.
- Czy jesteś na mnie wściekła? - spytał. W czarnym ubraniu i czarnej

muszce wyglądał jak zachodni berlińczyk. Ten ostrożny i onieśmielony Harry Kennedy różnił się od człowieka, którego widziała ostatnio w Londynie. Ale spod nieśmiałości wyzierała duma i radość; był zachwycony, że udało mu się ją znaleźć.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła.

Jej powściągliwość wzbudziła nagle jego niepokój. - Czy jest ktoś inny...?

- Tylko mój mąż, w Londynie.

Zdawało się, że ktoś zdjął mu ciężar z serca.

- Kiedy zrozumiałem, że go porzuciłaś, wiedziałem, że muszę cię odnaleźć.

Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem. Wiesz o tym. - To nie była informacja; raczej oświadczyły.

- Tu jest inaczej niż w Londynie - powiedziała niezręcznie, próbując przyzwyczaić się do myśli o jego obecności.

- Powiedz, że mnie kochasz. - Zadał sobie tyle trudu; oczekiwał od niej czegoś więcej.

- Przestań. To wszystko nie jest takie proste, Harry. Ja pracuję dla tutejszego rządu.

- Co mnie obchodzi, dla kogo pracujesz?

Dlaczego nie chciał jej zrozumieć? - Ja uciekłam, Harry.

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś. Jesteśmy znów razem; tylko to się dla mnie liczy.

- Spróbuj zrozumieć, co z tego wynika. Uspokoił się na tyle, by spojrzeć na nią i spytać:

- Co ty usiłujesz mi powiedzieć, dziecko?

- Jeśli będziesz się ze mną regularnie spotykał, twoja kariera zostanie zrujnowana. Nie będziesz mógł wrócić do Londynu ani podjąć na nowo życia w tym samym miejscu, w którym je zostawiłeś.

- Nic mnie to nie obchodzi, dopóki mam ciebie.

- Harry, ty wcale mnie nie masz.

- Kocham cię... Zrobię wszystko, mogę mieszkać gdziekolwiek, mogę czekać w nieskończoność. Jestem gotów na wszystko.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, ale wiedziała, że jej uśmiech nie jest przekonujący. Czowała, że nadchodzi jeden z jej ataków bólu głowy i miała ochotę głośno się rozplakać.

- Nie mogę wziąć za to odpowiedzialności, Harry. Wszystko się zmieniło... ja też.

- Mówiłaś, że mnie kochasz - powiedział pełnym wyrzutu głosem, jakim mówią tylko kochankowie.

Marzyła, żeby sobie poszedł.

- Być może tak było. Być może nadal cię Kocham, nie wiem -

mówiła bardzo wolno. - Wiem tylko tyle, że w tej chwili nie mogę sobie pozwolić na wszystkie komplikacje, jakie pociągałby za sobą taki związek.

- Więc nic mi nie obiecuj. Ja o nic nie proszę. Poczekam. Ale nie żądaj, żebym przestał ci mówić, że cię Kocham. Tego zakazu nie mógłbym znieść.

Rozległ się dzwonek. Stojący w hallu tłum natychmiast, z niemiecką subordynacją, ruszył w kierunku sali.

- Nie mogę wrócić na salę - powiedziała Fiona. - Kręci mi się w głowie. Muszę pomyśleć.

- Więc chodźmy do „Palast” i zjedźmy kolację.

- Nie zobaczysz opery.

- Widziałem ją dziewięć razy - odparł ponuro.

Uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek. - Czy podadzą nam kolację tak późno?

Po tej stronie miasta wszystko kończy się bardzo wcześnie.

- Zawsze ta praktyczna Fiona. Owszem, podadzą nam kolację, choć jest tak późno. Byłem tam przedwczoraj wieczorem. Daj mi swój numer, to odbiorę twój płaszcz.

Ze stojącego przy Unter den Linden gmachu Opery Państwowej nie jest daleko do Palast Hotel i pomimo unoszącego się zawsze nad Berlinem zapachu węgla brunatnego, spacer dobrze jej zrobił. Zanim zasiedli w restauracji, odzyskała po części swój zwykły spokój. Denerwowanie się nie leżało w jej naturze, nawet w obliczu takich niespodzianek. Ale spotkanie z Harrym nie było tylko niespodzianką; unaocznilo również Fionie, jak kruche jest jej panowanie nad sobą. Wpłynęło też na jej samopoczucie. Jej serce nadal biło w przyspieszonym tempie.

Obserwowała go, kiedy czytał kartę dań. Czy była w nim zakochana? Czy to tłumaczyło przeżyty przez nią szok? A może chodziło o coś poważniejszego, może stawała się niezrównoważona?

Jej uczucie wobec Harry'ego różniło się od stabilnej, trwałej miłości, jaką darzyła swój dom, dzieci, męża. Nieobecność Harry'ego w jej życiu nie była źródłem takich cierpień, na jakie narażało ją rozstanie z rodziną. To uczucie, jakim darzyła Harry'ego, było czymś zupełnie innym, oddzielnym i nie kolidującym z miłością dla

rodziny. Ale mimo woli pamiętała, że jej dawna miłość do niego była bardzo intensywna. Pod względem fizycznym przewyższała wszystko, co przeżyła z Bernardem. Siedząc naprzeciwko niego przy stole, pamiętała dobrze, że jeszcze niedawno podniecało ją każde jego spojrzenie. - Słucham? - powiedziała z roztargnieniem, zdawszy sobie sprawę, że oczekuje od niej odpowiedzi.

- Piłem je przedwczoraj. Było zupełnie niezłe.
- Przepraszam. Myślałam o czymś innym.
- *Kabinett* jest zawsze najbardziej wytrawne, tak przynajmniej wynika z

moich dotychczasowych doświadczeń.

- Wspaniale - zgodziła się niepewnie i poczuła ulgę, kiedy wezwał kelnera i zamówił butelkę jakiegoś wina, które odkrył i polubił. Mówił dość płynnie po niemiecku i nawet jego akcent nie był dla jej uszu zbyt przykry. Rozejrzała się po restauracji, by sprawdzić, czy nie ma tu nikogo znajomego. W sali było pełno cudzoziemców; tylko oni dysponowali zagraniczną walutą, którą trzeba było tu płacić.

- Dostaję pensję w zachodniej walucie. Jadam tutaj stale - powiedział Harry.

Zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem emisariuszem Londyńskiej Centrali. Nie. Nie był człowiekiem, któremu Bret lub Sir Henry powierzyliby tak trudne zadanie. A jednak kochanek byłby z punktu widzenia Londynu idealnym pośrednikiem. Jeśli nim jest, niebawem odkryje karty; tak się to zwykle odbywało. Postanowiła poczekać na rozwój wydarzeń i grać tymczasem rolę wzorowej komunistki.

- Więc co mi polecasz? - spytała.

Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. Był tak szczęśliwy, że jego radość zaczęła się jej udzielać. - Ja zamawiam zawsze stek, pstrąga lub sznycel.

- A więc pstrąg; bez żadnej zakąski. - I nagle poraziła ją jeszcze inna myśl: czy mógł być agentem Moskwy? Wydało jej się to bardzo mało prawdopodobne. Już podczas pierwszego spotkania w Londynie wyznał jej, że nie ma zezwolenia na pracę. Gdyby zatelefonowała do Wydziału Imigracji, zostałby szybko zdemaskowany. Ale skupiwszy na chwilę uwagę, przypomniała sobie, że właśnie jego niejasny status wobec władz powstrzymał ją od poddania go oficjalnemu dochodzeniu. To i obawa, że Bernard zacznie zadawać zbyt wiele pytań. Przeżyła ponownie w myślach to pierwsze spotkanie na stacji kolejowej, krok po kroku, słowo po słowie. Jego

„bratanica” zagadnęła Fionę, a potem zniknęła. Mogła być podstawiona. W całym spotkaniu nie było ani jednego elementu, którego nie można by z góry zaaranżować.

- Fiona - powiedział Harry.
- Słucham?
- Kocham cię desperacko. - Naprawdę ją kochał; nikt nie potrafiłby udawać

uwielbienia, które widziała w jego oczach. Ale - mówiła neurotyczna, podejrzliwa i logiczna strona jej natury - to, że ją kocha, nie oznacza wcale, że nie mógł być podstawiony przez Moskwę. - Wiem o tobie wszystko - rzekł nagle, a ona znów poczuła przyływ lęku. - Tylko nie wiem, dlaczego lubisz *Der Freischutz*. Znam już na pamięć każdą nutę. Jestem w stanie znieść Schoenberga i Hindemitha, ale czy w całej tej cholernej operze możesz mi znaleźć choćby dziesięć minut prawdziwej, melodyjnej muzyki?

- Niemcy ją lubią, bo mówi o zjednoczonych Niemczech.
- Czy tego chcesz: zjednoczonych Niemiec?

W umyśle Fiony zaczęły migotać czerwone, ostrzegawcze światła. Usiłowała sobie przypomnieć, jak brzmi oficjalna doktryna na temat zjednoczenia.

- Tylko na odpowiednich warunkach - odparła ostrożnie. - A ty?
- Kto powiedział, że bardzo lubi Niemcy, więc jest zadowolony, iż istnieją dwa państwa o tej nazwie?
- Nie jestem pewna.

Pochylił się ku niej i szepnął: - Zapomnij o tym, co powiedziałem. Naprawdę przepadam za *Der Freischutz*; kocham każdą nutę, każdy najdrobniejszy fragment.

16

Londyn, październik 1983.

Była druga nad ranem. Bret spędzał tę noc w swoim domu nad Tamizą. Siedział na łóżku i czytał końcowe strony *Nany Zoli*. Pod wpływem Sylwestra Bernsteina odkrył uroki powieści. Sylvy pożyczył mu najpierw *Germinal*, a potem Bret, zawsze podatny na nagłe i gwałtowne pasje, postanowił przeczytać wszystkie tomy tego dwudziestojednotomowego cyklu. Zadzwoił telefon. Bret zwlekał przez chwilę, ale kiedy telefon uparcie dzwonił dalej, sięgnął po słuchawkę. - Halo? - Zawsze mówił: halo; nie lubił się przedstawiać.

- Bret, drogi chłopcze. Mam nadzieję, że cię nie budzę.
- Czytam wspaniałą, wzruszającą książkę, Sir Henry.
- To dobrze, że nie przerywam ci jakiegoś ważnego zajęcia - powiedział

pogodnie D-G. - Wiem, że jesteś nocnym Markiem. Tak czy owak obawiam się, że ta sprawa nie mogłaby czekać.

- Rozumiem. - Bret odłożył książkę i zamknął ją z wyraźnym żalem.
- Przed chwilą zadzwonił do mnie oficer łącznikowy Wydziału Specjalnego.

Podobno jakaś młoda kobieta, niewątpliwie Angielka, weszła na posterunek policji w Chichester i oświadczyła, że chce rozmawiać z kimś z naszej branży.

- Ach, tak, rozumiem, sir - mruknął Bret.

• Słyszę, że już zacząłeś ziewać. Owszem, widzieliśmy już sporo takich osób, prawda? Ale ta dama mówi, że chce nam powiedzieć coś, co dotyczy jednego z naszych ludzi, zatrudnionych w Londynie. Wspomniała o jakimś mężczyźnie, porzuconym przez żonę. Co więcej, twierdzi, że widziała niedawno tę żonę w Berlinie. Czy mnie słyszysz, Bret?

• Słyszę doskonale, Sir Henry. Widziała ją? Wie, jak się nazywa? Czy wymieniła jej nazwisko?

• Podobno tak, ale zanim tego typu sprawy dotrą do mnie, zostają zwykle zagmatwane. Mówiła, że to bardzo pilne, że ktoś ma zostać zabity. Owszem, podała nazwisko. Wydział Specjalny uznał, że nie zaszkodzi sprawdzić, czy to nazwisko coś nam mówi. Nocny oficer dyżurny doszedł do wniosku, że jest to na tyle ważne, żeby mnie obudzić. Myślę, że miał rację.

- Niewątpliwie, sir.
- Inspektor Wydziału Specjalnego przywozi tę damę do Londynu.

Przedstawiła się jako Miranda Keller, z domu Dobbs. Oczywiście, nic nam to nie da; niemieckie książki telefoniczne są pełne Kellerów. Czy byłbyś tak dobry i z nią porozmawiał? Musimy przekonać się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Tak, sir.
- Wydział Specjalny dysponuje biurem pośrednika handlu

nieruchomościami na Kensingtonie. Dom stoi za supermarketem firmy Sainsbury. Jestem pewien, że tam kiedyś byłeś.

- Tak, sir.
- Będą tam za niecałą godzinę.
- Natychmiast się zbieram, sir.
- Naprawdę? Będę ci bardzo wdzięczny. Zjawię się jutro w biurze. Wtedy o tym porozmawiamy.

- Dobrze, sir.
- Oczywiście, może to być fałszywy alarm. Nic ważnego.
- Zjawię się tam jak najszybciej, sir.
- A może nasi starzy znajomi szykują jakiś brzydki kawał. Bądź bardzo ostrożny, Bret.

- Dobrze, sir. Postaram się pospieszyć.
- Tak, oczywiście. Dobranoc, mój drogi. Choć dla ciebie będzie to raczej „dzień dobry”. - D-G zaśmiał się cicho i odłożył słuchawkę. Był w dobrej sytuacji: szedł z powrotem do łóżka.

Pani Miranda Keller była trzydziestosześcioletnią kobietą, a peruka, którą miała na głowie, bynajmniej jej nie odmładzała. Dochodziła czwarta rano, a ona odbyła długą podróż samochodem w ulewnym deszczu, by dotrzeć do tego wielkiego, starego domu w dzielnicy Kensington. Siedziała teraz nieruchomo, opierając głowę o ozdobną poduszkę fotela. W bezlitosnym, niebieskawym świetle wiszącej nad nią i ciągle szumiącej lampy jarzeniowej nie wyglądała najlepiej.

- Jak pani powiedziałem, nikt o takim nazwisku u nas nie pracuje - mówił Bret. Siedział za biurkiem, pijąc zwietrzałą kawę z delikatnej porcelanowej filiżanki, stanowiącej element wyposażenia tej agencji handlu nieruchomościami prowadzonej przez ambitnego młodego człowieka. Na antycznej tacy stała cukiernica i przedziurawiona puszka skondensowanego mleka.

- SAMSON - przeliterowała mu jeszcze raz.
- Tak, wiem, co pani mówiła. Nie zatrudniamy człowieka o takim nazwisku.
- Oni zamierzają go zabić - powiedziała z uporem Miranda. - Czy posłaliście kogoś do tego domku w Bosham?

- O tym nie wolno mi z panią rozmawiać - oznajmił Bret. - Nawet gdybym coś wiedział - dodał pospiesznie.

- No więc, ci ludzie zabijają go, jeśli tam pojedzie. Znam facetów tego rodzaju. - Okna załomotały pod wpływem podmuchu wiatru.

- Mówiła pani, że to Rosjanie?
- Zapisał pan ich nazwiska - odparła. Wzięła do ręki filiżankę, przyjrzała się jej zawartości i odstawiła ją na stół.

- Tak, oczywiście. Mówiła pani, że była tam również jakaś inna kobieta.
- Nic o niej nie wiem.

- Ach, tak. Tak pani powiedziała - mruknął Bret, zaglądając w swoje notatki.

- Moje pismo nie jest bardzo wytworne, pani Keller, ale myślę, że jest wystarczająco czytelne. Chciałbym, żeby przeczytała pani sporządzone przeze mnie notatki. Proszę zacząć od tego miejsca: od rozmowy, którą odbyła pani na londyńskim lotnisku, naśladowując głos tej kobiety, poznanej przez panią w Grunau.

Przeczytała je szybko, kiwnęła głową i chciała mu je oddać. Wiatr huczał w kominie, a elektryczny grzejnik zastępujący palenisko chwiał się z głośnym klekotem. Gęsty deszcz bez przerwy walił w szyby.

Bret nie przyjął z jej ręki pliku kartek. - Proszę się nie spieszyć, pani Keller. Może chce je pani przeczytać drugi raz?

Spojrzała ponownie na notatki.

- O co chodzi? - spytała. - Nie wierzy mi pan?

- Ta konwersacja wydaje mi się okropnie banalna, pani Keller. Czy warto było narażać panią na tyle kłopotów tylko po to, żeby porozmawiała pani z nim o dzieciach i kazała mu się odczepić od tego Stinnesa?

- Chodziło o to, żeby go zdenerwować, żeby poszedł po śladach tej czarnej dziewczyny w nadziei, że znajdzie żonę.

- Taak - powiedział z powątpiewaniem Bret Rensselaer. Wziął kartki z notatkami i postukał nimi o biurko, by je schludnie ułożyć.

Z zewnątrz dobiegł trzask drzwi samochodu i odgłos zapalnego silnika. Jakiś mężczyzna zawołał: - Dobranoc! - A głos kobiecy odpowiedział mu: - Powodzenia! - Był to tego rodzaju dom.

- A poza tym o nic nie prosiłam.
- To właśnie mnie zastanawia - powiedział Bret.
- Nie musi pan silić się na sarkazm.
- Przepraszam, to było nie zamierzone.
- Czy nie mógłby pan zgasić części tych świateł? Od tego blasku boli mnie głowa.
- Ma pani rację. Ja też nienawidzę jarzeniowego światła, ale w tym pokoju mieści się biuro. Wszystkie są podłączone do jednego wyłącznika.
- Nie chcę nic za to, co panu powiedziałam. Naprawdę nic.
- Ale jeśli chcecie, żebym tam wróciła, należy mi się coś w zamian za moje usługi.
- Co chciałaby pani dostać?

- Paszport dla mojego pięcioletniego syna.
- Ach! - jęknął boleśnie Bret, wyobrażając sobie wszystkie spory, które będzie musiał stoczyć, aby uzyskać paszport dla kogoś, komu się on z tytułu prawa nie należy. Ci zawodowi utrudniacze, z jakimi stykał się w Whitehall gotowi byli pracować po godzinach i wymyślać wykręty, umożliwiające im odrzucanie tego rodzaju próśb.

- To nie będzie was nic kosztowało - dodała Miranda.
- Wiem - powiedział Bret ciepłym, serdecznym głosem. - To dość skromne żądanie, pani Keller. Chyba będę w stanie je spełnić.

- Jeśli nie pojedę do Rzymu jutro lub najpóźniej pojutrze, będę musiała się gęsto tłumaczyć.

- Jest pani Brytyjką. Moim zdaniem, pani syn ma prawo do brytyjskiego obywatelstwa.

- Ale ja się urodziłam w Austrii. Mój ojciec przebywał tam na pięcioletnim kontrakcie. Mój syn urodził się w Berlinie - nie mogę mu przekazać obywatelstwa.

- To fatalny zbieg okoliczności - przyznał Bret. - Zrobię, co będę mógł. - Rozchmurzył się, bo nagle przyszło mu do głowy możliwe wyjście. Może wystarczy dać jej fałszywy paszport, nie i mówiąc oczywiście, że jest podrobiony. - Myślę, że wystarczy jakikolwiek zachodni paszport, żeby go stamtąd wydostać; irlandzki, brazylijski, gwatemalski czy paragwajski.

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

- Pod warunkiem, że uzyska potwierdzone urzędowo prawo pobytu w Wielkiej Brytanii. Ale nie chcę jakiegoś lewego paszportu, który będę musiała odnawiać co dwa lub trzy lata, przekupując za każdym razem urzędników ambasady.

Bret wyraził zgodę kiwnięciem głowy. - Czy ma pani odpowiednie fotografie syna?

- Tak. - Wyjęła z torebki trzy paszportowe zdjęcia syna i podała mu je wraz z kartką papieru, zawierającą niezbędne dane personalne.

- A więc zaplanowała pani to wszystko jeszcze przed wyjazdem z Berlina?

- Te rosyjskie świnię są nie do zniesienia - odparła Miranda. - Zawsze noszę przy sobie zdjęcia paszportowe.

Jakże pomysłowo, pomyślał Bret. - To wszystko, co możemy na razie zrobić - oświadczył. - Proszę zostawić resztę mnie. Jak mogę się z panią skontaktować w

Berlinie Wschodnim?

- Potrzebny mi jest paszport - oznajmiła Miranda. - Dopóki nie mam go w ręku, nic dla was nie zrobię.

Bret przyjrzał się jej uważnie. Była inteligentną kobietą. Musiała zdawać sobie sprawę, że wracając na Wschód, oddaje się w jego ręce. Ale nie okazywała tego; należała do ludzi oczekujących od innych uczciwości. Miło było wiedzieć, że tacy ludzie jeszcze istnieją; na tym etapie Bret nie chciał jej wyprowadzać z błędu. - Czy przyjęłaby pani drobną gratyfikację?

- Chcę tylko paszportu dla mojego syna.
- Okay, pani Keller. Zrobię, co będę mógł, żeby go dla pani zdobyć.
- Jestem tego pewna - odparła.
- Jeszcze ostatnia, ale niezwykle ważna sprawa, pani Keller. Ta kobieta,

którą poznała pani w Berlinie, Fiona Samson, jest oficerem KGB. To bardzo inteligentna kobieta. Nie wolno pani jej nie doceniać.

- Chce pan powiedzieć, że ona pracuje dla rosyjskiego wywiadu?
- Właśnie to chcę powiedzieć. To bezwzględna i bardzo niebezpieczna kobieta. W żadnych okolicznościach nie wolno pani z niczego jej się zwierzać.
- Nie, nie zamierzam tego robić.

A więc nie była to kompletna strata czasu, Bret? - D-G składał jedną ze swych rzadkich wizyt w pięknym gabinecie Breta. Usadowił się na czarnej skórzanej kanapie, szarpiąc za guziki i walcząc z chęcią zapalenia papierosa.

- Nie, sir. Było to bardzo pouczające - odparł Bret, który siedział za swym oszklonym biurkiem w białej koszuli i muszce w kropki.

- Czyli był to plan zmierzający do zamordowania Bernarda Samsona?
- Tak wynika z jej opowieści.
- Ale zamiast niego zamordowano tego młodego człowieka?
- Tak, ale ona o tym nie wie. A ja jej, oczywiście, nie powiedziałem.
- Czy Samson zameldował o swoim spotkaniu z tą czarną dziewczyną?
- Nie, sir. Nie złożył takiego meldunku. - Bret uporządkował leżące na

biurku papiery, choć wcale nie było to potrzebne.

• I co jeszcze znaleźliście w tym domku w Bosham? Czy twoi ludzie złożyli ci już raport?

- Nie zrobiłem nic w sprawie domku w Bosham i nie zamierzam nic robić.

Dyrektor Generalny głośno wciągnął powietrze, spojrzął na Breta, zastanowił się, a w końcu powiedział: - Bardzo roztropnie, Bret.

- Cieszę się, że pan to aprobuje, Sir Henry.
- Gdzie jest Samson?
- Samson jest żywy i zdrowy.
- Nie ostrzegłeś go?
- Nie, sir. Wysłałem go w pewnej misji.
- Tak, to było rozsądne. - D-G pociągnął nosem. - A więc oni działali na

podstawie uzyskanej od pani Samson informacji, dotyczącej tego domku w Bosham. Trzeba przyznać, że działali szybko. Hmmm.

- Wyszliśmy z tego bardzo dobrze, sir.
- Wolałbym, żebyś przestał to powtarzać, Bret. Sprawa jeszcze nie jest zakończona. Nie podoba mi się to, że Samson nie zameldował o tym spotkaniu. Czy twoim zdaniem uwierzył, że to naprawdę jego żona siedzi na tylnym siedzeniu tego samochodu?

• Tak, chyba tak. Ale Samson najpierw myśli, a potem działa. Wszyscy byli agenci operacyjni stali się superostrożni; dlatego musieliśmy ich wysłać na emeryturę.

• Zrób, co możesz, żeby pani Samson dowiedziała się o tej mistyfikacji. - Znów pociągnął nosem. - A więc Bernard Samson o niczym nie zameldował. Nie podoba mi się to, Bret.

• Nie, sir, ale nie ma powodów do przypuszczeń, że Samson jest w jakikolwiek sposób nielojalny. Ani że planuje jakieś nielojalne kroki,

- Ta pani Keller... czy ona jest naszą potencjalną agentką?
- Nie, sir. To nie wchodzi w rachubę.
- Więc jak możemy ją wykorzystać?
- Nie bardzo wiem. W każdym razie - na tym etapie.
- Czy masz jej fotografie?

• Owszem, ten lokal na Kensingtonie jest bardzo dobry z tego punktu widzenia. Mam dużo dobrych, wyraźnych fotografii.

Sir Clevemore zaczął bębnić palcami po skórzanej poręczu kanapy. - W sprawie tych punktów kontaktowych, Bret. Kiedy zgodziliśmy się, że pani Samson

powinna ujawnić istnienie tego domku w Bosham, myślałem, że będzie on obserwowany.

Bret oblizał wargi, czując, że otrzymuje upomnienie za coś, co nie leżało w jego kompetencjach. - Chwilowo mam związane ręce... ale kiedy stanie się to bezpieczne, zostaną wszczęte działania dyscyplinarne.

- Mam nadzieję. Na razie chcesz poczekać, dopóki ci ludzie z wydziału administracyjnego nie przeprowadzą rutynowej kontroli domku w Bosham i nie znajdą ciała?

- Zgadza się, sir.

- Dobrze. - D-G zademonstrował swój zachęcający, choć wyprany z humoru uśmiech. - A teraz ten Stinnes. Silas stale mnie o niego dręczy. Twierdzi, że musimy kuć żelazo póki gorące.

- Spodziewałem się, że zechce pan o tym ze mną rozmawiać, sir - powiedział Bret, sięgając do szafki z dokumentami. Wyjął czerwoną kartonową teczkę i otworzył ją, by odsłonić plik szarych, prostokątnych wydruków z komputera, których D-G nie lubił czytać. Potem znalazł lśniąca fotografie Stinnesa, formatu pocztówki. Wyciągnął rękę i położył je na szklanym blacie biurka w takim miejscu, żeby D-G mógł je obejrzeć. Ale Sir Henry nie pochylił się, by spojrzeć na nie z bliska.

Fotografie były starannie ułożone i stykały się brzegami. To typowe dla Breta Rensselaera, który tak wierzy w wykresy, slajdy, i tabele - myślał Sir Clevemore - że przyniósł na to spotkanie zdjęcia tego cholernego Rosjanina, jakby ich widok mógł nam ułatwić podjęcie rozsądnej decyzji. - Czy on dał dowody dobrej woli? - spytał głośno.

- Powiedział Samsonowi, że Moskwa złamała ten nowy szyfr dyplomatyczny. Dlatego załatwialiśmy wszystko „przez posłańca”.

Sir Henry dotknął palcem jednej z fotografii tak ostrożnie, jakby mogła ona być skażona zarazkami jakiejś niebezpiecznej choroby. - Czy ty mu wierzysz?

- Rozmawiał pan zapewne z Silasem Gauntem - powiedział Bret, który chciał poznać sytuację, zanim pozwoli sobie na wygłoszenie własnego zdania.

- Silas ma bzika na punkcie tej sprawy. Chciałem usłyszeć bardziej trzeźwy sąd.

Bret nie chciał powiedzieć czegoś, co mogłoby później być cytowane i wykorzystane przeciw niemu. - Jeśli Stinnes i jego oferta przejścia na naszą stronę są

podstępem Moskwy... - zaczął ostrożnie.

D-G dokończył za niego: - ...to nasza reakcja powinna bardzo ucieszyć tych facetów z KGB, prawda?

- Podejmując tego typu decyzje, Sir Henry, staram się ignorować własne poczucie klęski lub sukcesu.
- I zupełnie słusznie.
- Jeśli Stinnes działa na polecenie Moskwy, zapewne dostarczyłby nam jakiś poufny dokument, który chcielibyśmy przekazać naszym placówkom w dosłownym brzmieniu, a w każdym razie w ogólnych zarysach.

- Żeby mogli porównać go z oryginałem i złamać nasz szyfr? Tak, chyba masz rację. Więc uważasz, że działa w dobrej wierze?

- Silas twierdzi, że to nie ma znaczenia. Sądzi, że powinniśmy nad nim popracować, a potem odesłać go do Moskwy. Chodzi o to, żeby uwierzył w to, co chcielibyśmy im podsunąć za jego pośrednictwem. - Bret czekał na reakcję przełożonego, nadal gotów opowiedzieć się przeciw tej koncepcji lub za nią. Widział jednak, że D-G jest nią zachwycony.

D-G zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: - Proszę cię, żebyś na razie nie rozmawiał na ten temat z Silasem.

- Dobrze, Sir Henry.
- I staraj się stopniowo odseparować Stinnesa od Cruyera, Samsona i wszystkich innych. Musisz się tym zająć sam, Bret. Jeden na jednego, ty i Stinnes. Musimy mieć jednego człowieka, który będzie znał zasady tej gry oraz jej wszystkie szczegóły i niuanse. Jedną taką osobą wystarczy i tą osobą musisz być ty.

Bret odłożył wydruki i fotografie do szafki. Sir Clevemore wykonał kilka nerwowych ruchów, oznaczających, że zamierza kończyć to spotkanie.

- Zanim pójdę, Bret... ta sprawa ma jeszcze jeden aspekt...
- Słucham, Sir Henry.
- Czy myślisz, że Bernard Samson zabił kiedykolwiek człowieka? Bret był zaskoczony i przez chwilę nie potrafił tego ukryć. -

Sądzę, że tak, sir. W istocie... owszem, wiem to na pewno. Kilkakrotnie.

- No właśnie. A teraz narażamy go na poważny stres, prawda? Bret kiwnął głową.
- Taki człowiek jak Samson może nie mieć odporności, jaką

w podobnych warunkach wykazałbyś się ty. Może wziąć sprawę we własne ręce.

- Przypuszczam, że jest to możliwe. - Bret był pełen wątpliwości.
- Widziałem się z nim przed kilku dniami. Bardzo źle to znosi.
- Czy chce pan, żebym dał mu urlop albo kilka wolnych dni z powodu złego

stanu zdrowia?

- Oczywiście, że nie; to najgorsza przysługa, jaką mógłbyś biedakowi wyświadczyć. Miałby wtedy czas na to, żeby usiąść i pomyśleć. Nie chcę, żeby on siedział i myślał, Bret.

- Czy może pan wyjaśnić mi, o co...?

- Przypuśćmy, że doszedł do wniosku, iż jego żona zdradziła go i zdradziła swój kraj. Że opuściła dzieci i zrobiła z niego dumia. Czy nie może w takim przypadku zdecydować się na zrobienie jej tego, co zrobił wielu innym?

- Na zabicie jej? Ale chwileczkę, Sir Henry, przecież ona tego wcale nie zrobiła, prawda?

- I to prowadzi nas do innego aspektu tej okropnej sytuacji, w jakiej znalazł się Samson. - D-G dźwignął się z niskiej kanapy. Bret wstał i patrzył, ale postanowił nie spieszyć mu z pomocą. Sir Henry dodał: - Samson zadaje wiele pytań.

Przypuśćmy, że odkryje prawdę. Czy nie uzna wtedy, że zrobiliśmy mu okrutny kawał? I że zrobiliśmy to ze zbrodniczą bezwzględnością? Odkryje, że nie ufaliśmy mu; poczuje się zlekceważony i upokorzony. Jest człowiekiem nauczonego traktować swoich przeciwników w sposób brutalny. Czy nie postanowi mścić się na nas?

- Nie sądzę. Samson jest cywilizowanym człowiekiem. - Bret przeszedł przez gabinet i otworzył drzwi.

- Doprawdy? - spytał D-G pogodnym tonem. - W takim razie nic zostało prawidłowo wyszkolony.

17

Berlin Wschodni, listopad 1983.

Robotnicy przymocowywali do fasady budynku stojącego przy Karl-Liebknecht-Strasse wielki czerwony transparent z napisem „Niech Żyje Nasza Socjalistyczna Ojczyzna!” Poprzedni, który obiecywał pomyślność i pokój, wyblakł

na słońcu i stał się bladoróżowy.

Z gabinetu Fiony Samson widać było tylko krawędź transparentu, ale jego fragment zasłaniał okna i zmniejszał dopływ światła.

- Zawsze chciałem pojechać do Ameryki - powiedział Hubert Renn, biorąc z jej biurka jakieś dokumenty.

- Doprawdy, *Herr Renn*? Dlaczego? - Wypiła łyk herbaty. Nie chciała jej zmarnować, gdyż była to prawdziwa indyjska herbata, a nie pozbawiona smaku sieczka z Gruzji. Zastanawiała się, gdzie Renn ją znalazł, ale nie spytała go o to.

- Z ciekawości, *Frau Direktor*. Jest to kraj sprzeczności.

- Ale panuje tam wyzysk - odparła jak zawsze wierna doktrynie. - Jest to kraj, w którym robotnicy są niewolnikami.

- Ale Amerykanie są tak zagadkowymi ludźmi - powiedział Renn. Zakreślił swoje wieczne pióro i schował je do kieszeni. - Czy wie pani, *Frau Direktor*, że kiedy podczas wojny z Hitlerem Amerykanie zaczęli zrzucać na teren Niemiec tajnych agentów, pierwszymi byli członkowie ISK?

- *Der Internationaler Sozialistischer Kampfbundl* - Nie słyszała o tej organizacji, dopóki Renn nie wspomniał, że należała do niej jego matka. Wtedy znalazła w literaturze informacje na jej temat.

- Tak, ISK, najbardziej radykalna ze wszystkich partii. Dlaczego Amerykanie wybrali właśnie tych ludzi? To tak, jakby nasi moskiewscy przyjaciele wysłali do nas, jako emisariuszy Stalina, rosyjskich białogwardzistów.

Zaśmiała się. Renn też wykrzywił twarz w nieśmiałym uśmiechu. Niegdyś tego rodzaju uwagi, padające z jego ust, sugerowałyby jej, że jest zwolennikiem USA, ale teraz знаła go już o wiele lepiej. Jeśli z jego komentarzy można było wydedukować cokolwiek na temat jego przekonań, to pobrzmiewał w nich nie tyle zachwyt nad USA, ile krytycyzm wobec Rosji. Renn był wiernym zwolennikiem Marksa i jego teorii. Jego zdaniem Marks, niezrównany prorok, będący źródłem wszelkiej prawdziwej mądrości, był niemieckim mędrce. Jeśli realny socjalizm posiadał jakieś braki czy niedoskonałości - a Renn nigdy tego nie przyznawał - było to spowodowane błędami Rosjan - Lenina i Stalina.

Ale Fiona nauczyła się znosić ślepe przywiązanie Renn'a do marksistowskiego socjalizmu, a ich codzienne kontakty otworzyły przed nią świat, którego istnienia nigdy dotąd nie podejrzewała.

Na przykład listy, które nadchodziły regularnie od dwudziestodwuletniej córki Renna, Lizy, dumy swego ojca. Liza łatwo nauczyła się rosyjskiego i rozpoczęła studia doktoranckie z biologii morza na jednym z dostępnych dla kobiet wydziałów uniwersytetu w Irkucku, niedaleko jeziora Bajkał. To najgłębsze jezioro świata zawiera więcej słodkiej wody niż wszystkie jeziora północnoamerykańskie razem wzięte. W rejonie tym żyje flora i fauna, nie spotykane nigdzie indziej. A mimo to, dopóki Renn nie pokazał jej listu od córki, nie miała nawet pojęcia, gdzie leży to jezioro! Ilu jeszcze rzeczy miała się dowiedzieć?

- Zwierzę pani pewien sekret - oznajmił Renn, kiedy zwróciła mu pełen plotek list od córki.
- O co chodzi, *Hen Renn*?
- Ma pani dostać nagrodę, *Frau Direktor*.
- Nagrodę? Nic o tym nie słyszałam.
- Nie zdecydowano jeszcze, jaka to będzie nagroda, ale heroiczne lata, które spędziła pani w Anglii, działając na rzecz rewolucji, zostaną nagrodzone. Moskwa wyraziła już zgodę i niewykluczone, że dostanie pani również medal od władz NRD.
- Jestem wzruszona, *Herr Renn*.
- Dawno się to pani należało, *Frau Direktor*.

Renn był zaskoczony, że Fiona tak łatwo zaadaptowała się do pracy w Berlinie. Nie zdawał sobie sprawy, w jak wielkim stopniu jej angielskie wychowanie przygotowało ją do życia w komunizmie. Szkoła z internatem bardzo szybko nauczyła ją ukrywania wszelkich

ludzkich uczuć, takich jak radość, rozczarowanie, duma, miłość czy wstyd. Jej apodyktyczny ojciec demonstrował sztukę dostosowywania się do okoliczności oraz wartość panowania nad sobą. Żyjąc wśród przedstawicieli angielskiej klasy średniej, uodporniła się na okrutne aluzje, mgliste pytania i upokarzającą obojętność, więc była przygotowana na czekające ją w Berlinie niebezpieczeństwa. A Renn nie wiedział oczywiście o jej atakach depresji i tęsknocie za dziećmi, o wielogodzinnych nawrotach samobójczej rozpacz i poczucia samotności.

Mając włosy gładko zaczesane do tyłu, skromny makijaż i lekki berliński akcent, którym posługiwała się teraz w codziennych rozmowach, stała się pełnoprawnym członkiem zespołu, złożonego z pracowników KGB i Stasi. Jej biuro nie mieściło się w głównym budynku przy Normannenstrasse, w dzielnicy Berlin-Lichtenberg. Jak słusznie podkreślał Renn, nie musiała dzięki temu przeciskać się po zakończeniu pracy wraz z tłumem innych zatrudnionych w budynku funkcjonariuszy Stasi na peron stacji kolejki podziemnej przy Magdalenstrasse i wyczekiwać na pociąg. Praca na Karl-Liebknecht-Strasse miała wiele dobrych stron. Ulica ta leżała w śródmieściu, w pobliżu barów, sklepów i teatrów, a poza tym przylegała do Unter den Linden. Stary, sprytny Renn chciał powiedzieć, że ich siedziba mieści się w pobliżu

innych urzędów rządowych, do których mógł docierać piechotą, i niezbyt daleko od Alexanderplatz, skąd jeździł kolejką do domu.

- Zamówiłem samochód na czternastą trzydzieści - oznajmił Renn. Przerwał, by spojrzeć z podziwem na kupioną właśnie przez Fionę pelisę. Nie chcąc prowokować do zbyt wielu dyskusji na temat jej finansów, zastanawiała się długo nad jej wyborem. Renn rozwiązał ten problem, uzyskując dla niej zezwolenie na zakup za wschodniemieckie marki jednego z eleganckich płaszczy, sprzedawanych w zasadzie tylko gościom z zagranicy. - Ma pani o piętnastej spotkanie w klinice chorób nerwowych. Powiem kierowcy, jak ma tam dojechać. Klinika jest w Panków, niedaleko wylotu autostrady. W tym labiryncie małych uliczek łatwo można zabłądzić.

- Dziękuję, *Herr Renn*. Czy mamy jakiś porządek obrad?

Renn spojrzał na nią z wyrazem twarzy, którego nie potrafiła odczytać. - Nie ma żadnego porządku obrad, *Frau Direktor*. To wizyta zapoznawcza. Ma pani spotkać się z doktorem Wieczorkiem.

- Czy on nie może przyjechać tutaj?

Renn zaczął przewracać jakieś papiery, które leżały na szafce z aktami. - Wizyta w klinice należy do przyjętych zwyczajów - odezwał się oficjalnym tonem, nie odwracając głowy.

Chciała powiedzieć mu, iż wydaje jej się to dość tajemnicze, i skwitować sprawę jakimś żartem, ale przekonała się już, że tego typu żarty nie są najlepiej przyjmowane na Wschodzie. Spytała więc:

- Czy mam wziąć ze sobą jakieś akta albo dokumenty?
- Tylko notatnik, *Frau Direktor*.
- Czy będzie pan robił notatki podczas naszej rozmowy? - Była zaskoczona takim obrotem sprawy.
- Nie jestem upoważniony do uczestnictwa w spotkaniach z doktorem

Wieczorkiem.

Spojrzała na niego, ale on nie odwrócił głowy, więc nie mogła popatrzeć mu w oczy. - W takim razie - powiedziała - chyba zjem wcześniej obiad. Nawiasem mówiąc, *Herr Renn*...

- Słucham, *Frau Direktor*!
- Jest tu pewien lekarz, Henry Kennedy... Zapiszę panu jego imię i nazwisko. - Podała mu kartkę papieru, a on przyjrzał się jej uważnie, jakby

podejrzewał, że odkryje w nazwisku jakieś ukryte znaczenie. - Przyjechał z Londynu; pracuje w Charite na rocznym kontrakcie...

- Słucham, *Frau Direktor!*
- Skoro przyjechał tu na rok, musiał zostać sprawdzony, prawda?
- Owszem, *Frau Direktor.*

Chciała, żeby jej następne zdanie zabrzmiało jak najbardziej naturalnie. - Czy może pan udostępnić mi jego akta?

• Nie ma ich w tym budynku, *Frau Direktor.* - Spojrzała na niego. - Ale mogę je odszukać.

• W gruncie rzeczy nie potrzebuję tych akt ani nawet ich kopii.

• Chce pani tylko upewnić się, że nie ma żadnych komplikacji - odpowiedział jej Renn.

• Dokładnie, *Herr Renn.* Jest to ktoś, z kim zetknęłam się na gruncie towarzyskim. Będę musiała widywać go od czasu do czasu.

- Wszystko jest jasne, *Frau Direktor.*

Panków jest od dawna jedną z najlepszych dzielnic mieszkalnych centralnego Berlina. Do tej dzielnicy wytwornie ubrani obywatele NRD przyjeżdżają na wieczorne przyjęcia importowanymi samochodami. A niektórzy jej mieszkańcy - jak odkryła ze zdumieniem Fiona - chlubią się posiadaniem pomocy domowej.

Ale klinika nie leżała w najbardziej reprezentacyjnej części dzielnicy Berlin-Pankow. Zajmowała trzypiętrowy budynek, którego fasadę zdobił sztuczny marmur. Jego posępny, neorenesansowy styl, monumentalne proporcje i widoczne na murach ślady od kul sugerowały, że jest on jednym z nielicznych ocalałych przykładów berlińskiej architektury z epoki Trzeciej Rzeszy.

Kierowca znalazł klinikę bez żadnych trudności. Budynek otoczony był murem z wysoką bramą, którą otwarto, by wpuścić samochód Fiony. Ozdobne drzwi wejściowe znajdowały się u szczytu szerokich kamiennych schodów, pomiędzy dwiema płaskorzeźbami imitującymi kolumny.

Hall budynku rozjaśniało łagodne, szarawe światło, wpadające przez rząd okien umieszczonych we frontowej ścianie. Podłogę zdobiła wymyślna mozaika, przedstawiająca rzymskie dziewczęta z bukietami kwiatów. Po obu stronach widać było rzędy zamkniętych drzwi. Nazwisko doktora Wieczorka wypisane było na drewnianej deseczce i umieszczone - obok nazwisk innych lekarzy, pełniących tego dnia dyżur - na dużej tablicy, która wisiała na ścianie, za biurkiem recepcjonisty.

• Słucham? - Recepcjonista był młodym człowiekiem o czarnych, obficie wybrylantynowanych włosach. Miał na sobie szarą lnianą marynarkę, białą koszulę i czarny krawat - rodzaj uniformu. Zapisywał coś w dużym zeszycie i nie podniósł na nią wzroku.

- Jestem doktor Samson - powiedziała Fiona. Poznawszy głęboki szacunek, jaki okazywali Niemcy wszelkiego rodzaju doktoratom, zaczęła posługiwać się swym tytułem naukowym.

- Czego pani sobie życzy? - Młody człowiek nadal nie podnosił wzroku.

- Proszę wstać, kiedy pan ze mną rozmawia! - zażądała Fiona. Nie podniosła głosu, ale jej ton przypomniawszy recepcjonistę, że tego dnia miał odwiedzić klinikę funkcjonariusz Stasi.

Zerwał się jak oparzony z krzesła i stuknął obcasami. - Tak jest, *Frau* doktor.

- Proszę mnie zaprowadzić do doktora Wieczorka.

- Doktor Wieczorek... *Hen* dok... dok... dok... - jękał się zaczerwieniony z podniecenia recepcjonista.

- Natychmiast. Jestem tutaj w sprawie państwowej wagi.

- Natychmiast, *Frau* doktor. Tak, natychmiast.

Doktor Wieczorek był eleganckim, czterdziestoletnim specjalistą. Spędził pewien czas w Instytucie Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego w Moskwie i w znanym szpitalu psychiatrycznym, stanowiącym część więzienia w Czerniakowsku. Miał siwiejące na skroniach, falujące włosy i sposób bycia sugerujący głęboką wiedzę medyczną. Pod białą kurtką nosił wytworną koszulę i jedwabny krawat. Jego stanowczy, ale dobrotliwy głos natychmiast złagodził jej napięcie. - Kawa?

- Nie, dziękuję - powiedziała Fiona. Siedzieli w skromnym gabinecie, któremu ktoś usiłował nadać bardziej zamieszkały wygląd za pomocą wschodniego dywanu i antycznego, wybijającego godziny zegara.

- Herbata? Herbata z mlekiem? - Uśmiechnął się. - To jedyna rzecz, jaką zapamiętałam na temat Brytyjczyków z czasów dzieciństwa: że psuli herbatę, wlewając do niej mleko. Nie? No dobrze, więc zacznijmy tę „wizytę zapoznawczą”. Nie ma w tym budynku wiele do oglądania. Obecnie jest tu dwudziestu trzech pacjentów; mam nadzieję odesłać do domu jednego z nich już za miesiąc lub dwa. Niektórzy, obawiam się, nigdy nie opuszczą kliniki, ale mając do czynienia z psychiatrią kliniczną bardzo rzadko mówię, że nie ma żadnej nadziei. - Uśmiechnął się do niej. - Czy wie pani, czym się tu zajmujemy?

- Nie - odparła Fiona.

Odwrócił się i zdjął z półki duży szklany słoik, w którym pływał w mętnej formalinie ludzki mózg.

- Proszę spojrzeć na to - powiedział, stawiając słój na biurku. - To mózg człowieka nazywanego „Der Grosse Gustav”, który był artystą kabaretowym w latach trzydziestych. Każdy siedzący na widowni mógł spytać go, na przykład, kto walczył w roku 1933 z Maxem Schmelingiem, a on odpowiadał natychmiast, że był to Max Baer, który wygrał przez techniczny nokaut w dziesiątej rundzie i że mecz odbywał się w Nowym Jorku.

- To imponujące - przyznała Fiona.

- Ja też interesuję się boksem - wyjaśnił jej Wieczorek, stukając w słój. - Ale „Wielki Gustav” umiał odpowiedzieć na każde pytanie; jego mózg przypominał encyklopedię.

- Dlaczego jest tutaj?

- W Związku Radzieckim pozoątała nieliczna, ale wpływowa grupa lekarzy, którzy uważają, że tnąc na plasterki ludzki mózg można ujawnić pewne tajemnice natury. Mózg Lenina został pocięty i zbadany pod mikroskopem. Mózg Stalina również. I mózgi wielu mniej znanych ludzi, którzy żyli przedtem i potem.

- I co znaleźli?

- Okazuje się, że jest to tajemnica państwowa.

- Chce pan powiedzieć, że nie znaleźli nic?

- Nie powiedziałem tego, prawda? - Znów postukał w słój. - Ale ocaliłem Gustawa od tego poniżenia. Jego mózg pozostał nienaruszony.

- Skąd pan go wziął?

- Przywieziono go ze szpitala Charite pod koniec wojny. Wszystkie szpitale miały jedną salę pełną tego rodzaju eksponatów. Kiedy żołnierze Armii Czerwonej weszli do szpitala Charite podczas walk toczonych w 1945 roku, znaleźli tam generałów i innych dygnitarzy, którzy zostali powieszani za próbę zamachu na Hitlera. Ich ciała były przechowywane w chłodniach kostnicy. Zostały przysłane z więzienia Plötzensee, ale nikt nie powiedział lekarzom, co mają z nimi zrobić. Było tam również medyczne muzeum, w którym przechowywano inne eksponaty, ale dowództwu Armii Czerwonej nie podobało się to, więc wysłano wszystko do innych instytucji. My dostaliśmy mózg Gustawa. - Potrząsnął słojem w taki sposób, że mózg poruszył się. - Dystrybucja tych eksponatów stała się źródłem głupich plotek. Mówiono, że serce Ernsta Rohma zostało wysłane do szpitala uniwersyteckiego w Lipsku i że mieściło się w probówce. - Odstawił słój na półkę. - Proszę mi wybaczyć;

lekarze mają inklinacje do makabrycznego poczucia humoru.

- Jaki macie współczynnik udanych kuracji, panie doktorze?
- Tu przyjeżdżają tak zwane beznadziejne przypadki - odparł Wieczorek. -

Kierują do nas tylko tych pacjentów, dla których inne placówki nic już nie mogą zrobić. Najczęściej jesteśmy w stanie tylko hamować ich agresję. Trochę to przypomina działalność waszych sił bezpieczeństwa, prawda? Jak pani myśli, czy wciąga nas tego rodzaju praca?

- Pan z pewnością jest lepiej przygotowany do odpowiedzi na takie pytanie - stwierdziła Fiona.

- Nie potrafię odpowiedzieć za was, ale podejrzewam, że dla mnie i dla wielu moich kolegów zajmowanie się przypadkami beznadziejnymi stanowi alibi, usprawiedliwiające brak sukcesów. Poza tym, być może podobnie jak wy, lubię trudności, jakie łączą się z tak delikatną, skomplikowaną i zwodniczą sferą działania. Czy może pani być kiedykolwiek do końca pewna, że ma pani słuszość? - Zrobił przerwę. - Słuszość w jakiegokolwiek sprawie?

- Czasem - odparła Fiona. - Nie powiedział mi pan jeszcze nic o waszych metodach.

- Carl Jung powiedział kiedyś: „Pokażcie mi zdrowego człowieka, a ja go wam ulecę”. Często o tym myślę. Metody? Co mogę pani powiedzieć? - Spojrzał na nią z uprzejmym zainteresowaniem. - Metody leczenia poważnie chorych pacjentów zmieniły się radykalnie w ciągu lat. Podstawową metodą jest nadal staroświecka sesja analityczna, podczas której zachęcamy pacjentów do zagłębienia się we własny umysł. Jak odkrył Freud, jest to długi proces. Pojawili się więc neurochirurdzy, którzy wiercili dziury w czaszce i niszczyli narzędziami chirurgicznymi komórki mózgowe oraz włókna nerwowe. - Przerwał, dając jej czas na uświadomienie sobie tej potwornej prawdy. - Potem uznano, że trwałą poprawę mogą zapewnić elektrowstrząsy, które wydawały się upragnionym panaceum. Ale chemicy też oczekiwali na swoją kolej, zaczęto więc podawać pacjentom wielkie dawki dexedryny, seconalu i innych nowych leków, wprowadzanych gorliwie na rynek przez zachodnio-niemieckie firmy farmaceutyczne. Teraz niektórzy specjaliści zaczynają chyba dochodzić do wniosku, że Freud wśród powodzi bredni głosił również kilka słusznych koncepcji. Analiza na kanapie jest jednak bardzo długim procesem; nigdy nie będziemy mieli tylu psychoanalityków, by zwalczyć choroby

umysłowe za pomocą tak pracochłonnej metody.

- A jakie jest pańskie stanowisko?
- W sprawie terapii? Jestem tu starszym konsultantem, ale mój personel ma

wiele swobody w wyborze metody najskuteczniejszej dla danego pacjenta. Mamy tu głównie ludzi z depresjami i schizofreników; niektórzy z nich wymagają wielkich umiejętności i stałej uwagi. Ale z natury rzeczy jesteśmy koszem na śmieci, do którego wrzucają nam różnych pacjentów, więc leczymy wiele schorzeń. Po wielu latach praktyki doszedłem do wniosku, że nie wolno zakazywać stosowania terapii, którą lekarz, po dokładnym zbadaniu chorego, uzna za wskazaną.

- Nie zabrania pan niczego?
- Takie jest moje stanowisko.
- A operacje mózgu?
- Poważnie chory pacjent, który bywa niebezpieczny, może dzięki takiej

operacji wrócić do stanu, który przypomina normalne życie. - Wstał. - Chodźmy, pokażę pani oddziały.

W klinice było cicho, ale nie panowała w niej idealna cisza. Większość pacjentów leżała w łóżkach, śpiąc spokojnie dzięki działaniu leków. Jedna niewielka, sześciuosobowa sala tonęła w półmroku. Leżący w niej pacjenci zostali uśpieni na tydzień. Była to - wyjaśnił doktor Wieczorek - wstępna faza terapii, jakiej poddawano wszystkich

nowo przybyłych. Ich karty choroby - powiedział półzartem - docierały niekiedy dopiero w tydzień lub dwa tygodnie po nich.

Na parterze znajdowała się duża „świetlica”, w której przebywało kilku pacjentów. Siedzieli na metalowych krzesłach, a ich kolana owinięte były kocami. Dwaj z nich, mężczyźni w średnim wieku, mieli na głowach wełniane czapki. Nie było tu żadnych książek czy czasopism, a pacjenci spali albo patrzyli w przestrzeń. Na ekranie stojącego w kącie telewizora migotał jakiś film rysunkowy, w którym uzbrojona w siekiere mysz ścigała samochód, ale fonia była wyłączona i nikt go nie oglądał.

- Jest tu jeden pacjent, którego musi pani poznać - powiedział doktor

Wieczorek. - To Franz; jest naszym najstarszym pensjonariuszem. Kiedy, tu przyszedł w roku 1978, miał całkowity zanik pamięci, ale mogę stwierdzić z dumą, że osiągnęliśmy pewien postęp. - Wprowadził ją do pustego pokoju, w którym stał wielki, kwadratowy basen, przeznaczony do prania pościeli. W kącie siedział na fotelu inwalidzkim jakiś mężczyzna. Jego otyłość była w widoczny sposób skutkiem braku ruchu. Miał żółtawą cerę i kurczowo zaciśnięte usta, jakby starał się powstrzymać jęk.

- Obudź się, Franz. Co powiesz na kubek kawy?

Człowiek siedzący na fotelu nie odezwał się i nie drgnął; poruszył tylko gałkami oczu w taki sposób, jakby chciał zobaczyć twarz doktora nie poruszając głową. - Przyprowadziłem do ciebie pewną damę, Franz. Od dawna już nie miałeś gościa, co? - Zwracając się do Fiony, wyjaśnił: - Stan tego typu pacjentów zmienia się znacznie z dnia na dzień.

- Dzień dobry, Franz - powiedziała Fiona, nie wiedząc, jak powinna się zachować.

- Powiedz: dzień dobry, Franz - polecił mu doktor Wieczorek, i dodał: - Słyszysz wszystko, ale być może nie ma dziś ochoty z nami rozmawiać. - Przechylił fotel w tył, by unieść przednie koła nad progiem, i wyjechał nim na korytarz. Pchając go przed sobą kontynuował swój monolog, jakby nie zauważając, że Franz mu nie odpowiada. Wjechali do pokoju, na którego drzwiach widniał napis: „Sala zabiegowa nr 2”. Doktor ustawił fotel w taki sposób, że Fiona i on mogli usiąść i obserwować twarz pacjenta. Franz nadal nie poruszył głową, ale kiedy przywieziono go do tego pokoju, stał się wyraźnie podniecony. Patrzył na stojącą w rogu szarą emaliowaną szafkę. Była wyposażona w pokrętło z woltomierzem i mechaniczne urządzenie czasowe, a wychodzące z niej kable kończyły się czymś, co wyglądało jak słuchawki. Franz spojrział na maszynę, potem na doktora Wieczorka, później jeszcze raz na maszynę.

- Nie lubi elektrowstrząsów - wyjaśnił doktor. - Nikt ich nie lubi. - Wyciągnął rękę i dotknął Franza, jakby chcąc mu dodać otuchy. - Wszystko w porządku, Franz. Dziś nie będzie żadnych zabiegów. Kawa, tylko kawa.

Chyba wszystko było z góry ustalone, bo właśnie w tym momencie pojawiła się pielęgniarka w niebieskim kitlu, niosąc tacę z filiżankami, spodkami i dzbankiem kawy. Naczynia były grube i toporne, z gatunku tych, które nie tłuką się przy upadku na podłogę. - Jeśli można zmienić zdanie, to poproszę jednak o kawę - powiedziała Fiona, gdy doktor zaczął napełniać filiżanki.

- W porządku. Nakłanianie ludzi do zmiany zdania to nasza specjalność. Prawda, Franz? - Doktor Wieczorek zachichotał.

Franz poruszył gałkami oczu i spojrział na Fionę. Wydawało się, że słyszy i rozumie wszystko, co się przy nim mówi. Patrząc na jego twarz, zaczęła się zastanawiać, czy dostrzega w niej coś znajomego, ale potem odrzuciła tę myśl.

- Biedny Franz Blum był młodym, pracowitym trzecim se kretarzem naszego

poselstwa w Londynie. Pewnego dnia kompletnie się załamał. Chyba na skutek stresu; po raz pierwszy przebywał w obcym kraju, w dodatku bez rodziny. Niektórym ludziom bardzo trudno się do tego przyzwyczaić. Gdy tylko okazało się, że jest chory, ambasada odesłała go do Moskwy. Próbowano wszystkich metod leczenia, ale choć przeżywał okresy poprawy, stan jego zdrowia stale się pogarszał. To smutny przypadek. W pewnym sensie przypomina nam on stale o ograniczoności naszej wiedzy.

Fiona patrzyła na Bluma, który sięgnął oburącz po swoją filiżankę i ostrożnie, z wysiłkiem, podniósł ją do ust.

- W tajnym raporcie KGB z Londynu stwierdzono, że Franz jest brytyjskim szpiegiem - powiedział doktor Wieczorek. - Ale chyba nie ma na to przekonujących dowodów. Postawienie go przed sądem nie wchodziło w rachubę, ale poinformowano nas o tle jego choroby w nadziei, że ułatwi nam to postawienie diagnozy. Przeprowadzono dochodzenie, ale nawet oficerowie śledczy waszego Stasi nic z niego nie wydobyli.

Fiona zachowała spokój, ale odwróciła wzrok od Franza.

- A pan? - spytała. Był to człowiek, o którym poinformowała Martina Pryce-Hughesa, człowieka, którego zdradziła i skazała na śmierć za życia. Czy doktor Wieczorek był wtajemniczony w całą tę historię, czy też powiedziano mu tylko tyle, ile musiał wiedzieć?

-Przysyłają nam czasem i takich pacjentów. Franz nie był łatwym przypadkiem. Było to już dawno temu, ale wszystko wyraźnie pamiętam. Kiedy nie reagował na pigułki ani zastrzyki, stało się jasne, że mogą mu pomóc tylko elektrowstrząsy. Nie drobne zabiegi, którymi leczymy depresje. Wypróbowaliśmy nową koncepcję, stosując naprawdę silne dawki prądu.

Franz wylał sobie na brodę kilka kropli kawy. Doktor Wieczorek wyjął chustkę do nosa i wytarł mu twarz. Potem delikatnie zdjął jego wełnianą czapkę i pokazał ogolone fragmenty czaszki, do których przykładano elektrody.

- Wstrząs - powiedział głośno Franz, gdy doktor dotknął palcami jego skóry.
- Dobrze - pochwalił go z dumą doktor Wieczorek. - Słyszała pani? Mówi zupełnie wyraźnie. Pracuj nad sobą dalej, Franz, a wkrótce odeślemy cię do domu. - Włożył mu z powrotem na głowę wełnianą czapkę. Była ona teraz nieco przekrzywiona i nadawała Franzowi Blumowi niezamierzenie zawadiacki wygląd. Uznavszy, że demonstracja dobiegła końca, doktor Wieczorek wstał i chwycił za rączki fotela. Wyprowadził go na korytarz i przekazał oczekującej pielęgniarce. - Nie

wypiła pani swojej kawy - powiedział do Fiony, jakby przypominając sobie o tym nagle.

- Czy jest tu jeszcze dużo do oglądania?
- Nic ważnego. Proszę usiąść i dopić kawę. Mam nadzieję, że spotkanie z Franzem nie przygnębiło pani.

- Bynajmniej - odparła Fiona.
- Nigdy nie wróci do domu, nigdy stąd nie wyjdzie - oznajmił Wieczorek. -

Obawiam się, że skazany jest na dożywotni pobyt w szpitalu. Biedny Franz.

- Tak, biedny Franz - przyznała Fiona. - Ale jeśli raport KGB zawierał prawdę, był on wrogiem państwa, prawda?
- Wrogiem ludu - poprawił ją Wieczorek. - To o wiele gorsze przestępstwo.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że się śmieje. W tym momencie nie miała już żadnych wątpliwości, że była to ukartowana gra, która miała ją skłonić do odgadnięcia pewnego słowa. Brzmiało ono: „zdrada”, a biedny otumaniony Blum miał unaocznic jej, co się z nią stanie, jeśli zdradzi swych mocodawców z KGB. Dlatego właśnie Wieczorek zacytował Carla Junga: „Pokażcie mi zdrowego człowieka, a ja go wam ulecę”.

- To dobra kawa, prawda? - spytał Wieczorek. - Pochodzi z mojego prywatnego źródła.

Ma pan szczęście - stwierdziła Fiona. Być może to przerażające ostrzeżenie było elementem procedury, której poddawano wszystkich wyższych funkcjonariuszy Stasi. Kij i marchewka: rano nagroda, a po południu ostrzeżenie. Ta obłądna klinika, w której leczono „zdrowych”, była w jej oczach mikrokosmosem „robotniczego” państwa, gdzie przywódcy żyli w ostentacyjnym przepychu w wydzielonych enklawach, strzeżonych przez uzbrojonych strażników.

- Owszem, mam szczęście - powiedział doktor Wieczorek, delektując się kawą. - Pani też; wszyscy mamy szczęście.

18

Londyn, listopad 1983.

Bret Rensselaer nie przebierał w środkach. W trosce o bezpieczeństwo Fiony rzucił nawet podejrzenie na Bernarda Samsona, sugerując, że mógł on

współuczestniczyć w akcie zdrady, którego dopuściła się jego żona. Środek ten okazał się skuteczny, gdyż Departament był równie wrażliwy na pomówienia i szeptane półprawdy, jak każde inne zorganizowane zbiorowisko rywalizujących ze sobą ludzi. Podzielone opinie na temat uczciwości Samsona doprowadziły do pogłosek, których autorzy twierdzili, że na terenie Departamentu działał jeszcze jeden „kret”. Niezdrowa atmosfera podejrzeń i nieufności zagęszczała się z każdą chwilą.

Odnalezienie ciała zamordowanego Juliana MacKenzie w należącym do Departamentu domku w Bosham dało dodatkowy asumpt do plotek. Dzięki informacjom Mirandy Keller Bret wiedział, że zaszła pomyłka co do osoby i że KGB chciało zabić Bernarda Samsona. Ale Bret ograniczył się do wezwania Bernarda do sali konferencyjnej numer 3 i do udzielenia mu nagany w obecności odpowiednich świadków. Zgodnie z jego przewidywaniami Samson odpowiedział agresją na agresję, a Bret zakończył sprawę, opowiadając każdemu, kto chciał go słuchać, że Bernard Samson jest „poza podejrzeniami”.

Ale tkanie zdradliwej pajęczyny, którą uważał za niezbędny warunek bezpieczeństwa Fiony, odbijało się również na nim samym. Miał naturę urzędnika; bywał brutalny, lecz zawsze maskował swą brutalność obłudą. Znakomicie nadawał się na szefa Sekcji Wywiadu Gospodarczego. Ale operacja „Spławik” wymagała innych cech osobowościowych. Realizacja celu, polegającego na rozłożeniu gospodarki wschodniemieckiej przez drenaż wykwalifikowanych pracowników, okazała się trudniejsza, niż początkowo przypuszczał. Fiona regularnie dostarczała mu informacji dotyczących ośrodków opozycji i ugrupowań reformatorskich, ale grupy te nie potrafiły się zjednoczyć. Największy problem polegał na tym, że chcąc utrzymać tę operację w całkowitej tajemnicy, musiał opowiadać coraz bardziej przemyślnie kłamstwa swym kolegom i współpracownikom. Chodziło o to, żeby nikt nie znał wszystkich szczegółów planu. To zaś z kolei zmuszało go do działań, które budziły w nim wstręt. Czuł się tak, jakby grał w tenisa sam ze sobą: jakby odbijał piłkę na drugą stronę kortu, przeskakiwał przez siatkę, potykał się i kończył wymianę morderczym wolejem.

To podwójne życie zostawiało mu niewiele czasu na odpoczynek i rozrywki. Teraz, w niedzielne popołudnie, zamiast spędzić kilka godzin z przyjaciółmi na weekendowym przyjęciu, musiał spierać się ze swoją żoną o warunki rozvodu i wysokość alimentów.

Nicola z typowym dla siebie uporem zażądała, żeby umówił się z nią na lunch

w „Roma Locuta Est”, małej włoskiej restauracji w Knightsbridge. Sama nazwa była dla niego afrontem. Słowa: „Rzym przemówił” oznaczały, że kierownictwo nie przyjmuje żadnych reklamacji, i Pina przestrzegała tej zasady. Pina, gruba Włoszka, serdecznie witała bogatych i sławnych gości, bezwzględnie eliminując osoby nie należące do wytwornego towarzystwa. Jej restauracja stała się miejscem spotkań bogatej i hałaśliwej elity z Belgravii, której Bret zawsze starannie unikał. Najbardziej nieznośni byli zawsze w sobotę: przesiadali się od stolika do stolika, głośno do siebie krzycząc, i zamawiali zanglizowane dania, niemiłosiernie kalecząc język włoski. Bretowi nie uprzyjemniło pobytu w tej restauracji odkrycie, że niemal wszyscy obecni byli po imieniu z jego żoną.

- Ty naprawdę w to wierzysz - mówiła Nicola. - Jezu Chryste, Bret. Mówisz, że jesteś biedny, i naprawdę w to wierzysz. Gdyby nie było to tak cholernie bezczelne, pękałabym ze śmiechu. - Nicola wyraźnie włożyła wiele wysiłku w swój strój i makijaż, ale on wykreślił ją ze swojej pamięci i nie odczuwał ani cienia sympatii.

- Nie musisz krzyczeć o tym na całą salę, kochanie - powiedział cicho Bret. Wiedząc, kto bywa w tej restauracji, poczynił pewne ustępstwa na rzecz swojego wyglądu. Miał na sobie zamszową kurtkę i beżowy jedwabny golf. W swoim zwykłym stroju, czyli eleganckim garniturze, nie pasowałby do otoczenia, zwłaszcza w sobotę, w porze lunchu.

- Nic mnie nie obchodzi, kto nas słyszy. Mogę chodzić po dachach i krzyczeć o tym na całe gardło.

- Omówiliśmy to wszystko dokładnie jeszcze przed ślubem. Rozmawiałaś z prawnikami. Podpisałaś odpowiednie porozumienia.

- Nie patrzyłam, co podpisuję. - Wypiła łyk swojego *Campari* z wodą sodową.

- Dlaczego, do cholery?

- Bo wtedy cię kochałam, oto dlaczego.

- Myślałaś, że nasza separacja będzie wyglądała tak jak w starych hollywoodzkich filmach. Myślałaś, że ja wyprowadzę się do mojego klubu, a ty zagarniesz dom, meble, obrazy, bentleya i wszystko inne.

- Myślałam, że jestem właścicielką połowy mojego własnego domu. Nie wiedziałam, że należy on do korporacji.

- Nie do korporacji. Jego właścicielem jest fundusz powierniczy.
- Nie obchodzi mnie to, czy jego właścicielem jest związek skautów amerykańskich; pozwoliłeś mi myśleć, że jest to mój dom, a teraz widzę, że nigdy nie był mój.

- Tylko nie mów, że oddałaś mi najlepsze lata swego życia - powiedział Bret.

- Oddałam ci wszystko. - Zamieszała swojego drinka, żeby usłyszeć grzechot kostek lodu.

- Dałaś mi piekło na ziemi. - Rozejrzał się po sali. - Nie rozumiem, dlaczego ta Pina pozwala przyprowadzać tu psy; to jest niehigieniczne. - Wyjął chustkę i wytarł nos. - A poza tym jestem uczulony na sierść zwierząt.

- Wcale nie jesteś uczulony. Masz po prostu chore zatoki i szukasz czegoś, na co mógłbyś zwalić winę.

Bret zauważył, że Pina krąży po sali. Miała zwyczaj obejmować swych klientów i wykrzykiwać im do ucha czułe słowa, zanim jeszcze doszło do rozmowy o jedzeniu. - Tak, stworzyłaś mi piekło na ziemi - powtórzył.

- Ja po prostu powiedziałam ci prawdę, a ty uznałeś ją za piekło. - Nerwowymi ruchami otworzyła torebkę, by wyjąć papierosa. Pod torebką leżał numer pisma *Vogue* i książka pod tytułem: *Ktoś ukradł mojego szpiega*. Na okładce widniał nadruk: *Lepsze niż Ludlum*, złożony większymi czcionkami niż nazwisko autora. Bret nie był pewien, czy Nicola naprawdę czyta tę książkę, czy też przyniosła ją celowo, uznając to za rodzaj prowokacji. Lubiała żartować z jego „kariery szpiega”.

Kiedy pochylił się, by zapalić jej papierosa, zauważył, że drży. Zastanawiał się, dlaczego. Nie mógł uwierzyć w to, że jest w stanie przyprawić kogoś o takie denerwowanie.

- Jezu! - westchnęła Nicola i wydmuchnęła dym tak wysoko w górę, że w plastikowych pędach dzikiego wina, zwisających z sufitu, uformowały się małe obłoki.

Kątem oka dostrzegł nadchodzącą Pinę. Nie znosił jej i postanowił uciec do toalety, ale było już za późno.

- Znasz chyba mojego męża - mówiła Nicola. Jej głos, stłumiony na skutek mocnego uścisku Piny, zatonął w powodzi włoskiej gadaniny.

Bret wstał, przesunął się nieco w bok, by oddzielał go od nich stół, i uklonił

się uprzejmie. Pina spojrzała na niego, a potem podniosła oczy do góry i wrzasnęła coś po włosku. Bret uśmiechnął się i lekkim pochyleniem głowy podziękował za domniemany komplement, okazało się jednak, że Pina kazała przynieść im karty dań.

Kiedy zamówili lunch, a ściślej mówiąc, kiedy zgodzili się na potrawy wybrane dla nich przez Pinę, Nicola wróciła do rozmowy o warunkach rozwodu.

- Twój adwokat jest draniem - powiedziała.
- Adwokaci innych ludzi są zawsze draniem. Na tym polega ich zawód.
- Po prostu robią, co im się każe. - Nicola zmieniła kierunek ataku.
- Ja im nic nie każę. Nie mam im nic do powiedzenia. Prawo jest zupełnie

jednoznaczne.

- Jadę do Kalifornii. Zamierzam cię skarżyć.
- Nic ci to nie da - powiedział Bret. - Nie mieszkam w Kalifornii i nie mam

tam żadnego majątku. Możesz równie dobrze jechać na Grenlandię.

- Zamierzam tam osiąść na stałe. Obowiązuje tam ustawa o wspólnocie majątkowej. Mój szwagier twierdzi, że moja sytuacja będzie tam wyglądać korzystniej.

- Chciałbym, żebyś zaczęła wreszcie myśleć, Nikki. Pieniądze, które zostawił mi ojciec, stanowią fundusz powierniczy. Nie należymy w gruncie rzeczy do rodziny Rensselaerów. Moja matka wyszła za mojego ojca w późnym wieku i zmieniła nazwiska swych dzieci, dlatego nazywam się Rensselaer. Nie odziedziczyliśmy milionów. Dysponuję tylko dochodem z niewielkiego funduszu powierniczego. Powiedziałem ci to wszystko, zanim wzięliśmy ślub.

- Nie uda ci się ten numer, Bret. - Pogroziła mu starannie wymanicurowanym palcem. - Doprowadzę do rozbicia tego funduszu powierniczego, choćby była to ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Chcę dostać to, do czego mam prawo.

- Do diabła, Nikki. Przecież porzuciłaś mnie. Odeszłaś z Joppim.
- Nie mieszaj do tego Joppiego - powiedziała.
- Jak możemy go do tego nie mieszać? Jest przyczyną rozkładu naszego

małżeństwa.

- Nieprawda.
- Nikki, kochanie. Oboje wiemy, że tak właśnie jest.
- Więc spróbuj tego dowieść. Spróbuj tylko tego dowieść.

- Nie włączmy się z tym wszystkim po sądach, Nikki. Zarobią na tym tylko adwokaci.

- Kto zamawiał *insalata frutti di mare* - wrzasnął im do ucha kelner, pochylając się nad stołem.

- Ja - odparł Bret.

- Czy życzy pani sobie solę bez ości? - spytał kelner.

- Tak, proszę - odparła Nicola.

Bret spojrział na przywiedły liść sałaty, na którym leżały cztery zimne, wilgotne krewetki i kilka gumowych krążków kalmara, a potem na wspaniały filet z soli, który podano Nicoli. - Czy podać topione masło? - spytał kelner. - A może odrobinę parmezanu? - Nikki zawsze wiedziała, co zamówić; czy była to umiejętność, czy szczęście? A może była to Pina?

Bret zauważył, że obwieszona biżuterią kobieta, siedząca przy sąsiednim stoliku, karmi kawałkami eskalopek cielęcych leżącego u jej stóp wypielęgowanego teriera.

- Ta restauracja przypomina jakiś cholerny ogród zoologiczny - mruknął, a Nicola udała, że go nie słyszy.

Przestała jeść filet z soli i odłożyła sztucce. - Dałam ci wszystko - powiedziała raz jeszcze, przemyślawszy dokładnie całą sprawę. - Zgodziłam się nawet zamieszkać z tobą w tym cholernym kraju. I co z tego miałam?

- Co z tego miałaś? Żyłaś na wysokiej stopie i mieszkałaś w jednym z najpiękniejszych domów w Anglii.

- To nie był dom, Bret, to był tylko piękny budynek. Ale jak często widywałam mojego męża? Przez całe dni nie miałam do kogo otworzyć ust; rozmawiałam tylko ze służbą.

- Powinnaś nauczyć się znosić samotność.

- W porządku, mój drogi. Teraz ty zobaczysz, co to znaczy żyć w samotności. Ponieważ nie zastaniesz mnie więcej po powrocie do domu, a żadna inna kobieta z tobą nie wytrzyma. Niebawem się o tym przekonasz.

- Nie boję się samotności - odrzekł władcym tonem Bret. Odsunął na bok sałatkę z krewetek. Jego żona zawsze skarżyła się na to, że spędza samotnie mnóstwo czasu, ale dziś miał przygotowaną odpowiedź: - Kartezjusz, Kierkegaard, Locke, Newton, Nietzsche, Pascal, Spinoza i Wittgenstein też spędzili samotnie znaczną

część swojego życia.

Wybuchnęła śmiechem. - Widziałam to w dziale listów *Daily Telegraph*. Ale ci ludzie byli geniuszami. Ty nie jesteś myślicielem... ani filozofem.

- Moja praca jest ważna - powiedział Bret. Był zniechęcony. - To nie jest praca w fabryce biszkoptów. Posada rządowa to posada rządowa.

- Jasne, wszyscy wiemy, czym się zajmują rządy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Bret z niemal komiczną niepewnością.

- Oni ustalają zasady dla innych, a sami je łamią. Podnoszą podatki i przyznają sobie podwyżki płac. Zabierają pieniądze obywatelom i rozdają je różnego rodzaju groteskowym zagranicznym rządóm. Wysyłają dzieci do Wietnamu, żeby je zabijano. Latają helikopterami, podczas gdy zwykli ludzie tkwią w korkach ulicznych. Pozwalają bankom i towarzystwom ubezpieczeniowym robić kanty w zamian za pieniądze na kampanie wyborcze.

- Czy naprawdę tak myślisz, Nikki? - Bret był zaszokowany. Nigdy przedtem nie mówiła takich rzeczy. Zastanawiał się, czy piła przez całe rano.

- Żebyś wiedział; tak właśnie myślę. Tak myśli każdy, kto nie pcha się do żłobu.

- Nie wiedziałem, że wyznajesz poglądy liberalne. - Bret usłyszał dzwonki alarmowe. Był ciekaw, jaką opinię wydali o niej ludzie z Wydziału Bezpieczeństwa. Na szczęście rozstawał się z nią już, ale czy jej poglądy nie zostały odnotowane w jego aktach personalnych?

- Nie jestem żadnym cholernym liberałem, demokratą, czerwonym ani niczym w tym rodzaju. Po prostu chce mi się rzygać, kiedy widzę takich zadowolonych z siebie facetów jak ty, opowiadających o swojej „ważnej pracy dla rządu”.

- Nic nam nie przyjdzie z wymiany epitetów - powiedział Bret. - Wiem, że czujesz się rozczarowana sprawą tego domu, ale nie mam na to wpływu.

- Niech cię diabli wezmą! Przecież muszę gdzieś mieszkać!

Domyślił się, że Joppi chce ją rzucić. Nagle zrobiło mu się jej żal, ale nie chciał, by wróciła.

- Mieszkanie w Monte Carlo jest wolne. Możesz je wynająć od rady powierniczej za symboliczną opłatą.

- Wynając od rady powierniczej za symboliczną opłatą - powtórzyła z ironią. - Jak symboliczna ma być ta symboliczna opłata? Dolara rocznie?
 - Jeśli zakończy to te wszystkie niepotrzebne przepychanki, zgodzę się na dolara rocznie. Czy możemy zawrzeć takie porozumienie? - Zaczął przywoływać kelnera, ale nie odniosło to skutku. Cały personel stał w rogu, przy okrągłym stole, uśmiechając się do telewizora, w którym spiker trzymał na ręku gładkowłosego psa chihua-hua. - Czy chcesz kawę?
 - Tak - powiedziała. - Odpowiadam twierdząco na oba pytania, ale chcę mieć meble - dobre meble - w tym mieszkaniu, a śmietankę i cukier w kawie.
 - Zgoda - odparł Bret. Odczuł ulgę. Gdyby Nikki uparcie domagała się domu nad Tamizą, postawiłaby go w trudnej sytuacji. Musiałby zrezygnować. Departament nie zgodziłby się na postępowanie rozwodowe i związane z nim ryzyko rozgłosu. Ale co w przypadku jego dymisji stałoby się z Fioną Samson? Był jedynym człowiekiem znającym całą historię i czuł się osobiście odpowiedzialny za jej misję. Często się o nią martwił.
- Podniósł wzrok i zobaczył, że przez zatłoczoną salę przepycha się jego szofer, Albert Bingham.
- O co znowu chodzi? - spytał. Nicola odwróciła głowę, by przekonać się, na co patrzy.
 - Dzień dobry, pani Rensselaer - powiedział uprzejmie Albert. Wiedział, że niektóre eks-żony nadal czują się chlebodawczyniami pracowników męża i nie lubią być lekceważone. - Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, sir, ale odebrałem w samochodzie telefon z tego szpitala.
 - Co mówili? - Bret wstał już od stołu. Albert nie przerywałby mu lunchu, gdyby nie chodziło o coś ważnego.
 - Pytali, czy może pan przyjechać trochę wcześniej.
 - Czy mogę przyjechać trochę wcześniej...? - powtórzył Bret. Znalazł w portfelu swoją kartę kredytową.
 - Powiedzieli, że będzie pan wiedział, o co chodzi - dodał Albert.
 - Będę musiał jechać - oznajmił Bret. - Chodzi o starego przyjaciela. - Pstryknął paznokciami o plastikową kartę, która wydała głośny trzask. Nicola przypomniała sobie, że był to jeden z jego bardziej irytujących nawyków.
 - Nic się nie stało - odezwała się pogodnym głosem, który dowodził, że jest

urazona.

- Umówmy się na następny lunch - zaproponował Bret. Pochylił się nad stołem, nadal trzymając w wyciągniętej ręce kartę kredytową, jak sztukmistrz, który chwyta coś w powietrzu, i pocałował żonę w policzek. - Teraz, kiedy wszystko już jest ustalone, umówmy się na następny lunch.

Usłyszał warczenie teriera, zaniepokojonego tym, że zbliżył się do jego jedzenia.

Nicola kiwnęła głową. Dobrze wiedziała, że Bret nie ma ochoty zjeść z nią następnego lunchu. Widziała, z jaką ulgą wykorzystał pretekst do ucieczki od niej. Miała ochotę się rozplakać. Była zadowolona z separacji, ale upokarzało ją to, że i on wydawał się szczęśliwy. Wyjęła puderniczkę i otworzyła ją, by sprawdzić w lusterku swój makijaż. Zobaczyła w nim odbicie Breta. Obserwowała go, kiedy płacił rachunek.

Bret był umówiony na drinka z Dyrektorem Generalnym o szóstej po południu w jego wiejskiej rezydencji. Teraz D-G zadzwonił z propozycją, żeby spotkali się w nie zamieszkanym domku Breta w Londynie. Taki był sens przekazanej przez telefon wiadomości, którą powtórzył mu Albert. Mówiąc o telefonach służbowych, Albert zawsze informował go, że dzwoniło z jakiegoś szpitala, szkoły lub klubu, w zależności od towarzystwa, w jakim przebywał Bret i od okoliczności, w jakich przekazywał mu wiadomość.

- Czy jesteś pewien, że chodzi o ten domek? - spytał Bret szofera.
- Absolutnie, sir.
- Ależ on ma pamięć - mruknął Bret z niechętnym podziwem. Na przełomie wieków wspomniany domek był stajnią i wozownią,

przylegającą do dużego londyńskiego domu Cyrusa Rensselaera. Kiedy Bret ujrzał po raz pierwszy tę dużą rezydencję, była ona Klubem Oficerskim, prowadzonym przez Amerykański Czerwony Krzyż. Po wojnie została sprzedana, pozostał jednak niewygodny mały domek, przebudowany ze stajni. Miał tylko dwa pokoje, kuchnię, łazienkę i garaż. Używany był przez różnych członków rodziny Rensselaerów, a czasem przez prawników i agentów, przybywających do Londynu w interesach tej rodziny. Ponieważ jednak Bret mieszkał w Londynie, miał klucz i za zgodą swoich krewnych mógł z niego korzystać, kiedy chciał. W zamian za to opiekował się budynkiem i naprawiał od czasu do czasu przeciekający dach. Nie sypiał jednak w tym domu od wielu lat.

Bret był zaskoczony, że D-G pamięta o istnieniu tego domu i trochę zły o to, że wybrał go na miejsce spotkania. Nie liczył się z tym, że budynek pozbawiony stałego lokatora był okropnie

zaniedbany. - Jedźmy tam od razu - polecił szoferowi. - Spróbujemy trochę posprzątać, zanim przyjedzie Sir Henry.

- Mamy około pół godziny - powiedział Albert. - A Sir Henry mówił, że może się trochę spóźnić.

- Dobrze, że zostałem w Londynie - stwierdził Bret. - Nigdy nie wiadomo, gdzie Sir Henry zechce się pojawić.

- To prawda, sir - przyznał Albert.

Bret rozparł się na skórzanym siedzeniu swego bentleya. Zamierzał spędzić weekend u przyjaciół, którzy mieli stadninę koni niedaleko Newmarket i wyskoczyć stamtąd do domu D-G w Cam-bridgeshire. Potem Nicola zażądała spotkania w sobotę, w porze lunchu, więc został w mieście. I dobrze zrobił. Sama myśl o tym, że musiałby pospieszyć wracać do Londynu, zawiadomiony w ostatniej chwili o kapryśnym pomysle szefa, przyprawiała go o ból żołądka.

- Przepraszam, jeśli wybrałem niewygodne miejsce spotkania - powiedział Sir Henry Clevemore zaraz po wejściu do małego pokoju nad garażem. Uderzył głową o framugę drzwi, ale wcisnąwszy swą potężną postać w duży, nieco zniszczony fotel, wydawał się całkiem zadowolony. - Chodzi jednak o dość pilną sprawę.

- Przykro mi, że nie jest tu wygodniej - odparł Bret. Pokój był zakurzony i wilgotny. Na lustrze widoczne były ślady czyichś palców, w zlewie leżały brudne butelki po mleku, a na półce z książkami stał bukiet zeschniętych kwiatów. Jedynym weselszym akcentem był zwinięty dywan, schowany do płóciennego worka i przyozdobiony czerwonymi plastikowymi paczuszkami środka antymolowego. Dom był tylko sypialnią dla przyjezdnych, więc brakowało w nim wszelkich wygod. Nawet elektryczny czajnik nie działał. Szkoda, że Nikki robi takie trudności - pomyślał Bret. - Temu domowi przydałaby się kobieca dłoń.

Wyciągnął rękę, by sprawdzić, czy od grzejnika płynie ciepłe powietrze. Włączył go tuż po przyjeździe, ale wokół nadal unosiła się wilgoć. Postanowił przedsięwziąć stanowcze kroki, zmierzające do przebudowy tego domu i napisać w tej sprawie do swoich prawników. Otworzył szafkę i znalazł kilka butelek. - Mam tu trochę whisky...

- Przestań się krzątać, Bret. Potrzebowaliśmy jakiegoś miejsca, żeby spokojnie

pogadać. To jest idealne. Nie, nie chcę drinka. Dowiedziałem się, że Erich Stinnes przylatuje z Mexico City razem z młodym Samsonem. Myślę, że nam się udało.

- To dobra wiadomość, sir. - Rozejrzał się, by sprawdzić, gdzie leży czarny labrador D-G. Po co Sir Henry przywiózł tu tego swojego śmierdzącego, starego psa?

- To będzie twoje przedstawienie, Bret. Pozwól Samsonowi z nim rozmawiać, ale kontroluj dokładnie wszystko, co się dzieje. Musimy przekabacić Stinnesa i odesłać go do Moskwy.

- Tak, sir.

- Ale przyszło mi do głowy, Bret... - Zrobił pauzę. - Nie chcę się wtrącać...

To twoje przedstawienie. Wyłącznie twoje.

- Słucham pana, sir. - Bret strzepnął kurz z krzesła obitego perkalem i bardzo ostrożnie usiadł. Nie chciał pobrudzić sobie ubrania.

Sir Clevemore siedział rozparty ze skrzyżowanymi nogami, nie zwracając uwagi na panujący w pokoju nieład. Pospęne zimowe światło, wpadające przez zakurzone okno, wydobywało z mroku jego profil i odbijało się od czubków jego błyszczących butów.

- Czy powinniśmy wsadzić tego cholernego Martina Pryce-Hughesa?
- Tego komunistę? Hmm...

Ton Breta był zbyt łagodny, by zadowolić D-G. - Tego małego wszarza, który był łącznikiem między panią Samson a łobuzami z KGB - dokończył stanowczym tonem. - Czy powinniśmy go wsadzić? Nie mów mi, że się nad tym nie zastanawiałeś.

- Zastanawiałem się nad tym wielokrotnie - powiedział Bret zduszonym głosem, jakim reagował zawsze na niezасłużoną krytykę.

- Mówiłeś, że postąpilibyśmy nieostrożnie, pakując go do więzienia tuż po dezercji pani Samson. Ale jak długo mamy czekać?

- Widzi pan, sir... - zaczął Bret.

D-G przerwał mu bezceremonialnie. - Teraz, kiedy przyjeżdża tu ten Stinnes, musimy się zastanowić, do jakiego stopnia zależy nam na tym, by Moskwa łączyła Stinnesa z Pryce-Hughesem. Jeśli Stinnes ma tam wrócić, to nie chcemy podsunąć im myśli, że to on doniósł nam na Pryce-Hughesa, prawda?

- Nie, sir. Nie chcemy tego.

- Człowieku, na miłość boską! Wykrztuś, o co ci chodzi! Jakie jest twoje zdanie? Czy powinniśmy zwinąć Pryce-Hughesa i zacząć go przesłuchiwać, czy nie?

Decyzja należy do ciebie. Wiesz, że nie chcę się wtrącać.

- Jest pan jak zawsze bardzo tolerancyjny, sir - powiedział Bret, myśląc o tym, jak bardzo chciałby zrzucić D-G kopniakami z wąskich, trzeszczących schodów i patrzeć, jak spada na betonową podłogę garażu.

- Staram się taki być - odparł D-G, ujęty służalczym tonem Breta.

- Ale okazało się, że sprawa ma jeszcze jeden aspekt. Jest to coś, czym nie chciałem zawracać panu głowy.

- Więc zawróć mi głowę teraz - zażądał Sir Henry.

- W lecie 1978... - Bret przerwał, zastanawiając się, ile może ujawnić i w jaki sposób sformułować relację. - ...pani Samson... weszła w związek z niejakim doktorem Harrym Kennedym.

Kiedy Bret znowu przerwał, Sir Henry zapytał: - Weszła w związek? Co to, do diabła, znaczy? Nie zamierzam skarżyć cię o oszczerstwo, Bret. Na miłość boską, mów, co chcesz powiedzieć. Mów jasno.

- Chcę powiedzieć - oświadczył wolno i dobitnie Bret - że od tego czasu aż do swego wyjazdu miała romans z tym człowiekiem.

- Och, mój Boże! - zawołał D-G, niemal dławiąc się z podniecenia. - Pani Samson? Czy jesteś tego absolutnie pewien? - Czekał na potakujące kiwnięcie głową. - Mój Boże! - Czarny labrador, czując wzburzenie swego pana, wstał i otrzepał się. W powietrzu było teraz pełno kurzu z jego sierści; Bret widział jego cząsteczki, poruszane płynącym z grzejnika podmuchem.

Zdażył przyłożyć do nosa chustkę tuż przed kichnięciem. Kiedy atak uczulenia minął, otarł twarz i powiedział:

- Jestem całkowicie pewien, sir, ale to nie wszystko. Kiedy zacząłem badać przeszłość tego Kennedy'ego, odkryłem, że już jako student medycyny był członkiem partii.

- Członkiem partii? Członkiem partii komunistycznej? Ten facet, z którym miała romans? Bret, dlaczego, do cholery, nie powiedziałeś mi o tym wszystkim? Czy ja zaczynam dostawać obłądu? - Wychylił się do przodu, jakby usiłując wstać z fotela, a jego pies posłał Bretowi złowrogie spojrzenie.

- Rozumiem pański niepokój, sir - powiedział Bret nabrzmiałym powagą głosem, po który sięgał w razie potrzeby. - Kennedy jest Kanadyjczykiem. Jego ojciec był Ukraińcem; nazwiska nie można było napisać na angielskiej maszynie,

więc zmienił je na Kennedy.

- Nie podoba mi się ta historia. Czy mamy do czynienia z człowiekiem narodowości rosyjskiej, mającym kanadyjskie świadectwo urodzenia? Widzieliśmy już wielu takich, nieprawdaz?

- Komenda Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej w Ottawie nie ma na jego temat żadnych negatywnych informacji. Odbił wzorowo służbę wojskową. Studia medyczne, staż podyplomowy, i tak dalej.

Jedyne, co wygrzebali, to wiadomość o jego byłej żonie, która ściga go, domagając się alimentów. Żadnej działalności politycznej; brał tylko udział w kilku zebraniach partyjnych, jeszcze w college'u. - Bret przerwał. Fakt, że żona Kennedy'ego domagała się alimentów, budził jego współczucie.

- No cóż, nie można tego tak zostawić. Nie próbujesz mi chyba powiedzieć, że pani Samson mogła być... - zamilkł, uświadomiwszy sobie wszystkie przerażające powikłania, do jakich doprowadziłyby najmniejsza wątpliwość dotycząca lojalności Fiony Samson.

- Nie, o to nie musimy się martwić, Sir Henry. W gruncie rzeczy oboje są czyści. Nie mam żadnych dowodów na to, że doktor Kennedy przejawiał jakąkolwiek aktywność w okresie, w którym widywał się z panią Samson, lub później.

- Skąd to wiesz?

- Miałem go na oku.

- Ty osobiście?

- Nie, oczywiście, że nie, Sir Henry. Poprosiłem kogoś, żeby miał go na oku.

- Kogoś? Jakiego kogoś? Kogoś z Departamentu?

- Nie, oczywiście, że nie, sir. Załatwiłem to prywatnie.

- Tak, ale nie zapłaciłeś za to prywatnie, prawda? Trafiło to do akt księgowości. Pewnie o tym nie pomyślałeś. Och, mój Boże!

- Nie ma tego w żadnych aktach, sir. Zapłaciłem osobiście i zapłaciłem gotówką.

- Czy ty jesteś obłąkany, Bret? Zapłaciłeś osobiście? Z własnej kieszeni? Do czego zmierzasz?

- Trzeba to było zachować w tajemnicy - powiedział Bret.

- Oczywiście. Nie musisz mi tego mówić! Mój Boże! Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem. - D-G oparł się gwałtownie o fotel, jakby miał zamiar

zasłabnąć. - Jaka masz whisky? - spytał w końcu.

Bret sięgnął po butelkę *BeWs*, nalał trochę whisky do szklaneczki i podał ją szefowi. D-G wypił spory łyk.

- Niech cię diabli wezmą, Bret. Powiedz mi najgorsze. No, dalej. Jestem już na to przygotowany.
- Nie ma żadnego „najgorszego”, sir. Wszystko wygląda tak, jak panu powiedziałem. Nic nie wskazuje na jakiegokolwiek związku Kennedyego z Sowietami.
- Nie oszukasz mnie. Gdyby sprawa wyglądała tak prosto, powiedziałbyś mi o tym już dawno, nie czekając na moment, w którym polecę ci zwinąć Pryce-Hughesa.

Bret nadal stał w pobliżu butelek. Nigdy nie pił wiele, więc nalał sobie małą porcję, żeby dotrzymać D-G towarzystwa, i podszedł do okna. Chciał znaleźć się możliwie jak najdalej od psa. Zapach alkoholu wzbudził w nim wstręt, więc odstawił szklaneczkę. Przycisnął dłoń do zimnej szyby. Jakże dobrze znał ten mały dom. Glen Rensselaer przyprowadził go tu po raz pierwszy ubrany w mundur generała Armii Stanów Zjednoczonych. Bret kochał Glena Rensselaera znacznie bardziej niż żalostnego pijaka, który był jego ojcem.

- To tylko przeczucie - powiedział Bret po długiej przerwie, w czasie której przyglądał się wybrukowanej alejce i zaparkowanym na niej lśniącym samochodom. - Ale wiem, że Kennedy jest w to wmieszany. Po prostu wiem. Jestem pewien, że podsunęli go, żeby obserwował panią Samson. Poznali się na stacji kolejowej; jestem przekonany, że spotkanie to zostało ukartowane. - Umoczył usta w whisky. - Musiała przejść zwycięsko przez wszystkie próby, bo istnieją powody do przypuszczeń, że Kennedy się w niej zakochał i że kocha ją nadal. Ale Kennedy jest bombą zegarową i budzi mój niepokój. Obserwowałem Pryce-Hughesa w nadziei, że będą się ze sobą kontaktować. Ale było to już dawno temu; chyba się myliłem.

- Zbyt wiele domysłów, Bret.
- Wiem, Sir Henry.
- Fakt jest silniejszą kartą niż as domysłów, prawda?
- Tak, oczywiście, sir.
- Zwiniesz Pryce-Hughesa?
- Wolałbym z tym jeszcze trochę poczekać, panie dyrektorze. Usiłowałem sprowokować go do reakcji przed kilku laty. Kazałem komuś przygotować

skomplikowaną teczkę akt, która „dowodziła”, że Pryce-Hughes pracuje dla Londyńskiej Centrali. Było to wspaniałe dzieło: dokumenty, fotografie oraz wszelkiego rodzaju załączniki. Kosztowało oczy z głowy. Byłem obecny, kiedy mu ją pokazano.

- I co?
- Wyśmiał nas, sir. Dosłownie. Byłem przy tym. Śmiał się nam prosto w twarz.
- Cieszę się, że odbyliśmy tę pogawędkę - oznajmił D-G. Była to wymówka.
- Ale tateczka, którą przygotowałem, by skompromitować Pryce-Hughesa, może nam się teraz bardzo przydać, sir.
- Słucham cię, Bret.
- Każę przerobić ją w taki sposób, by obciążała pułkownika KGB, Pawła Moskwiną.
- Tego bandziora, który zamordował naszego chłopca w domku w Bosham?
- O ile wiem, stanowi on zagrożenie dla Fiony Samson.
- Czy jesteś pewien, że nie chodzi ci o to, żeby jakoś wykorzystać tę przeklętą teczkę?
- To będzie kosztować bardzo niewiele, sir. Możemy łatwo podsunąć ją KGB. Miranda Keller nadaje się doskonale do roli łączniczki Moskwiną.
- Powierzając jej tę rolę postąpilibyśmy wobec niej dość bezwzględnie, nie uważasz?
- Musimy myśleć o Fionie Samson - oznajmił Bret.
- W porządku. Skoro tak stawiasz sprawę, nie mogę cię powstrzymać.

19

Anglia, Boże Narodzenie 1983.

Gloria Kent czuła się nieszczęśliwa. Przywiozła do swoich rodziców dwójkę małych dzieci Bernarda Samsona, które miały z nią spędzić Boże Narodzenie. Gloria była wysoką, bardzo piękną blondynką. Miała na sobie obcisłą suknię, którą kupiła specjalnie po to, żeby zrobić wrażenie na Bernardzie.

- Dlaczego nie spędza czasu z własnymi dziećmi? - spytała po raz nie wiadomo który matka Glorii. Wkładała do zmywarki naczynia przynieszone przez

Glorię ze stołu.

- W ostatniej chwili zlecono mu ważne zadanie - odparła Gloria. - A niania poszła już do domu.

- Jesteś głupia - powiedziała matka.

- O co ci chodzi?

- Wiesz, o co mi chodzi. On wróci do żony, mężczyźni zawsze tak robią. - Wrzuciła do plastikowego koszyczka garść noży i widelców. - Człowiek nie może mieć dwóch żon.

Gloria podała jej talerzyki deserowe, a potem owinęła folią resztki świątecznego puddingu i włożyła je do lodówki. Do kuchni wszedł dziesięcioletni Billy Samson.

- Sally będzie wymiotować - powiedział, nie ukrywając radości, jaką nappełniała go ta perspektywa.

- Nie, Billy. Właśnie z nią rozmawiałam. Bawi się układanką. Czy film na wideo już się skończył?

- Już raz go widziałem.

- Czy dziadek też go widział? - spytała Gloria. Umówili się, że tak będą nazywać jej ojca.

- Dziadek śpi. Chrapie.

- Może pomógłbyś Sally przy układance?

- Czy mogę dostać jeszcze trochę kremu?

- Myślę, że zjadłeś go już dosyć, Billy - powiedziała Gloria stanowczo. - Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tyle jadł.

Billy patrzył na nią przez chwilę, a potem, przyznając jej rację, wyszedł do saloniku. Pani Kent obserwowała go spod oka. Tak bardzo przypominał swojego ojca. Było jej żal biednego, pozbawionego matki dziecka, ale była przekonana, że romans z „żonatym kolegą z biura” przyniesie Glorii wyłącznie rozczarowania.

- Wiem wszystko, co chcesz powiedzieć, mamó - oświadczyła Gloria - ale bardzo kocham Bernarda.

- Wiem o tym, moja droga. - Chciała mówić dalej, ale zobaczyła, że oczy córki już nappełniają się łzami. To była smutna strona całego romansu; Gloria wiedziała, że czekają ją tylko troski.

- Nie chciał jechać - powiedziała Gloria. - Wysłał go ten okropny człowiek z

biura. Zaplanowałam wszystko tak starannie. Chciałam uszczęśliwić jego i dzieci.

- A co on o tym mówi? - spytała matka, której wypite do lunchu wino wyraźnie dodało odwagi.

- On mówi to samo co ty - odparła Gloria. - Powtarza mi stale, że jest o dwadzieścia lat starszy ode mnie. Mówi, że powinnam znaleźć sobie kogoś innego, kogoś młodszego.

- W takim razie nie może cię kochać - oznajmiła z naciskiem jej matka.

Gloria zdobyła się na cichy wybuch śmiechu. - Och, mamó! Cokolwiek zrobi, wypada w twoich oczach fatalnie.

- Kiedy nam powiedziałaś, twój ojciec nie był w stanie o tym mówić przez wiele tygodni.

- To moje życie, mamó.

- Jesteś młoda. Ufasz wszystkim, a świat jest tak okrutny. - Włożyła do maszyny ostatnie brudne naczynia, zamknęła drzwiczki i wyprostowała się. - Co on ma dziś takiego ważnego do roboty? A może nie powinnam pytać?

- Jest w Berlinie. Musi zidentyfikować zwłoki.

- Będę zadowolona, kiedy pojedziesz do Cambridge.

- Wiem - stwierdziła Gloria bez entuzjazmu.

- Czy jego żona nie mieszka właśnie w Berlinie? - spytała nagle matka.

- Nie będzie się z nią widział.

W sąsiednim pokoju Billy przysunął krzesło do stołu, na którym Sally zmagala się z układanką, przedstawiającą „Krajobraz z Devon”,

a otrzymaną w prezencie od niani. Dwie krawędzie były już gotowe. Billy bez słowa zaczął jej pomagać.

- Tęsknię za mamą - powiedziała Sally. - Ciekawa jestem, dlaczego nie odwiedziła nas w czasie świąt.

- Gloria jest miła - oznajmił Billy, który nabrał do niej wielkiej sympatii. - Co to znaczy „separacja”? - Wiedział, że jego rodzice żyją w separacji, ale nie był pewien, co to oznacza.

- Niania powiedziała, że tata i mama muszą mieszkać w różnych krajach, żeby mogli się odnaleźć - odparła Sally.

- Nie mogą się odnaleźć? - spytał Billy i zachichotał. - To musi być okropne, kiedy człowiek nie może znaleźć samego siebie.

Sally wcale nie uważała tego za zabawne. - Mama wróci, gdy tylko się odnajdzie.

- Czy to długo potrwa?
 - Spytam nianię - zapowiedziała Sally, która potrafiła sprytnie wyciągać różne informacje ze spokojnej dziewczyny z Devon.
 - Czy tato też odnajduje samego siebie? - Zanim Sally zdążyła mu odpowiedzieć, znalazł kawałek nieba i dopasował go do układanki.
 - Ja pierwsza zauważyłam ten kawałek - powiedziała Sally.
 - Nieprawda! Nieprawda!
 - A może tato mógłby być żonaty z mamą, a oprócz tego ożenić się z Glorią? - spytała Sally.
 - Nie - oznajmił autorytatywnie Billy. - Człowiek nie może mieć dwóch żon. Sally spojrzała na niego z podziwem. Billy zawsze wszystko wiedział. Ale w jego oczach dostrzegła znajomy wyraz. - Czy dobrze się czujesz? - spytała.
- Chyba będę wymiotował - jęknął Billy.

20

Berlin Wschodni, luty 1984.

Hubert Renn rzadko ujawniał swoje najskrytsze myśli, gdyby jednak zechciał wypowiedzieć się na temat współpracy z Fioną Samson, stwierdziłby, że ich stosunki ułożyły się lepiej, niż oczekiwał. Kiedy w pierwszym tygodniu stycznia 1984 dano mu szansę zmiany posady i podjęcia pracy w głównym budynku Stasi przy Normannen-strasse, nie tylko odmówił, ale zadał sobie sporo trudu, by umotywować swoją decyzję.

Hubert Renn wolał atmosferę, która panowała w małym ośrodku dowodzenia Stasi KGB przy Karl-Liebknecht-Strasse. I - podobnie jak liczni przedstawiciele personelu administracyjnego - lubił poczucie ważności i codziennej nerwowości, jakie dawała mu praca „operacyjna”. Poza tym czuł się po ojcowsku odpowiedzialny za Fionę Samson, choć nie okazywał tego i prowadził jej biuro z surową, powściągliwą dokładnością. Zresztą Fiona Samson nie żądała ani chyba nie oczekiwała od niego niczego więcej niż całkowitego oddania swojej pracy.

Renn bez trudu zrozumiał Fionę Samson, a w każdym razie potrafił

dostosować się do jej wymagań. To wzajemne zrozumienie ułatwiał fakt, że Fiona stłumiła i zreformowała swoją kobiecość. Wahania i niepewności, jakie pociągało za sobą macierzyństwo i życie rodzinne, nie wpływały już na sposób jej myślenia. Nie zaczęła myśleć po męsku - nadal uważała mężczyzn i ich sposób rozumowania za niepojętą zagadkę - ale stała się po męsku stanowcza i bezpośrednia. Nawet w największych przyływach kobiecości nie grała roli ofiary - tak jak jej matka, siostra i niezliczone inne kobiety. Teraz, kiedy miała do czynienia z sytuacją, której sama nie potrafiła opanować, zadawała sobie pytanie, jak postąpiłby w takich okolicznościach Bernard, i to

często pomagało jej znaleźć rozwiązanie. A w dodatku znaleźć je bezzwłocznie.

W biurze starała się być idealnym aparaczykiem, szefem, pod rozkazami którego chciałby pracować taki człowiek, jak Hubert Renn. Była jednak cudzoziemką i kobietą, więc w obliczu zawitych intryg biurowych potrzebowała niekiedy rady i pomocy.

- Jak długo będzie tu pracował ten nowy człowiek? - spytała Renna pewnego dnia, kiedy skończyli porządkować dokumenty, a biurko Fiony było zupełnie puste.

Renn spojrzał na nią, zdumiony jej niewinnością i niewiedzą. Zwłaszcza że otrzymała niedawno nagrodę z Rosji. W hallu budynku na Normannenstrasse zorganizowano z tej okazji niewielką uroczystość, a Renn miał swój udział w jej triumfie.

- Nowy człowiek? - spytał. Fiona nigdy dotąd nie prowadziła z nim takich rozmów.

- Ten młody... blondyn z falującymi włosami... - przerwała nagle. - Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

Renn był równocześnie oburzony i ujęty jej ignorancją. Wszyscy inni pracownicy budynku nauczyli się już rozpoznawać oficerów moskiewskiej służby bezpieczeństwa. - Czy chodzi pani o porucznika Bakuszina?

- Tak. Po co on tu przyjechał?
- Był jednym z oficerów prowadzących śledztwo w sprawie Moskwina.
- Śledztwo w sprawie Moskwina? Pawła Moskwina?
- Ależ tak. Posiedzenie komisji śledczej odbyło się w Moskwie, w ubiegłym tygodniu.

- Czego dotyczyło śledztwo?
- Metod postępowania.
- Metod postępowania?
- Tak się to oficjalnie nazywa. Oczywiście, tego rodzaju dochodzenia są poufne.
- A czy wyrok został ogłoszony, czy również jest tajny?
- Porucznik Bakuszin zbiera dodatkowy materiał dowodowy. Będzie zapewne chciał rozmawiać z panią, *Frau Direktor*.
- Ale Moskwin właśnie otrzymał awans do stopnia pułkownika - stwierdziła Fiona. Nadal nie pojmowała, co chce jej powiedzieć Renn.
- Tylko po to, żeby łatwiej mu było wydawać polecenia pracownikom ambasady podczas pobytu w Londynie. U nas ranga nie liczy się tak bardzo, jak na Zachodzie. O kompetencjach człowieka decyduje jego stanowisko.
- A porucznik Bakuszin ma wysokie stanowisko?
- Porucznik Bakuszin ma prawo aresztować i osadzić w więzieniu każdego pracownika tego budynku, i to bez odwoływania się do Moskwy - oznajmił Renn. Fiona poczuła nagle dotkliwy chłód.
- Czy wie pan, co zarzucono pułkownikowi Moskwinowi?
- Poważne przestępstwa - odparł Renn.
- Jakiego rodzaju przestępstwa uchodzą za poważne?
- Zarzuty skierowane przeciwko pułkownikowi Moskwinowi są tematem, na który wolałbym nie rozmawiać.
- Słyszałam, że ma on w Moskwie wielu wpływowych wrogów - powiedziała Fiona.

Renn stał nieruchomo. Myślała przez chwilę, że wy mamrocze coś niewyraźnie i opuści jej gabinet - tak postępował w przeszłości, kiedy zadawała mu pytania, na które nie chciał odpowiadać - ale nie zrobił tego. Obszedł biurko i stanął obok niej. - Major Stinnes przebywa w Londynie, gdzie wodzi brytyjski wywiad za nos i wywołuje niewyobrażalne zamieszanie. Pułkownik Moskwin również jest w Londynie i wspiera jego operację. Moskwa była bardzo niezadowolona ze śmierci tego Anglika, którego zamordowano w punkcie kontaktowym w Bosham. Pułkownik Moskwin przekroczył swoje kompetencje. Śledztwo toczy się teraz właśnie dlatego, że go nie ma. Jeśli londyńska operacja się powiedzie, major Stinnes zostanie

pochwalony za odwagę, fachowość i pomysłowość. Jeśli coś się nie uda, wina spadnie na Moskwiną. - Renn spojrział na nią i pospiesznie mówił dalej: - A tymczasem pani jest najważniejszym oficerem naszej sekcji. - Widząc, że nadał nie całkiem rozumie, dodał: - Porucznik Bakuszin zdaje sobie z tego sprawę. Poprosi panią o złożenie zeznań, zakładając, że pani również jest tego świadoma.

- Chce pan powiedzieć, że Bakuszin będzie ode mnie oczekiwał zeznań obciążających pułkownika Moskwiną, żeby można go było skazać za to, co mu zarzucają, i żeby ja objęła władzę?

- *Frau Direktor*, krążą najdziwniejsze pogłoski. Niektórzy twierdzą, że pułkownik Moskwin jest od dawna agentem Brytyjczyków. Pani Keller również jest oskarżona; być może pamięta ją pani z mojego przyjęcia urodzinowego. Uciekła na Zachód ze swoim synkiem, posłużycywszy się podobno sfałszowanymi brytyjskimi paszportami. - Uśmiechnął się, żeby usmierzyć jej obawy. - Jestem pewien, że śledztwo prowadzone w Moskwie dowiedzie niewinności pułkownika Moskwiną; ma on przyjaciół i krewnych na wysokich stanowiskach. Wiem, jak działa ten system. Porucznik zbiera tylko materiały dowodowe dla śledztwa. Podczas rozmowy z nim wskazana będzie ostrożność.

Fiona zrobiła głęboki wdech. - Czy czytał pan kiedyś *Alicję w krainie czarów*, Herr Renn?

- Tę angielską książkę? Nie, chyba nie. - Uprzejmie, lecz pospiesznie zapobiegł rozmowie na temat książki. - Ale to oznacza, że pani, *Frau Direktor*, musi podjąć decyzję w sprawie spotkania w Holandii. Nikt inny nie ma prawa podpisać rozkazów. Ponieważ zarówno major Stinnes, jak i pułkownik Moskwin są nieobecni, potrzebujemy osoby o odpowiednio wysokiej randze i znającej biegle angielski. Mam nadzieję, że nie będziemy sprowadzać kogoś, kto jest zatrudniony w innej sekcji.

- Nie, jeśli można będzie tego uniknąć - odparła Fiona. - Ale przecież rozumie pan chyba moje wahania, Herr Renn?

- Pojedzie pani? - spytał. Renn.

- Chyba nie - odparła Fiona. Chciała tam jechać. Podróż na Zachód - choćby po to, by przez dwadzieścia cztery godziny oddychać tamtejszym powietrzem - pozwoliłaby jej zebrać siły.

- Jeśli boi się pani aresztowania, mogę zdobyć dla pani dokumenty dyplomatyczne.

- Nie.
- Więc kto inny może być brany pod uwagę?

Spojrzała na niego, myślała o tym wyjeździe i czuła pokusę, ale teraz, kiedy Renn spytał ją o to wprost, nie miała gotowej odpowiedzi. - Będę to musiała uzgodnić na Normannenstrasse. Oni muszą o tym wiedzieć.

Renn wziął z biurka Fiony pudełko dyskietek komputerowych, które miał zabrać posłaniec, i zaczął się nim bawić.

- Naprawdę stanowczo pani to odradzam, *Frau Direktor* - powiedział odwracając wzrok, wyraźnie speszony tym, że musi jej okazać niesubordynację.
- Chcę to z nimi tylko uzgodnić - wyjaśniła Fiona. - Formalnie rzecz biorąc, podlegamy tym ludziom z Normannenstrasse.

- *Frau Direktor*, pytając o ich opinię w sprawie, która ma charakter wyłącznie operacyjny, stworzylibyśmy bardzo istotny precedens. Niebezpieczny precedens. - Potrząsnął pudełkiem; dyskietki zagrzecotały głośno. - Jakkolwiek ułożą się kariery pułkownika Moskwinia i majora Stinnesa, mam nadzieję, że ten wydział będzie nadal funkcjonował na tych samych zasadach, na jakich działa od przeszło dwunastu lat. Ale prosząc Normannenstrasse o zezwolenie na coś tak normalnego, jak podróż do Holandii, podporządkuje nas pani w praktyce ich rozkazom. Co się stanie w przyszłości? Nikt z nas nie będzie mógł cieszyć się niezależnością w zakresie wykonywanych

obowiązków. Moglibyśmy równie dobrze zlikwidować naszą sekcję i przenieść się na Normannenstrasse.

Wyjęła mu z ręki pudełko i odłożyła na biurko. Potem spojrzała na swój notatnik, jakby zamierzając wrócić do pracy. - Nie chciałabym tego zrobić, *Hen Renn*. Mówił mi pan już, jak bardzo nienawidzi pan tego tłoku na stacji kolejki podziemnej przy Magdalenstrasse.

Hubert Renn zeszytniał i zacisnął wargi. Fiona dawno już powinna była wiedzieć, że tego typu żarty, stanowiące normalną część konwersacji w amerykańskich czy angielskich urzędach, nie są mile widziane w Niemczech. - Ależ, *Frau Direktor...*

- Po prostu żartowałam... może to był niemądry żart - powiedziała Fiona. - Zrobię, oczywiście, dokładnie tak, jak pan mi poradził, *Hen Renn*.
- Czy mam przygotować pani dokumenty?

- Tak. Pojadę osobiście. - Przyglądała mu się, kiedy zbierał swoje papiery. Hubert Renn, choć nie przyznawał się do tego, miał złożoną osobowość. Nie rozgryzła jeszcze jednego problemu: jak może łączyć swoje antyrosyjskie uprzedzenia z bezkrytycznym zachwytem dla Marksa i wszystkich jego dzieł?

Czy rada Renna - który namawiał ją do wykroczenia poza zakres swoich kompetencji i odbycia podróży zagranicznej - była przynętą w nowej, zdradliwej pułapce, jaką zastawiali na nią wrogowie? Nie podejrzewała tego, ale nie była pewna. Tutaj niczego nie można było być do końca pewnym. To była najważniejsza rzecz, jakiej zdążyła się nauczyć.

Wstała. - Pozostaje jeszcze sprawa tego lekarza ze szpitala Charite.

- Tak, *Frau Direktor*. Tego rodzaju sprawy zawsze dość długo trwają. Na pani biurku leży notatka służbowa.

- Napisano na niej tylko, że wszystko jest w porządku.

Renn podszedł do niej i powiedział: - Tak, to dobra wiadomość, *Frau Direktor*. Doktor Kennedy jest całkowicie czysty. Nawet bardziej niż czysty; jest człowiekiem o sympatiach komunistycznych. Posługiwaliśmy się nim w Londynie, zlecając mu kilka drobnych zadań. Można by powierzyć mu poważniejsze sprawy, gdyby nie to, że wstąpił do partii jeszcze jako student medycyny.

Fiona poczuła, że robi się jej słabo. Usiadła z powrotem na krześle. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. - Do partii komunistycznej? - Na szczęście, nigdy nie zwierzała się z niczego Kennedy'emu, choć wielokrotnie miała na to ochotę. Jako człowiek handlujący samolotami i dostarczający je klientom, wydawał się zagorzałym zwolennikiem kapitalizmu, ale oczywiście mógł to być kamuflaż.

W trakcie swojej pracy dowiedziała się, że KGB finansuje tysiące takich przedsiębiorstw, by zapewnić swym agentom bezpieczny parawan.

- Tak. Jaka szkoda, że nikt nie dostrzegł jego ogromnych możliwości i nie odwiódł go od tego pomysłu. Członkowie partii nie mogą, oczywiście, wykonywać żadnych ważnych zadań.

- Czy zna pan jakieś daty?

- Nic od lipca 1978 roku. Ale oboje wiemy, jak niedbale ci urzędnicy nanoszą poprawki.

Poczuła szum w głowie i zrobiło jej się niedobrze. - Co dla nas robił?

- Te szczegóły nie figurują w naszych aktach. Rezydent londyński przekazywał je bezpośrednio do Moskwy. Pewnie chodziło o śledzenie kogoś, o

załatwianie mieszkania albo dostarczanie referencji; tego rodzaju ludzi wykorzystuje się do takich właśnie usług.

A więc tak wyglądała prawda: lipiec 1978, miesiąc przed „przypadkowym” spotkaniem na stacji Waterloo. Odstraszyła Martina, więc Moskwa znalazła inny sposób kontrolowania jej ruchów. Tak, mieli dość czasu, by przygotować Harry’ego i udzielić mu instrukcji. A więc Harry Kennedy śledził ją na zlecenie Moskwy. Czy grał tę samą rolę również w Berlinie? „Nic od lipca 1978”.

- Chce pani, żebym zapytał Moskwę, czy nadal z nim współpracuje?
- Nie, *Hen Renn*. Nie sądzę, by było to rozsądne.

Spojrzał na nią i zauważył, że nie czuje się dobrze. - Jak pani sobie życzy, *Frau Direktor*. - Zebrał swoje papiery i taktownie wyszedł z pokoju.

Połknęła trzy aspiryny; zawsze miała przy sobie kilka opakowań, ale tabletki zazwyczaj tylko łagodziły natężenie bólu. Zasłoniła oczy dłońmi. Koncentrując się na dawnych wspomnieniach, potrafiła czasem siłą woli pokonać ataki migreny. Wizerunki męża i dzieci przemknęły w jej pamięci jak wyblakłe i niewyraźne fragmenty starego filmu. Przez dłuższy czas siedziała bez ruchu, jak ktoś, kto wyszedł bez szwanku z rozbitego samochodu.

21

Berlin, marzec 1984.

Dyrektor Generalny, jak zwykle niespokojny i wymagający, składał jedną ze swych krótkotrwałych, nieoficjalnych wizyt w Berlinie. Frank Harrington, berliński Rezydent, był wściekły, że musi bez uprzedzenia zmienić swój rozkład dnia, ale Sir Henry taki już był. Zawsze taki był, a ostatnio robił się coraz gorszy. Nie tylko wysuwał niewygodne propozycje, na które wszyscy musieli bez dyskusji się godzić, ale w dodatku straszliwie marnował czas. Rozsiadał się w najwygodniejszym fotelu z kieliszkiem starego koniaku *Hine* i perorował zawzięcie, zaznaczając co jakiś czas, że musi już iść, jakby ktoś zatrzymywał go wbrew jego woli.

Tak było również tego popołudnia. Sekretariat D-G uprzedził, że Sir Henry chce zjeść „niemiecki lunch”. Tarrant, stary lokaj, który służył u Franka od niepamiętnych czasów, wszystko przygotował. Zasiedli w jadalni pięknej starej rezydencji w Grinewald, która była służbowym mieszkaniem berlińskiego Rezydenta. Kucharz Franka przyrządził *Hasenpfeffer*, danie, z którego od lat słynął, a pokojówka miała na sobie najlepszy, wykrochmalony fartuszek i koronkowy czepek. Wypolerowano stare srebrne sztuce i wyjęto meissenowską porcelanę; stół wyglądał naprawdę wspaniale. D-G zrobił na ten temat uwagę w obecności Tarranta; Tarrant pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

Po lunchu obaj przeszli do salonu na kawę. Nastąpiło to przed dwiema godzinami, ale D-G nadal nie szykował się do wyjścia. Frank żałował, że nie spytał go o porę odlotu, ale teraz wypadłoby to nieuprzejmie. Potakiwał więc przelozonemu, słuchał go i marzył o chwili, w której będzie mógł zapalić fajkę. Stary nienawidził tytoniu -

szczególnie tytoniu tej marki, jaką preferował Frank - więc palenie w jego obecności nie wchodziło w rachubę.

- No cóż, muszę się zbierać - powiedział po raz kolejny D-G, ale nie ruszył się z miejsca. Dzięki Bogu - pomyślał Frank. Gdyby udało mu się pozbyć Starego przed siódmą, zdążyłby jeszcze na brydża, na którego umówił się z kolegami z wojska. - Tak - powiedział Sir Henry, patrząc na zegarek. - Naprawdę muszę już ruszać.

Frank poznał go jeszcze w Eton. Potem Sir Henry prowadził praktykę medyczną w zamożnym regionie rolniczego hrabstwa Yorkshire. Jak sam opowiadał, przyzwyczał się tam do pacjentów, którzy przychodząc do niego po radę, gawędzili przez godzinę o wszystkim, o czym się dało, potem wstawali z krzesła i dopiero stojąc w drzwiach, opowiadali mu beztroskim tonem o swoich dolegliwościach. Tak samo było z D-G. Siedział z Frankiem przez całe popołudnie, wymieniając zdawkowe uwagi; teraz wziął do rąk swój kieliszek, zakręcił nim i wypił jednym haustem jego zawartość. Potem odstawił kieliszek na stół, wstał z fotela i raz jeszcze oznajmił, że musi iść. I dopiero wtedy spytał:

- Czy widziałeś się ostatnio z Bretem Rensselaerem?
- W ubiegłym tygodniu. - Frank potakująco kiwnął głową. - Pytał mnie o radę w związku z tym raportem o strzelaninie w Hampstead. - Wstał i wykonał zachęcający gest w kierunku butelki koniaku, ale Sir Clevemore odmówił.
- Czy mogę spytać, co mu doradziłeś?
- Powiedziałem, żeby nie składał raportu, w każdym razie nie na piśmie.

Powiedziałem, żeby omówił tę sprawę z panem, a potem złożył do akt memorandum odnotowujące tę rozmowę.

- I co on na to?

Frank przeszedł przez pokój, żeby odstawić butelkę. Był nadal szczupły i sprawny. W swoim sportowym garniturze mógł łatwo uchodzić za czterdziestokilkuletniego oficera berlińskiego garnizonu. Trudno było uwierzyć, że przechodził przeszkolenie wspólnie z D-G i miał niebawem przejść na emeryturę.

• Pamiętam dokładnie jego słowa. Powiedział: „Więc uważasz, że powinienem chronić własny tyłek?”

- A czy nie to miałeś na myśli?

Frank zatrzymał się w miejscu, na środku perskiego dywanu. - Wiedziałem, że włączy pan do akt pisemną wersję ustnego raportu, który Bret panu złoży - powiedział, starannie dobierając słowa.

- Wiedziałeś to?
- O ile będzie to właściwe rozwiązanie.

D-G z powagą kiwnął głową. - Bret o mało nie został zabity. Bernard Samson zastrzelił dwóch Sowietów.

- Bret powiedział mi o tym. Mieliśmy szczęście, że nasi ludzie ulotnili się przed przyjazdem policji.

- Jeszcze jesteśmy w lesie, Frank.

Frank zastanawiał się, czy powinien drążyć ten temat, ale doszedł do wniosku, że Sir Henry sam poinformuje go o wszystkim, kiedy uzna, że nadszedł właściwy moment.

- Z tego, co mówi się w Berlinie, wynika, że stał za tym bandzior KGB nazwiskiem Moskwin - powiedział. - Ten sam drań, który zamordował tego młodego człowieka w punkcie kontaktowym w Bosham.

- To samo twierdzi Wydział Dochodzeń i Szkolenia, więc chyba istotnie tak było. - D-G odwrócił się, podszedł ponownie do fotela, po czym spojrzał na Franka. - Będziemy musieli poważnie się nad tym zastanowić.

- Nad przyszłością Breta?

- Nie, do tego jeszcze nie doszło, ale Urząd Administracji Państwowej przeżywa jeden z tych okresów, w których panicznie się boi jakichkolwiek skarg ze strony Rosjan.

- Dwaj zabici bandyci z KGB? Uzbrojeni mordercy? Wydaje mi się mało prawdopodobne, by Moskwa okazała zainteresowanie takim epizodem, Sir Henry.

- Czy jest to przemyślana opinia, oparta na twoich berlińskich doświadczeniach?

- Owszem.

- Ja również tak uważam, ale ci ludzie z Urzędu Administracji nie słuchają opinii ekspertów; zbyt są zajęci troską o interesy polityków, którym służą. - D-G powiedział to bez żalu czy choćby niezadowolenia. - Oczywiście, wiedziałem o tym, przyjmując to stanowisko. Strategia naszego Departamentu, podobnie jak strategia każdej innej agencji rządowej, musi zależeć od zmieniającego się klimatu politycznego.

- Kiedy ostatni raz mówił mi pan o tym - powiedział Frank - dodał pan: ale kwestie taktyki pozostają w moich rękach.

- Pozostają w moich rękach, dopóki błędy taktyczne nie przedostają się na pierwsze strony dzienników. Czy widziałeś fotografie tej pralni?

- Widziałem, sir. - Wielkie, wydrukowane na pierwszych stronach zdjęcia zakrwawionego wnętrza pralni i ciał zastrzelonych ludzi zrobiły spore wrażenie na czytelnikach. Cokolwiek jednak mówiono w barach i redakcjach gazet o tej strzelaninie, autorzy opublikowanych relacji twierdzili, że był to kolejny rozdział gangsterskich porachunków, i sugerowali, iż w otwartych przez całą noc sklepach i pralniach uprawiany jest handel narkotykami.

- „Piątka” domaga się szczegółowego śledztwa, a Sekretarz Gabinetu jest przekonany, że eksperci „piątki” mogliby nam udzielić cennej pomocy.

- Wspólne śledztwo?

- Nie mogę przeciwstawić się Urzędowi Administracji. Poruszę tę sprawę na posiedzeniu komisji i będę liczył na twoje poparcie.

- Skoro jest pan pewien, że to właściwa droga - powiedział Frank. Tylko ton jego głosu subtelnie sugerował, że nie podziela tego zdania.

- Chcę dokonać manewru, zanim otrzymam wyraźne polecenie. W ten sposób będę mógł powołać komisję i zrobić Breta jej przewodniczącym.

- Czy uważa pan, że Bret będzie potrzebował tego rodzaju pomocy i ochrony?

- Owszem, tak uważam. Ale chcę, byś mi powiedział, czy Bret ma dość energii, by doprowadzić sprawę do końca? Pomyśl, zanim mi odpowiesz, Frank. Jest to dla mnie ważna sprawa.

- Energii? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie tak lub nie, Sir Henry. Widział pan przecież, co się dzieje z Departamentem od czasu dezercji Fiony Samson.

- Chodzi ci o morale?

- Chodzi mi o morale i o wiele innych rzeczy. Jeśli myśli pan o naciskach psychologicznych, proszę spojrzeć na młodego Samsona. Znajduje się pod straszliwą presją, a co gorsza są w Departamencie ludzie, którzy twierdzą, że od początku musiał wiedzieć o poczynaniach żony.

- Owszem, niektórzy członkowie personelu zwierzali mi się ze swoich obaw w tej materii - ze smutkiem oznajmił D-G.

- Kiedy człowiek przeżywa trudny okres w małżeństwie, może się oderwać,

chodząc do pracy; człowiek przeżywający trudności w pracy, może się pocieszać myślą, że niebawem wróci do domu i rodziny. Bernard Samson jest w nieustannym napięciu.

- O ile wiem, nawiązał coś w rodzaju romansu z jedną z urzędniczek niższego szczebla - powiedział D-G.
- Samson jest człowiekiem zdesperowanym - stwierdził Frank tonem człowieka, który głosi oczywistą prawdę. Nie chciał dyskutować o prywatnym życiu Bernarda Samsona; uważał, że trzeba traktować bliźnich w taki sposób, w jaki sam chciał być traktowany przez nich.

- Zapytałem cię o Breta Rensselaera - przypomniał mu Sir Henry.
- Samson jest człowiekiem zdesperowanym - powtórzył Frank - ale potrafi znieść sporą ilość krytycznych ocen. Jest urodzo-

nym buntownikiem, więc kiedy ktoś nazwie go zdrajcą, rozpustnikiem lub czymkolwiek innym, potrafi się bronić. Bret ma zupełnie inną osobowość. Kocha Anglię tak bardzo, jak potrafi ją kochać jedynie sentymentalny cudzoziemiec. Dla takich ludzi nawet cień podejrzenia jest huraganem, który może ich zdmuchnąć z powierzchni ziemi.

- Dobrze powiedziane! Czy chodziłeś w Wadham na wykłady z *Literae Humaniores*!

Frank uśmiechnął się posepnie, ale nie odpowiedział. Znał D-G od czasów wojny; jako bardzo młodzi ludzie dzielili kiedyś kwaterę. Sir Henry wiedział o tym, że jego podwładny zna doskonale grecką i rzymską klasykę i - jak podejrzewał Frank - trochę mu tego zazdrościł.

- Czy Bret się załamie? - spytał D-G. - Czy jeśli komisja zwróci się przeciwko niemu - a w naszej części świata komisje mają zwyczaj atakować słabych przewodniczących - będzie umiał zachować stanowczość?

- Czy to śledztwo ma jakąś oficjalną nazwę?

Sir Clevemore uśmiechnął się. - Jest to śledztwo w sprawie Ericha Stinnesa i metod postępowania wobec niego po jego przejściu na naszą stronę.

- Bret dostanie niezłą szkołę - stwierdził Frank.
- Tak myślisz?
- W Departamencie szumi od plotek, Sir Henry. Musi pan o tym wiedzieć, bo inaczej nie zadawałby mi pan tego rodzaju pytań.

- Jaki jest ton tych plotek?
- Uważa się powszechnie, że Erich Stinnes zrobił kompletnego durnia z Breta Rensselaera i ośmieszył cały Departament.
- Bret nie miał dość doświadczenia, by poradzić sobie z tak przebiegłym facetem jak Stinnes. Myślałem, że Samson wskaże Bretowi właściwą drogę, ale myliłem się. Teraz wygląda na to, że Stinnes został wysłany do nas z misją dezinformacyjną.
- Czy takie jest oficjalne stanowisko?
- Nie, ja nadal nie jestem pewien, na czym polega gra Stinnesa.
- Wysoki rangą funkcjonariusz KGB, taki jak Stinnes, wysłany do nas z misją dezinformacyjną, może zrobić, co mu się podoba i nie przejmować się konsekwencjami. Może zdecydować się na przejście na naszą stronę.
- Podzielam ten pogląd. - Sir Clevemore wyciągnął pudełko cygar i przez chwilę zamierzał zapalić. Potem jednak odrzucił ten pomysł. Zawsze nosił przy sobie dwa cygara, żeby zabezpieczyć się na wypadek nagłej potrzeby, mimo że lekarz zabronił mu palenia tytoniu. Może nie było to zbyt mądre; czasem wydawało się torturą.
- Twierdzisz, że zdaniem części personelu Bret pozwolił zrobić z siebie durnia. Co myśli reszta?
- Większość personelu wie, że Bret jest odpowiedzialny i pomysłowy.
- Wiesz, co mam na myśli, Frank.
- Owszem. Wiem, co pan ma na myśli. No cóż, jest kilku zapaleńców, którzy myślą, że Bret współpracował z Fioną Samson.
- Współpracował z nią? Czy uważają, że Bret Rensselaer i Fiona Samson od dawna pracowali dla Moskwy?
- To skrajny pogląd, Sir Henry, ale oni rzeczywiście spędzali razem mnóstwo czasu. Krążą plotki o ich romansie - o tym, że widziano ich kilka razy w nieodpowiednich hotelach... zna pan tego rodzaju domysły. Nawet młody. Samson nie jest całkowicie pewien, że to nieprawda.
- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że krążą takie absurdalne pogłoski.
- Ludzie zastanawiają się, dlaczego Bret, który spędził całe życie za biurkiem, bierze broń, idzie do tej pralni i próbuje sił w roli rewolwerowca. Mamy specjalistów od takich misji.

- To nie było całkiem tak - oświadczył D-G.
- Jedna z gazet nazwała to „strzelaniną w O.K. Corral”. Obawiam się, że ten opis dał podstawę do wielu kiepskich żartów.

D-G głośno pociągnął nosem. - Berlin śmierdzi piwem; czy zauważyłeś to, Frank? Oczywiście, nie jest jedynym niemieckim miastem, w którym unosi się taki zapach, ale ja czuję go tutaj wyraźniej niż gdziekolwiek indziej. Chmiel albo zacier, czy coś innego... - dodał niepewnie, jakby chcąc podkreślić swój brak zainteresowania tym plebejskim napojem.

- Będzie pan musiał go poprzeć, Sir Henry. Wyraźnie i jednoznacznie.
- Nie będę w stanie tego zrobić, Frank. Musi podjąć ryzyko na własną rękę.
- Co pan ma na myśli, sir?
- Istnieją ważne powody, dla których nie mogę udzielić mu poparcia; żadnego poparcia.

Frank był zdumiony. Choć nie bez powodu słynął z nieskazitelnych manier, o mało nie zapytał, czym, do cholery, powinien zajmować się Dyrektor Generalny, jeśli nie wspieraniem swoich ludzi, którzy znajdują się w trudnej sytuacji.

- Czy są to powody polityczne, czy operacyjne? - Po raz pierwszy w życiu zdobył się na coś w rodzaju buntu, ale Sir Clevemore przyjął jego wymówkę bez sprzeciwu. Z drugiej strony wiedział, że słusznie postanowił nie mówić Frankowi całej prawdy o Fionie Samson. Stinnes miał wrócić do Moskwy wierząc głęboko, że Fiona Samson jest zdrajczynią. Przyznając, że powody, dla których nie może poprzeć Breta Rensselaera, mają charakter operacyjny, byłby tylko o krok od ujawnienia misji Fiony Samson.

- Nie mogę w to wchodzić, Frank - oznajmił D-G stanowczo. Pogodził się z tym, że Bret Rensselaer jest podejrzany o spiskowanie z Fioną.

• Jedno dodatkowe pytanie, panie dyrektorze - powiedział Frank. Zarówno forma, w jakiej zwracał się do przełożonego, jak i ton jego głosu dowodziły, że pytanie ma charakter oficjalny. - Czy Bret Rensselaer ma zostać ofiarą? Czy ma to być koniec jego kariery? Czy taki jest cel śledztwa? Muszę to wiedzieć, żeby móc sformułować swoje własne odpowiedzi.

- Mój Boże, nie! Wcale nie chcę rzucić Breta na pożarcie rekinom, szczególnie rekinom z Whitehall. Chcę, żeby wyszedł z tego zwycięsko. Ale nie mogę go bronić osobiście.

- Cieszę się, że mi pan to wyjaśnił, Sir Henry.

Wymiana poglądów doprowadziła do pata i D-G zdawał sobie z tego sprawę. - Mam nadal wiele zadań, które chcę powierzyć Bretowi i uważam, że jest on jedynym człowiekiem do ich zrealizowania.

Frank kiwnął głową. Uznał tę uwagę za aluzję do waszyngtońskich kontaktów Breta, które zawsze były dla Departamentu bardzo ważne.

Dzieje strzelaniny w Hampstead, która tak niepokoiła D-G, a którą Frank Harrington, cytując pewną gazetę, z satysfakcją nazwał „strzelaniną w O.K. Corral” miały swój początek na tydzień przed wizytą D-G w Berlinie.

Gdyby Bret Rensselaer wykazał cechujący go zwykle zdrowy rozsądek, trzymałby się od tej sprawy z daleka. Ale Bret nie był sobą.

Bret Rensselaer tęsknił za Fioną Samson, tęsknił za nią straszliwie. W okresie bliskiej współpracy spotykali się regularnie i potajemnie jak kochankowie, a to zwiększało jeszcze jego ból. Bret nie mógł, oczywiście, zwierzyć się nikomu ze swych uczuć, a widok Bernarda Samsona, który utracił tę idealną kobietę, zajmował się swoimi sprawami, wykazując zwykłą beztroskę, nie poprawiał jego samopoczucia. Bez względu na to, co mówiono o cierpieniach Samsona, Bret widział tylko Bernarda, którego chciał widzieć. Był szczególnie wstrząśnięty, kiedy odkrył, że Bernard żyje obecnie z piękną i młodą koleżanką z pracy. Zastanawiał się, jak przyjmują to dzieci. Był pełen oburzenia, ale starannie ukrywał swój stosunek do tej sprawy. Wiedział, że nie ma wpływu na losy dzieci Samsona. Miał nadzieję, że Fiona nie oskarży go kiedyś w przyszłości o działanie w złej wierze.

Udział Breta w strzelaninie, do której doszło w pralni, zmienił wiele spraw. Dla niego był to po prostu wstrząs. Dramatyczne wydarzenia tej nocy uraziły jego psychikę i nigdy już całkowicie nie wrócił do siebie.

Jego zdaniem, wszystko wskazywało na to, że spotkanie z agentami KGB będzie miało przebieg całkowicie rutynowy. Nie otrzymał żadnego ostrzeżenia. Siedział obok Bernarda w czynnej przez całą noc pralni w Hampstead i nagle znalazł się w samym centrum jednego z najbardziej przerażających koszmarów, jakie przeżył.

Patrzyli na obracające się w pianie koszule Samsona. Samson upierał się, że obaj powinni mieć ze sobą bieliznę do prania, i przyniósł nawet w plastikowej torebce trochę proszku, oznajmiając, iż nie lubi gatunku, który sprzedawano na miejscu. Bret zastanawiał się, czy jest to objawem jego skrupulatnej troski o szczegóły, czy też jakimś żartem. Teraz Samson zaglądał co jakiś czas do leżącej na jego kolanach

gazety. Nie uprzedził Breta, że zawinał w egzemplarz dziennika *The Times* cholernie duży rewolwer z tłumikiem. Opowiadał coś o swoim ojcu, jak człowiek, którego nie gnębią żadne troski.

Samson potrafił być zabawnym kompanem, kiedy był w dobrym nastroju. Jego cyniczne komentarze dotyczące przełożonych, rządu i całego otaczającego świata były po części samoobroną przed systemem, który nigdy w życiu nie dał mu prawdziwej szansy, ale zawierały niekiedy sporo prawdy. Bernard miał opinię człowieka, któremu dopisuje szczęście, ale zawdzięczał je profesjonalizmowi i ciężkiej pracy. Był człowiekiem twardym i nie ulega wątpliwości, że Bret zgodził się osobiście uczestniczyć w tej akcji głównie dlatego, iż czuł się w jego towarzystwie bezpieczny.

Bernard miał na sobie starą kurtkę i czapkę, którą kupił w sklepie Oxfam specjalnie z myślą o tej wycieczce. W torbie, pod brudną bielizną Breta, leżała gruba koperta, zawierająca czterdzieści studola-rowych banknotów. Pochodziły one z funduszu służbowego. Mieli je wręczyć kurierowi KGB, który posłużył się hasłem „Bingo”. Na ulicy rozstawiono odpowiednio liczne posterunki, które miały uprzedzić ich o zbliżaniu się kurierów i - gdyby Bret uznał to za wskazane - zatrzymać ich. Bretowi wszystko wydawało się bardzo proste, ale wypadki potoczyły się zupełnie inaczej, niż przewidywał.

Nie zostali uprzedzeni przez dyżurujących na ulicy funkcjonariuszy. Jeden z agentów KGB schronił się na górze, w pokoju nad pralnią, a kiedy wszedł do niej niespodziewanie, trzymał w ręku strzelbę z obciętą lufą. Potem wkroczył drugi, identycznie uzbrojony mężczyzna. Podał hasło: „Bingo”. Bret zachował całkowity spokój; tak przynajmniej twierdził, wspominając później cały epizod. Sięgnął po kopertę, chcąc pokazać im pieniądze.

Kolejność wydarzeń, które nastąpiły później, była przedmiotem sporów; nie ulega jednak wątpliwości, że wszystko potoczyło się bardzo szybko. Samson twierdził, że do działania skłonił go wybuch zaparkowanego na ulicy samochodu. W zapamiętanym przez Breta scenariuszu Samson przejął inicjatywę jeszcze przed tą eksplozją.

Samson nie wstał z krzesła; zaczął strzelać na siedząco. Wykorzystał Breta jako tarczę, o co Bret, kiedy zdał sobie z tego sprawę, był na niego oburzony do końca życia. Wychyliwszy się nieco do przodu, by dokładnie zobaczyć intruzów - było ich już dwóch - spokojnie wymierzył i strzelił. Nie wyjął nawet pistoletu spod zasłaniającej go gazety. Pistolet wyposażony był w tłumik. Bret usłyszał dwa głucho trzaski i ze zdumieniem zobaczył, że jeden z ludzi KGB zatacza się do tyłu, wypuszcza strzelbę, chwyta się za brzuch i pada na automatyczne pralki, brocząc krwią.

Samson zerwał się nagle i wybiegł. Bret pamiętał potem, że odepchnął go brutalnie na bok i potknął się o leżącą na podłodze strzelbę. Samson twierdził natomiast, że pchnął Breta w bezpieczne miejsce i kopnięciem podsunął mu upuszczoną przez napastnika broń. Robił nawet Bretowi wymówki, zarzucając mu, że nie podniósł strzelby i nie

wybiegł za nim przez tylne drzwi, by ścigać pozostałych wrogów. Bret został w pralni i obserwował śmierć młodego agenta KGB, który wymiotował, krwawił i jęczał jak dziecko. Bret nigdy nie widział niczego podobnego; było to drastyczne i obrzydliwe. Z góry doszedł odgłos dalszych strzałów - Samson zabił następnego napastnika - a potem nagle było już po wszystkim; Bret został wepchnięty do samochodu, który pomknął w ciemność, mijając nadjeżdżający radiowóz policyjny. Ku zdumieniu Breta Samson wybrał ten właśnie moment, by go poinformować, że ocalał mu życie.

- Ocalałeś mi życie, ty sukinsynu?! - piskliwym dyszkantem zawołał Bret. - Najpierw strzelasz, wykorzystując mnie jako tarczę. Potem wybiegasz z pralni, zostawiając mnie samego!

Samson wybuchnął śmiechem. Była to po części nerwowa reakcja na przeżyty przed chwilą wstrząs, ale Bret nigdy mu tego nie zapomniał. - Na tym polega praca agenta operacyjnego, Bret - powiedział. - Gdybyś był wyszkolony lub doświadczony, upadłbyś na podłogę. Albo, co byłoby jeszcze bardziej słuszne, zlikwidowałbyś tego drugiego drania, zamiast zostawiać ich wszystkich na mojej głowie. Bret prawie go nie słuchał; nie mógł zapomnieć widoku umierającego człowieka KGB, który stał schylony, trzymając się jednej z pralek i brocząc pienistą krwią, mieszającą się z zalewającymi podłogę mydlinami.

- Mogłeś go tylko zranić - wykrztusił zdławionym głosem.

Bernard zareagował na tak naiwny zarzut drwiącym uśmiechem.

- Tak bywa tylko w kinie. Tak robili Wyatt Earp i Jesse James. W prawdziwym życiu nikt nie wystrzeliwuje przeciwnikowi pistoletu z ręki ani nie rani go w ramię. W prawdziwym życiu można przeciwnika trafić albo chybić. Trafienie w ruchomy cel jest wystarczająco trudne bez wybierania fragmentów jego anatomii. Więc nie opowiadaj mi takich bredni.

Bret uznał, że dyskusja z Samsonem jest bezprzedmiotowa, ale nie zmienił swego stosunku do niego. Nie podobało mu się to, że Samson podejmuje szybkie decyzje z takim stanowczym przekonaniem o ich słuszności i nie ma później najmniejszych wyrzutów sumienia. Kobiety uwielbiały takie cechy u mężczyzn, a przynajmniej zdawały się je uwielbiać, ale Bretowi podjęcie każdej decyzji przychodziło z coraz większym trudem.

Bret zaczynał rozumieć, że realizując swoje plany, będzie musiał stać się co najmniej tak bezwzględny jak Bernard. Ale jego obecny stan ducha bardzo mu to utrudniał. Czasem siedział wpatrzony w biurko przez pół godziny, nie potrafiąc uporać się z najprostszymi sprawami. Być może, popełnił błąd idąc do lekarza i prosząc go o radę. Lekarz Departamentu był kompetentny i pomocny - w gruncie rzeczy spełnił wszystkie oczekiwania Breta - ale zgodnie z zarządzeniem poinformował o tej wizycie jego przełożonych.

Zaczął się to od nieznacznego ograniczenia jego zdolności koncentracji i od

porannej bezsenności. Potem Bret zaczął zauważać, że jest traktowany jak outsider. Odnoszono się do niego z obojętnością i dystansem, nawet wtedy gdy przewodniczył obradom komisji. Jego podejrzenia nabrały podstaw, gdy powołano dwie podkomisje, świadomie wykluczając go z ich składu. Oznaczało to, że trzy czwarte członków jego komisji mogło spotykać się na posiedzeniach, na które on nie miał prawa wstępu.

Bret nie wiedział, że scenariusz jego upadku został mistrzowsko przygotowany w Moskwie. Jego wybór nie został podyktowany podejrzeniami, że on właśnie uplasował Fionę Samson w Berlinie, ani żadnymi innymi konkretnymi przyczynami. KGB uznało po prostu, że stał się nagle łatwym celem kampanii podejrzeń, jednej z tych kampanii, które tak często z powodzeniem przeprowadzało w przeszłości. Moskwa nie tylko podsyciała podejrzenia i rozpowszechniała pogłoski, ale w miarę postępu operacji prokurowała również fałszywe poszlaki. Niektóre jej pociągnięcia były na tyle prymitywne, że przekonały prawdziwych ekspertów - na przykład Ladbrooma, starszego inspektora śledczego - iż Moskwa próbuje zdyskredytować Rensselaera, ale nawet eksperci nie mogli ignorować pewnych faktów.

Dyrektor Generalny domyślał się mgliście, o co chodzi, więc postanowił pojechać do Berlina i porozmawiać z Frankiem Harringtonem. Frank był jego starym przyjacielem i wypróbowanym członkiem ścisłego kierownictwa Departamentu. Ale zjedzony z nim lunch i późniejsza popołudniowa rozmowa nie rozwiały wątpliwości Dyrektora Generalnego. Frank powtórzył mu tylko kilka maglowych plotek, przygotował go jednak w ten sposób na telefon pracownika Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który oznajmił Morganowi - asystentowi Sir Cleve-more - że Ladbroom i Tiptree pragną się jak najprędzej zobaczyć z jego szefem i dodał odważnie, iż termin jutrzejszy jest zbyt odległy.

Wszyscy czekali na D-G w sali konferencyjnej numer 2. Był tam Ladbroom, starszy inspektor śledczy, uczciwy, spokojny pięćdziesięcio-latek, który nigdy nie tracił panowania nad sobą, i Harry Strang, ogorzały weteran Wydziału Operacyjnego. Towarzyszył im Henry Tiptree, młody człowiek, którego Wydział uważał za najjaśniejszą ze swoich wschodzących gwiazd. W kącie siedział spokojnie zastępca D-G, Sir Percy Babcock.

Na stole poukładano notatniki i ołówki; stał też na nim dzbanek z wodą oraz kilka szklanek.

- Kogo jeszcze się spodziewamy? - spytał Sir Henry, policzywszy obecnych.

- Nie udało nam się porozumieć z Cruyerem - odparł Strang - ale zostawiłem wiadomość jego sekretarce.
- Czy sądzi pan, że ta sesja potrwa długo? - spytał Sir Henry swojego zastępcę.
- Nie, bardzo krótko, panie dyrektorze. Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego chce panu przedstawić pewne fakty.
- Spore zgromadzenie - zauważył D-G. Miał ponad sześć stóp wzrostu i bardzo szerokie ramiona, więc górował nad otoczeniem.
- Będziemy potrzebowali pięciu podpisów - łagodnym tonem powiedział jego zastępca.
- Hmm... - mruknął D-G, wyraźnie przygnębiony. Wszyscy wiedzieli, jaki formularz wymaga pięciu podpisów: formularz Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego. - I nikt nie robi notatek?
- Zgadza się, panie dyrektorze. - Wiedział już, o co chodzi. Jedynym sposobem uratowania Breta od tego upokarzającego śledztwa byłoby ujawnienie sekretu Fiony Samson. Ale to nie wchodziło w rachubę. Bret był skazany na własne siły.

Wszyscy usiedli. Zastępca pstryknął swoim złotym długopisem, a Harry Strang wyjął papierosy, a potem, przypomniawszy sobie o obecności D-G, schował je z powrotem do kieszeni. Tiptree, wysoki, szczupły rudzielec o ogorzalej twarzy, nalał sobie szklankę wody i wypił ją z elegancką precyzją.

Ladbrook spojrzął wokół stołu. Wszyscy patrzyli na niego z oczekiwaniem, tylko Henry Tiptree rysował w notatniku jakieś kółka. - Czy chciałby pan zacząć, Sir Percy? - spytał z szacunkiem Ladbrook.

- Proszę po prostu powtórzyć dyrektorowi to, co powiedział pan mnie - odparł zastępca.
- Obawiam się, że dotyczy to kierownictwa - oznajmił Ladbrook. D-G spojrzął na niego, ale na jego twarzy nie malował się cień jakiegokolwiek emocji.
- Chodzi o Breta Rensselaera - podpowiedział Tiptree, podnosząc głowę znad notatnika. Kosmyk włosów opadł mu na twarz, ale odgarnął go ruchem ręki.
- Przeciek? - spytał D-G, choć wiedział, na co się zanosi.
- Coś poważniejszego - odparł Ladbrook.
- Mam tu teczkę z dokumentami - oznajmił Tiptree, dotykając leżącego

przed nim na stole kartonowego skoroszytu.

- Nie chcę oglądać żadnych teczek - powiedział Sir Clevemore z ponurym uporem, który sprawiał wrażenie irytacji. Wszyscy czekali na jego dalsze słowa, ale on tylko usiadł wygodniej w fotelu i westchnął.

Sir Percy pstryknął długopisem i rzekł: - Ponieważ Bret często otrzymuje polecenia bezpośrednio od pana, myślałem, że zechce pan interweniować.

- Czy ktoś rozmawiał już z Bretem? - spytał D-G.
- Jeśli pan pozwoli - odparł Ladbrook - to proponuję odbycie wstępnej „rozmowy informacyjnej”, gdy tylko śledztwo nabierze charakteru oficjalnego.
- Tak się zwykle postępuje, prawda?
- Owszem, Sir Henry, tak wygląda normalna droga.
- Inspektor śledczy chciał się upewnić, że Bret nie odmówi zeznań, powołując się na pana - powiedział zastępca.
- Podczas tego rodzaju śledztwa - dodał Ladbrook - taka strata rozpędu może być później trudna do odrobienia.
- Rozumiem - stwierdził D-G. Zauważył, że Harry Strang wyjmuje z kieszeni pióro. A więc Harry wiedział, jak się to musi skończyć.
- Będzie zapewne próbował porozumieć się z panem telefonicznie - powiedział Ladbrook. - To znaczy, po pierwszej rozmowie ze mną będzie usiłował się z panem połączyć.
- I chce pan, żebym nie odbierał tego telefonu? - spytał D-G.
- Jak pan uważa, Sir Henry.
- Ale jeśli go odbiorę, to utrudnię panu śledztwo; czy nie to chce mi pan powiedzieć?

Ladbrook uśmiechnął się uprzejmie, ale nie odpowiedział.

- Dajcie mi ten formularz - zażądał Sir Clevemore. - Załatwmy to możliwie jak najszybciej. - Zastępca podał mu długopis i przesunął w jego kierunku po politurowanym blacie stołu plik papierów.

- Ja zajmę się resztą formalności - łagodnie zaproponował zastępca. - Morgan może parafować zlecenie w pańskim imieniu.

- To będzie kompletne fiasko - oznajmił D-G, składając swój podpis. - Mogę wam to powiedzieć tu i teraz. Znam Breta Rensselaera od lat. Bret Rensselaer to sól ziemi.

Harry Strang uśmiechnął się. Był na tyle stary, że pamiętał, jak ktoś użył tego samego określenia w stosunku do Kima Philby.

22

Anglia, kwiecień 1984.

W starym szkolnym dowcipie pada pytanie: Jak daleko można wejść w las? Do połowy: potem już się z niego wychodzi. Rakieta zatrzymuje się w powietrzu i zaczyna spadać w kierunku ziemi; kariera sportowca osiąga szczyt, po którym następuje początek spadku formy. Kwiat w pełni rozkwitu zaczyna opadać; woda po osiągnięciu najwyższej temperatury ulatnia się, przekształcając w parę. W naturze często chwila triumfu jest początkiem końca. Takim momentem był dla Pawła Moskwin ów piękny dzień w Berlinie, dzień, w którym pierwsze wiosenne pączki zwiastowały koniec zimy.

Erich Stinnes też płynął na wysokiej fali. Wszystko odbyło się tak, jak przepowiadał. Brytyjczycy najwyraźniej zaakceptowali bez zastrzeżeń jego historjkę, gdyż nie byli w stanie uwierzyć, że ktoś mógłby pogardzić ich stylem życia. Stinnes odegrał swoją rolę w sposób perfekcyjny. *Tropfenweise*, kropla po kropli, wsącał wątpliwości podważające nieskazitelną reputację Breta, a w końcu, w obecności całej komisji, całkowicie ją unicestwił.

Kulminacja wszystkich jego wysiłków nastąpiła podczas rutynowej wizyty „komisji Stinnesa” w Centrum Przesłuchań w Berwick House, gdzie go trzymano. Ta osiemnastowieczna rezydencja, stojąca w atrakcyjnym parku i otoczona pięciometrowym murem oraz zabytkową fosą, została bez trudu zaadaptowana na centrum dla osób internowanych. Urzędnicy administracji państwowej, którzy wydarli właścicielom dom z całym wyposażeniem za pomocą jakichś kruczków prawnych, nie zrobili wiele, by naprawić szkody wyrządzone przez Luftwaffe. W budynku unosił się zapach wilgoci i wystarczyło spojrzeć z bliska na butwiejące belki konstrukcyjne, by przekonać się, że najciężej pracującymi istotami na terenie domu są korniki.

Wszyscy członkowie komisji, z wyjątkiem Breta, przyjechali specjalnym autobusem. Bret przywieziony został bentleyem przez swojego szofera, wykorzystawszy porę lunchu na wizytę u lekarza. Wydawał się wyczerpany i miał pod oczami ciemne kręgi, które sprawiały, że wiecznie młody Bret nagle się zestarzał.

Komisja była tak liczna, że jej członkowie zasiedli przy dużym, politurowanym stole w dawnej jadalni. Na ozdobionej boazerią ścianie wisiał duży olejny obraz. Na wzgórzu, na tle niedawno zbudowanego Berwick House, stała rodzina właścicieli rezydencji, pozując malarzowi, który składał najszczerzy komplement Thomasowi Gainsborough, czyli naśladował jego styl.

Wszyscy członkowie komisji usiłowali zademonstrować swą ważność i wiedzę. Bret Rensselaer, jako przewodniczący, usiadł u szczytu stołu. Na drugim końcu siedział Stinnes, zajmując jakby pozycję jego adwersarza, co zdaniem Breta mogło być przyczyną późniejszego niepowodzenia. Bret często zerkał na zegarek, ale miał na twarzy ów wyraz skupienia, który opanowują do perfekcji członkowie licznych komisji, by nikt się nie domyślił, że drzemią. Słyszał to wszystko już przedtem. No dobrze - pomyślał Stinnes - spróbuję pana obudzić, panie Rensselaer.

W skład takiej komisji wchodzi zawsze kilku ludzi, którzy wszystko wiedzą. Tak samo było w Moskwie; Stinnes mógłby wymienić po nazwisku ich rosyjskich kolegów. Największym nudziarzem był Billy Slinger z MI 5, kościsty jegomość z cienkim, starannie przystrzyżonym wąsem, wyróżniający się afektowanym sposobem

mówienia, który irytował Stinnesa. Został dokooptowany do komisji jako specjalista od systemów łączności. Uważał oczywiście, że musi wszystkim unaocznic swoją głęboką mądrość.

Stinnes znosił blaski i cienie swojego pobytu w centrum dla internowanych bez widocznych zmian w wyglądzie, ale w jego wyglądzie niewiele mogło się zmienić. Był żylastym czterdziestolatkiem o szczupłej twarzy i krótko ostrzyżonych włosach. Kiedy zdejmował okulary w metalowej oprawce, co robił dość często, mrugał oczami jak sowa i przyglądał się siedzącym za stołem członkom komisji w taki sposób, jakby wolał ich widzieć niezbyt ostro.

Stinnes zręcznie odpowiadał na pytania i pozwalał Slingerowi zademonstrować swoją techniczną wiedzę, dopóki dyskusja nie zeszła na system szyfrów. Moskwa pozwoliła mu ujawnić pewne fakty, więc spokojnie, konwersacyjnym tonem, omawiał metody pracy ambasady. Zaczął od procedury rutynowej, a potem przeszedł do stosowanych przez KGB sposobów rozszyfrowywania depeesz. To były szczegóły echniczne, których Slinger prawdopodobnie nie znał, więc nie mógł wiedzieć o tym, że zostały już unowocześnione lub są używane wyłącznie do zwykłych połączeń.

Kątem oka obserwował Breta Rensselaera, który zachowywał się jak czujny wąż, zaniepokojony odgłosem zbliżających się ciężkich kroków.

- To wszystko jest dla mnie zupełną nowością - powtarzał kilka razy Slinger, jeszcze bardziej afektowanym tonem, notując tak szybko, że złamał ołówek i musiał sięgnąć po nowy. W końcu poprosił Stinnesa, żeby mówił trochę wolniej.

Inni członkowie komisji również byli bliscy entuzjazmu. Jeden z nich, wykorzystując przerwę między dociekliwymi pytaniami Slingera, spytał Stinnesa, dlaczego nie ujawnił tych istotnych faktów wcześniej. Stinnes nie odpowiedział mu od razu. Spojrzał na Breta Rensselaera, potem zaś odwrócił wzrok i bez pośpiechu zapalił cygaretkę.

- No więc? - spytał w końcu Bret. - Proszę odpowiedzieć na to pytanie.
- Ujawniłem je - powiedział Stinnes. - Powiedziałem panu to wszystko w

ciągu kilku pierwszych dni, ale myślałem, że są to rzeczy, o których już wiecie.

Bret poderwał się tak gwałtownie, jakby zamierzał zacząć krzyczeć. Wszyscy patrzyli na niego. Potem zdał sobie sprawę, że dyskutując ze Stinnesem w obecności komisji narazi się tylko na śmieszność. Usiadł z powrotem na krześle i powiedział:

- Proszę pytać dalej, Slinger. Musimy mieć to wszystko na papierze.

Stinnes zaciągnął się cygaretką i spojrzał na nich obu takim wzrokiem, jakim patrzy psycholog na członków skłóconej rodziny. Potem zaczął udostępniać dalsze informacje: ujawnił sposoby utrzymywania łączności z placówkami zagranicznymi, czasy nadawania zaszyfrowanych depeesz przez ambasadę, a nawet listę pracowników ambasady, którzy zajmowali się łącznością.

Wszystko to trwało około godziny i objęło kilka długich okresów ciszy, w czasie których Stinnes odświeżał swoją pamięć. Pozwolił też sobie na kilka żartów,

które przez kontrast z panującym w sali napięciem wzbudziły powszechną wesołość. Pod koniec sesji wszyscy członkowie komisji byli odurzeni sukcesem. Satysfakcja zaróżowiła ich twarze i krążyła w żyłach jak wzbogacona w glukozę krew. Źródłem ich zadowolenia była w znacznej części radosna świadomość, że Bret Rensselaer, tak chłodny, kompetentny, patriotyczny, o patrycjuszowskich manierach, otrzyma zasłużoną nauczki.

Kiedy Stinnes wychodził z pokoju, odprowadzany przez strażnika na górę, spojrzał na Breta Rensselaera. Żaden z nich nie zmienił wyrazu twarzy, ale w tej wymianie spojrzeń ukryta była świadomość, że ich rywalizacja wyłoniła zwycięzcę.

Bret Rensselaer nie był jednak człowiekiem gotowym udawać umarłego tylko po to, by zadowolić przeciwnika. Był Amerykaninem: pragmatycznym, zaradnym Amerykaninem, pozbawionym zdolności do długotrwałego pogrążania się w żalu, która jest wrodzoną cechą Europejczyków. Kiedy stanął przed ścianą sprzeciwu, wzniesioną pracowicie, cegła po cegle, przez Moskwina i Stinnesa, zrobił coś, czego nie spodziewał się po nim żaden z Rosjan. Pojechał do Berlina i poprosił o pomoc Bernarda Samsona, człowieka, którego od pewnego czasu nie lubił. Wyszedł z założenia, że Samson postępuje w sposób jeszcze mniej konwencjonalny niż on sam, a z pewnością potrafi działać bardziej agresywnie.

- I co teraz zrobimy? - spytał Bret. Spłoszony przez Stinnesa, zagrożony wizją aresztowania, uciekł. Był zbiegiem i wyglądał jak zbieg: przestraszony, zaniedbany i całkowicie pozbawiony zwykłej pewności siebie.

- Co zrobimy? - powtórzył Samson. Berlin był jego rodzinnym miastem i obaj o tym wiedzieli. - Przestraszymy ich tak, że się zesrają - oto co zrobimy.

- Jak?

- Może dajmy im znać, że zaczynamy kolejno wrywać Stinnesowi paznokcie u nóg?

Bret zadrzał. Nie był w nastroju do żartów. - Bądź rozsądny, Bernard. Oni mają w rękach twojego przyjaciela, Wenera Volkmana. Czy nie rozumiesz, co to znaczy?

- Oni nie tkną Wenera.

- Dlaczego?

- Bo wiedzą dobrze, że cokolwiek zrobią Wenerowi, ja odbiję to sobie w dwójnasób na Stinnesie i będę to robił bardzo powoli.

- Czy warto podejmować takie ryzyko? - spytał Bret. - Myślałem, że Volkmann jest twoim najbliższym przyjacielem.
- Co to za różnica?
- Nie zrobimy w tej sprawie żadnego błędu, Bernard. - W głosie Breta słycać było zaniepokojenie. - Stawka jest zbyt wysoka. - Samson zawsze był upartym hazardzistą, ale czy ta eskalacja reakcji była właściwą drogą? A może Bernard oszalał?
- Wiem, jak ci ludzie rozumują, Bret. Moskwa ma obsesję na punkcie wyciągania agentów z trudnych sytuacji. Takie jest obowiązujące prawo; ludzie KGB narażają się na wielkie ryzyko, ignorując tę zasadę.

— Więc proponujemy im wymianę Stinnesa na Wenera Volk-manna?

— Ale najpierw damy im znać— , że zamierzamy przepuścić— Stinnesa przez wyżymaczkę.

— Jezu! Nie podoba mi się to. Czy Fiona będzie jedną z osób podejmujących decyzję?

Bret spojrział na niego, próbując odczytać jego myśli, ale nie było to łatwe.

- Myślę, że tak - odpowiedział.

Trau Samson - powiedział Moskwin z przesadną uprzejmością i obłudnym uśmiechem - czy przygotowała pani zarzuty przeciwko obywatelowi zachodniemieckiemu nazwiskiem Volkmann?

- Jestem w trakcie ich przygotowywania - odparła Fiona amson. Podczas pracy w tej instytucji poznała dobrze Moskwinia niektórzy uważali go za durnia, ale nie mieli racji; Moskwin miał ystry i przewrotny umysł. Gburowaty i nachalny, nie był głupi. Nie był też niezręczny, w każdym razie pod względem fizycznym. Codziennie schodził do suterenu: podnosił ciężary w siłowni, pływał, strzelał na trzelnicy lub wykonywał jakieś inne ćwiczenia. Nie był już młody, ale nadal miał ów nadmiar energii, który zazwyczaj traci się wraz z dzieciństwem.

- Czy ma pani drugą teczkę z jego aktami? - spytał przymilnie. Fiona była zbита z tropu. Sama stworzyła teczkę z aktami Volkmana, która leżała teraz przed nią na biurku. - Mam tylko to, co pan już widział.

- Tylko tyle? - spytał Moskwin, a pytanie to zabrzmiało w jego ustach jak poważna nagana.
- Wiem... - przerwała.
- Słucham? O czym pani wie?
- Pracował kiedyś w biurze SIS w Berlinie.

Moskwin spojrział na nią uważnie. - A jeśli Moskwa zechce zapoznać się z teczką Volkmana? Czy to jest wszystko, co możemy im wysłać? - Odchylił okładkę teczki i pstryknął w nią paznokciami. Wydała pusty dźwięk.

- Owszem - odparła Fiona.

Moskwin spojrział na nią, nie kryjąc pogardy. Zastraszanie rozmówców było jednym z elementów jego metody działania. Ale ona odkryła już jego prawdziwą naturę. Znała wielu takich mężczyzn jak

on. Znała ich w Oxfordzie; hałaśliwych sportowców, zdających sobie sprawę z własnej siły fizycznej i popisujących się agresywnością.

- Znam Volkmana - powiedziała. - Znam go od lat. Oczywiście, że pracuje dla berlińskiego oddziału SIS. Współpracuje też z londyńską centralą wywiadowczą.

- I mimo to nic pani w tej sprawie nie zrobiła? - Moskwin znów spojrział na nią z pogardą.

- Jeszcze nie - odparła Fiona.

- Jeszcze nie - powtórzył. - No więc może zrobimy wreszcie coś w tej sprawie, dobrze? - Mówił do niej protekcjonalnym tonem, uśmiechając się jak sadysta do małego dziecka. - Porozmawiamy z Volkmanem... może przestraszymy go odrobinę.

- Jak?

- Ma pani okazję czegoś się nauczyć, *Frau Samson*. Nie powiedziano mu jeszcze, że zostanie wymieniony na majora Stinnesa. Musimy z niego wycisnąć, co się da.

- Werner Volkmann zarabia pieniądze, robiąc interesy w naszym kraju. Bez tego byłby nędzarzem. Może uda się go namówić do współpracy z nami.

- Dlaczego miałby się na nią zgodzić? - Moskwin przyjrzał się jej uważnie.

- Bo stale przekracza granicę w jedną i drugą stronę. Dlatego tak łatwo było go zwinąć. Dlaczego nie miałby nas informować o tym, co się tam dzieje?

- Umiałaby pani go do tego namówić?

- Mogę spróbować. Mówi pan, że trzymają go w Babelsberg?

- Będzie pani potrzebny samochód.

- Pojadę sama.

- Proszę go tu przywieźć. Ja też chcę się z nim zobaczyć - powiedział

Moskwin.

- Oczywiście, pułkownikowi Moskwin. - Uśmiechnęła się do niego chłodno. -

Ale jeśli przestraszymy go za bardzo, nie wróci.

Zdarzało się to już w przeszłości. Na tym polegał kłopot z agentami: wysyłało się ich na Zachód, a oni niekiedy zostawali tam, nic sobie nie robiąc ze swoich mocodawców. - Nie ma tu żadnych krewnych, prawda?

- Będzie dla nas pracował, pułkownikowi Moskwin. Należy do ludzi, którzy kochają tajemnice.

Teraz, kiedy porównała Moskwinę z hałaśliwymi studentami Oxfordu, przypomniała sobie okres spędzony na uniwersytecie. Nienawidziła go; wszystkie miłe przeżycia zostały już zapomniane.

Pamiętała poznanych tam mężczyzn i długie wieczory w barach, w których głupkowaci studenci pili zbyt dużo i robili z siebie durniów, zawsze starając się podkreślać swoją przewagę nad koleżankami, traktowanymi jak istoty niższego rzędu. Byli to chłopcy o nieokreślonych preferencjach seksualnych, naprawdę szczęśliwi tylko w męskim towarzystwie. Lubili trzymać się pod rękę, głośno śpiewać i wychodzić z baru, by odlać się pod ścianą.

Pojechała po Wenera Volkmana do Babelsberg, na południowo-wschodni koniec Berlina. Ptak przebyłby tę odległość bardzo szybko, ale ptaki latały nad zachodnim sektorem miasta, a dobrzy komuniści musieli - go okrażać. Miejsce to leżało poza granicami Berlina; Poczdam znajdował się na terenie NRD, więc zachodnie mocarstwa nie miały podstaw prawnych do kontrolowania tego terenu. Volkman trzymany był w Ausland Block - jednym z budynków, w których mieściły się niegdyś biura słynnej wytwórni filmowej UFA.

Za pustym gmachem filmoteki i pracowniami znajdował się stary plac zdjęciowy, na którym stały szczątki osiemnastowiecznego miasteczka, zbudowane do filmu *Munchhausen*. - Tutaj była garderoba Marleny Dietrich - oznajmił stary policjant, który zaprowadził Fionę do sali widzeń, wskazując jakiś magazyn zamknięty na kłódkę.

Fiona przytaknęła. Ten sam policjant przekazał jej tę samą informację podczas ostatniej wizyty w tym więzieniu. Sala widzeń miała zakratowane okno, przez które widziała brukowany dziedziniec i swój zaparkowany na nim samochód.

- Czy mam przyprowadzić więźnia?
- Tak jest.

Kiedy wprowadzono Wenera Volkmana, wydawał się lekko oszołomiony.

Miał skute z tyłu ręce i wytartą skórzaną kurtkę, na której widać było ślady białej farby. Był rozczochrany i nie ogolony.

- Czy poznajesz mnie, Werner?
- Oczywiście, że panią poznaję, *Frau Samson*. - Był wściekły i urażony.
- Zabieram cię do mojego biura na Karl-Liebknecht-Strasse. Czy musi nam

towarzyszyć uzbrojony oficer policji, który będzie cię miał na oku?

- Nie zamierzam uciekać, jeśli o to ci chodzi.
- Czy powiedziano ci, o co jesteś oskarżony?
- Żądam adwokata, adwokata z Zachodu.
- To niemądre żądanie, Werner.
- Dlaczego?

Było to niezwykle, że Werner, Niemiec często odwiedzający NRD, nadal nic nie rozumiał. Postanowiła na początek przypomnieć mu, z jakim światem się styka. - Tutaj jest NRD, Werner, i mamy rok 1984. Mamy też system socjalistyczny. Władza ludowa...

- Reżim.
- Władza ludowa - powtórzyła - kontroluje nie tylko politykę i ekonomię;

kontroluje też sądy, adwokatów i sędziów. Kontroluje prasę, stowarzyszenia młodzieżowe i kobiece, kluby szachowe i związki wędkarskie. Prawo do pisania książek, zbierania znaczków, śpiewania w operze czy pracy na obrabiarce - w istocie każdej pracy - może być w każdej chwili każdemu cofnięte.

- Więc mam nie domagać się adwokata z Zachodu?
- Więc masz nie domagać się adwokata z Zachodu - potwierdziła. - Będziesz

musiał siedzieć z tyłu. Nie mogę zdjąć ci kajdanków. Nie mam nawet prawa mieć przy sobie klucza. Takie są przepisy.

- Czy mogę się umyć i ogolić?
- Po przyjeździe na miejsce. Czy masz tu jakieś rzeczy osobiste? Werner

wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

- Jedźmy.
- Dlaczego ty? - spytał Werner, kiedy przechodzili przez brukowany

dzieliniec, zmiierzając w stronę wartburga Fiony.

- *Machtpolitik* - odparła Fiona. Słowo to oznacza negocjacje pod groźbą przemocy i występuje jedynie w języku niemieckim.

Żaden z nieżyjących od dawna urzędników, którzy wyznaczali kiedyś granice miasta, nie przypuszczał, że Berlin zostanie pewnego dnia tak podzielony i rozczłonkowany. Dzielnica Lichtenrade, w której mieści się dworzec linii S-Bahn, oraz dochodzące do Muru ulice Mozarta, Beethovena i Brahmsa stanowiły przeszkodę, którą Fiona musiała objechać, by wrócić do swojego biura, mieszczącego się w centrum Berlina.

Powszechnie używana trasa prowadziła przez Mahlow, ale Fiona, jakby chcąc zaoszczędzić kilka minut, wjechała w boczne uliczki, a za Mahlow skręciła w kierunku Ziethen. Znajdowała się tu zbudowana przed wojną dzielnica „Gartenstadt”, należąca do NRD i granicząca z trzech stron z sektorem zachodnim. Szerokie, wysadzone drzewami ulice były puste, a wokoło panował zupełny spokój.

- Werner - powiedziała Fiona, zatrzymawszy samochód w nie wielkim parku i wyłączywszy silnik. Odwróciła się w jego stronę. - Jesteś tylko kartą w pokerze. Jestem pewna, że o tym wiesz.

- Co się dzieje z kartami w pokerze? - spytał Werner.
- Po zakończeniu gry zostają potasowane i odłożone na bok, aż do następnej gry.

• Czy to jest bolesne?

• Za kilka dni będziesz z powrotem na Zachodzie. Gwarantuję ci to. - Ulicą nadjechał bardzo wolno jakiś samochód. Minął ich i zatrzymał się o jakieś sto metrów przed nimi. Oboje milczeli. Samochód zawrócił, minął ich, jadąc w odwrotnym kierunku i skręcił przy drogowskazie z napisem: „Selchow”. - To nauka jazdy - stwierdziła Fiona.

• Dlaczego mi to wszystko mówisz? - spytał Werner. Manewrujący samochód wyraźnie go zdenerwował.

- Chcę, żebyś przekazał pewną wiadomość.
- Pisemną?

Dobry, stary Werner. A więc nie był aż takim prostakiem. - Nie. Ustną.

- Bernardowi?
- Nie. Będziesz mi musiał obiecać, że Bernard o niczym się nie dowie.
- Na czym polega ta gra?
- Regularnie przekraczasz granicę, Werner. Mógłbyś być idealnym

pośrednikiem.

- Czy proponujesz mi pracę dla Moskwy?
- Nie, bynajmniej.
- Rozumiem. - Werner zmienił pozycję na fotelu, choć skute z tyłu ręce

utrudniały mu swobodę ruchów. Pomyślał przez chwilę i uśmiechnął się. - Skąd mogę mieć pewność? - W jego uśmiechu był niepokój.

- Nie mogę nic zrobić w sprawie tych kajdanków. Kiedy przewozi się

wężniów, nie wolno mieć przy sobie kluczy.

- Jak mogę być pewien, że mówisz prawdę? - powtórzył.
- Chcę, żebyś pojechał do Anglii i porozmawiał z Sir Henrym

Clevemore'em. Czy to rozwieje twoje wątpliwości?

- Nie znam go. Nigdy go nawet nie widziałem.
- W jego domu, nie w biurze. Podam ci prywatny numer telefonu. Nagrasz

wiadomość na automatyczną sekretarkę.

- Nie jestem pewien.
- Jezu Chryste, Werner! Weź się w garść i podejmij decyzję! - krzyknęła

Fiona. Zamknęła oczy. Straciła panowanie nad sobą. Wszystko przez ten samochód ze szkoły kierowców.

Werner spojrział na nią ze zdumieniem i nagle zrozumiał przyczyny jej zdenerwowania. - Dlaczego ja? Dlaczego teraz? Dlaczego nie za pośrednictwem twojego regularnego łącznika?

- Nie mam regularnego łącznika. Nawiązywałam dopiero łączność, używając skrzynek kontaktowych. Londyn przysłałby zapewne kogoś za miesiąc lub dwa. Ale to jest idealna okazja. Zwerbuję cię na agenta Stasi. Będziesz mi osobiście składał meldunki, a ja za każdym razem będę ci przekazywać materiały dla Londynu.

- To jest realne - powiedział Werner, zastanawiając się nad jej koncepcją. - Czy Sir Henry będzie przygotowywał mi materiały dla ciebie?

- Będziesz musiał uczyć się na pamięć wszystkich moich meldunków - mówiła Fiona. Miała już to za sobą; oddała się w jego ręce. Ale czuła, że wszystko będzie dobrze. Później poprosi Wenera, żeby opowiedział jej o mężu i dzieciach, ale jeszcze nie teraz. Wszystko w swoim czasie.

Zaczynał jej wierzyć. Jego twarz rozjaśniła się, a oczy rozbłysły żywiej. Miał brać udział w naprawdę fantastycznej przygodzie. - Co za numer! - powiedział cicho, z ogromnym podziwem. W tym momencie stał się jej wiernym niewolnikiem.

- Bernard nie może o tym wiedzieć - oznajmiła Fiona.
- Dlaczego?
- Z wielu różnych powodów; będzie się niepokoił i wzbudzi podejrzenia

drugiej strony. Nie potrafi ukrywać uczuć. Powinieneś o tym wiedzieć.

Werner wyjrzał przez okno. Fiona wybrała właściwego człowieka. Zawsze chciał być tajnym agentem. Marzył o tym tak, jak inni ludzie marzą o zostaniu

gwiazdami filmowymi, znakomitymi piłkarzami lub prezenterami programów telewizyjnych. Werner znał szpiegowskie rzemiosło. Czytał poświęcone mu książki, zbierał wycinki z gazet i odnotowywał w myślach plusy i minusy tego zawodu z obsesyjną niemal gorliwością. Nie musiał mówić: „tak”; oboje wiedzieli, że nie oprze się pokusie. - Nadal nie mogę w to uwierzyć - oznajmił.

Zza zakrętu wyjechał ten sam samochód ze szkoły kierowców. Zwolnił i zatrzymał się; kierowca skrupulatnie oznajmiał swe zamiary za pomocą zbędnych sygnałów.

- Myślę, że powinniśmy jechać - zdecydowała Fiona.
- Zrobię to - oświadczył Werner.
- Wiedziałam, że się zgodzisz - odparła Fiona, włączając silnik. Wyprzedziła

naukę jazdy i skręciła w lewo, jakby kierując się

z powrotem do Mahlow. Był to niemądry środek ostrożności, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia.

- Jesteś odważną kobietą - powiedział nagle Werner.
- Nikt inny nie może wiedzieć - zaznaczyła z naciskiem Fiona. - Sir Henry i

nikt inny, chyba że on osobiście cię do tego upoważni.

- Jak długo to potrwa? - spytał Werner.
- Rok, może dwa.
- Myślałem, że ogłoszą mnie *persona non grata*. Bałem się o swoją pracę.
- Teraz nic ci nie grozi. Będzie to idealny układ.
- Bernard nie może o tym wiedzieć - powtórzył Werner. Martwiło go to, że

musi coś ukrywać przed najlepszym przyjacielem. Pewnego dnia zaskoczy Bernarda. Warto poczekać na ten dzień.

- Powiem ci, co masz mówić, kiedy dojedziemy do mojego biura. Spotkasz się z pewnym Rosjaninem, pułkownikiem KGB, który nazywa się Moskwin. Nie daj mu się oszukać ani zastraszyć. Załatwię wszystko tak, żeby nic ci się nie stało.

- Moskwin.
- On nie jest długofalowym problemem.
- Dlaczego?

- Nie jest długofalowym problemem - powtórzyła Fiona. - Zostanie wyeliminowany. Zaufaj mi. A teraz ustalmy, w jaki sposób będziesz składał mi meldunki.

W dwa dni później nastąpiła wymiana: Erich Stinnes przeszedł na Wschód, by na nowo podjąć pracę dla KGB, a Werner Volkmann został uwolniony i wrócił na Zachód. KGB przeprowadziło dochodzenie w sprawie zdrady Pawła Moskwin, który został w jego wyniku skazany na śmierć. Sąd zarządził, że orzeczenie, wyrok i egzekucja mają pozostać tajne; w ten sposób postępowano zawsze wobec wyższych rangą funkcjonariuszy. Szef berlińskiej placówki KGB - generał, który był bliskim przyjacielem ojca Moskwin - uznał, że najbardziej humanitarna i praktyczna będzie „śmierć podczas akcji przeprowadzanej na Zachodzie”, i poczynił odpowiednie kroki. Ale Moskwin nie pogodził się tak łatwo z losem. Próbował uciec. Doszło do wymiany ognia, która miała miejsce na opuszczonej stacji kolejowej Nollendorfplatz w Berlinie Zachodnim, przerobionej na pchli targ. Moskwin zginął. Bret Rensselaer, demonstrując swoją lojalność wobec Korony, stał na czele pościgu za Moskwinem i został tak ciężko ranny, że nigdy już nie wrócił do swych obowiązków ani do Londynu.

Oficjalna brytyjska wersja wydarzeń była bardzo krótka. Napisał ją Silas Gaunt, który nie wspominał w niej o wymianie więźniów, ponieważ żaden z nich nie był obywatelem brytyjskim. Stwierdził, że Paweł Moskwin - pułkownik KGB, wykonujący zadanie w zachodnim sektorze Berlina - wpadł w szal na pchlim targu. Zaczął na ślepo strzelać z pistoletu i został w końcu osaczony przez berlińską policję. W momencie aresztowania zastrzelił się.

Tajne akta zebrane przez zachodnioniemiecki rząd zawierają szczegółowe raporty policji zachodniobерlińskiej i niemieckiej służby bezpieczeństwa. Wynika z nich, że Moskwin był członkiem ekipy KGB, która przybyła na Zachód, by ustalić warunki wymiany pewnego Niemca na Rosjanina, będącego więźniem brytyjskiego wywiadu. Według tej relacji, Moskwin został zastrzelony przez grupę uderzeniową KGB, która jechała w ślad za jego samochodem na dwóch motocyklach. Kiedy samochód zatrzymał się na Tauentzienstrasse, niedaleko domu towarowego KaDeWe, inny agent KGB rzucił na jego przednią szybę torbę plastikową, wypełnioną białą farbą. Moskwin wyskoczył z samochodu i pobiegł w kierunku stacji, strzelając do ścigających go prześladowców. Zostały przy tym ranne trzy osoby cywilne. Kiedy Moskwin zeskoczył z peronu na tory, licząc zapewne na to, że uda mu się pobiec wzdłuż nich i przebyć Mur, został zastrzelony z karabinu przez strzelca wyborowego armii rosyjskiej. Zabójca nie został odnaleziony, ale według powszechnej opinii

wchodził w skład grupy uderzeniowej KGB, którą zaobserwowano wcześniej tego dnia w momencie przekraczania granicy. Prawdziwość tej wersji zdaje się potwierdzać fakt, iż władze wschodnie nie zwróciły się z żądaniem wydania im ciała Moskwin.

W kilka dni po strzelaniu Sowieci oznajmili Brytyjczykom kontaktującym się z nimi w sprawie ciała, że w KGB nie służył nigdy pułkownik o nazwisku Paweł Moskwin. Nie było sekcji zwłok. Moskwin został pochowany na małym cmentarzu w dzielnicy Berlin-Rudow, niedaleko Muru.

Były i inne wersje, mniej lub bardziej zagadkowe. Raport opracowany przez biuro CIA w Berlinie, przy współudziale placówek tej agencji, mieszczących się w Bonn i w Londynie, stwierdzał, że Moskwin zbierał fałszywe materiały, mające skompromitować pewnego nie wymienionego z nazwiska obywatela USA, zamieszkałego w Anglii. W jego zakończeniu stwierdzono, że KGB nie chciało dopuścić do aresztowania żywego Moskwin, a w konsekwencji do jego przesłuchania przez wywiad brytyjski.

Świadkowie widzieli, że do Moskwin strzelał również Bernard Samson, który w ustnym oświadczeniu stwierdził jednak, że za każdym razem chybiał. Niektórzy zwracali uwagę na fakt, że większość z wystrzeliwanych do tej pory przez Samsona kul trafiała w cel. Pewne światło na okoliczności tej sprawy mógłby rzucić Frank Harrington, który również był obecny na stacji S-Bahn i miał przy sobie pistolet (utkwilo to w pamięci świadków, ponieważ Franka nigdy, ani przedtem, ani potem, nie widziano z bronią w ręku), ale Londyńska Centrala nie zażądała od niego sprawozdania z przebiegu wypadków. Był tam także Bret Rensselaer, ale również nie był przesłuchiwany. Został postrzelony i ciężko ranny, a zanim stan jego zdrowia poprawił się na tyle, by mógł przedstawić swoją wersję wydarzeń, raporty zostały skompletowane, a cały epizod przeszedł do burzliwej historii Berlina. Życie Breta ocalili lekarze z kliniki Steglitz. Przeszedł trzygodzinną operację, po której skierowany został na oddział intensywnej terapii. Następnego dnia jego brat przyleciał po niego specjalnym samolotem sanitarnym Sił Powietrznych USA i zabrał go do Ameryki.

Bernard Samson spędzał tę sobotę z Gloria w ich niewielkim domu przy Balaklava Road, w dzielnicy Raynes Park leżącej na przedmieściu Londynu. Porządkował różne narzędzia złożone w ogrodowym baraczk. Większość z nich mieściła się jeszcze w dużych kartonowych pudłach, noszących nazwę firmy przewozowej, która przetransportowała tu ich meble.

Gloria była na górze, w sypialni. Przeglądała się w dużym lustrze, wprawionym w drzwi szafy. Trzymała w ręku suknię, którą znalazła w jednym z pudeł. Była to kosztowna suknia z etykietą paryskiej firmy; efektowna cocktailowa kreacja w szare i czarne pasy. Należała do Fiony Samson.

Przykładając ją do siebie, próbowała sobie wyobrazić, jak by w niej wyglądała. Próbowała sobie wyobrazić, jaką kobietą była Fiona i jak układało się jej życie z mężem i z dziećmi.

Bernard, który miał na sobie miękkie pantofle, wszedł bezszelestnie po schodach. Bez pukania zajrzał do pokoju.

- Och! - zawołał. Potem rozpoznał suknię i powiedział: - O wiele za mała! A poza tym nie lubisz szarego koloru, kochanie.

Gloria, speszona, że przyłapał ją na oglądaniu sukni, odwiesiła ją do szafy i zamknęła drzwi. - Nie ma jej już cztery lata. Ona nigdy nie wróci, prawda, Bernard?

- Nie wiem.

- Nie złość się. Za każdym razem, kiedy próbuję o niej porozmawiać, wpadasz w zły humor. Szantażujesz mnie w ten sposób, bo nie chcesz, żebym o niej mówiła.

- A więc tak to widzisz?

Gloria, nadal speszona, poprawiła włosy. - Tak po prostu jest.

Chcesz, żebym była tu z tobą, ale równocześnie chcesz wierzyć w jej powrót, choć wydaje się on coraz mniej prawdopodobny.

Bernard podszedł i otoczył ją ramieniem. Początkowo wydawało się, że jej gniew minął, ale kiedy chciał ją pocałować, nagle objawił się na nowo. - Nie! Zawsze próbujesz wymigać się od tego tematu! Całujesz mnie, mówisz, że mnie kochasz, i zamykasz mi usta.

- Zadajesz mi stale te same pytania, a ja ci mówię prawdę. Prawda wygląda tak, że nie znam odpowiedzi.

- Czuję się przez ciebie tak cholernie niepewnie - powiedziała Gloria.

- Jestem zawsze przy tobie. Nie upijam się i nie latam za innymi kobietami.

Była to typowo męska odpowiedź, której zawsze z rozdrażnieniem jej

udzielał. Naprawdę nie potrafił zrozumieć, że to jej nie wystarcza. Sróbowiała posłużyć się logiką: - Jak długo zamierzasz czekać, zanim pogodzisz się z myślą, że odeszła na zawsze?

- Kocham cię. Jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Czy to nie dosyć? Dlaczego kobiety żądają gwarancji stałości? Jutro mogę wpaść pod pociąg albo oszaleć. Nie ma recepty na wieczną szczęśliwość. Czy tego nie rozumiesz?

- Dlaczego patrzysz na zegar? - spytała i próbowała odsunąć się od niego, ale mocno ją trzymał.

- Przepraszam cię. D-G wybiera się dziś po południu do White-lands, żeby odwiedzić Silasa Gaunta. Dałbym wszystko za to, żeby dowiedzieć się, o czym będą rozmawiać.

- Myślisz, że Fiona nadal pracuje dla Londynu, prawda?

Pytanie to zabrzmiało jak oskarżenie i wstrząsnęło nim. Nie wykonał żadnego ruchu, ale nieruchomość jego twarzy odzwierciedlała gorączkową pracę umysłu. Nigdy nie zwierzył się Glorii z tego przekonania.

- Dlatego nie chcesz rozmawiać o małżeństwie - dodała.

- Nie.

- Kłamiesz. Potrafię to zawsze po tobie poznać. Myślisz, że twoja żona została tam wysłana jako szpieg.

- Nigdy nie dowiemy się prawdy - powiedział bez przekonania, w nadziei, że uda mu się w ten sposób zakończyć tę rozmowę.

- Musiałam być szalona, żeby nie dostrzec tego na samym początku. Ja jestem tylko dublerką. Jestem kimś do łóżka, kimś, kto zajmował się dziećmi, prowadził dom, robił zakupy i gotował. Nic dziwnego, że odradzałeś mi pójście na studia. Ty draniu! Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

- Nieprawda.

- Teraz rozumiem, dlaczego zatrzymałeś jej całą garderobę.

- Wiesz, że wcale tak nie jest. Proszę cię, nie płacz.

- Wcale nie płaczę, do cholery. Nienawidzę cię, draniu.

- Posłuchaj! - Potrząsnął nią mocno. - Fiona jest sowiecką agentką.

Wyjechała na zawsze. Przestań snuć te domysły.

- Czy przysięgasz?

Odsunął się od niej. Zaniepokoił go zawzięty wyraz jej oczu. - Tak,

przysięgam - powiedział.

Nie uwierzyła mu. Zawsze potrafiła poznać, kiedy kłamie.

W tym czasie spotkanie Dyrektora Generalnego z Silasem Gauntem nabierało rozpędu.

- Jak długo pani Samson przebywa już na tej placówce? - spytał Silas Gaunt. Było to pytanie retoryczne, ale chciał, żeby D-G podzielał jego zadowolenie.

- Wyjechała w osiemdziesiątym trzecim, więc musi tam być już około czterech lat - odparł Sir Henry Clevemore. Obaj osiągnęli wspaniały rezultat i byli słusznie dumni ze swojego sukcesu. Gospodarka NRD waliła się w gruzy, a rząd składał się ze starców, którzy nie mieli dość woli ani energii, by uporać się z tym problemem. Z informacji Fiony wynikało, że wojska sowieckie pozostaną w koszarach bez względu na charakter zmian politycznych. Związek Radziecki miał dość własnych problemów. Szumna przepowiednia Breta Rensselaera, który zapowiedział, że Mur upadnie do roku 1990, wydawała się teraz całkowicie realna, choć w owym czasie była uważana jedynie za poetycką metaforę.

Otrzymywane od Fiony materiały pozwoliły im obu opracować całą kampanię i nawiązać bliższe kontakty z najpoważniejszymi grupami opozycji. Aby ją chronić, pozwolili jej na parę drobnych sukcesów i zapewnili kilka pochwał. Teraz obaj przeżywali chwile głębokiego zadowolenia.

Pod wieloma względami byli do siebie podobni. Mieli porównywalne pochodzenie, wykształcenie, sposób bycia i manieri, tyle że Silas Gaunt, który służył za granicą, stał się kosmopolitą, czego nie można było powiedzieć o wyniosłym i sztywnym Dyrektorem Generalnym. Silas Gaunt był rzeczowy, bezpośredni, elastyczny i pozbawiony skrupułów, a Sir Henry, mimo wielu lat łączącej ich przyjaźni, nigdy nie wyzbył się pewnych wątpliwości dotyczących jego osoby.

- Czy pamiętasz, jak młody Werner Volkmann zapukał do twoich drzwi w środku nocy? - spytał Silas.

- Cholerny dureń zapomniał moj numer telefonu.
- Byłeś zrozpaczony - przypomniał Silas.
- Bynajmniej!
- Przykro mi, że muszę ci się sprzeciwić, Henry, ale kiedy tu przyjechałeś, twierdziłeś, że Fiona Samson popełniła okropny błąd w ocenie tego człowieka.

- Wydawało się to dość niepokojące. - Zachichotał cicho. - To była jedyna rzecz, którą ten osioł miał zapamiętać, ale i tak zapomniał.

- Volkmann wspaniale się sprawdził. Nie przypuszczałem, że jest do tego zdolny.

- Zrobię coś dla niego - obiecał D-G. - Kiedy będzie już po wszystkim, postaram się o jakąś nagrodę. Należy do ludzi dbających o zaszczytne wyróżnienia.

- Czy wiesz, że likwiduje swoje interesy bankowe? - spytał Silas, choć informował już o tym Dyrektora Generalnego.

- I przejmuje tandetny hotelik, prowadzony przez tę okropną starą Niemkę. Jak ona się nazywa?

- Lisi Hennig.

- Tak, to ona. Przypomina mi Meduzę.

- Wszystko ma swój koniec - powiedział Silas.

- Bywały chwile, w których myślałem, że będziemy musieli wyciągnąć stamtąd panią Samson i zrezygnować z całej operacji - orzyznał D-G.

- Samson jest upartym młodym durniem - podsumował Silas Gaunt, ubierając w słowa to, o czym obaj myśleli. Siedzieli w rzadko używanym salonie, gdyż w gabinecie Gaunta przebudowywano właśnie kominek. Pokój ten nie zmienił się prawie w ciągu ostatnich stu lat. Tak wszystkie salony w wiejskich domach, mających małe okna i grube ściany, był przez cały rok dość ponury. W wielkim oszklonym kredensie stały zużyte talerze w chińskie wzory, a na nim wazon ze świeżymi żonkilami.

Silas leżał na wielkiej kanapie, oświetlonej migoczącymi płomieniami z kominka. Nad nim wisiał portret jakiegoś przodka, który ogarniał pokój stalowym spojrzeniem spod grubej warstwy werniksu, a obok Silasa stał stolik, na którym od pewnego czasu jadał posiłki. Sir Henry Clevemore odbył podróż do Whitelands, dowiedziawszy się, że Silas przechodzi okres rekonwalescencji po upadku z konia. Stary dureń nie powinien w tym wieku nawet zbliżać się do koni - myślał D-G i był zdecydowany mu to wygarnąć. Ale jeszcze tego nie zrobił.

- Samson? - powtórzył Sir Henry. - Musisz być wobec niego bardziej tolerancyjny. W gruncie rzeczy to moja wina. Bret Rensselaer zawsze powtarzał, że powinniśmy powiedzieć Samsonowi prawdę.

- Nigdy nie sądziłem, że usłyszę to z twoich ust, Henry. Ty byłeś

człowiekiem, który twierdził, że...

- Owszem, wiem o tym. Ale można mu było powiedzieć pod koniec pierwszego roku.

- Nic nam nie da grzebanie się w przeszłości - stwierdził Silas. Był przykryty krzakiastym kocem, który poprawiał co jakiś czas, naciągając go sobie na nogi. - A może zmierzasz do tego, że powinniśmy powiedzieć mu teraz?

- Nie, nie, nie - zaprotestował D-G. - Ale kiedy zaczął śledzić obieg tych przelewów bankowych z Centralnego Funduszu, myślałem, że będziemy zmuszeni mu powiedzieć.

Silas wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jeśli pozwolisz mi wyrazić własne zdanie, to myślę, że próba aresztowania go po przyjeździe do Berlina nie była najlepszą metodą rozwiązania tego problemu.

Sir Henry nie miał ochoty rozwodzić się nad tym fiaskiem. Wstał i podszedł do gotyckiego okna. Widać stąd było podjazd i wznoszące się w oddali wzgórza. - Twoje wiązy wydają się chore, Silas. - Trzy wielkie drzewa rosły na trawniku jak greckie kolumny. Widać je było już od bramy wjazdowej, znacznie wcześniej niż dom. - Bardzo chore.

Silas też nagle poczuł się chory. Codziennie patrzył na te wiązy, mając nadzieję, że zdeformowane, bezbarwne liście znów staną się zielone i zdrowe. - Ogrodnik twierdzi, że to mróz.

- Bzdura! Powinieneś zaprosić kogoś z nadleśnictwa, żeby im się przyjrzał. Jeśli to ta holenderska zaraza, to trzeba je natychmiast ściąć.

- Mróz narobił w tym roku okropnych szkód - powiedział Silas, licząc na odroczenie wyroku albo przynajmniej słowa otuchy. Nawet nieprzekonujące słowa otuchy, jakich nie szczędziła mu pani Porter, jego gospodyni, były lepsze niż taka brutalna diagnoza. - Możesz się o tym przekonać, patrząc na róże i na kolor trawnika.

- Wezwij eksperta z nadleśnictwa, Silas. Ta holenderska zaraza wykończyła już większość wiązów w tej okolicy. Jeśli pozwolisz jej się rozprzestrzeniać, twoi sąsiedzi będą mieli do ciebie cholerne pretensje.

- Może masz rację, Henry, ale ja nie sądzę, by było to coś poważnego.

- Jest jeszcze sporo pytań bez odpowiedzi, Silas. Jeśli nadszedł czas, by ją stamtąd wyciągnąć, to dlaczego nie zrobimy tego od razu, bez żadnych ceremonii?

Silas patrzył na niego przez chwilę, by upewnić się, że mówi o Fionie

Samson. - Ponieważ mamy mnóstwo materiałów, których nie możemy wykorzystać bez narażania jej na niebezpieczeństwo. A kiedy w końcu wróci, przywiezie ze sobą dalszą porcję informacji.

- Odnieśliśmy już spore korzyści, Silas - powiedział D-G, wracając na pokryty perkalem fotel, na którym poprzednio siedział.
- Więc nie rezygnujemy z dalszych. O ile wiem i pamiętam, Fiona Samson okazała się najlepszą agentką, jaką Departament kiedykolwiek dysponował. Nie postąpilibyśmy wobec niej uczciwie, kładąc krzyżyk na to, co może nam jeszcze dostarczyć.
- Nadal nie rozumiem tego planu, w myśl którego ma ona pozostać przy życiu - przyznał się Sir Henry.

Silas westchnął. D-G potrafił być czasem bardzo niepojętny. Nadal nic nie rozumiał. Postanowił wyjaśnić mu to w sposób bardzo prosty. - Plan polega na tym, żeby przekonać Sowietów, że ona nie żyje.

- Podczas kiedy ona będzie tutaj, a my będziemy wyciągali z niej wszystko, co wie?
- Dokładnie. Jeśli będą wiedzieli, że pani Samson żyje i rozmawia z nami, mogą ograniczyć zakres szkód, jakie chcemy im wyrządzić.
- Przekonać ich? - spytał D-G.
- Robiliśmy to w przeszłości z innymi agentami.
- Ale jak chcesz ich przekonać? Nie widzę sposobu.
- Dam ci najprostszy przykład. Pani Samson wchodzi do budynku.

Następuje trzęsienie ziemi i cała ulica znika. Oni myślą, że ona nie żyje.

- Czy to ma być dowcip, Silas? Trzęsienie ziemi?
- Nie, dyrektorze, to tylko prosty przykład. Ale zamiana zwłok jest sztuczką tak starą jak historia.
- Nasi przeciwnicy są teraz bardzo subtelni, Silas. Mogą domyślić się prawdy.
- Owszem, mogą. Ale to nie będzie koniec świata. Będzie to poważne niepowodzenie, ale nie koniec świata.
- Pod warunkiem, że zapewnimy jej bezpieczeństwo.
- Tak, to właśnie mam na myśli - odparł Silas.

D-G milczał przez chwilę. - Amerykanie będą zmartwieni perspektywą utraty

takiego źródła - powiedział w końcu.

- Nie sądzisz chyba, że domyślają się, skąd pochodzą te informacje.
- Nie, nie sądzę. Waszyngton dostaje je od Breta, który siedzi w Kalifornii, a wszystkie szczegóły mogące ułatwić jej identyfikację są eliminowane.

- Ten pomysł z Bretem okazał się bardzo udany.
- Minęło mnóstwo czasu, zanim zrozumiał, że nie mogę odwołać nakazu jego aresztowania, nie ujawniając roli, jaką odegrał w oddelegowaniu Fiony Samson.

- Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli jego rekonwalescencję w Kalifornii.

- Tak, Bret urządził się tam bardzo dobrze, a my, używając go jako pośrednika, dystansujemy się od materiałów pochodzących z Berlina.

- Nie sądzę, by Fiona Samson przekazywała coś, co mogłoby ułatwić jej identyfikację - stwierdził Silas. Nie miał dostępu do tych materiałów i czasem odczuwał z tego powodu lekki żal.

- Z pewnością tego nie robi - odparł D-G, dając do zrozumienia, że on też nie ma wglądu w przekazywane przez nią meldunki. - To niezwykle inteligentna kobieta. Czy wyciągając ją stamtąd, posłużysz się Bernardem Samsonem?

- Sądzę, że powinien brać w tym udział. Teraz domyśla się już chyba, na czym to wszystko polega.

- Owszem - przyznał Sir Henry. - I dlatego chcesz ściągnąć ją z powrotem, prawda?

- Niezupełnie - odparł Silas. - Ale po części masz rację.

- Sowieci trzymaliby kogoś takiego w nieskończoność - zauważył D-G.

- Ale my nie jesteśmy Sowietami - odparł Silas. - Czy dobrze się czujesz, Henry?

- To tylko palpacja. Nie powinienem był wypalać tego cygara. Obiecałem mojemu lekarzowi, że rzucę palenie.

- Wszyscy lekarze są tacy sami - oznajmił Silas, który powstrzymał się od palenia i zazdrośnie wachał dym z cygara, wypalonego przez Sir Henry'ego po lunchu.

D-G usadowił się wygodniej w fotelu i odetchnął kilka razy, powoli i głęboko. - Ten pomysł... ten pomysł z zamianą zwłok. Nie wiem, jak zamierzasz to przeprowadzić, Silas.

- Znam pewnego Amerykanina... który jest świetnym fachowcem.
- Amerykanina? Czy to rozsądne?
- To doskonały wybór. Jest niezależnym, pracującym na własną rękę profesjonalistą. Wykonywał nawet drobne zlecenia dla drugiej strony.
- Poczekaj chwileczkę, Silas. Nie chcę do tego wciągać jakiegoś bandziora z KGB.
- Wysłuchaj mnie do końca, Henry. Potrzebujemy kogoś, kto orientuje się w tamtejszych stosunkach, kto wie, jak myślą Rosjanie. Poza tym figuruje na liście ludzi najbardziej poszukiwanych przez CIA, więc nie wygada się tym facetom z ambasady amerykańskiej.

Sir Henry pociągnął nosem, by wyrazić swoje wątpliwości. - Kiedy przedstawiasz sprawę w taki sposób...

- Jest *persona non grata* dla KGB, nie jest związany z CIA i nie ma nic wspólnego z nami. Idealny człowiek do takiego zadania. Podejmie się całej roboty za ustalone honorarium.
- Całej roboty? Co to znaczy?
- Dojdzie do przelewu krwi, Henry. Nie da się tego uniknąć.
- Nie chcę żadnych reperkusji - powiedział z naciskiem D-G. - Nadal muszę się tłumaczyć z tej awantury wokół Mo-skwina.

Silas Gaunt, krzywiąc się z bólu, opuścił nogi na podłogę i pochylił się nad stołem, by wyciągnąć z szuflady kilka noży z rogowymi trzonkami. Ułożył trzy z nich na stole i podnosił je kolejno. - Pozwól mi zaimprovizować ostateczny scenariusz. Zwłoki numer jeden; lekko nadpalone, ale dające się bez trudu zidentyfikować. Zwłoki numer dwa; bardzo spalone, ale nadające się do identyfikacji przez specjalistów od medycyny sądowej. Zwłoki numer trzy; spalone na węgiel, ale badanie uzębienia dowodzi, że jest to Fiona Samson.

- Bardzo przekonujące - orzekł Sir Henry po chwili zastanowienia.
- I skuteczne - dodał Silas. Zebrał noże i z głośnym hałasem wrzucił je do szuflady.
- Ale czy ktoś nie zechce spytać o powody?
- Czy śledziłeś meldunki dotyczące Ericha Stinnesa i handlu narkotykami?
- Narkotyki. A więc to prawda?
- Nasi koledzy z KGB mają szeroki zakres władzy. Bezpieczeństwo,

wywiad, kontrwywiad, kontrola granic, przestępstwa polityczne, fałszerstwa, korupcja i narkotyki przysparzają Sowietom wielu kłopotów. - Nie chciał wchodzić w szczegóły dotyczące narkotyków. Był to zasadniczy element operacji; chodziło o potraktowanie Ericha Stinnesa jako handlarza, a Tessę Kosiński jako narkomankę, ale D-G byłby bardzo zdenerwowany, gdyby dowiedział się zbyt wiele na temat narkotyków.

- Stinnes - powiedział Sir Henry. - Czy od chwili powrotu na tamtą stronę dostarczył nam jakichś cennych materiałów?

- Prowadzi grę na dwie strony. Czuje się bezpieczny, bo wie, że go nie aresztujemy i sądzi, że nie zagraża mu nic ze strony jego mocodawców z KGB. To chyba skłoniło go do zajęcia się handlem narkotykami. Musi zarabiać krocie.

- Chyba wiem, co masz na myśli: gangsterzy handlujący narkotykami urządzają strzelaninę i Fiona Samson znika.

- Dokładnie. Dlatego właśnie musimy zrobić tak, żeby wydarzenia zbiegły się w czasie z dostawą narkotyków. Kiedy Stinnes przywiezie z lotniska transport heroiny, my dostarczymy panią Samson na jeden z punktów kontaktowych przy autostradzie - oczywiście na terytorium **NRD** - i każemy Samsonowi czekać tam na nią. Stinnes uwierzy, że chodzi po prostu o przekazanie narkotyków. Postaramy się o pojazd... najlepszy byłby samochód na numerach dyplomatycznych.

- I wyślemy po nią Samsona?

- Tak. Ale nie samego. Porzucony mąż i niewierna żona schodzą się po tylu latach - to recepta na kłopoty. Będę miał tam kogoś godnego zaufania, kogoś, kto bez emocji postara się, żeby wszystko poszło gładko.

- Więc mówisz, że musimy zatrudnić tego Amerykanina? Nie możemy wykorzystać naszych własnych ludzi?

Silas spojrział na niego uważnie. - Nie, Henry, nie możemy.

- Czy mogę spytać, dlaczego?

- Ten Amerykanin ma już pewne układy ze Stinnesem.

- Chcesz powiedzieć, że handluje z nim narkotykami?

Silas zawahał się i westchnął. Nie chciał wchodzić w szczegóły. Wiedział, że trudno będzie zgromadzić wszystkich w jednym miejscu. Wiedział, że każdemu trzeba będzie przedstawić inną wersję, a nie opracował jeszcze wszystkich elementów. Sir Henry, podobnie jak reszta pracowników Londyńskiej Centrali, miał

jedynie blade wyobrażenie o działalności operacyjnej. Silas wiedział o niej znacznie więcej.

- Pozwól, że przedstawię ci w zarysie skalę przedsięwzięcia. Będziemy musieli dysponować tam zwłokami jakiejś młodej kobiety, żeby zamienić je na panią Samson. Nie zamierzam przewozić tych zwłok przez granicę, szczególnie w samochodzie dyplomatycznym, bo w razie jakiejś wpadki sprawa nabierze ogromnego rozgłosu. Musimy tam również zostawić czaszkę z właściwym użębieniem. Nie chcemy, by Rosjanie pytali, skąd się wzięła dodatkowa czaszka, więc będziemy musieli zdekapitować te zwłoki. Zdekapitować je na miejscu.

- Ale jak dostarczysz tam te zwłoki? - spytał D-G, nadal nie mogąc tego ogarnąć.

- Zwłoki przyjadą na piechotę, przyjadą samochodem albo zostaną przywiezione... jeszcze nie jestem pewien.

- Żywe? - Sir Henry był głęboko wstrząśnięty. Zesztywniał i wyprostował się na fotelu. - Jaka kobieta? Jak on to zrobi?

- Lepiej nie pytaj, Henry - powiedział łagodnie Silas Gaunt. - Ale sam teraz rozumiesz, że nie możemy posłużyć się naszymi ludźmi. - Odczekał chwilę, aż D-G odzyska panowanie nad sobą. - Bernard Samson będzie oczywiście na miejscu, ale wykorzystamy go tylko po to, by wywiózł stamtąd swoją żonę. Nie będzie nic wiedział o innych sprawach.

- Czy on nie może...

- Nasz amerykański podwykonawca zostanie na miejscu i zaaranżuje wszystko tak, żeby Rosjanie uwierzyli w to, czego dowodzić będą poszlaki.

- I będziesz się kontaktował bezpośrednio z tym Amerykaninem?

- Nie. Myślę, że to wskazywałoby zbyt wyraźnie na udział Departamentu.

Posłużę się pośrednikiem. Jest taki facet nazwiskiem Prettyman, którego Bret wynajmuje do brudnej roboty. Oddał nam w przeszłości kilka przysług. Bardzo zdolny, choć nie nadaje się do tego, co mam na myśli. Użyję go jako pośrednika. Oczywiście, nikt nie będzie znał całej prawdy. Absolutnie nikt.

- Czy myślisz, że potrafisz zaaranżować wszystko od naszej strony?

- Chcesz powiedzieć: bez pomocy Breta Rensselaera? - Silas skrzywił się. - Radziliśmy sobie bez niego do tej pory.

- Będę zadowolony, kiedy to wszystko się skończy, Silas.

- Oczywiście, że będziesz. Ale my, dwaj starzy oszuści, pokazaliśmy młodemu parę sztuczek, prawda, Henry? - Wymienili pełne zadowolenia uśmiechy.

Usłyszeli pukanie do drzwi, pani Porter przyniosła im podwieczorek. Był to, dzięki niej, wyszukany posiłek. Ustawiła wszystko na stoliku Silasa, a Sir Henry przysunął do niego swoje krzesło. Były tam grzanki z masłem, plaster miodu i ciasto z kminkiem, które tylko pani Porter umiała tak wspaniale piec. Ciasto to przypominało D-G jego szkolne czasy; uwielbiał je. Pani Porter naląła im herbatę i wyszła z pokoju.

Przez kilka minut z przyjemnością pili herbatę i jedli grzanki, jak dwaj chłopcy, którzy wybrali się na piknik.

- Jak naprawdę było z ojcem Samsona? - spytał D-G, kiedy Silas dolewał herbatę. - Jak wyglądała ta cała historia? Z tymi dwoma Niemcami, których jakoby zastrzelili?

- To dość dawne dzieje. Ja...

- Prawda nikomu już nie zaszkodzi, Silas. Brian Samson nie żyje, Panie święć nad jego duszą. Max Busby również.

Silas Gaunt zawahał się. Milczał tak długo, że niektóre szczegóły wypadły mu z pamięci. Początkowo Sir Clevemore myślał, że odmówi rozmowy na ten temat, ale w końcu zaczął:

- Musisz pamiętać, jaka atmosfera panowała w tamtych dniach, tuż po klęsce Hitlera. Europa leżała w gruzach, a wszyscy spodziewali się, że faszystowskie „wilkołaki” wyjdą nagle z lasu i zaczną walczyć od nowa.

- Pamiętam to aż za dobrze - odparł Sir Henry. - Żałuję, że nie mogę o tym zapomnieć. A raczej: żałuję, że nie byłem wtedy zbyt młody, by tam nie być.

- Amerykanie nie mieli prawdziwego wywiadu. Ich ludzie z OSS tracili czas, szukając martwych hitlerowców: Martin Bormann był na czele ich listy.

- Berchtesgaden. Przypominam to sobie teraz. Czy było to coś w rodzaju pułapki?

- Złapali w górskim domku, stojącym w pobliżu rezydencji Hitlera, pewnego hitlerowskiego zbrodniarza wojennego. Nazywał się Esser, Reichsminister Esser. W tej okolicy znaleziono sporo złota z Reichsbank. Amerykańscy oficerowie średniego szczebla przywłaszczyli sobie tony tego złota i nigdy go nie oddali. Kiedy wywieziono stamtąd Essera, kontrwywiad trzymał ten domek pod obserwacją. W gruncie rzeczy był to dom, a nawet spora willa. Dom Martina Bormanna stał w

połowie drogi między rezydencją Hitlera a tą willą, w której znaleziono Essera. Podobno ukryto tam penicilinę, pieniądze i Bóg wie co jeszcze; Bormann miał to wszystko zgarnąć i uciec do Ameryki Południowej. Oczywiście, był to nonsens, ale w owym czasie nie brzmiało to tak nieprawdopodobnie.

- A co robił Brian Samson w sektorze amerykańskim?
- Był odpowiedzialny za pewnego więźnia z Londynu; niemieckiego cywila nazwiskiem Winter - odpowiedział Silas. Podsunął D-G ciasto.

- Winter, oczywiście. - Sir Henry wziął jeden kawałek. Ugryzł kęs i rozkoszował się smakiem, jakby pił stare wino.

- Paul Winter był niemieckim prawnikiem, pracującym dla gestapo i posiadającym jakoby podejrzane wpływy w Waszyngtonie... znał jakiegoś kongresmana, czy kogoś w tym rodzaju. Powstał spór między Departamentem Stanu, który chciał go zwolnić, Armią USA, która chciała go osadzić w więzieniu, i Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym, który chciał zatrudnić go jako adwokata. My tymczasem trzymaliśmy go w areszcie w Londynie.

- Jego matka była Amerykanką: Veronica Winter. Jej drugi syn pojechał do Stanów i wrócił w mundurze pułkownika Armii USA. Ci Amerykanie są bardzo lekkomyślni, co? Nie był nawet naturalizowany.

- I bardzo pragmatyczni - stwierdził Silas, który nie lubił generalizować.

- Pamiętam, że pochodziła ona z jakiejś dobrej rodziny. Podobno umarła na zapalenie płuc podczas jednej z tych okropnych powojennych zim. Była przyjaciółką „Boya” Pipera. Sir Alana Pipera, który był przez pewien czas Dyrektorem Generalnym.

- Owszem. To właśnie „Boy” Piper posłał mnie tam, żeby załatwić całą sprawę w sposób korzystny dla Departamentu.

- Mów dalej. Chcę usłyszeć całą historię.

- Nie ma wiele do opowiadania. Ta żona... żona Wintera, przysłała mężowi wiadomość.

- Temu faszyście?

- Tak, Paulowi Winterowi, faszystowskiemu prawnikowi.

- Do więzienia? - spytał D-G, który chciał mieć jasny obraz sytuacji.

- Nie siedział w więzieniu, mieszkał na kwaterze. Został wypuszczony, żeby mógł bronić Essera. Faszyści sądzeni w Norymberdze mieli prawo wyboru obrońcy;

mogli zażądać nawet przebywających w więzieniu jeńców wojennych. Z tej wiadomości wynikało, że przebywa ona w tym cholernym górskim domku, więc popędził na spotkanie z nią. Nie widział żony od zakończenia wojny. Jak powiedziałaś, jego brat był pułkownikiem Armii USA; postarał się o jakiegoś wojskowego jeepa i obaj zniknęli, nie czekając na pozwolenie.

- Pojechali do Berchtesgaden?

- I to podczas fatalnej zimowej pogody. Pamiętam tę zimę bardzo dobrze.

Kiedy Paul Winter dotarł do górskiego domku, czekała tam na niego jego żona, Inge. Miała dziecko; chciała pieniędzy.

- Czy on miał pieniądze?
- Była tam zakopana metalowa szkatułka. Esser przywiózł ją na miejsce i ukrył. Podczas narad z Paulem powiedział mu, gdzie ona jest. Potem musiał chyba

wygadać się Inge Winter, że jej mąż zna kryjówkę. Wykopali tę skrzynkę. Było w niej złoto; mieszanka złotych przedmiotów, które Esser zabrał ze skarbca berlińskiego oddziału Reichs-bank, zostawiając podpisane pokwitowanie.

- I to dziecko było dzieckiem Essera - odpowiedział Sir Henry.
- Skąd o tym wiesz?
- To jedyna część tej historii, która utkwiała mi w pamięci.

• Tak. Paul Winter musiał podejrzewać, że dziecko nie jest jego. Byli małżeństwem od lat, ale nigdy nie udało im się spłodzić potomstwa. Wyobrażam sobie, jak się czuł.

• I obaj młodzi Winterowie zginęli. Ale w jakich okolicznościach ich zastrzelono?

• To najważniejsze pytanie, prawda? Jeśli chcesz znać prawdę, zostali zastrzeleni przez pijanego amerykańskiego sierżanta, który myślał, że są wilkołakami, dezertierami, gangsterami lub innego rodzaju bandziorami, i bał się, że go rozwalą. W tym rejonie roiło się od dezertierów z obu stron, którzy zakładali gangi. Kradli na wielką skalę dostawy wojskowe, napadali na konwoje wiozące zaopatrzenie, rabowali banki i nie bardzo się przejmowali tym, czy ktoś przy okazji nie oberwie.

- Z historii, którą ja słyszałem, wynikało...

• Tak, było mnóstwo historii. Niektórzy twierdzili, że Winterowie zostali zastrzeleni przez pomyłkę; przez kogoś, kto usiłował zabić Samsona i towarzyszącego mu generała. Inni mówili, że sierżant, który ich zastrzelił, działał na

tajne polecenie Waszyngtonu. Jeszcze inni byli zdania, że zabił ich Max Busby, który kochał się w żonie Wintera, a w innej wersji - który robił z nią jakieś czarnorynkowe interesy. Nie da się dowieść, że którakolwiek z tych historii jest nieprawdziwa, ale wierz mi, że zbadalem to dokładnie. Było tak, jak ci powiedziałem.

- Ale w raporcie napisano, że zastrzelił ich Brian Samson - zaprotestował D-G. - Pamiętam to bardzo wyraźnie. Miał o to pretensję do końca życia.

- Ach, tak. To było później. Ale kiedy się to stało, nikt nie miał żadnych wątpliwości. Pijany sierżant został zatrzymany i odprowadzony do aresztu. Dopiero kiedy Amerykanie poprosili, żeby Samson przyjechał do nich i złożył zeznania przed ich komisją śledczą, wszystko się zmieniło. Oczywiście, nie mogliśmy pozwolić na przesłuchiwanie Samsona; taka była od początku polityka Departamentu. Kiedy więc odmówiliśmy Samsonowi zgody na wyjazd, jankesi dostrzegli nagle szansę załatwienia wszystkiego w sposób szybki i bez-szmerowy. Gdy się tam zjawiłem, protokoły były już zniszczone. Napisano nowe. Znaleziono nagle naocznych świadków, którzy gotowi byli przysięgać, że to Samson zastrzelił obu Winterów.

- To ohydne - powiedział *D-G*. - To orzeczenie komisji zostało dołączone do akt Samsona.

- Usiłujesz nawracać nawróconego, Henry. Protestowałem przeciwko temu. A kiedy „Boy” Piper nie chciał mnie poprzeć, narobiłem cholernego zamieszania. Czasem myślę, że wtedy właśnie wpisano mnie na czarną listę. Zostałem na zawsze uznany za rozrabiacza.

- Jestem pewien, że to nieprawda - zaprotestował Sir Henry bez większego przekonania.

- Nie mam za złe Amerykanom, że próbowali wykonać taki numer, ale byłem wściekły, że im się powiodło - powiedział łagodnie Silas. - Trudno było mieć wielkie pretensje do ludzi, którzy złożyli fałszywe zeznania. Byli to amerykańscy żołnierze, poborowi, którzy od dawna nie widzieli swoich rodzin. Długie śledztwo mogłoby zatrzymać ich w Europie przez następny rok.

- Czy Busby był w to zamieszany?

- Busby był tego wieczora oficerem dyżurnym jednostki amerykańskiego kontrwywiadu w Norymberdze. Dostał mocno po głowie, bo to on dowodził tą grupą operacyjną. Wolał, żeby odnotowano to jako wypadek, do którego doszło z winy oficera jakiejś innej armii.

- Teraz rozumiem, dlaczego stosunki między nim a Samsonem były tak napięte, kiedy zetknęli - się później w Berlinie.

- Busby podjął pracę u ludzi Langego, bo Brian Samson nie chciał go zatrudnić.

- A ta żona?

- Wzięła złoto, zapewne zmieniła nazwisko i zniknęła z pola widzenia.

Kiedy Samson dotarł do tego domu, nie było po niej śladu. Ja też jej nie znalazłem. Zostawiła Essera, któremu groziła szubienica, zabrała swoją córkę i zapadła się pod ziemię; może Esser tego właśnie od niej żądał. Była bardzo energiczną i pomysłową dziewczyną. Pracowała w nocnym lokalu w Garmisch, więc bez kłopotu mogła się skontaktować z ludźmi, którzy handlowali zezwoleniami na pobyt w strefie francuskiej, i to właśnie zrobiła. To wyłączyło ją spod jurysdykcji brytyjskiej i amerykańskiej. W końcu otrzymała paszport francuski, wzięła złoto oraz swoje dziecko...

- ...i żyła w dostatku aż do śmierci - z ironią dokończył D-G.

- Przystępstwo niekiedy popłaca - powiedział Silas. - Może niechętnie to przyznajemy, ale to prawda. - Wypił łyk herbaty.

- Ile było tego złota? - spytał D-G, nakładając sobie jeszcze jeden kawałek ciasta.

- Widziałem dużą metalową skrzynkę. Musiała być zakopana, bo nadal przylegały do niej grudki ziemi. Stanowiła dowód rzeczowy numer jeden. Może taka duża. - Silas rozłożył ręce, pokazując rozmiary sporego kuferka.

- Czy masz pojęcie, ile mogła ważyć?

- Do czego zmierzasz, Sir Henry?

- Nikt nie byłby w stanie unieść takiej ilości złota; musiałoby ważyć z tonę.

- Jeśli nie mogła go wynieść, to co z nim zrobiła? Po co w ogóle je wykopywała, jeśli nie mogła zabrać go ze sobą?

Sir Henry uśmiechnął się z wyższością człowieka dobrze poinformowanego. - Mogła je wykopać dlatego, że zbyt wielu ludzi wiedziało, gdzie jest zakopane.

- To znaczy jej mąż, Esser, i tak dalej?

- A poza nimi być może wiele innych osób - dodał D-G.

- I zakopała je z powrotem... - powiedział Silas, śledząc tok myślenia przyjaciela. - Hmm...

- Wtedy zostałyby tylko trzy osoby, które znały nową kryjówkę.
- I dwie, z nich zginęły w kilka minut później.
- Więc tylko Inge Winter wiedziała, gdzie jest złoto.
- Czy sugerujesz, że mogła namówić tego amerykańskiego sierżanta do zastrzelenia jej męża i szwagra?
 - Nigdy nie zetknąłem się z tym ludźmi - oznajmił D-G. - Komentuję tylko historię, którą mi opowiadasz.

Silas Gaunt nie odpowiedział. Próbował przypomnieć sobie dowody rzeczowe, które mu pokazywano, i żołnierzy, z którymi rozmawiał. Sierżant był eleganckim młodzieńcem, obwieszonym biżuterią... miał starego mercedesa, którego zabierał ze sobą do Ameryki. Czy był naprawdę pijany owej nocy, czy też był to kamuflaż, mający uwiarygodnić ten „wypadek”? Była też, oczywiście, nieuchwytna przyjaciółka tego sierżanta, refrenistka, śpiewająca z jakąś orkiestrą taneczną. Silas nigdy jej nie znalazł. Czy ta przyjaciółka i Inge Winter to jedna i ta sama osoba? No cóż, było już zbyt późno, by dojść prawdy. Nalał sobie herbaty i wypił ją, postanawiając zapomnieć o całej zagadce. Wiedział, że Sir Henry przejdzie wkrótce na emeryturę, a wtedy urwie się ostatnie ogniwo, łączące go z Departamentem. Perspektywa ta wydawała mu się dość ponura.

D-G wstał, strząsnął z krawata kilka okruchów i powiedział: - Obiecuj mi, że poprosisz kogoś, żeby przyjrzał się tym drzewom, Silas. To ten chrząszcz, wiesz o tym.

- Chyba nie zniósłbym utraty tych wiązków, Henry. Muszą mieć ze dwieście lat. Mój dziadek je uwielbiał; zrobił fotografię tego domu, kiedy te drzewa były o połowę niższe niż teraz. Wtedy rosły tu cztery wiązki. Podobno jeden z nich runął tej nocy, podczas której umarł.

- Nigdy nie słyszałem takiej czułościwej bzdury. Wiązki nie padają; mają zbyt głębokie korzenie.

- Moja matka opowiadała mi, że padł po śmierci mego dziadka - powtórzył Silas takim tonem, jakby od prawdziwości tego twierdzenia zależało dobre imię jego rodziny.

- Nie bądź takim osłem, Silas. Czasem trzeba poświęcać to, co się kocha. To jest nieuniknione. Sam o tym wiesz.

- Chyba tak.

- Kiedy pani Samson wróci, zamierzam wysłać ją do Breta. Do Kalifornii.

Co o tym myślisz?

• Tak, to doskonały pomysł - powiedział Silas. - Na tyle daleko, że nikt nie będzie mógł się do niej wtrącać. Czy Bernard Samson pojedzie z nią?

- Nie. Chyba że ty...?

• Owszem, tak uważam, Henry. Jeśli zostawimy go tutaj, będzie próbował ją odnaleźć i narobi straszego zamieszania. Wyślij go do Kalifornii; Bret zaopiekuje się obojgiem.

• Dobrze. - Stary zegar, który Silas przeniósł do swojego pokoju, bo bał się, że uszkodzą go robotnicy przebudowujący kominek, wybił piątą. - Czy naprawdę jest już tak późno? Muszę jechać.

• Czy zostawiasz wszystkie przygotowania w moich rękach, Henry? - Silas chciał, żeby zostało to jasno powiedziane; nie życzył sobie żadnych wątpliwości. - Jest mnóstwo do zrobienia. Będę musiał przygotować odpowiednie uzębienie, a to trwa latami.

• Zostawiam to w twoich rękach, Silas. Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, zadzwoń do Breta.

• Myślę, że ten specjalny fundusz zostanie zlikwidowany, gdy pani Samson będzie już bezpieczna - powiedział Silas.

• Nie. Zachowamy go na wypadek przyszłych nieprzewidzianych wydatków. Tak dużo nas kosztowało jego założenie, że likwidacja byłaby bezsensowna.

• Myślałem, że odkąd Samson zaczął wtrącać się do tych kwestii finansowych, cała sprawa nabrała zbyt wielkiego rozgłosu.

• Samson będzie w Kalifornii - oświadczył D-G. - Ten pomysł coraz bardziej mi się podoba. Volkmann mówi, że pani Samson wyraźnie się ostatnio postarzała. Wyślemy tam jej męża, żeby się nią zaopiekował.

24

Berlin Wschodni. Miiggelsee, maj 1987.

- Jakie to wspaniałe, że mamy całe Miiggelsee dla siebie - powiedział Harry Kennedy. Siedział przy sterze prywatnego, sześciometrowego jachtu. Fiona pełniła funkcję załogi.

W ciepłe, letnie dni na jeziorze roilo się od żaglówek, ale dziś było chłodno, więc istotnie mieli całe Miiggelsee dla siebie. Było późne popołudnie. Słońce, chowające się co chwila za kłębki chmur - wątle i postrzępione w zimnym powietrzu - rzucało nagle cienie i tworzyło przelotne złote aureole, ale nie dawało wiele ciepła.

Wiatr przybierał na sile, mocno dmąc w żagiel, więc dziób łodzi pruł fale z głośnym gwizdem, a za nim unosiły się skłębione, białe grzywy piany.

Fiona siedziała na dziobie. Miała na sobie żółtą, nieprzemakalną kurtkę z kapturem, gruby sweter i szalik Harry'ego, ale mimo to wstrząsały nią dreszcze. Lubiła rozległą przestrzeń jeziora, gdyż mogła tu siedzieć bez ruchu i nie musiała stale przerzucać żagla, wybierać lin i wykonywać czynności towarzyszących zwrotom, które tak lubił Harry. A raczej lubił patrzeć, jak ona je wykonuje. Na łodzi zdawał się nigdy nie odczuwać zimna. W stroju sportowym stawał się innym człowiekiem. W krótkiej, czerwonej kurtce i w dżinsach wyglądał znacznie młodziej; był nieustraszonym mężczyzną, który latał samolotami nad pustynią i tundrą, mężczyzną, któremu nie odpowiadała praca za biurkiem.

Widywała go dość często podczas tego roku, który spędził w szpitalu Charite. Jego towarzystwo pozwalało jej zapomnieć o cierpieniach związanych z separacją, i to w okresie, w którym najbardziej potrzebowała kogoś, kto kochałby ją i troszczył się o nią. Teraz, kiedy znów pracował w Londynie, widywali się tylko wtedy, kiedy mógł

wyrwać się na długi weekend, to znaczy mniej więcej co sześć tygodni. Czasem udawało mu się pożyczyć od poznanego w szpitalu przyjaciela ten jacht; Fiona przywoziła wtedy ze sobą kanapki i termos z kawą, więc mogli spędzić cały dzień na wodzie. Podróże te musiały narażać go na spory wysiłek i duże wydatki, ale nigdy na to nie narzekał. Mimo woli zastanawiała się czasem, czy wszystko to należy do obowiązków służbowych człowieka, któremu zlecono nadzór nad nią, ale zawsze dochodziła do wniosku, że Harry robi to z własnej woli.

Nigdy nawet nie zaproponował tego, co było niemożliwe: żeby przyjechała do Londynu na spotkanie z nim. Oczywiście, wiedział o niej wszystko, a przynajmniej tyle, ile potrzebował wiedzieć. Kiedyś, w jej mieszkaniu, wypiwszy trochę zbyt dużo wina, wyznał nagle: - Zostałem nasłany. - Ale natychmiast zamienił to wyznanie w mętny wywód filozoficzny, dotyczący tego, że byli dla siebie stworzeni, a ona nie skomentowała jego wypowiedzi. Dając mu do poznania, że zna prawdziwe tło ich pierwszego spotkania, nie zyskałaby nic konkretnego. Lepiej było utrzymywać ten pełen wzajemnego dystansu romans; każde z nich obserwowało myśli i uczucia partnera, ale żadne nie mówiło całej prawdy o sobie.

- Czy jesteś szczęśliwa? - spytał nagle.

Kiwnęła głową. Nie kłamała; wszystko było względne. Była na tyle szczęśliwa, na ile mogła być w tych okolicznościach. Harry, z podkurczonymi

nogami, siedział nadal przy sterze. Miał odwróconą głowę, wyciągnięte ręce, jeden łokieć wsparty na kolanie i wyglądał jak Adam namalowany na suficie Kaplicy Sykstyńskiej.

- Bardzo szczęśliwa - odpowiedziała. Wezwał ją ruchem ręki, by podeszła i usiadła przy nim.

- Dlaczego nie może zawsze być tak jak teraz? - spytał smutnym głosem, jakim dzieci zadają często tego rodzaju niemądre pytania. Wiedziała, że nigdy go nie zrozumie, tak jak nigdy nie umiała zrozumieć Bernarda. Nigdy nie zrozumie mężczyzn i nie pojmie, dlaczego potrafią być równocześnie tak dojrzali i tak dziecinnie egoistyczni.

- Czy byłaś kiedyś w delcie Dunaju? To ogromny rezerwat przyrody. Statki - jak pływające hotele - kursują między Dunajem a Morzem Czarnym. Moglibyśmy tam spędzić cudowne wakacje. Czy miałabyś na to ochotę?

- Pozwól mi się nad tym zastanowić.
- Mam wszystkie informacje. Jeden z kardiologów pracujących w Charite odbył taką wycieczkę ze swoją żoną. Byli zachwyceni.

Nie słuchała go. Myślała przez cały czas o niedawnym, krótkim spotkaniu z Bernardem. Doszło do niego w wiejskim domku na terenie Czechosłowacji i Bernard namawiał ją do powrotu. To spotkanie po latach powinno ją było uszczęśliwić, ale napełniło smutkiem i poczuciem własnej bezużyteczności. Obudziło też w niej na nowo lęk przed trudnościami, jakich nastęczyłby powrót do rodziny. Bernard się zmienił, ona się zmieniła, a nie ulegało wątpliwości, że dzieci również przeszły wielkie przeobrażenie. Jak mogłaby znaleźć z nimi na nowo wspólny język?

- Przepraszam, Harry - powiedziała.
- Za co?
- Za to, że nie jestem dziś dobrym kompanem. Sama o tym wiem.
- Jesteś zmęczona; zbyt ciężko pracujesz.
- Masz rację. - W istocie zaczęły ją niepokoić zaniki pamięci. Czasami nie mogła sobie przypomnieć, co robiła poprzedniego dnia. O dziwo, odległa przeszłość była mniej ulotna; pamiętała szczęśliwe dni, przeżyte z Bernardem, kiedy dzieci były jeszcze małe.

- Dlaczego nie wyjdiesz za mnie? - spytał bez wstępów.
- Harry, proszę cię...
- Jako Rezydentka NRD mogłabyś dostać rozwód bez większych przeszkód

formalnych.

- Skąd wiesz?
- Sprawdziłem to.
- Nie jestem z tego zadowolona. - Jeśli rozmawiał z jakimś prawnikiem,

mógł niepotrzebnie zwrócić na nią uwagę władz.

- Fiona, kochanie. Twój mąż żyje szczęśliwie z inną kobietą.
- Skąd o tym wiesz?
- Widziałem ich pewnego wieczora. Niemal wpadłem na nich na stacji

Waterloo. Spieszyli się na pociąg do Epsom.

- Poznałeś ich?
- Oczywiście. Pokazałaś mi kiedyś jego fotografię. Ta kobieta była bardzo

wysoką blondynką.

• Tak, to ona. - Poczula taki ból, jakby wbito jej sztylet w serce. Oczywiście, wiedziała o wszystkim, ale kiedy usłyszała o tym od Harry'ego, sprawiło jej to jeszcze większą przykrość.

- Znasz ją?
- Kiedyś ją poznałam. Jest bardzo ładna.
- Nie chcę cię unieszczęśliwiać, ale powinniśmy o tym rozmawiać. Takie

życie, jakie prowadzimy, to szaleństwo.

- Zobaczymy, jak się wszystko ułoży.
- Mówisz tak, odkąd się poznaliśmy. Czy wiesz, jak dawno to było?
- Tak. Nie... Bardzo dawno.
- Życie bez ciebie jest dla mnie piekłem, ale tobie rozstanie ze mną nie

sprawia przykrości. - Liczył na to, że Fiona zaprzeczy, ale ona tylko wzruszyła ramionami. - Nie mamy wiele czasu, Fiona.

• Harry - powiedziała, całując go w policzek. - Jesteśmy szczęśliwi żyjąc tak, jak żyjemy, i mamy mnóstwo czasu. - Prowadzili tę rozmowę nie po raz pierwszy.

- Nie mamy go tak wiele, jeśli zamierzamy założyć rodzinę.
- Czy tego właśnie chcesz?
- Wiesz o tym. Chodzi mi o nasze dzieci. To wszystko, czego pragnę.
- Gotów byłbyś tu zamieszkać? - Teraz sprawdzała jego intencje.

- Przecież już tu mieszkałem.
- To nie to samo, co pobyt na stałe.
- Czyżbym usłyszał fałszywą nutę w marksistowskiej harmonii?
- Stwierdzam po prostu fakt.
- Nie musisz od razu przechodzić do defensywy, kochanie.
- Powiedziałeś sam, że jesteś marksistą - przypomniała mu. Postępowała nie

fair, wypominając mu coś, co powiedział tylko raz, i to podczas zajadłego sporu.

• Owszem. Powiedziałem, że byłem marksistą. Byłem marksistą już dawno temu. - Żagiel przestał trzepotać.

- Ale już nim nie jesteś?

Podciągnął linkę, by odpowiednio ustawić żagiel, a potem dopiero odwrócił ku niej twarz. Był dobrym żeglarzem; sterował sprawnie i fachowo - wszystko robił sprawnie i fachowo. - Zadawałem sobie to pytanie - przyznał.

- I?
- I to wszystko. Marksizm nie jest wiarą dla tych, którzy zadają na jego temat pytania.

- Bez względu na to, jaka jest odpowiedź? Czy tak uważasz?

- Owszem. Bez względu na to, jaka jest odpowiedź. Jedno pytanie rodzi następne. Powstaje tysiąc pytań. Nic nie potrafi przetrwać tysiąca pytań.

- Nic? Nawet miłość?

• Nie kpij sobie ze mnie. - Byli już blisko brzegu. Same lasy, ani śladu człowieka. - Przygotuj się - powiedział Harry ostrym głosem, jakim zawsze wydawał komendy, kiedy byli na łódce.

Ostrożnie przeszła na dziób, zwolniła fok i patrzyła, jak manewruje sterem. Bom przeleciał nad pokładem, kiedy wykonali zwrot i Harry instynktownie pochylił głowę. Fiona ściągnęła linkę i ustawiła odpowiednio fok, a potem wróciła na rufę i usiadła obok niego.

• Czy bawiłaś się kiedyś w wyobraźnię? - spytał, poprawiając się na ławeczce. Był to kolejny aspekt jego infantylności. Latanie samolotami też było dziecinne; być może wstępując do partii komunistycznej, traktował to jako kolejną niemądrą przygodę.

- Nie - odparła.
- A ja to lubię. Siedząc tu z tobą na łódce, żeglując przez puste Miiggelsee,

wyobrażam sobie, że ty jesteś ponętą Mata Hari, a ja oczarowanym twoim wdziękiem młodym bohaterem, który przybył, by cię ocalić.

Nie odezwała się. Nie podobał jej się przebieg tej konwersacji, ale chciała dowiedzieć się, do czego zmierza.

- Ścigają nas bezlitośni bandyci, ale na drugim brzegu jest bezpieczne miejsce, w którym będziemy żyli długo i szczęśliwie, wychowując nasze dzieci.
- To brzmi jak fragment *Pożegnania z bronią* - powiedziała bez większego entuzjazmu Fiona. - Czy czytałeś tę książkę?

• Masz na myśli przeprawę na drugą stronę jeziora, do Szwajcarii? Hemingway. Tak, czytałem to jako lekturę w szkole średniej. Może stąd przyszedł mi do głowy taki pomysł.

• Ta kobieta umiera - przypomniała Fiona. - Przedostają się do Szwajcarii, ale kobieta umiera w szpitalu. - Spojrzała na niego; wydawał się tak głęboko nieszczęśliwy, że niemal wybuchnęła śmiechem.

- Nie rób sobie żartów - powiedział. - Wszystko układa się doskonale.

Objęła go, aby go uspokoić. Tak. Harry'emu wszystko układało się doskonale. Wszystko przychodziło mu łatwo. Ale Fiona czuła, że jest u kresu sił. Nawet tu, na jeziorze, w towarzystwie kochającego ją mężczyzny, pogrążona była w beznadziejnej depresji. Odkryła, że depresja nie respektuje zasad logiki, że jest ciemną chmurą, która spada na nią niespodziewanie i całkowicie odbiera siły.

Nic nie pomagało tłumaczenie sobie, że to nonsens. Zrezygnowała z dzieci i z małżeństwa. Czy nonsensem było przekonanie, że Bernard zwrócił uczucia dzieci przeciw niej? Uciekła od nich: miały prawo czuć się odrzucone. Jak mogła mieć nadzieję, że na nowo zostanie matką i żoną?

Dzieci były największą ofiarą, ale poniosła i inne rany. Straciła przyjaciół i krewnych, którzy gardzili nią jako zdrażczynią. I co jej z tego przyszło? Nie mogła ocenić rezultatów swojej działalności ani

wartości swoich osiągnięć. Zaczynała podejrzewać, że była jagnięciem zarzniętym na ołtarzu Breta Rensselaera. Jego rany były powierzchowne, jego reputacja nie naruszona. Bret Rensselaer był zwycięzcą, podobnie jak Silas i D-G. Przysłali ją tu trzej starzy mężczyźni i oni mieli zyskać sławę zwycięzców. Cóż ich obchodził jej los? Była zbędna, równie zbędna jak papierowa chusteczka do nosa.

Przegrała. Ona, jej mąż, jej dzieci. Po tym, co zrobiła, nigdy nie odzyskają dawnych sił. Czy jakkolwiek sukces polityczny - czy ekonomiczny, jak z uporem twierdził Bret - był tego wart? Odpowiedź brzmiała: nie.

- O czym myślisz? - spytał Harry.

- Myślałam o mojej fryzurze. Chyba każę sobie krócej obciąć włosy. - Mężczyźni zawsze skłonni byli uwierzyć w to, że kobiety myślą akurat o swojej fryzurze.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Ostatnio wyglądała o wiele starzej; oboje wyglądali starzej. Był pewien, że wakacje w delcie Dunaju zrobiłyby im bardzo dobrze.

Tego wieczora miała spotkać się z Wernerem Volk-mannem. Czekwała na niego samotnie w swoim skromnym mieszkanku, którego okna wychodziły na Frankfurterallee, szeroką arterię wiodącą w kierunku Moskwy i być może z tego powodu noszącą niegdyś nazwę Stalinallee. W myśl zasad proceduralnych agencji przekraczający regularnie granicę nigdy nie przychodzili do biura. Spotykano się z nimi prywatnie. Spojrzała na zegarek; Werner się spóźnił.

Kiedy nadszedł, przeprosił ją za to. Był mokry od deszczu i zmęczony. Twierdził, że to skutki napięcia, na jakie naraża go równoczesna likwidacja działalności bankowej i prowadzenie hotelu Lisi Hennig, ale Fiona zastanawiała się, czy przyczyną jego stresu nie jest życie podwójnego agenta. Werner był obywatelem zachodnio-niemieckim. Gdyby siły bezpieczeństwa doszły do przekonania, że jest zdrajcą, zniknąłby po prostu bez śladu lub, co byłoby jeszcze gorsze, skończył jako pacjent kliniki w Panków.

Przez jakieś dziesięć minut prowadzili zdawkową rozmowę, jaką mogliby prowadzić, gdyby Werner istotnie był tym, za kogo chciał uchodzić. Dopiero potem Fiona wyłączyła uaktywniany przez ludzki głos ukryty mikrofon, który odnalazła już w pierwszym dniu swego pobytu w tym mieszkaniu. Rozmowy wysokich rangą funkcjonariuszy Stasi nagrywano tylko od czasu do czasu, ale lepiej było zachować ostrożność.

- Czy widziałeś dzieci?

Werner, nie zdejmując płaszcza, przesiadł się na jedyny wygodny fotel. Nie było mu chłodno; po prostu lubił siedzieć w płaszczu. Jakby chciał być w każdej chwili gotów do wyjścia. Nawet kapelusz trzymał w obu rękach, obracając nim w taki sposób, jakby to była kierownica dużej ciężarówki, którą prowadzi po ruchliwej szosie.

- Zobaczą je w przyszłym tygodniu - odpowiedział. Dostrzegł na jej twarzy wyraz rozczarowania. - Niełatwo to zorganizować w taki sposób, żeby Bernard nie zaczął zadawać kłopotliwych pytań. Ale są całe i zdrowe, mogę cię o tym zapewnić.

Bernard jest dobrym ojcem.

- Tak, wiem o tym - odparła Fiona, a Werner zdał sobie sprawę, że potraktowała jego uwagę jako wymówkę. Trudno mu było z nią ostatnio rozmawiać. Potrafiła być piekielnie drażliwa. Była wyczerpana - powtarzał to wielokrotnie Dyrektorowi Generalnemu. - Byłoby mi łatwiej, gdybym przebywała w Moskwie czy w Chinach, ale nie potrafię zapomnieć o tym, że wszystko, co kocham, jest tak blisko, niemal w zasięgu ręki.

- Niedługo będziesz w domu. Wszystko tutaj się zmienia. Nawet zatwardziali komuniści odkrywają, że człowiek nie żyje samym chlebem.

- Nic się nigdy nie zmieni - odparła Fiona. - Nie zbuduje się kapitalistycznego raju na leninowskim cmentarzysku.

- Dlaczego jesteś taka posepna? - Rzadko ujawniała swoje osobiste uczucia.

- Nawet gdybym machnęła czarodziejską różdżką i ogłosiła całkowitą wolność Europy Wschodniej, nic by tu nie drgnęło. Optymistyczne koncepcje Breta, dotyczące ekonomii, nie uwzględniają czynnika ludzkiego ani ogromnych trudności, na jakie natrafić musi każdy proces zmian, choć są to rzeczy oczywiste dla każdego, kto tu przyjeżdża i widzi to wszystko na własne oczy. Mówi o „gospodarce rynkowej”, ale systemy gospodarcze wszystkich państw Wschodniego Bloku będą jeszcze przez wiele lat zdominowane przez sektor państwowy. Jak będą ustalać ceny rynkowe? Kto zechce kupić podupadłe huty, przestarzałe zakłady tekstylne i deficytowe fabryki? Bret mówi, że Wschód wskrzesi swój sektor prywatny. Jak? Mieszkańcy Europy Wschodniej przez całe życie udawali, że pracują w zakładach, w których panował przerost zatrudnienia. Nikt nie zechce podjąć żadnego ryzyka. Nawet w biurze Stasi KBG spotykam ludzi, którzy boją się odpowiedzialności związanej z wyższą funkcją, boją się podejmować decyzje. Czterdzieści lat socjalizmu stworzyło społeczeństwo, które nie jest zdolne do podejmowania decyzji. Mieszkańcy tych krajów nie chcą myśleć za siebie. Kapitalizm nie urodzi się sam tylko dlatego, że nie będzie zabroniony żadną ustawą. - Przerwała. Był to jak na nią niezwykle wybuch elokwencji. - Przepraszam. Czasem myślę, że jestem tu zbyt długo.

- Londyn też tak uważa. D-G zamierza cię stąd wyciągnąć.

- Przymknęła oczy. - Kiedy to nastąpi?

- Bardzo szybko. Powinnaś zacząć porządkować swoje sprawy. - Poczekał chwilę na silniejszą reakcję, a potem dodał: - Znów połączysz się z Bernardem i z

dziećmi.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się blado.

- Czy się boisz? - spytał, nie wierząc, by mogło to być prawdą.
- Nie.

- Nie ma się czego bać, Fiona. Kochają cię, chcą cię odzyskać.

Przez chwilę nie był pewien, czy go dosłyszała. Potem spytała: - A jeżeli zapomniałam?

- O czym?

• O tym, jacy oni są. Zdarza mi się zapominać różne rzeczy, Werner. Co oni o mnie pomyśla? - Nie dając mu szansy udzielenia odpowiedzi, zmieniła temat. - Jak się to odbędzie?

• Plany mogą ulec zmianie, ale obecnie mówi się o tym, żeby zostawić pod twoim domem zaparkowany samochód. Klucze będą pod siedzeniem. Znajdziesz przy nich dowód osobisty. Masz dojechać z nim tylko do autostrady, a potem wrzucić do jakiegoś rowu, w którym nikt go nie znajdzie. Dojedziesz do autostrady, zostawisz auto na poboczu i wsiądziesz do samochodu z rejestracją angielską. Kierowca będzie miał dla ciebie brytyjski paszport dyplomatyczny.

• Mówisz o tym tak, jakby to było bardzo proste. - Londyn zawsze przedstawiał wszystko w taki sposób. Ludzie z Centrali uważali, że dodaje to agentowi wiary w powodzenie akcji.

Uśmiechnął się i zakręcił kapeluszem na palcu jednej ręki. - Londyn chce, żebyś zrobiła listę twoich tutejszych kontaktów.

Przez całe lata uważała Wenera za miękkiego pocziwca, podporządkowanego swojej okropnej żonie. Odkąd zaczęła za jego pośrednictwem kontaktować się z Centralą, odkryła, że prawdziwy Werner jest człowiekiem bardzo twardym i o wiele bardziej bezwzględnym niż Bernard.

• Nie kontaktuję się tu z nikim - odparła.

• Kontakty - dobre i złe. Zastanowiłbym się szczególnie nad tymi złymi, Fiona. Koledzy z biura? Portier? Czy ktoś ci coś powiedział, na przykład w żartach? - Złapał się za nos palcem wskazującym i kciukiem, patrząc na nią z uwagą.

• O jakie żarty ci chodzi?

• Żarty na temat twojej współpracy z Brytyjczykami... Żartobliwe sugestie, że jesteś szpiegiem.

- Nic, co należałoby potraktować poważnie.
- To nie jest sprawa, w której można pozwolić sobie na jakiegokolwiek ryzyko, Fiona. Lepiej powiedz mi prawdę. - Położył swój kapelusz na podłodze i przykrył kolana połami płaszcza.

- Harry Kennedy... jest taki lekarz, który czasem przyjeżdża do Berlina.
- Wiem.
- Wiesz o nim?
- Londyn obserwował go od pierwszego dnia twojego pobytu w Berlinie.
- Mój Boże, Werner! Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś?
- Nie miałem ci nic do powiedzenia.
- Widziałam się z nim dzisiaj. Czy i o tym wiesz?
- Owszem. Londyn informuje mnie o jego ruchach. Pracuje w szpitalu, więc musi układać swoje plany z dużym wyprzedzeniem.

- Jestem pewna, że on nie...
- Że nie jest tu po to, żeby cię kontrolować? Ależ oczywiście, że jest. Musi być człowiekiem KGB, któremu polecono cię śledzić. Kennedy zaaranżował to pierwsze spotkanie z tobą w Londynie. Bret jest o tym przekonany.

- Czy rozmawiałeś z Bretem? Myślałam, że Bret jest w Kalifornii.
- Do Kalifornii można dolecieć liniami pasażerskimi. Poza tym mają tam telefony i telefaksy.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytała niecierpliwie.

Tym razem nie odpowiedział. - Kennedy jest od dawna członkiem partii. Nie mów mi, że nie kazałaś go sprawdzić.

- Owszem, kazałam. - Spojrzała mu prosto w oczy.
- Oczywiście, że kazałaś. Mówiłem Bretowi, że to nie ulega wątpliwości.

Jaka kobieta oparłaby się takiej okazji.

- To zabrzmiało bardzo protekcyjnie, Werner.
- Protekcyjnie? Przepraszam. Ale dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy od początku?

- Dziś powiedział mi, że byłoby cudownie, gdybym okazała się współczesną Mata Hari i uciekła z nim na Zachód. Gadał jakieś głupstwa w tym rodzaju.

Werner pociągnął się za nos, wstał i podszedł do okna. Była już

noc; robotnicy przy światłach reflektorów dekorowali Frankfurterallee flagami jakiegoś afrykańskiego państwa. Wszystkich odwiedzających miasto dostojników państwowych przewożono tym bulwarem, żeby mogli zobaczyć swoje barwy narodowe. Był to nieodłączny punkt protokołu, obowiązującego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Werner spojrział w przeciwnym kierunku. Nad zachodnią częścią Berlina niebo było różowe od neonów i świateł. Zachód był tak blisko; był równie bliski i równie dostępny jak Księżyc. Werner odwrócił się do Fiony. Była piękna jak zawsze, ale zbyt wcześnie zaczęła się starzeć. Na jej bladej twarzy malował się wysiłek, jakby próbowała zobaczyć wyraźniej jasne światła.

- Gdyby Kennedy znalazł się tu przypadkiem, kiedy będziemy cię

przerzucali na drugą stronę, będzie trzeba go zneutralizować, Fiona - oznajmił

Werner.

- Dlaczego miałby się tu znaleźć akurat w tym czasie?

- No właśnie, dlaczego? - powiedział Werner. Podniósł swój kapelusz,

wyprostował rondo i włożył go na głowę. Fiona wspięła się na krzesło, aby na nowo włączyć mikrofon.

25

Berlin, czerwiec 1987.

„Deuce” Thurkettle nie wyglądał na swój wiek dzięki falującym włosom. Miał sześćdziesiąt jeden lat, ale regularnie uprawiał ćwiczenia fizyczne i dbał o dietę, więc nadal był w dobrej formie. Włożył okulary, by przeczytać kartę dań, ale mógł wykonywać bez nich większość czynności, na przykład strzelać do ludzi, czym zarabiał na życie. - Stek z sałatą - oznajmił. - Niezbyt mocno wysmażony.

- Mają dziś *Tafelspitz* - powiedział Werner.

• Nie, dziękuję; to zbyt tuczące - odparł Thurkettle. Znał tę lokalną wersję nowoangielskiej potrawy; gotowana wołowina, gotowane ziemniaki i gotowane jarzyny. Nie chciał już nigdy oglądać tego zestawu na oczy. To właśnie jadał w więzieniu. Sam widok lub zapach gotowanej wołowiny i kapusty przypominał mu lata spędzone w celi śmierci, w towarzystwie innych mężczyzn skazanych za wielokrotne morderstwa.

- Może i ja nie powinienem jeść *Tafelspitz* - stwierdził z żalem Werner. -

Dwa razy niezbyt wysmażony stek z sałatą - oznajmił kelnerowi.

Była niedziela rano. Siedzieli w popularnej zachodniobrzeźlińskiej restauracji

Leuschnera, przypominającej nieco stodołę. Jedną ścianę zajmowały lustra w złożonych ramach oraz długi bar, który obsługiwał jeden z braci Leuschnerów. Z grającej szafy dochodziła melodia Beatlesów, wykonywana przez orkiestrę Szkockiej Gwardii. Szafa ta zawierała zwykle płyty z muzyką hard rock, ale jeden z Leuschnerów postanowił zastąpić je muzyką, którą sam lubił. Werner przyjrzał się znajomym twarzom. W niedzielne poranki ta niezbyt skądinąd atrakcyjna knajpa przyciągała hałaśliwy tłum nie pracujących tego dnia hazardzistów, muzyków, bukmacherów, taksówkarzy, alfonsów i prostytutek. Wszyscy tłoczyli się przy barze. Nie była to grupa, której członkowie chętnie rezygnowali z pobytu w knajpie, by pójść do kościoła.

Thurkettle kiwał głową w rytm muzyki. Miał muszkę, schludnie przystrzyżoną krótką brodę i garnitur skrojony wyraźnie w myśl wymogów amerykańskiej mody. Wyglądał na turystę. Ale przyjechał tu, by popełnić morderstwo na zlecenie Londyńskiej Centrali. Zastanawiał się, na ile dobrze poinformowany jest Werner.

Zadanie Wenera polegało na pokazaniu mu kilku fotografii, ułatwiających identyfikację, i udzieleniu-wszelkiej niezbędnej pomocy. Po wykonaniu zadania, czyli we wczesnych godzinach rannych, miał spotkać się z nim na autostradzie i wypłacić mu, w gotówce, ustalone honorarium. - Czy ma pan przygotowany transport? - spytał Werner.

- Motocykl. Jest szybki i nie rzuca się w oczy, a to ważne przy tego rodzaju robocie.

Werner wyjrzał przez okno. Przechodnie uginali się pod błyszczącymi od deszczu parasolami. - Zmoknie pan - powiedział. - Zapowiadają burze.

- Proszę się o mnie nie martwić - odparł Thurkettle. - Ta likwidacja na autostradzie to dla mnie tylko rutynowe zadanie. Deszcz jest najmniejszym z moich problemów.

Decyzja zapadła w ostatniej chwili i Thurkettle musiał przygotowywać wszystko w pośpiechu. Erich Stinnes doniósł mu, że na wschodniobrzeżnym lotnisku dotarł ładunek heroiny. Miał ją tej nocy przetransportować przez granicę. Thurkettle, gdy tylko się o tym dowiedział, wysłał do Londynu informację o możliwości natychmiastowego wywiezienia Fiony Samson z Berlina Wschodniego. Werner potwierdził odbiór sygnału, donosząc równocześnie, że Fiona jest gotowa.

- To są ludzie, których zobaczy pan na miejscu spotkania. - Werner wyjął z kieszeni kilka fotografii i podał mu je nad stołem. Nie powiedziano mu dokładnie, co

się ma wydarzyć, kto zostanie zabity i dlaczego. Nie wymagano też jego obecności na miejscu spotkania. Był z tego zadowolony, bo właśnie tego wieczora miał brać udział w wielkim, uroczystym balu kostiumowym, organizowanym w hotelu *Tante Lisi*. Wiedział, że będą tam niemal wszyscy jego zachodniobrzeńscy znajomi. Ale ten wieczór miał być dla niego stracony; czuł, że przez całą noc będzie się niepokoił o powodzenie ucieczki Fiony Samson.

Thurkettle udał, że ogląda uważnie fotografie formatu paszportowego, ale widział już wszystkich tych ludzi przy takiej czy innej okazji. Przygotowywał się starannie do każdego zadania, dlatego był tak wysoko opłacany i odnosił takie sukcesy. Po chwili oddał Wernerowi zdjęcia.

Werner postukał palcem w fotografię Stinnesa. - To jest pański kontakt, handlujący narkotykami, zgadza się?

Thurkettle potwierdził niewyraźnym mruknięciem.

- Stinnes przyjedzie z tą kobietą. - Werner wskazał fotografię Fiony Samson. - Ona odjedzie z tym człowiekiem. - Pokazał zdjęcie Bernarda Samsona. - Będzie tam zapewne również ten człowiek. - Wyjął fotografię Harry'ego Kennedy'ego.

Thurkettle spojrzał na Wenera, potem na fotografie, potem znowu na Wenera. - Zajmę się nimi.

- Tylko niech się pan nie zajmie niewłaściwymi ludźmi - ostrzegł go Werner.
- Nie ma obawy - odparł Thurkettle z chłodnym uśmiechem.
- Bernard Samson i Fiona Samson. Ma im pan zapewnić bezpieczeństwo.

Thurkettle kiwnął głową. Teraz już był pewien, że Werner nie zna najważniejszej tajemnicy. Nie wie, że Tessa ma umrzeć i zamienić się rolami ze swoją siostrą.

• Wylot na Brandenburg - przypomniał Werner, który chciał upewnić się, że nie będzie żadnych nieporozumień.

• Nie ma problemu. Znam to miejsce. Punkt, w którym poszerzają autostradę. Pojechałem tam wczoraj i rozejrzałem się trochę. Będę miał ze sobą ubranie robocze, łopatę i bańkę z benzyną.

- Z benzyną? Etyliną? - Werner położył mapę na stole.
- Żeby oblać nią ten samochód. Ten facet z Londynu, który wydał mi polecenia, kazał go spalić.

- Potem spotkamy się w tym miejscu. - Werner pokazał mu punkt na mapie.

- Gotówka będzie w skórzanej teczce. Jeśli nie chce pan dźwigać teczki, musi pan przywieźć coś, do czego przełoży pan pieniądze. Po otrzymaniu należności wróci pan na punkt kontroli granicznej w Diwitz i pojedzie do Berlina Zachodniego. Przekroczy pan granicę bez żadnych problemów. W Berlinie proszę zadzwonić pod numer, który panu podałem, i powiedzieć, że praca została wykonana. Od tej pory będzie pan zdany na siebie. Czy ma pan bilet lotniczy? Proszę nie wracać do Berlina Wschodniego.

- Nie wrócę do Berlina Wschodniego.
- Czy zaopatrzył się pan w broń? Kazano mi dostarczyć panu pistolet, o ile będzie pan go potrzebował.

-Ostatnim razem znalazłem się bez pistoletu w Memphis, w stanie Tennessee. Zadusiłem dwóch facetów gołymi rękami. - Postawił na stole kartonowe pudełko. - Oto jeden z nich - dodał, odchylając nieco wieko pudła.

Werner spojrział w chłodne oczy Thurkettlea, starając się zgadnąć, czy jego rozmówca żartuje, ale nie znalazł w nich rozwiązania zagadki, więc zajrzał do pudełka.

- *Gott im Himmell* - powiedział podniesionym głosem, ujrawszy jego zawartość. Była w nim ludzka czaszka.
- Więc niech pan nie traktuje mnie jak dzieciaka - rzekł Thurkettle, zamykając pudełko i stawiając je obok siebie, na krześle. - Pan ma tylko przygotować forszę.
- Będę ją miał.
- Jeśli chce pan to wszystko odwołać, teraz ma pan ostatnią szansę - oznajmił Thurkettle. - Ale kiedy zadanie jest wykonane, zachowuję się jak Pied Piper z Hamelin. Jeśli nie dostanę pieniędzy, wracam i robię wszystko jeszcze raz. Rozumie pan?
- Rozumiem.
- Używane banknoty pięćdziesięciodolarowe - przypomniał mu Thurkettle.

Werner westchnął i zaczął rysować szklanką od piwa małe kółka na blacie stołu. - Mówiłem panu; przygotuję wszystko dokładnie tak, jak ustaliliśmy.

- Pan robi, co panu kazano, ja zrobię, co mi kazano i wszystko będzie dobrze. Ale jeśli pan coś sknoci, przyjacielu... - Nie dokończył. Nie spotkał jeszcze człowieka

tak głupiego, żeby odmówił wypłacenia honorarium płatnemu mordercy. -

Powtórzmy to jeszcze raz: spotykamy się na autostradzie, przy szosie wiodącej na zachód. Zjadę przy wylocie oznakowanym Ziesar i Gorzke. Będzie pan tam na mnie czekał. Ludziom z Zachodu nie wolno opuszczać autostrady; proszę czekać przy wylocie zjazdu.

Omawiali to wszystko już wcześniej. - Będę na miejscu - powiedział Werner. - Zastanawiał się, czy Thurkettle nosił z sobą prawdziwą czaszkę, czy też był to jeden z plastikowych modeli, jakie produkowano na użytek studentów medycyny. Wydawała się prawdziwa; bardzo prawdziwa. Zastanawiał się nad tym nadal, kiedy przyniesiono im steki. Były to wielkie kawały mięsa, idealnie wysmażone i podane do stołu przez samego Williego Leuschnera. Postawił też na ich stole spory słoik domowego sosu chrzanowego, wiedząc, że Werner go lubi. Chodzili niegdyś razem do szkoły, więc jak zwykle wdali się teraz w krótką wymianę życzliwych uwag. Leuschner i jego żona mieli tego wieczora wziąć udział w przyjęciu kostiumowym Wenera. Wyglądało na to, że będzie tam pół Berlina.

- Jeszcze trochę piwa? - spytał w końcu Willi.
- Nie - odparł Werner. - Musimy obaj zachować trzeźwość umysłu. - Willi

nabazgrał rachunek na podstawce do piwa i rzucił ją z powrotem na stół.

„Deuce” Thurkettle zostawił rachunek do zapłacenia Wernerowi. Jego motocykl marki BMW stał przed restauracją. Była to wielka maszyna z dwoma bagażnikami, w których trzymał cały swój sprzęt. Silnik ryknął, a Thurkettle podkręcił gaz, zanim jeszcze usiadł na siodełku. Mijając restaurację, machnął lekko ręką i oddalił się pośpiesznie.

Miał jeszcze wiele do zrobienia przed udaniem się na umówione miejsce, ale spotkanie z Wernerem było niezbędne. Thurkettle zawsze groził w taki sposób swoim klientom. Było to jednym z przejawów jego skrupulatnej troski o szczegóły, dzięki której odniósł tak wiele sukcesów.

Innym źródłem jego powodzenia była umiejętność trzymania języka za zębami w odpowiednich momentach. Ten, kto udzielał Wernerowi Volkmannowi instrukcji, najwyraźniej opowiedział mu jakąś bajeczkę. Instrukcje, jakie otrzymał Thurkettle od Prettymana w eleganckim apartamencie londyńskiego Hiltona, były bardziej wyczerpujące, a już z pewnością bardziej szczegółowe. Prettyman powiedział mu, że w żadnym wypadku nikt z wyjątkiem Fiony Samson i Bernarda Samsona nie może pozostać przy życiu. Wszyscy poza nimi mają zginąć. Prettyman

bardzo się przy tym upierał.

Wylot na Brandenburg - miejsce, w którym Fiona miała się przesiąść do innego samochodu - leży na należącym do NRD odcinku hitlerowskiej autostrady, zbudowanej w celu połączenia Berlina z Holandią i innymi miastami zachodniej Europy. Jest to główna autostrada na terenie NRD, a zarazem jedna z szos, po których mogą się poruszać obywatele państw zachodnich, zmierzający do Berlina Zachodniego.

Nawet produkowanym w NRD samochodem z dwutaktowym silnikiem można tu dojechać z Berlina w niecałą godzinę. Dla potężnego motocykla Thurkettle'a była to frazka. Przyjechał na długo przed zapadnięciem zmroku. Robotnicy poszerzający szosę poszli już do domów; ich maszyny drogowe stały w schludnym szeregu jak czołgi przed inspekcją generała.

Thurkettle wyłamał kłódkę od drzwi przewoźnego baraczku, używanego przez ekipy budowlane. Przy świetle latarki obejrzał swe pistolety i amunicję oraz rzeźniczką piłę, którą również ze sobą przywiózł. Potem włożył kombinezon roboczy oraz lekarskie rękawice i obejrzał czaszkę, zwracając szczególną uwagę na jej lśniące uzębienie. Później, siedząc spokojnie, obserwował padający deszcz i czekał na zapadnięcie zmroku.

Tego rodzaju akcje nigdy nie przebiegały ściśle według planu; to była najważniejsza rzecz, jakiej nauczyły go lata praktyki. Prettyman powiedział mu, że Erich Stinnes ma odebrać z domu Fionę Samson i przywieźć ją na miejsce spotkania. Ktoś podobny do niej miał na tym miejscu pozostać.

Thurkettle dowiedział się więc, że ktoś zbudowany podobnie jak Fiona Samson musi zostać zamordowany i pozostać na miejscu spotkania. To on wpadł na pomysł, by posłużyć się siostrą Fiony, i był z tego bardzo zadowolony. Była narkomanką, a takimi ludźmi łatwo kierować. Jego zadanie polegało na tym, żeby Fiona i jej mąż wsiedli do samochodu i odjechali. Potem miał zabić Stinnesa i siostrę Fiony, zakopać Stinnesa w wykopanym przez maszyny drogowe rowie i spalić samochód, pozostawiając w nim ciało siostry.

Wiedział, że sowieccy oficerowie dochodzeniowi nigdy nie znajdą ciała Stinnesa, gdyż zanim zdadzą sobie sprawę, że Stinnes nie przekroczył granicy wraz z Samsonem, nad miejscem jego spoczynku znajdzie się tysiąc ton betonu i odcinek autostrady. Spalone ciało zostanie zidentyfikowane jako ciało Fiony Samson, ponieważ obie siostry były bardzo do siebie podobne i można je było odróżnić tylko

po stanie użębienia. Dlatego właśnie miał ze sobą czaszkę, którą pokazał Wernerowi. Najtrudniejszym zadaniem była dekapitacja siostry, której głowa musiała znaleźć się w wykopie wraz z ciałem Stinnesa. Inaczej zespół badających samochód ekspertów znalazłby w nim spalone zwłoki z dwiema głowami, a to wzbudziłoby podejrzenia nawet najbardziej opieszałego asystenta laboratoryjnego.

Wszystko ułożyło się nie tak; od samego początku. Tessa - nieodpowiedzialna jak większość narkomanów - nie zjawiła się punktualnie. Mimo wszystkich zabiegów Thurkettle'a poszła na przyjęcie kostiumowe Wenera. A miała zjawić się pierwsza. Thurkettle tak się zaniepokoił, że wyjechał jej na spotkanie swoim motocyklem, ale zawrócił na widok samochodu, w którym siedzieli Stinnes i Fiona. Kiedy Tessa w końcu zjawiła się na miejscu, siedziała z tyłu w prowadzonej przez Bernarda Samsona furgonetce. Stinnes przyjechał wartburgiem, w którym oprócz Fiony Samson siedział również Harry Kennedy. I kto mógłby się spodziewać, że Bernard Samson przywiezie ze sobą jakiegoś szaleńca z Londyńskiej Centrali, który uzna za stosowne przybyć wprost z przyjęcia Wenera, a w dodatku w kostiumie, przebrany za goryla? Furgonetka marki Ford nadjechała w jakieś pięć minut po wartburgu i zaparkowała w taki sposób, by można było bez trudu nią odjechać. Zyskało to aprobatę Thurkettle'a. Wartburg stał na poboczu, z zapalonymi światłami. Thurkettle przypuszczał, że Stinnes wyniesie z samochodu ładunek heroiny, ale nikt się nie pojawił.

Wszyscy zdawali się oczekiwać na jakieś ważne wydarzenie. Thurkettle pozostał w ciemności i obserwował całą scenę. Stał za jednym ze spychaczy, kiedy coś zaczęło się dziać: szczupły mężczyzna w przebraniu goryla wyskoczył z furgonetki i zaczął biegać po poboczu, wrzeszcząc i wymachując rewolwerem.

Goryl. Wyglądał tak przekonująco, że Thurkettle wziął go przez chwilę za prawdziwego goryla. Trudno było wyprowadzić Thurkettle'a z równowagi, ale ten goryl naprawdę go zaskoczył. Musiał zaskoczyć również Stinnesa, a raczej człowieka siedzącego za kierownicą wartburga, bo ktoś zapalił długie światła, jakby chcąc przyjrzeć się gorylowi trochę dokładniej.

Goryl uniósł pistolet i zamierzał strzelić do wartburga. Thurkettle zorientował się nagle, że jego reputacja - i honorarium - są zagrożone. Pani Samson miała odjechać cała i zdrowa. Prettyman w Londynie wyraźnie mu to powiedział. Jeśli Fiona nie dotrze bezpiecznie na Zachód, Thurkettle nie otrzyma honorarium i będzie musiał zadowolić się drobną, wypłaconą mu już, zaliczką.

Thurkettle strzelił więc do oszalałego goryla. Jego pistolet z tłumikiem nie zrobił więcej hałasu niż ostrożnie otwierana butelka wina. Ale Thurkettle był już trochę zdekoncentrowany, więc chybił.

Potem goryl strzelił. Musiał usłyszeć wystrzał Thurkettle'a, gdyż stał dokładnie na przedłużeniu lufy, w miejscu w którym tłumik działał najmniej skutecznie. Szyba wartburga pękła z hukiem i Thurkettle myślał, że Fiona Samson została ranna, ale nagle zobaczył, że wysiada z samochodu. Krzyknęła coś w ciemność, a potem w polu widzenia pojawiła się jej znarkotyzowana siostra Tessa. Zaczęła tańczyć po szosie z rozpostartymi ramionami, demonstrując żółtą, świetlistą suknię, w której przyszła widocznie na kostiumowe przyjęcie.

Thurkettle wiedział, że nie może pozwolić sobie tym razem na żadną pomyłkę. Wziął strzelbę i dokładnie wymierzył. Tessa zdawała się go widzieć. Uśmiechnęła się, kiedy dwukrotnie naciskał spust. Obie kule trafiły w cel. Kiedy Tessa upadła, goryl wystrzelił ponownie, gasząc tym razem jeden z reflektorów wartburga. Thurkettle nie był zadowolony z przebiegu wydarzeń. Ciemności mogły umożliwić ucieczkę jednej czy nawet dwóm osobom. A on wcale nie był pewny, ile osób przybyło na miejsce spotkania.

Usłyszał dalsze strzały, oddane jeden po drugim, co dowodziło zdenerwowania. Strzelcem był zapewne Stinnes - on potrafił czasem reagować zbyt gorączkowo. Jedna z kul musiała trafić w cel. Goryl zawył, przebiegł kilka kroków, potknął się i runął w błoto. Thurkettle pozostał pod osłoną ciemności. Na tej grząskiej arenie czaił się gdzieś Bernard Samson, a Samson był zawodowcem. Potem Stinnes wysiadł z samochodu, by przekonać się, że goryl nie żyje. Był to bardzo nieostrożny krok. Thurkettle zastygł nieruchomo w mroku i starał się nie wydawać żadnego dźwięku.

- Niebezpieczeństwo minęło! - zawołał Stinnes i wezwał gestem drugiego mężczyznę. Był to wysoki facet w eleganckim płaszczu: Kennedy.
- Ilu przysłali? - spytał Kennedy. Nerwowo rozejrzał się wokół siebie i jego twarz znalazła się przez chwilę w światłach jakiegoś przejeżdżającego szosą pojazdu. Thurkettle, ze swojego ukrycia, mógł się im obu wyraźnie przyjrzeć i nie miał najmniejszych wątpliwości co do ich tożsamości. Tak, Erich Stinnes i Harry Kennedy.

Potem Fiona Samson ruszyła przed siebie. Pod wpływem instynktu, a może zrozumiałego lęku, szła w taki sposób, by ominąć oświetlony teren. Londyn musiał

poinstruować ją, by wsiadła do furgonetki, gdyż minęła obu mężczyzn i zmierzała w jej kierunku, kiedy rozległy się dwa wystrzały. Obie detonacje nastąpiły tak blisko, że Thurkettle, ogłuszony hukiem, niemal wyskoczył ze skóry. Fiona Samson zniknęła. Thurkettle zaklął.

Bum! Ten sam cholernie wielki rewolwer. Kennedy rzucił się w tył, rozpostarł ramiona jak szmaciana lalka i runął w błoto. Był niewątpliwie martwy. Czasem tak właśnie jest; szczęśliwy przypadek sprawia, że wystarcza jedna kula.

Bum! Kolejny wystrzał jak z armaty. Stinnes obrócił się wokół własnej osi, jedną ręką strzelając z rewolweru, a drugą podnosząc do szyi. Przez jego palce tryskała krew, plamiąc suknię Fiony. Ten strzał przekonał Thurkettle'a, że nie ma do czynienia ze szczęśliwymi przypadkami. W ciemności, cholernie blisko niego, czaił się ktoś, kto wlaź po cichu na wielką maszynę budowlaną i zyskał lepszy punkt obserwacyjny; ktoś na tyle bezzwzględny, że nie wołał: ręce do góry; ktoś, kto nie doskonalił swoich umiejętności na strzelnicy: Samson.

Thurkettle poczuł, że zaschło mu w ustach. Z zasady nie wchodził w konflikty z zawodowymi mordercami i z profesjonalistami w rodzaju Samsona. Nie był zachwycony, mając przeciw sobie tych durniów z KGB, ale perspektywa rywalizacji z Samsonem była sprzeczna z jego całym kodeksem zawodowym.

Pozostały reflektor wartburga zgasł. Było zupełnie ciemno; po błotnistym placyku, na którym leżały ciała, prześlizgiwały się tylko światła przejeżdżających oddali samochodów. Thurkettle zastygł w bezruchu, mając nadzieję, że nie został zauważony. Ani Bernard Samson, ani jego żona nie znali jego roli w tym dramacie. Spodziewali się go tu tylko Stinnes i Tessa, a oni już nie żyli.

Thurkettle przysiadł za gaśnicą koparki i spojrzął w kierunku wschodniego horyzontu. Niedługo miało świtać. Nie chciał przebywać tutaj w świetle dziennym; mógłby go dostrzec każdy przejeżdżający kierowca. Mogła nadjechać policja. - Czy będziemy tu czekać przez całą noc, Samson?! - zawołał w końcu. - Możesz zabrać tę kobietę do forda i odjechać stąd. Zabierz też swojego goryla. Nie potrzebuję was tutaj. - Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, dodał: - Czy mnie słyszysz? Jestem po twojej stronie. Zabieraj się stąd. Mam robotę!

Było to naruszenie warunków kontraktu, ale jedynie drobne naruszenie; Samsonowie byli po stronie człowieka, który go wynajął. Zapewne będą trzymali język za zębami. Thurkettle wiedział zresztą, że zanim dojdzie do ich przesłuchania, on otrzyma już honorarium i oddali się na bezpieczną odległość.

Fiona Samson musiała wyteńczyć ostatnie rezerwy siły woli, żeby wstać z ziemi. Coś w niej pękło. Czy było to załamanie się instynktu samozachowawczego, którego od tak dawna się obawiała? Słyszała jakiś nie znany jej dotąd szum. Mącił on jej myśli i zakłócał ostrość widzenia. Nie wiedziała, kim jest i nie mogła sobie przypomnieć, gdzie powinna być.

Idąc błędnym krokiem somnambulika, Fiona wynurzyła się z ciemności. Zbryzgana krwią, potykając się na miękkiej ziemi, brnęła w stronę furgonetki. Widziała, jak Kennedy, drogi Harry Kennedy, którego kochała, został brutalnie zastrzelony, i to nie przez mściwego męża, lecz przez bezwzględnego zawodowca. Widok ten całkowicie ją sparaliżował. I Tessa. Jej siostra, do której była tak niewymownie przywiązana, leżała martwa w kałuży krwi.

Bernard Samson patrzył, jak Fiona wsiada do furgonetki. Potem, do końca nieufny, przebiegł dystans dzielący go od forda i schował się za jego osłoną. Nie słysząc strzałów, otworzył drzwi i usiadł obok żony. Silnik zaskoczył i furgonetka powoli, podskakując na nierów- i nościach, ruszyła naprzód. Dopiero kiedy zniknęła z pola widzenia, Thurkettle uznał, że może bezpiecznie wyjść z ukrycia.

Zdjął płaszcz, żeby tylko jego roboczy kombinezon był narażony na poplamienie. Wziął piłę i szybko, lecz precyzyjnie rozpoczął żmudną pracę. Po odcięciu głowy dowłókł ciało Tessy do samochodu i ułożył obok niego przywiezioną z sobą czaszkę. Inne ciała - zwłoki mężczyzny przebranego za goryla, Kennedyego i Stinnesa - wylądowały w głębokim wykopie.

Thurkettle odetchnął z ulgą, wrzucając w ślad za nimi do wykopu swój przesiąknięty krwią kombinezon. Potem cisnął w to samo miejsce całą przywiezioną broń i za pomocą łopaty przykrył wszystko błotem i ziemią.

Podpalenie samochodu było zadaniem łatwiejszym. Obserwował płonącego wartburga, by upewnić się, że wszystko, co w nim było, zostanie pochłonięte przez płomienie. Potem dopiero wsiadł na motocykl i odjechał, by zainkasować swoje honorarium.

Werner Volkmann oczekiwał na Thurkettle'a w umówionym miejscu, przy zjeździe na Ziesar, siedząc w samochodzie marki Skoda. Spędził wieczór na przyjęciu kostiumowym, pełniąc funkcję gospodarza. Pił tylko wodę mineralną, ale teraz czuł się zmęczony. Werner zawsze chciał być tajnym agentem. Zaczął od wykonywania drobnych zadań na zlecenie Brytyjczyków, kiedy był jeszcze kilkunastoletnim chłopcem, ale świat wywiadu nadal go fascynował. Teraz nadszedł finałowy moment.

Wiedział o tym. D-G uściśnął mu dłoń, mamrocząc coś o nagrodzie; nie miał na myśli pieniędzy, lecz jakiś medal czy list pochwalny. Podczas ostatniej wizyty Wernera w Kalifornii Bret Rensselaer też rozmawiał z nim w taki sposób, jakby żegnali się na zawsze. Wiedział, że nazajutrz rano znajdzie się już z powrotem w swym zachodniobrzezińskim hotelu i będzie znowu zwykłym obywatelem, który zakończył swoją karierę w wywiadzie. Oczywiście, nie zamierzał o niej nikomu opowiadać.

Spojrzał na pistolet, który dostarczyła mu tego dnia rano Londyńska Centrala. Miał nadzieję, że dadzą mu coś, co zaspokoi jego romantyczne tęsknoty: wspaniałego colta model 1911, stylowego walthera P38 albo klasycznego lugera. Zamiast tego dostarczono mu małą, tanią „jednorazówkę”. Wyglądała ona jak zapalniczka do kuchenek gazowych. Jej powierzchnia była chropowata, by zapewnić lepszy uchwyt, ale również po to, by nie było na niej ani jednej gładkiej płaszczyzny, na której mogłyby pozostać odciski palców. Ładowało się do niej trójkątny magazynek, którego wszystkie elementy wykonane zostały z plastiku przez jakąś amerykańską firmę. Pistolet był nowy i sprawny, a jego identyfikacja nie wchodziła w rachubę, ale nie sprawiał Wernerowi takiej satysfakcji, jaką zapewniłaby mu bardziej staroświecka broń. Uznał jednak, że trzeba iść z duchem czasu. Włożył pistolet do wewnętrznej kieszeni, by móc łatwo po niego sięgnąć.

Szarzało już, kiedy nadjechał na swym motocyklu Thurkettle. Machnął wesoło ręką do Wernera i podkręcił lekko gaz. „Deuce” lubił jeździć dużym motocyklem, ale teraz musiał się go pozbyć. Niedaleko od tego miejsca zaparkował poprzednio mikrobus campingowy marki Volkswagen. Po odebraniu od tego ponurego chłystka honorarium, zamierzał dotrzeć do niego na piechotę. W mikrobusie miał czystą odzież, mydło, ręczniki i żywność. Niedaleko od niego zakopał szwajcarski paszport w plastikowym pokrowcu. Była w nim wiza, upoważniająca go do trzytygodniowego pobytu turystycznego na terenie NRD. Zamierzał zgolić brodę, zmienić swój wygląd i zwiedzać Niemcy Wschodnie, dopóki wszystko się nie uspokoi, a potem pojechać na północ i wsiąść na prom do Szwecji.

Thurkettle zsiadł z motocykla i podszedł do samochodu. Był przemoczony do suchej nitki i zeszywniały z zimna i wysiłku. Przypomniał sobie, że w volkswagenie jest prysznic i zaczął się zastanawiać, jak długo potrwa nagrzanie wody.

Werner opuścił szybę samochodu. - Czy były jakieś trudności? - spytał.

- Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Ale Fiona Samson nie żyje - odparł Thurkettle. Taką informację polecono mu przekazać. - Sprzątnął ją jeden z

tych ruskich drani. Bernard Samson wyszedł cało, tak samo ta druga kobieta. Nie wiem, kim była; miała na sobie długą żółtą suknię. Odjechała z Bernardem Samsonem.

Werner wiedział, kim była ta druga kobieta. Widział, jak Tessa wychodziła wraz z Bernardem z przyjęcia, - Fiona Samson nie żyje? Czy jest pan pewien?

- Nie mam zwyczaju się mylić w tego rodzaju sprawach - odparł Thurkettle. Uśmiechnął się; lubił tajemnice. Prettyman polecił mu zachować dla siebie wszystkie szczegóły dotyczące zamiany tożsamości obu kobiet. - Wszyscy inni zginęli.

- Kennedy również?

- Tak, Kennedy również. I facet przebrany za goryla. Doszło do strzelaniny. Mam szczęście, że udało mi się z tego wyjść obronną ręką. - Zawsze wyolbrzymiał trudności, przychodząc po odbiór

honorarium. Jego klienci chcieli czuć, że nie płacą za nic. - Te ruskie sukinsyny zamierzały mnie rozwalić. Gdyby nie ja, Bernard Samson nigdy nie wyszedłby z tego z życiem.

- Och, mój Boże! Biedna Fiona - powiedział Werner. Podczas kilku miesięcy współpracy nabrał do niej wielkiej sympatii. Nigdy nie powinna była podejmować się tego zadania; napięcie okazało się ponad jej siły. Widział, jak słabnie pod jego wpływem. W czasie jednego z ostatnich spotkań straciła na chwilę przytomność. Powiedziała, że to skutek późnego chodzenia spać i wymogła na nim obietnicę, iż zachowa to w sekrecie. Biedna Fiona. Wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika. Padał deszcz. Rozejrzał się w jaśniejącym brzasku. Wiedział, że musi się spieszyć.

- No cóż, tak czasem bywa - stwierdził filozoficznie Thurkettle. Uśmiechnął się do Wenera. Wyglądał na pogodnego faceta, a Werner odwzajemnił jego uśmiech.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że ciągle pada - powiedział Werner.

- A pada? - zażartował Thurkettle, który był całkowicie przemoknięty.

- Czy chce pan wsiąść do samochodu i policzyć pieniądze? - spytał Werner.

- Nie chcę tu stać i moknąć. - Oglądał pęk kluczy, szukając wśród nich klucza od bagażnika.

- Chcę tylko na nie zerknąć, by sprawdzić, czy są prawdziwe.

- Są prawdziwe - stwierdził Werner. - Używane banknoty. Dokładnie tak, jak pan sobie życzył. Odebrałem je w piątek z Kommerzbank. - Sięgnął do bagażnika

samochodu i wyjął skórzaną teczkę. Ostrożnie przekazał ją w ręce Thurkettle'a, mówiąc: - Proszę nie kłaść jej na samochodzie. Lakier jest zupełnie nowy.

Thurkettle uśmiechnął się wzgardliwie. Był przyzwyczajony do tego rodzaju nerwowości, jaką okazywał Volkmann. Klienci zawsze byli pełni niepokoju, mając do czynienia z zawodowym mordercą. Trzymał teczkę w obu rękach, a Werner schylił się i manipulował przy jej zamku.

- To szyfrowy zatrzask - powiedział. Czuł bijący od ubrania Thurkettle'a fetor krwi i brudu; był to odór rzeźni. - Może pan dopasować go do każdej kombinacji cyfr. Ja ustawiłem go na 123. Takiego numeru nie można zapomnieć, prawda?

- Nie - odparł Thurkettle. Werner z trzaskiem otworzył zamek i uchylił teczkę. Leżały w niej rzędami pięćdziesięciodolarowe banknoty. - Takiego numeru nie można zapomnieć.

I kiedy Thurkettle stał nieruchomo, trzymając w obu rękach nową skórzaną teczkę, Werner wyjął za jej osłoną dziwaczny rewolwer i nacisnął spust. Pistolet wystrzelił osiem znajdujących się w magazynku naboju tak szybko jak karabin maszynowy. Wszystkie utkwily w brzuchu Thurkettle'a.

Osiem naboju. Była to tylko tania „jednorazówka”, ale z tak bliskiej odległości pistolet nie musi być arcydziełem sztuki rusznikarskiej, by jego działanie okazało się zabójcze.

Uderzenia tych niewielkich, wylatujących ze średnią prędkością naboju nie zwały Thurkettle'a z nóg; zatoczył się tylko o dwa kroki w tył, nadal trzymając w rękach teczkę i patrząc na Wenera z osłupiałym niedowierzaniem. Pod wpływem jego nerwowego ruchu banknoty wysypały się z teczki, a porywisty wiatr zaczął je roznosić po okolicy. Thurkettle widział swe ulatujące pieniądze. Usiłował je pochwycić w powietrzu, ale natychmiast skurczył się z bólu. Nie wierzył w to, co mu się przydarzyło. Został postrzelony. Był zawodowym zabójcą, a ten frajer był nikiem...

Znów zatoczył się w tył, spojrzał na odlatujące banknoty, poczuł w ustach smak krwi i zrozumiał, że jest skończony. Nadal przyciskał do siebie teczkę, jakby mogła ona osłonić go od dalszych kul lub dodać mu otuchy w ostatnich chwilach życia.

Dopiero tuż przed upadkiem zdał sobie sprawę, jak został wystrychnięty na dudka. Jego oczy rozszerzyły się z gniewu. „Deuce” Thurkettle był jedynym człowiekiem, który wiedział, że Fiona Samson nadal żyje. Nawet ten błazen, który go zastrzelił, był przekonany, iż Samson uciekł z Tessą.

Postanowił obwieścić światu prawdę. Otworzył usta, ale popłynęła z nich tylko krew. Mnóstwo krwi. Potem upadł na ziemię.

Werner odrzucił małą „jednorazówkę”. To była zaleta tych tanich pistoletów. Obserwował śmierć Thurkettle’a, bo wiedział, że Londyn będzie oczekiwał jednoznacznego potwierdzenia. Nie czuł dla niego współczucia. Thurkettle był psychopata i społeczeństwo mogło tylko zyskać na jego śmierci. Może byłby skłonny okazać mu litość, gdyby nie dowiedział się o śmierci Fiony. Powiedział temu płatnemu mordercy, że najważniejszym zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa Bernardowi i Fionie, a on nie wykonał jego poleceń.

Werner pchnął ciało czubkiem buta i wrzucił je do rowu. Wybrał to miejsce właśnie dlatego, że był tu głęboki rów. Ukrył w nim również motocykl. Wiedział, że ktoś go w końcu znajdzie, ktoś dostrzeże latające nad polami banknoty dolarowe, ale lepiej było na razie go ukryć. Wcisnął teczkę w głęboką trawę i reszta banknotów wypadła na zewnątrz. Nie zbierał ich. Były zapewne znaczone albo fałszywe.

Pieniądze dostarczyła Londyńska Centrala, a Brytyjczycy zawsze postępowali ostrożnie w sprawach dotyczących pieniędzy. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie odkrył, kiedy zaczął dla nich pracować.

Bret Rensselaer przebywał w „La Buona Nova”, górzystej posiadłości w hrabstwie Ventura, w Kalifornii. Jadł właśnie wczesne śniadanie nad basenem, kiedy otrzymał wiadomość, że Fiona i Bernard są w drodze do Kalifornii i wkrótce się z nimi zobaczy.

Był to naprawdę piękny poranek. Bret wypił sok pomarańczowy i nalał sobie pierwszą w ciągu tego dnia filiżankę kawy. Lubił siedzieć na dworze i wdychać chłodne powietrze napływające znad oceanu. Basen otoczony był bielonym murkiem, za którym kwitły niemal przez cały rok jaśminy i róże. Były tam też drzewka pomarańczowe, drzewka cytrynowe i drzewka rodzące owoce maja, które jego gospodyni nazywała „Bretami”. Wyglądały one jak cytryny, ale miały smak pomarańcz, więc nazywając je w ten sposób, chciała zapewne powiedzieć, że jest równocześnie słodki i kwaśny. Albo że jest Brytyjczykiem, a zarazem Amerykaninem. Bret nie był pewny, o co jej chodzi, ale tolerował te żarty, gdyż znali się od bardzo dawna.

Ludzie znający Breta od tak długiego czasu mogliby powiedzieć, że postarzał się, odkąd został ciężko ranny podczas berlińskiej strzelaniny. Ale przygodny obserwator stwierdziłby, że jest jak na swój wiek dziarski, aktywny i sprawny. Pływał, jeździł na nartach i wykonywał specjalny zestaw ćwiczeń fizycznych. Chciał dobrze wyglądać, kiedy przyjadą jego goście.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia; goście mieli niebawem się zjawić. Jego plan umieszczenia agenta na Kremlu - jak złośliwie ujęła to Nikki - powiódł się całkowicie. Wszystko przebiegło tak, jak przepowiadał podczas pierwszej rozmowy z D-G, tuż po jej odejściu. Teraz czekał go tylko długi i interesujący proces przesłuchiwania Fiony.

Bernard Samson też miał być jego gościem. Próbował nakłonić Sir Henry’ego do wysłania go w jakieś inne miejsce, ale ze względów bezpieczeństwa lepiej było mieć go pod ręką i pod nadzorem. Trzeba było wytłumaczyć jakoś zniknięcie Tessy, a

wersja, w myśl której uciekła ona z Bernardem, wydawała się całkowicie wiarygodna. Tego ranka zamierzał raz jeszcze przejrzeć wszystkie swoje notatki, by przygotować się na przybycie Fiony. Miało to być ostatnie zadanie, jakie wykonywał dla Londyńskiej Centrali i był zdecydowany wywiązać się z niego w sposób perfekcyjny. Z ostatniego raportu Wernera Volkmana wynikało, że Fiona jest na skraju załamania nerwowego, ale Bret nie bardzo w to wierzył. Słyszał to już tyle razy w odniesieniu do innych agentów; takie informacje były zazwyczaj wstępem do żądania podwyżki. Fiona dojdzie do siebie. Dobre jedzenie, sen i kalifornijskie powietrze szybko doprowadzą ją do dawnej, dobrej formy.

Bernard Samson do niczego, oczywiście, nie dojdzie. Jego kariera dobiegła końca. A przecież był tak bliski otrzymania kierowniczej funkcji w strukturze wywiadu. Przed wielu laty Bret odwiedził pewnego wieczora D-G, by nakłonić go do awansowania Bernarda na stanowisko szefa Sekcji Niemieckiej. Stamtąd mógł przenieść się na najwyższe piętro i być może skończyć w fotelu Dyrektora Generalnego. Bóg wie, że nie znalazłby wielu rywali wśród tej bandy durniów, którzy zajmują teraz najwyższe piętro. Czy Sir Henry, Silas, Frank Harrington i pozostali członkowie kliku, która w istocie sprawowała władzę, pogodziliby się z takim awansem Bernarda Samsona? Zawsze mówili, że jest wspaniałym facetem, a niektórzy z nich uważali, że Departament powinien mu jakoś wynagrodzić krzywdę, jaką wyrządzono jego ojcu. Ale D-G? Wszelkie szanse na otrzymanie przez niego tej funkcji zostały przekreślone tego wieczora, kiedy Sir Henry wyjął, że wybrał już osobę, której chce powierzyć tę misję na terenie NRD i że osobą tą jest Fiona.

Bret odstawił filiżankę z kawą, bo przyszła mu nagle do głowy pewna myśl. Sir Clevemore musiał wiedzieć, że wybierając Fionę, eliminuje tym samym Bernarda. Miał do dyspozycji innych ludzi, którym mógł powierzyć to zadanie; dobrych ludzi, jak sam wielokrotnie przyznawał. A więc, czy D-G, wybierając Fionę, chciał uniemożliwić Bernardowi dotarcie na najwyższy szczebel drabiny?

Bret pił kawę i zastanawiał się nad tą kwestią. Gdy wchodził w nią coraz głębiej, natrafiał na kolejne pytania. Wiedział, że Sir Henry nigdy się do tego nie przyzna, a on właśnie był jedynym człowiekiem znającym całą prawdę. Bret wiedział, że nigdy nie mógłby zostać Anglikiem. Byli to dziwni ludzie z mnóstwem zawikłanych powiązań i zależności kastowych. Dopił kawę i zrezygnował z dalszych rozmyślań na ten temat. Miał przed sobą mnóstwo pracy.

„KB”